TWÓRCZOŚĆ

3

MARZEC

ROK VIII 1952

TWÓRCZOŚĆ

MIESIĘCZNIK

ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

ROK VIII ZESZYT 3

WARSZAWA MARZEC 1952

Druk. Zakłady Graficzne i Wydawnicze Dom Słowa Polskiego, Warszawa
Zamówienie 364 z dn. I.II.52 r. Nakład 6573. Druk ukończono 9.III.52. 3-B-11992

Konstytucja Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej

Projekt uchwalony dnia 23 stycznia 1952 r. przez Komisję Konstytucyjną

Polska Rzeczpospolita Ludowa jest republiką ludu pracującego.

Polska Rzeczpospolita Ludowa nawiązuje do najszczytniejszych postępowych tradycji Narodu Polskiego i urzeczywistnia idee wyzwoleńcze polskich mas pracujących.

Polski lud pracujący pod przewodem bohaterskiej klasy robotniczej, opierając się na sojuszu robotniczo - chłopskim walczył dziesiątki lat o wyzwolenie z niewoli narodowej, narzuconej przez pruskich, austriackich i rosyjskich zaborców - kolonizatorów, tak samo jak walczył o zniesienie wyzysku polskich kapitalistów i obszarników.

W okresie okupacji Naród Polski toczył nieustępliwą, bohaterską walkę z krwawym najazdem hitlerowskim. Historyczne zwycięstwo Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich nad faszyzmem wyzwoliło ziemie polskie, umożliwiło polskiemu ludowi pracującemu zdobycie władzy i stworzyło warunki narodowego odrodzenia Polski w nowych, sprawiedliwych granicach. Na wieczne czasy powróciły do Polski Ziemie Odzyskane.

Wcielając w życie wiekopomne wskazania Manifestu z dnia 22 lipca 1944 r. i rozwijając jego zasady programowe, władza ludowa — dzięki ofiarnym i twórczym wysiłkom polskiego ludu pracującego, w walce z zaciekłym oporem rozbitków starego ustroju obszarniczo - kapitalistycznego — dokonała wielkich przeobrażeń społecznych. W wyniku rewolucyjnych walk i przemian obalona została władza kapitalistów i obszarników, utrwaliło się państwo demokracji ludowej, kształtuje się i umacnia nowy ustrój społeczny, odpowiadający interesom i dążeniom najszerszych mas ludowych.

Zasady prawne tego ustroju ustanawia Konstytucja Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

Podstawę obecnej władzy ludowej w Polsce stanowi sojusz klasy robotniczej z chłopstwem pracującym. W sojuszu tym rola kierownicza należy do klasy robotniczej jako przodującej klasy społeczeństwa, opierającej się na rewolucyjnym dorobku polskiego i międzynarodowego ruchu robotniczego, na historycznych doświadczeniach zwycięskiego budownictwa socjalistycznego w Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich, pierwszym państwie robotników i chłopów.

Wypełniając wolę Narodu Polskiego i zgodnie ze swym powołaniem — Sejm Ustawodawczy Rzeczypospolitej Polskiej uchwala uroczyście niniejszą Konstytucję jako ustawę zasadniczą, którą Naród Polski i wszystkie organy władzy polskiego ludu pracującego kierować się winny w celu:

umacniania państwa ludowego jako podstawowej siły, zapewniającej najpełniejszy rozkwit Narodu Polskiego, jego niepodległość i suwerenność,

przyśpieszania rozwoju politycznego, gospodarczego i kulturalnego Ojczyzny oraz wzrostu jej sił,

pogłębiania uczuć patriotycznych, jedności i zwartości Narodu Polskiego w walce o dalsze polepszenie stosunków społecznych, o całkowite zniesienie wyzysku człowieka przez człowieka, o urzeczywistnienie wielkich idei socjalizmu,

zacieśniania przyjaźni i współpracy między narodami, opartych na sojuszu i braterstwie, które łączą dziś Naród Polski z miłującymi pokój narodami świata w dążeniu do wspólnego celu: uniemożliwienia agresji i utrwalenia pokoju światowego.

Rozdział 1

USTRÓJ POLITYCZNY

Art. 1.

1. Polska Rzeczpospolita Ludowa jest państwem demokracji ludowej.

2. W Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej władza należy do ludu pracującego miast i wsi.

Art. 2.

1. Lud pracujący sprawuje władzę państwową przez swych przedstawicieli, wybieranych do Sejmu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej i do rad narodowych w wyborach powszechnych, równych, bezpośrednich, w głosowaniu tajnym.

2. Przedstawiciele ludu w Sejmie Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej i w radach narodowych są odpowiedzialni przed swymi wyborcami i mogą być przez nich odwoływani.

Art. 3.

Polska Rzeczpospolita Ludowa:

1) stoi na straży zdobyczy polskiego ludu pracującego miast i wsi, zabezpiecza jego władzę i wolność przed siłami wrogimi ludowi.

2) zapewnia rozwój i nieustanny wzrost sił wytwórczych kraju przez jego uprzemysłowienie, przez likwidację zacofania gospodarczego, technicznego i kulturanego,

3) organizuje gospodarkę planową, opierając się na przedsiębiorstwach stanowiących własność społeczną,

4) ogranicza, wypiera i likwiduje klasy społeczne, żyjące z wyzysku robotników i chłopów,

5) zabezpiecza stały wzrost dobrobytu, zdrowotności i poziomu kulturalnego mas ludowych,

6) zapewnia wszechstronny rozwój kultury narodowej.

Art. 4.

1. Prawa Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej są wyrazem interesów i woli ludu pracującego.

2. Ścisłe przestrzeganie praw Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej jest podstawowym obowiązkiem każdego organu państwa i każdego obywatela.

3. Wszystkie organy władzy i administracji państwowej działają na podstawie przepisów prawa.

Art. 5.

Wszystkie organy władzy i administracji państwowej opierają się w swej działalności na świadomym, czynnym współdziałaniu najszerszych mas ludowych i obowiązane są:

1) zdawać narodowi sprawę ze swej działalności,

2) uważnie rozpatrywać i uwzględniać słuszne wnioski, zażalenia i życzenia obywateli w myśl obowiązujących ustaw,

3) wyjaśniać masom pracującym zasadnicze cele i wytyczne polityki władzy ludowej w poszczególnych dziedzinach działalności państwowej, gospodarczej i kulturalnej.

Art. 6.

Siły zbrojne Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej stoją na straży suwerenności i niepodległości Narodu Polskiego, jego bezpieczeństwa i pokoju.

Rozdział 2.

USTRÓJ SPOŁECZNO-GOSPODARCZY

Art. 7.

1. Polska Rzeczpospolita Ludowa, opierając się na uspołecznionych środkach produkcji, wymiany, komunikacji i kredytu, rozwija życie gospodarcze i kulturalne kraju na podstawie narodowego planu gospodarczego, w szczególności przez rozbudowę państwowego przemysłu socjalistycznego, rozstrzygającego czynnika w przekształcaniu stosunków społeczno-gospodarczych.

2. Państwo posiada monopol handlu zagranicznego.

3. Zasadniczym celem planowej polityki gospodarczej Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej jest stały rozwój sił wytwórczych kraju, nieustanne podnoszenie poziomu życiowego mas pracujących, umacnianie siły, obronności i niezależności Ojczyzny.

Art. 8.

Mienie ogólnonarodowe: złoża mineralne, wody, lasy państwowe, kopalnie, drogi, transport kolejowy, wodny i powietrzny, środki łączności, banki, państwowe zakłady przemysłowe, państwowe gospodarstwa rolne i państwowe ośrodki maszynowe, państwowe przedsiębiorstwa handlowe, przedsiębiorstwa i urządzenia komunalne —podlega szczególnej trosce i opiece państwa oraz wszystkich obywateli.

Art. 9.

1. Polska Rzeczpospolita Ludowa planowo wzmacnia spójnię gospodarczą między miastem i wsią na podstawie braterskiej współpracy robotników i chłopów.

2. W tym celu Polska Rzeczpospolita Ludowa zapewnia nieustanny wzrost produkcji przemysłu państwowego, służącej wszechstronnemu zaspokajaniu potrzeb wytwórczych i konsumcyjnych ludności wiejskiej, jednocześnie planowo wpływając na stały wzrost towarowej produkcji rolniczej, która zaopatruje przemysł w surowce, a ludność miejską w żywność.

Art. 10.

1. Polska Rzeczpospolita Ludowa otacza opieką indywidualne gospodarstwa rolne pracujących chłopów i udziela im pomocy — w celu ochrony przed wyzyskiem kapitalistycznym, zwiększenia produkcji, podwyższenia poziomu rolniczo-technicznego oraz podniesienia ich dobrobytu.

2. Polska Rzeczpospolita Ludowa udziela szczególnego poparcia i wszechstronnej pomocy powstającym na zasadzie dobrowolności rolniczym spółdzielniom produkcyjnym — jako formom gospodarki zespołowej. Dzięki zastosowaniu metod najbardziej wydajnej wspólnej uprawy i mechanizacji pracy gospodarka zespołowa umożliwia pracującym chłopom osiągnięcie przełomu w produkcji i jest środkiem do całkowitego usunięcia wyzysku na wsi oraz do szybkiego i znacznego podniesienia jej dobrobytu i kultury.

3. Głównymi formami poparcia i pomocy państwa dla rolniczych spółdzielni produkcyjnych są: państwowe ośrodki maszynowe, dające możność stosowania nowoczesnej techniki oraz tanie kredyty państwowe.

Art. 11.

Polska Rzeczpospolita Ludowa popiera rozwój różnych form ruchu spółdzielczego w mieście i na wsi oraz udziela mu wszechstronnej pomocy w wypełnianiu jego zadań, a własności spółdzielczej jako własności społecznej zapewnia szczególną opiekę i ochronę.

Art. 12.

Polska Rzeczpospolita Ludowa uznaje i ochrania na podstawie obowiązujących ustaw indywidualną własność i prawo dziedziczenia ziemi, budynków i innych środków produkcji chłopów, rzemieślników i chałupników.

Art. 13.

Polska Rzeczpospolita Ludowa poręcza całkowitą ochronę oraz prawo dziedziczenia własności osobistej obywateli.

Art. 14.

1. Praca jest prawem, obowiązkiem i sprawą honoru każdego obywatela. Pracą swoją, przestrzeganiem dyscypliny pracy, współzawodnictwem pracy i doskonaleniem jej metod lud pracujący miast i wsi wzmacnia siłę i potęgę Ojczyzny, podnosi dobrobyt narodu i przyśpiesza całkowite urzeczywistnienie ustroju socjalistycznego.

2. Przodownicy pracy otoczeni są powszechnym szacunkiem narodu.

3. Polska Rzeczpospolita Ludowa coraz pełniej wprowadza w życie zasadę: „od każdego według jego zdolności, każdemu według jego pracy".

Rozdział 3.

NACZELNE ORGANY WŁADZY PAŃSTWOWEJ

Art. 15.

1. Najwyższym organem władzy państwowej jest Sejm Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

2. Sejm jako najwyższy wyraziciel woli ludu pracującego miast i wsi urzeczywistnia suwerenne prawa narodu.

3. Sejm uchwala ustawy oraz sprawuje kontrolę nad działalnością innych organów władzy i administracji państwowej.

Art. 16.

1. Posłów na Sejm wybierają obywatele według okręgów wyborczych w stosunku: jeden poseł na 60.000 mieszkańców.

2. Ważność wyboru posła stwierdza Sejm.

3. Poseł nie może być pociągnięty do odpowiedzialności sądowej ani aresztowany bez zgody Sejmu, a w okresie kiedy Sejm nie obraduje — bez zgody Rady Państwa.

Art. 17.

1. Sejm obraduje na sesjach. Sesje Sejmu zwołuje Rada Państwa co najmniej dwa razy do roku. Rada Państwa obowiązana jest zwołać sesję również na pisemny wniosek jednej trzeciej ogólnej liczby posłów.

2. Pierwsza sesja nowoobranego Sejmu powinna być zwołana w ciągu miesiąca od dnia wyborów.

Art. 18.

1. Sejm wybiera ze swego grona Marszałka, wicemarszałków i komisje.

2. Marszałek lub w jego zastępstwie wicemarszałek kieruje obradami i czuwa nad tokiem prac Sejmu.

3. Obrady Sejmu są jawne. Sejm może uchwalić tajność obrad, jeżeli wymaga tego dobro państwa.

4. Porządek prac Sejmu, rodzaj i liczbę komisji określa regulamin, uchwalony przez Sejm.

Art. 19.

1. Sejm uchwala narodowe plany gospodarcze na okresy kilkuletnie.

2. Sejm uchwala corocznie budżet państwa.

Art. 20.

1. Inicjatywa ustawodawcza przysługuje Radzie Państwa, rządowi i posłom.

2. Ustawy, uchwalone przez Sejm, podpisują Przewodniczący Rady Państwa i jej Sekretarz. Ogłoszenie ustawy w Dzienniku Ustaw zarządza Przewodniczący Rady Państwa.

Art. 21.

Sejm może wyłonić komisję dla zbadania określonej sprawy. Uprawnienia i tryb działania komisji ustala Sejm.

Art. 22.

Prezes Rady Ministrów lub poszczególni ministrowie obowiązani są do udzielenia w ciągu siedmiu dni odpowiedzi na interpelację posła.

Art. 23.

1. Sejm jest wybierany na okres lat czterech.

2. Postanowienie o zarządzeniu wyborów do Sejmu uchwala Rada Państwa nie później niż na miesiąc przed upływem kadencji Sejmu, wyznaczając datę wyborów na dzień wolny od pracy, przypadający w ciągu dwóch miesięcy po upływie kadencji Sejmu.

Art. 24.

1. Sejm wybiera na pierwszym posiedzeniu Radę Państwa w składzie:
Przewodniczący Rady Państwa,
dwaj zastępcy Przewodniczącego,
Sekretarz Rady Państwa,
jedenastu członków.

2. Marszałek i wicemarszałkowie mogą być wybrani do Rady Państwa jako zastępcy Przewodniczącego lub członkowie.

3. Po upływie kadencji Sejmu Rada Państwa działa aż do wyboru Rady Państwa przez nowoobrany Sejm.

Art. 25.

1. Do zakresu działań Rady Państwa należy:

1) zarządzanie wyborów do Sejmu,

2) zwoływanie sesji Sejmu,

3) wykonywanie inicjatywy ustawodawczej,

4) ustalanie powszechnie obowiązującej wykładni ustaw,

5) wydawanie dekretów z mocą ustawy,

6) mianowanie i odwoływanie pełnomocnych przedstawicieli Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej w innych państwach,

7) przyjmowanie listów uwierzytelniających i odwołujących akredytowanych przy Radzie Państwa przedstawicieli dyplomatycznych innych państw,

8) ratyfikacja i wypowiadanie umów miedzynarodowych,

9) obsadzanie stanowisk cywilnych i wojskowych, przewidzianych ustawami,

10) nadawanie orderów, odznaczeń i tytułów honorowych,

11) stosowanie prawa łaski,

12) wykonywanie innych funkcji, przewidzianych dla Rady Państwa w Konstytucji lub przekazanych jej przez osobne ustawy.

2. Rada Państwa podlega w całej swojej działalności Sejmowi.

3. Rada Państwa działa na zasadzie kolegialności.

4. Radę Państwa reprezentuje Przewodniczący lub jego zastępca.

Art. 26.

1. W okresach między sesjami Sejmu Rada Państwa wydaje dekrety z mocą ustawy. Rada Państwa przedstawia dekrety Sejmowi na najbliższej sesji do zatwierdzenia.

2. Dekrety, wydane przez Radę Państwa, podpisują Przewodniczący Rady Państwa i jej Sekretarz. Ogłoszenie dekretu w Dzienniku Ustaw zarządza Przewodniczący Rady Państwa.

Art. 27.

Rada Państwa sprawuje zwierzchni nadzór nad terenowymi radami narodowymi. Szczegółowe uprawnienia Rady Państwa w tej dziedzinie określa ustawa.

Art. 28.

1. Postanowienie o stanie wojny może być powzięte jedynie w razie dokonania zbrojnego napadu na Polską Rzeczpospolitę Ludową albo gdy z umów międzypaństwowych wynika konieczność wspólnej obrony przeciwko agresji. Postanowienie takie uchwala Sejm, a gdy Sejm nie obraduje — Rada Państwa.

2. Rada Państwa może wprowadzić stan wojenny na części lub na całym terytorium Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, jeżeli wymaga tego wzgląd na obronność lub bezpieczeństwo państwa. Z tych samych powodów Rada Państwa może ogłosić częściową lub powszechną mobilizację.

Rozdział 4.

NACZELNE ORGANY ADMINISTRACJI PAŃSTWOWEJ

Art. 29.

1 Sejm powołuje i odwołuje Rząd Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej — Radę Ministrów lub poszczególnych jej członków.

2 W okresach między sesjami Sejmu Rada Państwa na wniosek Prezesa Rady Ministrów powołuje i odwołuje członków Rady Ministrów. Rada Państwa przedstawia swoją uchwałę Sejmowi na najbliższej sesji do zatwierdzenia.

Art. 30.

1. Rada Ministrów jest naczelnym wykonawczym i zarządzającym organem władzy państwowej.

2. Rada Ministrów odpowiada i zdaje sprawę ze swojej działalności przed Sejmem, a gdy Sejm nie obraduje — przed Radą Państwa.

Art. 31.

W skład Rady Ministrów wchodzą:

Prezes Rady Ministrów jako jej przewodniczący,

wiceprezesi Rady Ministrów,

ministrowie,

przewodniczący określonych w ustawie komisji i komitetów, sprawujących funkcje naczelnych organów administracji państwowej.

Art. 32.

Rada Ministrów:

1) koordynuje działalność ministerstw i innych podległych sobie organów oraz nadaje kierunek ich pracy,

2) uchwala corocznie i przedstawia Sejmowi projekt budżetu państwa, uchwala i przedstawia Sejmowi projekt narodowego planu gospodarczego na okres kilkuletni,

3) uchwala roczne narodowe plany gospodarcze,

4) zapewnia wykonanie ustaw,

5) czuwa nad wykonaniem budżetu i narodowego planu gospodarczego.

6) zapewnia ochronę porządku publicznego, interesów państwa i praw obywateli,

7) na podstawie ustaw i w celu ich wykonania wydaje rozporządzenia, podejmuje uchwały oraz czuwa nad ich wykonaniem,

8) sprawuje ogólne kierownictwo w dziedzinie stosunków z innymi państwami.

9) sprawuje ogólne kierownictwo w dziedzinie obronności kraju i organi-

zacji sił zbrojnych Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej oraz określa corocznie kontyngent obywateli, powoływanych do czynnej służby wojskowej,

10) kieruje pracą prezydiów rad narodowych.

Art. 33.

1. Ministrowie kierują określonymi działami administracji państwowej. Zakres działania ministrów określają ustawy.

2. Ministrowie wydają na podstawie ustaw i w celu ich wykonania rozporządzenia i zarządzenia.

3. Rada Ministrów może uchylić rozporządzenie lub zarządzenie, wydane przez ministra.

TERENOWE ORGANY WŁADZY PAŃSTWOWEJ

Art. 34.

1. Organami władzy państwowej w gminach, miastach, dzielnicach większych miast, powiatach i województwach są rady narodowe.

2. Rady narodowe wybierane są przez ludność na okres lat trzech.

Art. 35.

Rady narodowe wyrażają wolę ludu pracującego oraz rozwijają jego inicjatywę twórczą i aktywność w celu pomnażania sił, dobrobytu i kultury narodu.

Art. 36.

Rady narodowe umacniają więź władzy państwowej z ludem pracującym miast i wsi, przyciągając coraz szersze rzesze ludzi pracy do udziału w rządzeniu państwem.

Art. 37.

Rady narodowe kierują w swoim zakresie działalnością gospodarczą, społeczną i kulturalną, wiążąc potrzeby terenu z zadaniami ogólnopaństwowymi.

Art. 38.

Rady narodowe troszczą się stale o codzienne potrzeby i interesy ludności, zwalczają wszelkie przejawy samowoli i biurokratycznego stosunku do obywatela, sprawują i rozwijają kontrolę społeczną działalności urzędów, przedsiębiorstw, zakładów i instytucji.

Art. 39.

Rady narodowe dbają o utrzymanie porządku publicznego i czuwają nad przestrzeganiem praworządności ludowej, ochraniają własność społeczną, zabezpieczają prawa obywateli, współdziałają w umacnianiu obronności państwa.

Art. 40.

Rady narodowe wykorzystują wszelkie zasoby i możliwości terenu dla jego wszechstronnego rozwoju gospodarczego i kulturalnego, dla coraz lepszego zaspokajania potrzeb ludności w zakresie zaopatrzenia i usług oraz dla rozbudowy instytucji i urządzeń komunalnych, oświatowych, kulturalnych, sanitarnych i sportowych.

Art. 41.

Rady narodowe uchwalają terenowe plany gospodarcze oraz budżety terenowe.

Art. 42.

1. Rady narodowe obradują na sesjach.

2 Organami wykonawczymi i zarządzającymi rad narodowych są wybierane przez nie prezydia.

3. Prezydium rady narodowej podlega radzie narodowej, która je wybrała, oraz prezydium rady narodowej wyższego stopnia.

Art. 43.

Rady narodowe powołują komisje dla poszczególnych dziedzin swojej działalności. Komisje rad narodowych utrzymują stałą i ścisłą więź z ludnością, mobilizują ją do współudziału w realizacji zadań rady, wykonują z ramienia rady kontrolę społeczną oraz występują z inicjatywą wobec rady i jej organów.

Art. 44.

1. Rada narodowa uchyla uchwałę rady niższego stopnia lub jej prezydium, jeżeli uchwała jest sprzeczna z prawem lub niezgodna z zasadniczą linią polityki państwa.

2. Prezydium rady narodowej może zawiesić wykonanie uchwały rady narodowej niższego stopnia i przedstawić sprawę do rozstrzygnięcia na najbliższym posiedzeniu swojej rady narodowej.

Art. 45.

Szczegółowy skład oraz zakres i tryb działalności rad narodowych i ich organów określa ustawa.

Rozdział 6.

SĄD I PROKURATURA

Art. 46.

1. Wymiar sprawiedliwości w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej sprawują: Sąd Najwyższy, sądy wojewódzkie i sądy powiatowe.

2. Sądy szczególne mogą być tworzone tylko na podstawie ustawy.

3. Ustrój, właściwość oraz postępowanie sądów określają ustawy.

Art. 47.

Sądy wydają wyroki w imieniu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

Art. 48.

Sądy stoją na straży ustroju Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, ochraniają zdobycze polskiego ludu pracującego, strzegą praworządności ludowej, własności społecznej i praw obywateli, karzą przestępców.

Art. 49.

Rozpoznawanie spraw w sądach i orzekanie odbywa się z udziałem ławników ludowych z wyjątkiem przypadków, określonych w ustawie.

Art. 50.

1. Sędziowie i ławnicy ludowi są wybierani.

2. Sąd Najwyższy lub poszczególnych jego członków wybiera Rada Państwa na okres lat pięciu.

3. Tryb wyboru oraz kadencję sędziów i ławników sądów wojewódzkich i powiatowych określa ustawa.

4. Tryb powoływania sędziów sądów szczególnych określa ustawa.

Art. 51.

1. Sąd Najwyższy jest naczelnym organem sądowym i sprawuje nadzór nad działalnością wszystkich innych sądów.

2. Zakres i tryb wykonywania nadzoru przez Sąd Najwyższy określa ustawa.

Art. 52.

Sędziowie są niezawiśli i podlegają tylko ustawom.

Art. 53.

1. Rozpoznawanie spraw przed wszystkimi sądami Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej odbywa się jawnie. Ustawa może określić wyjątki od tej zasady.

2. Oskarżonemu poręcza się prawo do obrony z wyboru lub z urzędu.

Art. 54.

1. Prokurator Generalny Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej strzeże praworządności ludowej, czuwa nad ochroną mienia społecznego, zabezpiecza poszanowanie praw obywateli.

2. Prokurator Generalny czuwa w szczególności nad ściganiem przestępstw, godzących w ustrój, bezpieczeństwo i niezawisłość Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

3. Zakres i tryb działania Prokuratora Generalnego określa ustawa.

Art. 55.

1. Prokuratora Generalnego Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej powołuje i odwołuje Rada Państwa.

2. Tryb powoływania i odwoływania prokuratorów podległych Prokuratorowi Generalnemu jak również zasady organizacji i postępowania organów prokuratury określa ustawa.

3. Prokurator Generalny zdaje sprawę Radzie Państwa z działalności prokuratury.

Art. 56.

Organy prokuratury podlegają Prokuratorowi Generalnemu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej i w sprawowaniu swych funkcji są niezależne od organów terenowych.

Rozdział 7.

PODSTAWOWE PRAWA I OBOWIĄZKI OBYWATELI

Art. 57.

Polska Rzeczpospolita Ludowa, utrwalając i pomnażając zdobycze ludu pracującego, umacnia i rozszerza prawa i wolności obywateli.

Art. 58.

1. Obywatele Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej mają prawo do pracy tj. prawo do zatrudnienia za wynagrodzeniem według ilości i jakości pracy.

2. Prawo do pracy zapewniają: społeczna własność podstawowych środków produkcji, rozwój wolnego od wyzysku społeczno-spółdzielczego ustroju na wsi, planowy wzrost sił wytwórczych, usunięcie źródeł kryzysów ekonomicznych, likwidacja bezrobocia.

Art. 59.

1. Obywatele Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej mają prawo do wypoczynku.

2. Prawo do wypoczynku zapewniają robotnikom i pracownikom umysłowym: ustawowe skrócenie czasu pracy, coroczne płatne urlopy.

3. Organizacja wczasów, rozwój turystyki, uzdrowisk, urządzeń sportowych, domów kultury, klubów, świetlic, parków i innych urządzeń wypoczynkowych stwarzają możliwości zdrowego i kulturalnego wypoczynku dla coraz szerszych rzesz ludu pracującego miast i wsi.

Art. 60.

1. Obywatele Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej mają prawo do ochrony zdrowia oraz do pomocy w razie choroby lub niezdolności do pracy.

2. Coraz szerszemu urzeczywistnianiu tego prawa służą:

1) rozwój ubezpieczenia społecznego robotników i pracowników umysłowych na wypadek choroby, starości i niezdolności do pracy oraz rozbudowa różnych form pomocy społecznej,

2) rozwój organizowanej przez państwo ochrony zdrowia ludności, rozbudowa urządzeń sanitarnych i podnoszenie stanu zdrowotnego miast i wsi, szeroka akcja zapobiegania chorobom i ich zwalczania, coraz szersze udostępnianie bezpłatnej pomocy lekarskiej, rozbudowa szpitali, sanato-

riów, ambulatoriów, wiejskich ośrodków zdrowia, opieka nad inwalidami.

Art. 61.

1. Obywatele Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej mają prawo do nauki.

2. Prawo do nauki zapewniają w coraz szerszym zakresie:

1) powszechne, bezpłatne i obowiązkowe szkoły podstawowe oraz likwidacja analfabetyzmu,

2) stała rozbudowa szkolnictwa średniego ogólnokształcącego i zawodowego oraz szkolnictwa wyższego.

3) pomoc państwa w podnoszeniu kwalifikacji obywateli, zatrudnionych w zakładach przemysłowych i innych ośrodkach pracy w mieście i na wsi,

4) system stypendiów państwowych, rozbudowa burs, internatów i domów akademickich oraz innych form pomocy materialnej dla dzieci robotników, pracujących chłopów i inteligencji.

Art. 62.

1. Obywatele Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej mają prawo do korzystania ze zdobyczy kultury i do twórczego udziału w rozwoju kultury narodowej.

2. Prawo to zapewniają coraz szerzej: rozwój i udostępnienie ludowi pracującemu miast i wsi wydawnictw książkowych i prasy, radia, kin, teatrów, muzeów i wystaw, domów kultury, klubów, świetlic, wszechstronne popieranie i pobudzanie twórczości kulturalnej mas ludowych i rozwoju talentów twórczych.

Art. 63.

Polska Rzeczpospolita Ludowa dba o wszechstronny rozwój nauki, opartej na dorobku przodującej myśli ludzkiej i postępowej myśli polskiej — nauki w służbie narodu.

Art. 64.

Polska Rzeczpospolita Ludowa troszczy się o rozwój literatury i sztuki, wyrażających potrzeby i dążenia narodu, odpowiadających najlepszym postępowym tradycjom twórczości polskiej.

Art. 65.

Polska Rzeczpospolita Ludowa szczególną opieką otacza inteligencję twórczą — pracowników nauki, oświaty, literatury i sztuki oraz pionierów postępu technicznego, racjonalizatorów i wynalazców.

Art. 66.

1. Kobieta w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej ma równe z mężczyzną prawa we wszystkich dziedzinach życia państwowego, politycznego, gospodarczego, społecznego i kulturalnego.

2. Gwarancję równouprawnienia kobiety stanowią:

1) równe z mężczyzną prawo do pracy i wynagrodzenia według zasady „równa płaca za równą pracę", prawo do wypoczynku, do ubezpieczenia społecznego, do nauki, do godności i odznaczeń, do zajmowania stanowisk publicznych,

2) opieka nad matką i dzieckiem, ochrona kobiety ciężarnej, płatny urlop w okresie przed porodem i po porodzie, rozbudowa sieci zakładów położniczych, żłobków i przedszkoli, rozwój sieci zakładów usługowych i żywienia zbiorowego.

Art. 67.

Małżeństwo i rodzina znajdują się pod opieką i ochroną Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

Art. 68.

Polska Rzeczpospolita Ludowa otacza szczególnie troskliwą opieką wychowanie młodzieży i zapewnia jej najszersze możliwości rozwoju.

Art. 69.

1. Obywatele Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej niezależnie od narodowości, rasy i wyznania mają równe prawa we wszystkich dziedzinach życia państwowego, politycznego, gospodarczego, społecznego i kulturalnego. Naruszenie tej zasady przez jakiekolwiek bezpośrednie lub pośrednie uprzywilejowanie albo ograniczenie w prawach ze względu na narodowość, rasę czy wyznanie podlega karze.

2. Szerzenie nienawiści lub pogardy, wywoływanie waśni albo poniżanie człowieka ze względu na różnice narodowości, rasy czy wyznania, jest zakazane.

Art. 70.

1. Polska Rzeczpospolita Ludowa zapewnia obywatelom wolność sumienia i wyznania. Kościół i inne związki wyznaniowe mogą swobodnie wypełniać swoje funkcje religijne. Nie wolno zmuszać obywateli do niebrania udziału w czynnościach lub obrzędach religijnych. Nie wolno też nikogo zmuszać do udziału w czynnościach lub obrzędach religijnych.

2. Kościół jest oddzielony od państwa. Zasady stosunku państwa do kościoła oraz sytuację prawną i majątkową związków wyznaniowych określają ustawy.

3. Nadużywanie wolności sumienia i wyznania dla celów godzących w interesy Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej jest karane.

Art. 71.

1. Polska Rzeczpospolita Ludowa zapewnia obywatelom wolność słowa, druku, zgromadzeń i wieców, pochodów i manifestacji.

2. Urzeczywistnieniu tej wolności służy oddanie do użytku ludu pracującego i jego organizacji drukarni, zasobów papieru, gmachów publicznych i sal, środków łączności, radia oraz innych niezbędnych środków materialnych.

Art. 72.

1. W celu rozwoju aktywności politycznej, społecznej, gospodarczej i kulturalnej ludu pracującego miast i wsi Polska Rzeczpospolita Ludowa zapewnia obywatelom prawo zrzeszania się.

2. Organizacje polityczne, związki zawodowe, zrzeszenia pracujących chłopów, zrzeszenia spółdzielcze, organizacje młodzieżowe, kobiece, sportowe i obronne, stowarzyszenia kulturalne, techniczne i naukowe, jak również inne organizacje społeczne ludu pracującego — skupiają obywateli dla czynnego udziału w życiu politycznym, społecznym, gospodarczym i kulturalnym.

3. Tworzenie zrzeszeń i udział w zrzeszeniach, których cel lub działalność godzą w ustrój polityczny i społeczny albo w porządek prawny Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, jest zakazane.

Art. 73.

1. Obywatele mają prawo zwracania się do wszystkich organów państwa ze skargami i zażaleniami.

2. Skargi i zażalenia obywateli powinny być rozpatrywane i załatwiane szybko i sprawiedliwie. Winni przewlekania albo przejawiający bezduszny i biurokratyczny stosunek do skarg i zażaleń obywateli pociągani będą do odpowiedzialności.

Art. 74.

1. Polska Rzeczpospolita Ludowa zapewnia obywatelom nietykalność osobistą. Pozbawienie obywatela wolności może nastąpić tylko w przypadkach, określonych ustawą. Zatrzymany powinien być zwolniony, jeżeli w ciągu 48 godzin od chwili zatrzymania

nie doręczono mu postanowienia sądu lub prokuratora o aresztowaniu.

2. Ustawa ochrania nienaruszalność mieszkań i tajemnicę korespondencji. Przeprowadzenie rewizji domowej dopuszczalne jest jedynie w przypadkach, określonych ustawą.

3 Przepadek mienia może nastąpić jedynie w przypadkach, przewidzianych ustawą, na podstawie prawomocnego wyroku sądowego.

Art. 75.

Polska Rzeczpospolita Ludowa udziela azylu obywatelom państw obcych, prześladowanym za obronę interesów mas pracujących, walkę o postęp społeczny, działalność w obronie pokoju, walkę narodowo-wyzwoleńczą lub działalność naukową.

Art. 76.

Obywatel Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej jest obowiązany przestrzegać przepisów Konstytucji i ustaw oraz socjalistycznej dyscypliny pracy, szanować zasady współżycia społecznego, wypełniać sumiennie obowiązki wobec państwa.

Art. 77.

1. Każdy obywatel Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej obowiązany jest strzec własności społecznej i umacniać ją jako niewzruszoną podstawę rozwoju państwa, źródło bogactwa i siły Ojczyzny.

2. Osoby, które dokonują sabotażu lub dywersji gospodarczej albo w inny sposób dopuszczają się zamachów na własność społeczną, karane są z całą surowością prawa.

Art. 78.

1. Obrona Ojczyzny jest najświętszym obowiązkiem każdego obywatela.

2. Służba wojskowa jest zaszczytnym obowiązkiem patriotycznym obywateli Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

Art. 79.

1. Czujność wobec wrogów narodu oraz pilne strzeżenie tajemnicy państwowej jest obowiązkiem każdego obywatela Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

2. Zdrada Ojczyzny: szpiegostwo, osłabianie sił zbrojnych, przejście na stronę wroga — karana jest z całą surowością prawa jako najcięższa zbrodnia.

Rozdział 8.

ZASADY PRAWA WYBORCZEGO

Art. 80.

Wybory do Sejmu oraz do rad narodowych są powszechne, równe, bezpośrednie i odbywają się w głosowaniu tajnym.

Art. 81.

Prawo wybierania ma każdy obywatel, który ukończył lat 18, bez względu na płeć, przynależność narodową i rasową, wyznanie, wykształcenie, czas zamieszkiwania, pochodzenie społeczne, zawód i stan majątkowy.

Art. 82.

Każdy obywatel może być wybrany do rady narodowej po ukończeniu lat 18, do Sejmu zaś — po ukończeniu lat 21.

Art. 83.

Kobiety mają wszystkie prawa wyborcze na równi z mężczyznami.

Art. 84.

Wojskowi mają wszystkie prawa wyborcze na równi z osobami cywilnymi.

Art. 85.

Prawa wyborcze nie przysługują osobom chorym umysłowo oraz osobom, które orzeczeniem sądowym zostały pozbawione praw publicznych.

Art. 86.

Kandydatów na posłów i członków rad narodowych zgłaszają organizacje polityczne i społeczne, zrzeszające obywateli w miastach i wsiach.

Art. 87.

Poseł i członek rady narodowej powinni zdawać sprawę wyborcom ze swojej pracy i z działalności organu, do którego zostali wybrani.

Art. 88.

Sposób zgłaszania kandydatur i przeprowadzania wyborów oraz tryb odwoływania posłów i członków rad narodowych określa ustawa.

Rozdział 9.

HERB, BARWY I STOLICA POLSKIEJ RZECZYPOSPOLITEJ LUDOWEJ

Art. 89.

1. Herbem Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej jest wizerunek orła białego w czerwonym polu.

2. Barwami Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej są kolory biały i czerwony.

3. Szczegóły określa ustawa.

Art. 90.

Stolicą Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej jest miasto bohaterskich tradycji Narodu Polskiego — Warszawa.

Rozdział 10.

ZMIANA KONSTYTUCJI

Art. 91.

Zmiana Konstytucji może nastąpić tylko w drodze ustawy, uchwalonej przez Sejm Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej większością co najmniej dwu trzecich głosów w obecności co najmniej połowy ogólnej liczby posłów.

W NOWEJ HUCIE

Forty co dróg broniły — rozsadził dynamit,
Na trasie szedł wytrwale stary geometra.
Kto was mocno pokochał — ten was zapamięta
Idących metr za metrem miasta wykopami
W dzielnice podkrakowskie, aby zbroić piętra
Budowy, co przegląda się w nurcie wiślanym.

Urodzajny czarnoziem i powiew łagodny
Nie odjęły goryczy, nie odjęły troski;
Do wrót niebieskich chałup stukał los bandoski,
W czas przednówka na przyzbie płakał synek głodny;
Spotkałem ciebie, synku, chłopcze z głuchej wioski
Wpatrzonego w dwuszereg elektrycznych ogni.

Wokoło młode miasto roziskrzyło okna,
Młoda zieleń trawników ciemniała i gasła;
Pamiętam twe spojrzenie. Budowniczy miasta
Patrzył długo i widział na nadrzecznych łąkach
Stalownię, co zadymi; łunę, co rozjaśnia
Niebo w gwiazdach znajomych i niskich obłokach.

Jechały w mroku wozy mimo Dłubni drogą,
Wiozły drewno i cegłę, rzeczny żwir i kamień.
Skręcając papierosa wspomnieli furmani:
Było, w szepcie kułackim parował samogon,
Lecz chłopi przytomnieli, młot brali na ramię,
Szli o świcie polami i płynęli wodą.

Chłopiec w czapce junackiej przytaknął rozmówcom.
Przewody telefonów brzęczały nad nimi,
Zalśniły w lampach szosy kolejowe szyny.
Pociągi odjechały, o brzasku powrócą,
Ze wzgórz jak co dzień ludzie zejdą w grzmot doliny
O dzień jutrzejszy bić się i stal nowohucką.

Ważyć trzeba tygodnie, które są batalią
O wodę i o cement, o robocze ręce,
Ażeby uczcić pieśnią każdy muru załom,
Śluzę portu otwartą pociemniałym falom,
Kombinat — pulsujące w rusztowaniach serce
I światła Nowej Huty, które w noc się palą

Daleko poza śpiący podkrakowski powiat,
Daleko poza lśniące asfalty nawierzchni,
Poza kopiec pradawny i rodzinne ścieżki.

Szumi na ciepłym wietrze bieńczycka dąbrowa.
Rozkołysze ją jutro huczne echo pieśni,
Gdy wyruszą brygady, by miasto budować.

ŁAZIENKI

Liście już z drzew opadły, sili się zima z jesienią;
Staw znieruchomiał w zmierzchu i wcześniej zapadła ciemność.

Wilgotne kosmyki światła wydłuża wieczór chłodny;
Wiatr je kołysze, gdy z deszczem spadają mokre na chodnik.

Później w rozległych kałużach chwieją się żółte plamy,
Aleją zaś, co mrocznieje pod rzadkimi lampami,

Idzie stary ogrodnik, wyrzeka na czas niepiękny
I bardzo, bardziej niż wszystko, kocha park swój — Łazienki;

Przystaje często, słucha, z bezlistnym gada kasztanem;
Szumią starcowi drzewa powoluteńku mijane.

Artur Międzyrzecki

TADEUSZ KUBIAK

COI SYN CHI WRACAJĄC Z BERLINA TAŃCZY W WARSZAWIE

Ptaki nocne nie lamentujcie
nad tancerką w śnieżystej chuście.

Wam strącono słomiane gniazdo.
Jej spalono kamienne miasto.

W moim mieście, które zna płomień,
Coi Syn Chi tańczy na stadionie.

Jest w tym tańcu matką zbolałą,
tuli dziecka nieżywe ciało.

Ptaki czarne, za dnia srebrzyste.
Samoloty tam, w jej ojczyźnie.

Sępy krwawe, sępy mordercze,
Dzioby czarne rozwłóczą serce.

Karabiny ludzi bez uczuć.
W moim kraju żurawi klucze.

Wczesna jesień. I ptactwa odlot.
Tam śmierć i krew. Żołdactwa podłość.

O, Coi Syn Chi — córko Korei,
kraju twój — przylądku nadziei.

Kraju twój — łoże snom niechętne,
ognia miecz, żołnierski pamiętnik.

O, Coi Syn Chi — pięknością perły,
gwiazdą bólu spadłaś na Berlin.

W serca nasze dumą się wdarłaś.
Z tobą gniew twego ludu — Partia.

W ślepia wroga, co zmieniał wartę
w cieniu nocnych ulic Tiergarten,

trwogę, hańbę rzuciłaś, córo
ludu, gwiazdo świecąca chmurom.

W moim mieście dziś na stadionie
krótki biwak żołnierski. Płomień.

Światła nocą. I ptaki nocne.
W pantomimie smutnej nie spoczniesz.

Będziesz wołać — wolność i pokój!
póki bestia nie legnie w prochu,

póki gwiazdą piękną nie błyśniesz
nad Phenianem w swojej ojczyźnie.

O, Coi Syn Chi — jak struna lutni
czuła na krzyk i na płacz smutny,

i na lament tajony w piersi
i na piskląt szloch wśród gałęzi.

Sępy krwawe, sępy mordercze
wyszarpują oczy i serce,

rozrywają ręce i głowy
córkom gór — twojemu ludowi,

synom mórz — naszym braciom. Siostro
równie mężna jak i żałosna.

Ptaku światła, coś poznał piekła
ogień — fruniesz na wschód, nad Phenian.

O, Coi Syn Chi, o, Coi Syn Chi —
tancerko i żołnierzu.

Tadeusz Kubiak

WIERSZ DO MISTRZA JANA

Lasy w zielonych wrzosach.
Pasma gór. Na sosnach rosa.
Chadza tędy sierp miesiąca
i żniwne czerwcowe słońca.
W stawach ryby się pluskają.
Złotą łuskę grzbiety mają.
Koń się pasie. Przy nim krowy
pochylają w rosie głowy.
Kiedy ranne słońce wstaje,
ludzie idą przez rozstaje.
Ręce ujmą młot żelazny,
złączą w mostach czarne gwiazdy.
Kielnie mury otynkują.
Nowe miasta wybudują.
Drogą polną pójdziesz nocą,
w oknach domów zamigocą
elektryczne we wsi światła,
srebrne jak latarnie miasta.
Zajrzyj do nich, mistrzu Janie,
zobaczysz tam twe pisanie.
Złotostruną lutnię twoją
góry, morza, lasy stroją.
Tyś nam dał nasz język piękny,
którym dzisiaj mówią wszędy.
Tyś ozdobił go rymami,
aby wiersz nigdy nie zamilkł.

Jerzy Grygolunas

MÓJ DOM

Stary dom mój stoi, gdzie grusza
nie drży, jak sen skamieniały.
Dzieciństwo brzeg swój wynurza.
Nachyl się wierszu dojrzały.

By słowiki, które dawniej drwalom
wtórowały — zachęcały cieśli.
Może w sadzie jakimś ocalał
mój rozśpiewany rówieśnik.

Niechaj lata moje przeliczy
na tę radość zdobytą, świadomą,
kiedy córki nasze prześliczne
przebudzimy w naszym nowym domu.

*
* *

Huczwo, Huczwo, zielona rzeko,
pieśni mojej kołysko.
Szuwary, świerszcze, trzmiele,
moi nauczyciele —
Świeco, świeco, błyśnij,
matko mi się przyśnij.
Nad Huczwą, zieloną rzeką
pamięci zapadło wieko.

SEN

Śniło mi się wiadro,
pordzewiałe wiadro,
na ojcowskich plecach — koromysła.
Na zaułki niebo spadło —
siedem gwiazdek nad dachami błysło.

Pora biedo tobie na dno!
Koromysła i wiadro
w boju nam podzwaniały, ojcze.

Śnił mi się sztandar,
czerwony sztandar,
czyjeś dłonie, czyjeś twarze — słońce.

Arnold Słucki

WYSTAWA PRODUKTÓW WIEJSKICH W PŁOWDIWIE

Winogron prawie żółta zieleń,
Ciężka i gęsta, i dojrzała...
Od ludzkich rąk jej nie oddzielę.
Niejedna ręka ogorzała
Zbierała ją i układała.
Wkładając w pracę ciepła wiele.

Z policzków tej dziewczyny młodej,
Która owoców pilnie strzeże,
Rumieniec czysty i pogodny,
Rzekłbyś, na jabłka spłynął świeże.
Dziewczyna je do ręki bierze,
Jako odbicie swej urody.

Dzięki obfitym, dobrym deszczom,
Przychylnym zbożu i jarzynom,
Tu pomidory oczy pieszczą
Czerwienią wilgotnawo-winną
I chleby tchnące ziemską gliną
Ledwo na ladzie się pomieszczą.

Błękit na dyniach światło kładzie
I leżą całe w świetle ranka.
Niejednej patronuje ladzie
Portret mężnego partyzanta
I mówi każdy kwiat na ramkach:

„Poświęcił życie swe gromadzie..."
To z jego prochów, z jego kości,
Z pełnego heroizmu serca
Wyrosło drzewo spółdzielczości,
Jak prostych ludzi prawda czerstwa —
I jego czynów spadkobierca
Zrywa owoce obfitości.

TYRNOWO

Pociąg przesadzał Bałkany,
Gdzie szumi świerk, biegnie jeleń.
Pociąg przeszywał zdyszany
Dwadzieścia cztery tunele.

Potoki szumiały skałom,
Skały szarzały obłokom,

Powietrze w wiatr dojrzewało
Pod skrzydłem orlim wysoko.

Szczyty drapieżne i nagie
Są jak natury surowiec.
Miasto leżało jak jagnię
Wśród gór — gigantycznych owiec.

A pod nim świeciła rzeka
Zwierciadłem pozieleniałym,
Rzeka, co gorzko narzeka,
Że ciężko odbijać skały.

Bawoły, zwiesiwszy pyski
Białe od piany jak śniegi,
Szły zwolna po drodze rzymskiej,
Po drodze kwadryg i legii.

Rzymskie grobowce i bramy,
A nawet ostre ich cienie,
Były jak świat zapomniany,
Co woła o przypomnienie.

Młody bułgarski brygadier,
Spocony i cały w pyle,
Gdy odpoczywa, kładzie
Kielnię na rzymskiej mogile.

Włodzimierz Słobodnik

PAMIĘTNIK Z CELULOZY*)

XVI

Zabawa z punktu wzięła dobry obrót. Marsz powitalny, przemówienie Kubiaka, tańce, między tańcami śpiew i deklamacje ze sceny, niespodzianki, konkursy z nagrodami—wszystko po porządku, składnie, numer w numer za programem. A program był zawczasu na budach szeroko omówiony, toteż ludzie szli ze wszystkich fabryk i dzielnic, nawet z Falbanki i Dolnego Szpetala, płacili bez targów, co się należało: złotówkę od niewiasty, dwa złote od mężczyzny.

O dziewiątej, gdy grano już sztuczkę „Bombardowanie Europy", kasjerka kazała zapytać Kubiaka, co robić, bo wszystkie bloczki wysprzedane, czterysta biletów, a goście wciąż idą i idą.

O dziesiątej obydwa bufety posłały po nowy towar w komis. Lekki bufet do Janowera, żeby dał jeszcze lemoniady i słodyczy, a ciężki — do Skulskiego po wódkę z zakąskami.

Dobry nastrój, kasa dobra, ponad tysiąc złotych na czysto murowane, słowem — zabawa jak rzadko kiedy, a jednak Staszek posępniejąc zdradzał jakiś niepokój.

— Coś w tym nie tego... Zupaków za dużo.

— Nie szkodzi — odrzekł Szczęsny. — Niech no spróbują.

Stali przy wejściu obok afisza, który zapowiadał zabawę PPS-Lewicy na sobotę o ósmej, w lokalu Makabi, dochód — „na cele kulturalno-oświatowe". Wprawdzie co drugi czytając to wymawiał w duchu „na Czerwoną Pomoc", i defa z pewnością o tym wiedziała, ale komisariat rządu dał zezwolenie, wszystko działo się legalnie, jeżeli zatem Staszek trawił się czujnością, to chyba czujnością nałogową, zadawnioną, z nawyku do czyhających zewsząd niebezpieczeństw.

Ulica Królewiecka tchnęła pogodnym sakramentem nocy zapadającej cicho, miasteczkowo między szabas a niedzielę. Schludna ulica emerytów i kupieckich pryncypałów obojga wyznań. Dziesiąta — to późna godzina dla Królewieckiej, pora spoczynku, najwyżej brydża, jakiejś lekkiej pożywki, bodaj dla ducha.

---

*) Patrz T w ó r c z o ś ć numer poprzedni.

Tym razem światła i cienie z sali balowej pląsały po ciemnych fasadach w sąsiedztwie, na pustej zazwyczaj jezdni kręcili się żywo ci, co nigdy nie tracą nadziei, że wepchną się wreszcie na gapę. Kilku chłopaków zaglądało z wysokości płotu do środka; w oknach z przeciwka tu i owdzie tkwiły głowy zasłuchane, zapatrzone, jak się bawią czerwoni w nowym gmachu Makabi. Żydzi z satysfakcją, że jednak jak bida to do Żyda. Chrześcijanie ze zgorszeniem, że w całym Włocławku nikt by nie dał czerwonym lokalu, tylko te żydowskie bohatery, Machabeusze...

— Znów idą — mruknął Staszek. — Popatrz, najgorsze oprychy. Bez kobiet ma się rozumieć...

Nie to ich zdziwiło, że na zabawę w pełni przyszły znane moczymordy z Czternastki, plutonowy Kartuz i sierżant Pieliszcze. Ale że w asyście tej hołoty zjawił się Gąbiński! Towarzyszom przy wejściu skinął głową łaskawie i parł dalej z pańska niby gospodarz jaki albo ilustrator. Był już pod gazem.

Staszek ruszył niespokojnie brwiami.

— Wiesz co, ja tu postoję, a ty zajrzyj tam, czy wszystko w porządku.

Szczęsny podążył za trójką podejrzanych gości. W hallu od razu skręcili na żelazne schody, chcąc widocznie „poprawić" przy ciężkim bufecie. Kasa była zamknięta, oni jednak mieli już bilety.

— Gdzie reszta? — spytał Szczęsny bileterów z robotniczej „Pracy", bo cała drużyna piłkarska podjęła się warty przy wejściu.

— Tańczą. Pilnujemy na zmianę.

— Zupaki czegoś się pchają. Uważajcie.

— Uważamy — zbyli go tym samym słowem urażeni piłkarze.

U wylotu hallu na salę zrobił się korek. Kłębowisko głów, pleców, niecierpliwych rąk wyciągniętych po wodę, po ciastko, po resztę pieniędzy... Zziajane bufetowe zwijały się jak w ukropie. Leon śmiejąc się szeptał coś Kachnie do ucha, Kachna słuchała wyczekująco z niedopitą szklanką oranżady, z głową zadartą, jak gdyby pod kopułą sklepionego sufitu było napisane, jak ma na to zareagować. Nie każdą fundą można jej dogodzić, nie każdym kawałem ubawić, o nie! — ceniła się bardzo.

Na prawo, pod galerią, siedziało na uboczu sześciu tragarzy od Bohma. Chłop w chłopa — ciężka rezerwa. Patrzyli markotnie. Orkiestra rżnęła do tańca; od muzyki, od ruchu i żaru ludzkiego żywiołu brała ochota rzucić swoje sto kilo w ten wir na zatracenie, psiamać, na uciechę do białego rana! Do tegoż jeszcze zupaki nad nimi gęsto zakrapiali wyśpiewując za Gąbińskim: „Przepijemy babci domek

maaały!" A oni przepić nie mogli, nic a nic, bo Kubiak na odprawie za-powiedział, że jeśli który z porządkowych splami świadomość klasową bodaj jednym kieliszkiem, to marny jego los. Po zabawie, owszem, trącą się w swoim gronie, ale przed tym — ani Boże mój!

— No jakże, towarzysze?

Wszyscy sześciu zwrócili ku niemu umęczone twarze.

— A tak właśnie — odparł Kapelańczyk.

— Zupaków przyszło około dwudziestu. Piją na potęgę. Musicie uważać.

— A idźże ty... Pierwszy raz wartujemy czy co?

Szczęsny ruszył dalej, w drugi koniec sali, ku scenie umajonej zielenią, która zupełnie przykryła gwiazdę syjońską; zamiast niebieskich sztandarów po bokach widziało się czerwień szerokich wstęg od góry do dołu. Mieli tam stać dwaj od Grünlanda. Rzeczywiście stali, ale nie sami, bo były też dziewczęta z Madery: Jadzia, której nazwiska nie znał, i ta z Radomia, Madzia. Madzia Borzęcka.

Jadzia pierwsza dostrzegła, jak się do nich przedziera.

— I cóż, nie znalazł jej pan?

— Nie — wyznał tak samo żartobliwie Szczęsny witając się z nimi — widocznie gdzieś się chowa przede mną.

— A ja bym na pana miejscu nie szukała! Nie, to nie — małoż to innych? Madzia na przykład. Też z Radomia. Gustuje pan w radomiankach, no więc? Czy tamta ładniejsza?

— Ależ, moja droga — wtrąciła Borzęcka — tu nie chodzi o gusta, ale o serce. Serce nie sługa. Pan szuka tej jednej jedynej, co go raz przeniknęła...

— Skąd pani wie, że przeniknęła?

— Ja wszystko wiem. Z oczu czytam, z ręki wróżę. Niech pan pozwoli... Nie, proszę lewą, od serca!

— Ojej, Madziu — zawołała przyjaciółka — co dzień, to nowe talenta!

Postąpiła jednak bliżej, za nią chłopcy od Grünlanda, liniarze. Skupili się wszyscy przy nich dwojgu, uśmiechem niewiary maskując wstydliwie zaciekawienie jak to zwykle przy wróżbach.

Borzęcka pochyliła się nad podaną ręką, suche włosy pachnące rumiankiem musnęły policzek Szczęsnego; paluch cienki, kruchy, z różowym, ostro zatemperowanym paznokciem sunął dociekliwie po bruzdach i zgrubieniach twardej, dobrze wyrobionej dłoni.

— Urodzonyś, panie młody... — zaczęła bobonić Borzęcka śpiewnym głosem kabalarki — urodzonyś pod gwiazdą frygijską w czasie

wielkiej Komplitudy, w samo zaćmienie... nie znasz dnia ni roku, gdy cię matka powiła...

— Zgadza się, zobaczymy co dalej.

— Życie miałeś zaćmione... aberacja... katarakta... błędne życie, sorry! elas pur jorik... daleka droga, panie, długa dżahelija, do brzasku nad wielką rzeką. Dziewczyna przyszła jak świt...

— E, niechże już pani nie zmyśla o tej dziewczynie.

— Kabalarka nie zmyśla, panie niewierny, kabalarka zmawia... per dominum pstrum... losu paciorek, co było, co będzie... Radość twą widzę na dłoni, Aster prowadzi, nie idziesz sam, ale dopospołu... dopospołu! Strzeż się człowieka, co się zowie kameleon, a ma oczy kawasa. Nieszczęśliwa dla ciebie godzina ostatnia w nocy, gdy kur jeszcze nie pieje.

— A co się ze mną w końcu stanie?

— Będziesz mocny, kawalerze, tym, co zdobędziesz, bogaty, bardzo bogaty, ale wszystko rozdasz i umrzesz młodo z miłości dla swej Aster-nomen-omen... finfa... abrakadabra — nie będziesz życia żałował, takie spotka cię szczęście.

— Śliczny koniec, słowo daję, lepiej nie trzeba — podziękował Szczęsny. — Tylko gdzie pani trzyma palec? To nie linia życia. Zwyczajna zadra po drzazdze. Cóż to za kabała, w której życie drzazgą wychodzi?

Borzęcką to zaskoczyło — „jak pan powiedział?" Szczęsny powtórzył. Podług niego, ona się tą pomyłką zdradziła, ale liniarze z Jadzią i trochę tych gapiów, co się wokół nich zebrało — wszyscy byli odmiennego zdania: kabała właśnie wypadła fachowo! Wywodzi wszystko jak należy spod jednej gwiazdy, po cygańsku nawet umie — dziwili się wyciągając ręce do Borzęckiej, żeby im także powróżyła. Ona jednak chciała tańczyć. Szkoda czasu, mówiła, może potem, w przerwie, gdy nie będzie muzyki...

Szczęsny postał chwilę przyglądając się, jak poszła do tańca. Rzadko widzi się takie zapamiętanie. Gąbiński powiedział — łania! Nie, dziewczyna jak wiatr, jak żywioł, z którym nigdy nic nie wiadomo... Wygląda na pustą, a przecież czasami przypomina tamtą, co umiała człowieka przeniknąć... I te jej dziwaczne słowa — czy są naprawdę cygańskie? Mogła się gdzieś nauczyć na pamięć i tak sobie paple. A jeżeli nie są cygańskie? Jeżeli rozumie, co znaczą, albo je zmyśla znacząco? Wtedy wcale nie jest głupia.

Gdy się tak idzie przez tłum roztańczony, kogoś trąciwszy albo sam potrącony, mniejsza o to, bez urazy, tu wszyscy u siebie, wśród swoich;

gdy się ma tylu towarzyszy wokoło, bo i Bajurskiego z Felą, i Staszka z piękną żoną Marusika, Kubiaka, Grzybowskiego i innych znanych dopiero z twarzy, co to trzeba dobrze pamięć wytężać, gdzie się ich spotkało: nad grobem Węgrowskiego? Na masówce przed więzieniem? W Akcji Trzech L? — to jednak wzbiera duma i radość. Prawdę rzekła Borzęcka. Plotła trzy po trzy, żeby choć raz utrafić i utrafiła — nie sam oto idzie, ale dopospołu!

Wymotał się wreszcie z tłoku, do siostry, którą dojrzał przy oknie. Obydwom zafundował zabawę; Kachnę zaraz porwał Leon, a Weronka jak usiadła pod ścianą, tak dotąd siedzi sztywno w niebieskiej sukience z materiału, który jej przywiózł w prezencie z Warszawy. Obok stał Gawlikowski, co było zupełną niespodzianką. Tkwił za krzesłem Weronki milczący jak zwykle i jeszcze bardziej starszawy przy rozbawionej młodzieży.

— No jak, Weruś? Spodobało się?

— Zmęczyłam się, wiesz, to już nie dla mnie...

— Co to znaczy „już"? Dwadzieścia parę lat i już? Patrz, Kachna cały czas tańczy i nie jest zmęczona...

Kachna szła do nich z Leonem. Oboje byli rozgorączkowani i strasznie czymś ubawieni.

— Nóg już nie czuję... Muszę trochę odsapnąć.

— A to sobie siądź — ustąpiła jej miejsca Weronka. — Postoję, bo mi nogi zdrętwiały od tego siedzenia.

— Wiecie, z czego myśmy się tak śmieli? — zagadnął Leon, i do Gawlikowskiego: — Z waszego Hitlera! Jakem się dowiedział, ile nerwów on wam popsuł, to powiedziałem, że musicie go przynajmniej wszystkim pokazać.

— Nie, pan to śmieszniej powiedział — poprawiła Kachna. — Zaraz, powiada, będzie przerwa. I rzeczywiście muzyka umilkła: A teraz, mówi, wystąpi Kubiak: „Uwaga, towarzysze! Za chwilę zobaczycie Hitlera z człowiekiem, który nauczył go rozumu!" Naturalnie wszyscy w słuch, co to będzie, wtem wyjdzie Gawlikowski ze szpakiem na ręku! „Hitler, zaśpiewaj, kim jesteś". I Hitler zaskrzeczy: „Jestem zimny drań"... „A czemużeś, Hitlerku, taki smutny?" — „Był Duda, był Duda, miał dudy, miał!"

— Doprawdy moglibyście — nalegał Leon, gdy się po śmiechu uspokoili — moglibyście taką sztuczkę zrobić.

Gawlikowski spochmurniał i odwróciwszy głowę, jakby się łamiąc z sobą, odburknął:

— Szkoda.

Dopiero Weronka wyjaśniła, że szpak potrafi mówić, nauczyć można, ale trzeba mu języczek podrzynać. Dobrze, jeżeli operacja się uda, a jak ptaszyna zdechnie? Kto by tam miał sumienie na takie praktyki.

Było już po północy. Dyrygent znów stanął na podwyższeniu, Weronka zaczęła się zbierać do domu, by wyjść przed rozpoczęciem tańców. Szczęsny odwrócony plecami do sali wyciągnął rękę na pożegnanie, nagle Weronka złapała go za ramię.

— Jezus, Maria! — krzyknęła. — Uderzył!

— Kto uderzył? gdzie?!

— Nie wiem, ten wojskowy... W twarz ją uderzył!

W zbitej kupie przy scenie Szczęsny pochwycił: „nie chciała z nim tańczyć, to ją"... Przedostawszy się do środka, ujrzał Marusikową. Trzymała się za policzek. Staszek klęczał. Pieliszcze z kumplami, wykręciwszy mu rękę, gniótł go do ziemi przygadując:

— A no tak... tak my was, pluskwo zgnieciona!

Nie było co się patyczkować. Gwizdnąć na palcach — to jedno zostało — i prać!

Pieliszcze zarywając podbródkiem rymnął o podłogę, Staszek zerwał się na nogi. Zupaki natarły. Wszyscy, ilu ich było, dobierali się teraz do Szczęsnego ze Staszkiem, ale na gwizd alarmowy biegli już liniarze i Bajurski ze strugaczami. Już się rozeszło po sali. Zewsząd śpieszyli towarzysze na odsiecz. Metalowcy z Gwoździarni Klawusa, młotownicy od Szwarca, browarniani, portowi, magistraccy... Przywalili zupaków swą masą, bili wściekle za żonę Marusika, Marusika, co siedzi w więzieniu! Za defę, że podbechtała zupaków, by zerwali zabawę.

Kobiety poskakały w popłochu na scenę, zrobił się luz dla walczących.

— Orkiestra! — wrzasnął Kubiak. — Pierwszą Brygadę!!

„Na stos rzuciliśmy..." wydmuchnęła na trąbach orkiestra z galerii, a z dołu zaryczano: „wasz pieski los!" — i pod dźwięki tej skocznej rozpaczy łupu-cupu zupaków na jeden stos, do tragarzy przy wyjściu. Próżno Kartuz objąwszy komendę po Pieliszczu próbował zaprowadzić jaki taki szyk, by unieść cało kopyta. Gdy Kapelańczyk pobłogosławił którą szarżę, biorąc melancholijnie za kark, to już toczyła się równo do hallu, skąd piłkarze wybijali ją za drzwi na płaski pysk.

— Masz chustkę? — zapytał Staszek; krew z rozciętego czoła zalewała mu oczy.

Wycofali się na chwilę z walki i tu Staszek spostrzegł, że Gąbiński bije się po stronie zupaków, właściwie drze się po pijanemu wymachu-

jąc pięściami. Ktoś mu przyrżnął, to się kulnął pod ścianę i wpadł na Borzęcką.

— Schlał się, taka jego mać... Bierzmy go, bo...

Doskoczyli. Wyglądał żałośnie, uwieszony przy jej ramieniu.

— Niech się pani odsunie.

Borzęcka odeszła parę kroków od bocznych drzwi. Były to drzwi dwuskrzydłowe, oszklone. Nacisnęli. Coś tam od zewnątrz spadło z brzękiem na kamienną płytę. Wywalili się w ciemną noc na skrawek ogródka.

— Cholero jedna — trząsł Staszek Gąbińskim chwyciwszy go za klapy marynarki — z kim piłeś, gówniarzu, z kim?!

Szczęsny nie chciał się w to mieszać. Staszek trzymał z Gąbińskim, w karty razem grali — niech sam załatwi z koleżką.

Pochylił się szukając na ziemi, co spadło przy wyważaniu drzwi. Raptem ujrzał, że Gąbiński sięga do kieszeni. Nie zdążył wycelować, bo ledwo błysnęło — już go Szczęsny stuknął znalezionym żelazem.

— To tak? — zdumiał się Staszek podnosząc rewolwer. — Z bronią na mnie?

Raz tylko uderzył: Gąbiński jęczał skulony przyciskając do piersi potrąconą rękę.

— Teraz jesteś do niczego... My się z tobą jutro rozmówimy. Ale skoroś taki bojowiec, to nie wyjdziesz zwyczajnie. Skacz przez parkan!

Gąbiński jednak nie mógł tego wykonać. Zalany, niezdarnie podciągał się na zdrowej ręce i znów opadał, więc podsadziwszy go przerzucili na drugą stronę.

Wyjrzeli zza ostrokołu. Drzwi wejściowe zatrzasnęły się właśnie za ostatnią partią wyrzutków. Otrząsali się teraz na jezdni. Gąbiński leżał nieruchomo pod płotem. Staszek trochę ostygł, widocznie złość w nim ździebko opadła, bo powiedział:

— Idź już, bo cię zabiorą do komisariatu. Do domu idź.

Gąbiński podniósł ku niemu bladą, dziką twarz.

— Oddaj! — krzyknął. — Oddaj pistolet!

— Ciszej, idioto, jeszcze kto posłyszy...

— Niech słyszy! Ja pozwoleństwo mam! Ja was wszystkich powystrzelam!

Przyczajeni za parkanem słyszeli jak szura, jak szuka kamienia. Namacał. Cisnął.

— Komunisto! Corobiący — komunista!

Szyba gdzieś brzękła. Drgnęli, jak gdyby kamień Bolka nie w szybę, ale w nich trafił. Bo nawet pepesowcy, nawet chadeki, jeśli się sza-

nowali, mieli to słowo dla siebie. Głośno mówili ogólnie — czerwony. Powiedzieć na kogoś „komunista", to jest to samo, co wydać człowieka policji. A Bolek krzyknął na całą ulicę, z pseudem na dodatek — palcem Staszka wskazał!

Z głównego wejścia wypadli porządkowi, zupaki prysnęły. Gąbiński poczłapał za nimi, ale nie mógł dogonić. Wyrzucił pięść, urągając raz im, raz Staszkowi, i ruszył przed siebie.

Staszek spojrzał na Szczęsnego, Szczęsny na Staszka. Obaj widzieli to samo: prowok! Wygadał się po pijanemu.

Z tyłu, z sali Makabi, dobiegł ich głos Kubiaka:

— Walca! Wszystko w najlepszym porządku, bawimy się dalej!

Miasto od dawna już spało. Godzina mogła być pierwsza, najwyżej kwadrans po pierwszej, bo przed chwilą zegar z wieży strażackiej na Żabiej wydał jedno tylko krótkie dźwięczne upomnienie. Ulica Królewiecka była pusta, rozchwiany, podrygujący cień Gąbińskiego zniknął na rogu Stodólnej.

Staszek wepchnął do kieszeni rewolwer i polazł na płot. Szczęsny podniósł do oczu trzymane w ręku żelazo. Była to łapka długości pół metra — łapka do wyciągania gwoździ. Zważył w ręku — pięć kilo chyba — i polazł za Staszkiem.

Zeskakując dojrzał w ogródku, obok oszklonych drzwi na salę, Borzęcką. Patrzyła w jego stronę.

— Czy znasz Borzęcką? — spytał dogoniwszy Staszka. — Jaka ona jest?

— Borzęcka? A taka sobie... Wracaj na zabawę. Muszę teraz... rozmówić się z Bolkiem.

— Koniecznie teraz?

— Jutro będzie przytomny. Przypomni sobie, co wygadał. Zacznie sypać na całego. Jutro wszystko będzie stracone. Trzeba dziś...

— No jak powiadasz, że trzeba, to chodźmy razem. We dwójkę zawsze łatwiej.

— Nie, ty wracaj. Tobie nic do tego. Ja się z nim sam załatwię. Moja to sprawa...

Staszek mówił z trudem, przez zaciśnięte zęby, jakby go okropnie bolały.

— Moja wina. Ja go wprowadziłem... Do tegoż jeszcze o Julianie mi się wymknęło. Wczoraj, uważasz, przy kartach. Jasny gwint, jeśli on to zapamiętał?!

Stanął przeszyty swym bólem. Głową rozpacznie potrząsnął, tłukłby nią teraz o mur — tak w nim coś świdrowało.

— Dwadzieścia lat Juliana pilnowali, dwadzieścia lat! Na Sybir szli, na Pawiak, do Wronek, żeby tylko on robił swoje. A teraz przeze mnie...

— Ale nic się jeszcze nie stało. Spławimy go z miejsca i kwita. W tych sprawach nie ma mądrych, wszystko zależy od szczęścia, czasem najlepiej tak właśnie — na wariata. Rąbnę go zaraz tą łamigłówką i kto będzie wiedział?

— Łamigłówka w sam raz — przyznał obejrzawszy łapkę Staszek. Spokój Szczęsnego dobrze mu robił — w sam raz, tylko ja to muszę sam, bez nikogo, na własną rękę. I znowuż jakby złapali, to nie ma ratunku. Wypadnie zginąć jak Hibner.

— Cóż, jeżeli przez niego, powiadasz, będzie grubsza wsypa... Trzeba ryzykować. Chodźmy. Nie mamy o czym mówić.

Czas jakiś szli ostrym krokiem. Staszek milczał kombinując widocznie, bo ledwo zaczerniała przed nimi niewyraźna, szamotana mrokiem sylwetka Bolka, zaszeptał gorączkowo, zdecydowanie:

— Pójdzie Łęgską, inaczej nie może, ja go tam kropnę. A ty biegnij na glinianki do bednarskiej szopy, obok jego domu. Może nie będę mógł, licho wie, wtenczas tędy pójdzie, co robiący wyjdzie na ciebie.

— Dobra. Sprawdź no tylko, czy rewolwer nabity.

Staszek zaczął majdrować, zaklął z cicha — „jak to się otwiera?"

— Pewnie zabezpieczony — zauważył Szczęsny. — Pozwól.

Trafił po ciemku na palce Staszka drżące, zimne jak lufa, potem poczuł w dłoni szeroką poręczną kolbę, kurek ścięty, drobno nasieczony, bezpiecznik pod kciukiem... Poznał: austriacki Steyr. Pawłowski miał taki sam. Dał raz postrzelać w Rumlówce do tarczy, z dwudziestu metrów... Pewna broń.

— W porządku. Siedem kul w magazynku, ósma w lufie... Strzelałeś kiedy z pistoletu? Nie? No to się zamienimy. Masz łapkę i szuraj na glinianki... Ale duchem, psiakrew, patrz, on już skręca!

Nie było czasu na targi — Gąbiński wtaczał się w Łęgską — Staszek więc rzucił tylko „wracaj potem na zabawę niby nigdy nic"... — i pognał Dolną do Wisły, by stamtąd wyjść ogrodami na szopę, zza której mógł sprawę załatwić, gdyby się tu nie powiodło.

Szczęsny pośpieszył za Gąbińskim. Minął go drugą stroną ulicy i rżnął prosto przed siebie, do szlabanu przy bocznicy kolejowej Celulozy. Żywej duszy wokoło, żadnego dźwięku poza chrobotem w ścieralni, gdzie wielki kamień tarł drzewo na szarą masę, na ścier do papierów gazetowych. Wysmukły budynek chwiał się jakby nadgryzany przez myszy.

Parkan fabryczny dobrze krył. W jego cieniu można było sunąć na potkanie Gąbińskiego, ale ten jakby się zapadł pod ziemię. Struga ulicy uchodziła w mrok czystą połyskliwą powierzchnią.

Kolba pistoletu całkiem spotniała. Szczęsny otarł dłoń o podszewkę kieszeni. Postąpił jeszcze parę kroków i nagle ujrzał pod słupem zwieszoną głowę. Obłapiwszy latarnię Gąbiński patrzył tępo pod nogi na wszystko, co po zabawie zostało.

Szczęsny wzdrygnął się. Obrzydliwości... Żeby to musiał zrobić w walce, żeby stał tu jakiś groźny przeciwnik! Tymczasem trzeba strzelać Bolka akurat przy wymiotach, za życie głupio spodlone, za zdradę. Jak zarazę... W ucho strzelano konie pułkowe chore na nosaciznę.

— Bida, pseudo marne... Pseudo, psiamać! Oddaj pistol, bo...

— Masz, prowoku!

Grzmotnęło jak z działa. Rozerwało ciszę na strzępy, tylko odpryski tego huku fruwały wokoło.

Cisnął Gąbińskiemu pod nogi jego rewolwer i Gąbiński puściwszy latarnię obsunął się miękko na chodnik niby po to, by podnieść.

Pobiegł przytomnie, na palcach, trawnikiem między płotem a krawędzią bruku, do rogu Łęgskiej i Dolnej, potem przez placyk, gdzie stały wysokie sterty cegły. Nurtując w zakosy po terenie budowy pod gęstą pokrywą ciemności, które wśród stert zupełnie sczerniały, wyskoczył na Stodólną, otrzepał buty i poszedł śpiesznie w kierunku Makabi, żeby czym prędzej wmieszać się w tłum gości. Niech widzą, że był na zabawie do końca, niech w razie czego poświadczą.

W połowie drogi smagnął go z tyłu daleki gwizd, przeraźliwie ostry, alarmowy. Odpowiedział mu drugi, sprzed Makabi. Dwóch policjantów biegło gwiżdżąc na strzał — jeden od rynku, drugi od Królewieckiej.

Szczęsny przywarł do muru, domy jednak ciągnęły się równo — nigdzie żadnej wyrwy, żadnego wyskoku, wszystkie bramy pozamykane... Ten z tyłu i ten z przodu gdzieś się tu zejdą za chwilę, złapią go w pustym korytarzu ulicy. „Nieszczęśliwa dla ciebie godzina ostatnia w nocy, gdy kur jeszcze nie pieje..." Dreszcz go przeszedł i złość porwała na siebie, że cisnął rewolwer. Byłby się bronił, zginąłby przynajmniej w walce — lepsze to niż pluton egzekucyjny albo stryczek Maciejewskiego. W tych sprawach nie ma przecież innego wyroku.

Chwycił garść ziemi, ściągnął chustką, tak że nad pięścią wystawała biała kula. W tym tylko widział ratunek: nie czekać na strupla, skoczyć na niego, ogłuszyć wrzaskiem „Ręce do góry! rozwalę granatem!" Może zbaranieje, musi zbaranieć, wtedy — pryskać co tchu z tej ulicy, ze śródmieścia, z Włocławka...

Kroki dudniły już niedaleko, Szczęsny poderwał się naprzód, raptem usłyszał nad sobą, z pięterka, przytłumiony głos:

— Drzwi na prawo... drzwi na prawo! otwarte!

Dopadł stopni skądciś znajomych, wyszuranych, pchnął drzwi. Rzeczywiście były otwarte. Zamknął ostrożnie za sobą i stał w sieni nic nie widząc.

— Chodźcie na górę — przywołał go ten sam szept — schody macie przed sobą.

Namacał poręcz, zaczął się wspinać nasłuchując — policjant był tuż-tuż. Czyjeś ręce rozdygotane złapały go za ramię. Odetchnął: policjant pędził dalej Stodólną w stronę Celulozy.

— Corobiący, czy to nie szaleństwo? Czegoście nawarzyli, Corobiący?!

Wiedział już: Borzęcka. Był u Borzęckiej.

Wepchnęła go do pokoju. Tu trochę światła padało od okna z ulicy.

— Przepraszam, ale to ja... Staszka nie ma.

Pierwszy raz słyszał swój głos — strasznie obcy, drewniany jakiś i trochę chrapliwy.

— Ach, to wy... to pan — zmieszała się Borzęcka, i po chwili spokojnie już, niby przez grzeczność: — A co ze Staszkiem?

— Pewnie wrócił na zabawę.

— Znów na zabawę? A mnie tam w końcu głowa rozbolała. Przyszłam do domu, ale jakoś nie mogłam zasnąć. Otworzyłam okno i tak sobie siedzę. W tem słyszę — strzał! Coś mnie tknęło — Jezus-Maria, chyba nieszczęście, oni się przecież pokłócili! Wyglądam, a tu ktoś biegnie i za nim gwiżdżą, i przed nim gwiżdżą. Ojej, myślę, toć to pewnie Staszek, złapią go zaraz!

— I chciałyście Staszka ratować?

— A co, może miałam patrzeć, jak go glina zabierze?!

Ciemności niskiej ciasnej izby rozcieńczał nikły odblask z ulicy. Szczęsny rozróżniał trzy łóżka, wybrzuszone widmo szafy, stół... Położył na stole chustkę z ziemią. W głowie kołowało. Staszek — Borzęcka — ratunek z przypadku, a może nie z przypadku, może Staszek kazał jej czuwać, w takim razie musi być towarzyszką.

— Czy obok nikogo nie ma?

— Nie. Stara wyjechała, matka Jadzi znaczy się. Na wieś do brata wyjechała.

— Możemy zatem mówić swobodnie... Skąd znacie to pseudo?

— Co, proszę?

— Skąd, mówię, wiecie, że Staszek nazywa się Corobiący?

— Przecież Bolek tak na niego zawołał. Kiedyście go wyrzucili, wtedy właśnie... I przed tym czasem mówił—„ty, Corobiący". Żartem, oczywiście.

— A w ogóle — dawno znacie Staszka?

— Bo ja wiem, z miesiąc chyba. Przyszedł raz z Bolkiem i potem zaczął chodzić.

— Tak sobie?

— Tak.

I potem z lekkim zażenowaniem:

— On się do mnie trochę dowala. I Bolek. Cóż, do kina czy na zabawę, proszę bardzo, ale właściwie to żaden mi nie odpowiada.

— Trudno — burknął Szczęsny z roztargnieniem, zawiedziony. Nie, nie towarzyszka, w podobnych okolicznościach żadna towarzyszka nie bawiłaby się w ciuciubabkę. — Trudno, bywa i tak.

Podszedł do okna. Z otwartej ramy wionął na niego chłód nocy i spokój uśpionego miasta. Gdzieś kogut zapiał. Szczęsny uśmiechnął się krzywo na bzdurną wróżbę.

— Prawdę powiedziawszy — zwierzyła się Borzęcka — jak mi który zaczyna nadskakiwać, to wszystko u mnie traci. Już taka jestem.

— Głupia jesteś — pomyślał Szczęsny. Palić się chciało — nie do wytrzymania. W gardle zaschło — żeby się choć raz sztachnąć! Na próżno szukał po kieszeniach, znalazł tylko papierosy.

— Nie ma pan zapałek? Zaraz przyniosę z kuchni.

Zaciągnął się z rozkoszą.

— Dziękuję pani. Za ogień ma się rozumieć, bo za gościnę, za dobre serce, to się postaram przy sposobności... Może będzie pani potrzebowała pomocy, proszę wtedy o mnie pomyśleć. Wypalę zaraz i pójdę sobie, tylko muszę powiedzieć, jak było z Gąbińskim.

— Powiedz pan prawdę — poprosiła szeptem Borzęcka. — Zabiliście go? Nie żyje?

— Nie żyje. Ale zabić tośmy go nie zabili. Po prostu — nieszczęście... Kiedyśmy go dogonili, zaczęliśmy mu przygadywać za to, że pił z zupakami, że bił się po ich stronie, że pani się uwiesił jak tłomok jaki — w ogóle za całe jego zachowanie, no i za ten pistolet, z którego przecież do Staszka wymierzył. „Masz swoją pukawkę, powiedział Staszek, koniec z przyjaźnią. Znać cię nie chcemy, nikt cię teraz nie będzie chciał, bandzior jesteś albo jeszcze gorzej". A Bolek na to: „No to ja wam pokażę, jaki ja bandzior!" Myśleliśmy — grozi, że się z nami porachuje. Ale tylko żeśmy uszli kawałek, nagle jak nie huknie! Biegniemy do niego, a on już leży i pistolet przy nim leży. Zastrzelił się.

Sam się zabił z tego wstydu czy żalu, a może inne miał powody — nie wiem. Musieliśmy pryskać, bo by nas posądzono. Staszek pomknął Łęgską, a ja tu skręciłem, no i byłbym może wpadł, gdyby nie pani. Chociaż kto wie, jeżeli pani komuś powie, że uciekałem, że byłem tutaj, to nie wiadomo, co ze mną będzie.

— Nie jestem taka głupia, jak pan myśli — zauważyła Borzęcka. Coś w jej głosie uderzyło Szczęsnego, czekał czujnie, ona jednak dokończyła jak zwykle prosto i szczerze: — Nikomu nie powiem, żeby tam nie wiem co!

— W takim razie...

Urwał: doszło ich uszu jakieś szuranie, głosy z ulicy. Zobaczyli na chodniku pod drzwiami trzy postaci.

— Masz ci, wracają z Bajurskim! No i co teraz?

Szczęsny nie wiedział. Patrzył z nią razem, jak Bajurski trzyma jedną dziewczynę za rękę, o coś prosi; tamta wyrwała się: „dobrze, zobaczę, czy można"... Obie pobiegły po schodach na górę. Bajurski został.

— Siadaj pan — szarpnęła za marynarkę Borzęcka — siadaj na łóżku. Tak będzie lepiej dla pana i dla mnie.

Obie dziewczyny wpadły do pokoju.

— Madziu, śpisz? — zawołała Fela.

Słyszeli, jak szuka po ciemku kontaktu.

— Nie zapalaj światła — odezwała się z irytacją Borzęcka.

— Bo co?

— Bo nie jestem sama.

Dziewczęta zamarły na progu.

— No wiesz... — bąknęła Fela.

— Wiem. Tobie wolno, a mnie nie?

— To ja, ale ty... Nigdy nie przypuszczałam.

— Dlaczego? Garbata jestem czy krzywa?

— Ależ, Madziu, ja nic takiego nie powiedziałam! Tak się tylko zdumiałam, nigdy nam przecież nie mówiłaś, że masz chłopca. Zaraz powiem Jankowi, że dziś nie można, żeby sobie poszedł. Ustąpię, boś mi zawsze ustępowała, ja to pamiętam...

Fela wybiegła, Jadzia podeszła do ostatniego łóżka. Bez słowa sięgnęła po kołdrę i poduszkę.

— Powiedz pan coś — szepnęła Borzęcka — niech wiedzą, że to pan.

— Bardzo przepraszam za ten kram, panno Jadziu, więcej już tego nie będzie.

— Nie szkodzi, mamy gdzie spać — odparła tamta wsłuchawszy się w jego głos i wyszła ze swoją pościelą do kuchni.

Wychylił się przez okno. Przed domem Fela pocieszała Bajurskiego, że dziś w żaden sposób...

— Janek! — zawołał Szczęsny.

Ten podniósł głowę.

— A niech cię... Ja już się szykowałem na Bolka. Byłem pewny, że to on!

— Ty, bracie, tego... Zrozum, dziś u mnie jakby zapowiedzi. Na zabawie myśmy się dogadali.

— Rozumiem! Tobie zawsze użyczę... Szczęśliwego pożycia, bawcie się wesoło!

Cmoknął Felę i pomaszerował ciężko waląc buciorami, wielki i pewny — chwytliwy Bajurski, co ma pamięć jak wosk.

Szczęsny odwrócił się od okna. Borzęcka siedziała na łóżku przygarbiona i zdawało się zakłopotana. Znów byli sami. W kuchni przyjaciółki o czymś żywo rozprawiały.

— Dawno oni z sobą żyją?

— Nie wiem, ja tu jestem od miesiąca. Tak już zastałam. Kiedy stara wyjeżdża na wieś, to Bajurski przychodzi. My wtedy śpimy w kuchni. Oni się bardzo kochają, Fela z Bajurskim.

— To czemu ona nie wychodzi za niego?

— Dziewczęta z Madery nie mogą wyjść zamąż — zabrzmiało to jak wyrzut, że tak prostej rzeczy nie rozumie. — Dyrekcja zaraz by ją zwolniła, a ona musi pracować w Celulozie, żeby posłać coś do Lubania. Matkę ma i rodzeństwo. Tymczasem więc żyją na wiarę. Może Janek dostanie lepszą pracę, a może ona wepchnie się tam, gdzie przyjmują zamężne. Wtenczas pobiorą się.

— Przykro mi, panno Madziu, że tak się stało. Jak pomyślę, co pani dla mnie zrobiła i że teraz na pewno będzie gadanie...

— Niech będzie. Ja się tym nie przejmuję, a pan? Grunt, że mamy świadków. Spędził pan noc u mnie i już. Kładź się pan, panie Szczęsny, szkoda czasu na takie ceregiele.

Istotnie nic innego nie pozostawało, jak przespać u niej tych parę godzin do pracy. Położył się na wznak, wystawiwszy nogi, by łóżka nie pobrudzić. Butów zdjąć nie mógł, bo skarpetki miał przepocone — tego by jeszcze brakowało, żeby tu od nóg zaleciało!

Słyszał szelest zrzucanej sukni, skrzyp łóżka, gdy się wsunęła pod koc, szept jakiś... Czyżby pacierz zmawiała?

Czuł się bezpiecznie. Nic się wydać nie mogło, ale gdyby nawet... No to co — poszło o dziewczynę! Zabił przez zazdrość, sam nie wie jak, bo obaj byli wstawieni i Bolek wyjął rewolwer. Sprawa będzie kryminalna, nie

polityczna, najwyżej parę lat... Borzęcka wcale nie przypuszcza, jak mądrze go zabezpieczyła.

— Gdzie się pani nauczyła kabały?

— W hafciarni. Była tam jedna staruszka, z Rumunii, wdowa po kapelmistrzu — ona mnie właśnie nauczyła.

— A co to znaczy aster?

— To gwiazda. Każdy człowiek rodzi się, żyje i umiera podług swej gwiazdy. Pan ma gwiazdę frygijską i ja też, dlatego myśmy się dziś spotkali. Myślałam, że takie rzeczy zdarzają się tylko w powieściach, odkąd jednak poznałam kabałę, wiem z całą pewnością, że aster wszystko może...

— Gęś — westchnął w duchu Szczęsny.

Opadło go znużenie, samotność przygniotła. Samotność tym dotkliwsza, że leży obok dziewczyna, dobra przecież dziewczyna, ale kompletna gęś. Żeby choć trochę była podobna do tamtej, z którą noc zeszła na rozmowie nie wiadomo kiedy. Tamta umiała człowieka przeniknąć. W samą porę zawołała: „A nie zwlekajcie!"

Minuty dłużyły się gnuśnie bez ruchu i dźwięku, czas mitrężył, kołysany miarowym oddechem. Za oknem nieśmiała miejska szarówka poranna dopraszała się światła co łaska.

Łóżko skrzypnęło. Dziewczyna uniosła się na łokciu. Twarz miała skupioną i czujną. Szczęsny spał na wznak rozrzuciwszy ręce jak chłop utrudzony. Nochal sterczał do góry wciąż z tym samym wyzwaniem, ale rysy złagodniały do wyrazu prawie chłopięcego. Uniesione brwi rzucały cień zamyślenia i na ustach zastygł cierpki uśmiech. O czymś jasnym śnił ten Bida Szczęsny, człowiek czystego sumienia, i kogoś, może swą aster, przepraszał...

Dziewczyna przeciągnęła się, ramiona jej na chwilę znieruchomiały bezwładnie nad głową.

— A nie zwlekajcie — przynagliła siebie. — Rzeczywiście są pociągi, na które spóźnić się nie wolno...

Ubrała się śpiesznie, i boso, z bucikami w ręku, wyszła cichcem na schody.

XVII

Był trzydziesty kwietnia, dzień przepiękny, w sam raz na wiosnę i święto, o którym właśnie mówił przed Celulozą poseł Piotrowski.

Stojąc na cementowej podmurówce przy willi dyrektora, kozią bródką trząsł i na kapitalizm grzmiał:

— Niech drżą wyzyskiwacze, gdy jutro w pochodzie pierwszomajowym...

Niewielu go jednak słuchało. Ludzie wychodząc z fabryki zatrzymywali się w bramie, by spojrzeć na tego posła, który dwa razy ich zdradził, a przedtem łamał strajki w Ameryce, jak wynika z listu, co czytał ostatnio Tomczewski.

— Towarzysze! — wdzięczył się do nich głosem zdartym i przejmującym. — W waszych rękach jest Polska socjalistyczna i socjalizm polski, towarzysze!

Uczepiony żelaznej sztachety, wisiał nad nimi jak uschnięta czarna gałąź.

Wzruszali tylko ramionami — też mi towarzysz! — i odchodzili, zostawiając go pod płotem Pandery — niech tam sobie woła, stara pinda, strojna w znoszone frazesy.

Szczęsny odszedł z Madzią, na którą się tu natknął. Była wyraźnie obrażona, a on nie mógł jej powiedzieć, że z początku do nikogo nie chodził, obawiając się policji, potem zaś, gdy się uspokoił, iż nie jest śledzony, spadł na niego ten grom z partii.

— Nie chciałem nachodzić, panno Madziu. Dosyć miałyście ze mną kłopotu. Ostatecznie człowiek obcy...

— Obcy-nieobcy, wszystko jedno, powinien był pan wstąpić! Chociażby dla Feli z Jadzią. One przecież pojąć nie mogą, co to ma znaczyć. Przenocowała go, mówią, no i co? Uciekł! Dlaczego uciekł?

Szczęsny zrozumiał — tu cię boli! — i zaczął przepraszać.

— Panie — przerwała mu Madzia z udaną złością — nie bądź pan klocem i odprowadź pod rękę do domu... Niech raz zobaczą, żeś nie uciekł!

Poszli jak przystoi dwojgu młodych, co się mają ku sobie.

Mijali akurat latarnię, pod którą Szczęsny zastrzelił przed dwoma tygodniami Gąbińskiego. „Samobójstwo po zabawie — podał krótko „Express Kujawski" w wypadkach. — Będąc w stanie nietrzeźwym, wystrzałem z rewolweru pozbawił się życia Bolesław Gąbiński, lat 25, bez zajęcia".

Na latarni bielała ociekając świeżym klajstrem krzywo nalepiona łata niedużego druczku. Madzia zaczęła czytać, myśląc, że to może nowy program w „Słońcu".

— W dniu Pierwszego Maja, w jednolitym froncie, pod sztandarami komunizmu demonstrujemy... Chodźmy stąd, to chyba zakazane!

Szczęsny zdążył tylko rzucić okiem przez ramię, czy podano wszystkie hasła: przeciw terrorowi faszystowskiemu, precz z rządem kliki sa-

nacyjnej, z hecą antyżydowską, o natychmiastowe cofnięcie ustawy scaleniowej...

— Jutro znów się pobiją — westchnęła Madzia. — I co komu z tego przyjdzie? Nie mogą to wyjść razem, pepees z komuną, zgodnie, ładnie jak na Boże Ciało?

— Taką procesją ze śpiewami — podchwycił Szczęsny jej tonem — z obu biskupami, Olejniczak przy Piotrowskim, potem masy: alleluja, niech się święci Pierwszy Maj!

Zirytowała go ślepota tej dziewczyny. Skąd jest, że wszystko jej się widzi zielone, pasterskie czy też okiem baranka? Jakieś majowe nabożeństwo!

— Tu nie ma zgody, jest walka na śmierć i życie, bo albo my ich, albo oni nas...

Tłumaczył jej, a w duszy wciąż rwało: za co?! Życie przecież naraził dla partii, za to partia pięknie mu się odwdzięczyła, nie ma co — sądem!

— Światopogląd macie mieszczański. W gwiazdy wierzycie, że gwiazda, po waszemu aster, coś znaczy. W różne głupstwa wierzycie.

— I w co jeszcze? — droczyła się z nim — taka świeża, dziecinna, jak spojrzeć na usta, taka przekorna z tym swoim noskiem źdźbko zadartym. — W co jeszcze?

— W świętych z rządem obcowanie!

— No, wiecie!

— A tak! Zdaje wam się, że rząd jednak lepiej wie, że stara się i gdzie jaka dziura, to ją zaraz plastrem! Aster i plaster — powtórzył z satysfakcją — oto cały wasz pogląd, cały światek tyciuśki, do Stodólnej tylko, bo co za Stodólną, to już nie dla was!

Madzia przeszła do ataku — no, to co, że tyciuśki, za to bez nienawiści! — Szczęsny tym razem odpowiadał niechętnie, znów mając przed oczyma wczorajszy sąd nad sobą i pustkę straszliwą, w jakiej się znajdzie, jeśli wyrzucą.

Zobojętniał. Docinać — już mu się odechciało, poważnie zaś mówić — to jakby na wiatr.

Gdy stanęli pod jej drzwiami, przy schodkach do sieni, której dopadł pamiętnej nocy w ostatniej chwili, chciał się pożegnać, ona jednak powiedziała: „odprowadzę was kawałek" i w dłonie plasnęła.

Z pięterka wyjrzały głowy Feli, Jadzi i jej matki. Trzy piwonie w jednym oknie.

— Obiad zostawcie — krzyknęła — ja się trochę przejdę!

Poszli pod rękę i wszystkie sąsiadki widziały, że Madzia ma chłopca, że chodzi ze Szczęsnym.

Krokiem prężnym, nieomal tanecznym wystukiwała na płytach chodnika swą pewność — pewność czego: że go ma? że winien jej wdzięczność do grobowej deski? — i z głową uniesioną, dumna czy rozmarzona, słuchała, a może tylko udawała, że słucha tego, co jej Szczęsny dla przykładu klarował: o Tomaszowskiej! *)

Ożywił się, zacietrzewił na wspomnienie tego oszustwa. Głos mu drgał hamowaną pasją — „taka jest ich, psiamać, ponadklasowość!" — posykiwał szyderstwem — „sprawiedliwość, świętych z rządem obcowanie, co?"

A Madzia na to:

— Czy warto tak się przejmować? Niech pan spojrzy, jak tu ładnie!

Zostawili już za sobą końską jatkę Chabały, domy ostatnie, studnię narożną, zanurzając się w miejski zagajnik, gdzie białopienne brzózki okrywały się pierwszą zielenią, bladą jeszcze i zwiewną jak puch na dmuchawcu. Oślepiające słońce przez nią błękitniało i mżyło burymi kapkami cieni na ziemię spulchnioną, powolną wszelkiemu nasieniu. Od ziemi ciągnęło jeszcze chłodem. Czuć było skisiałymi sokami, co się w podglebiu burzyły. Od tych zapachów słodkawych i z lekka durzących, od kolorów świeżutkich, nowalijkowych, od skowronków, które trzepocąc się w górę dzwoniły nad brzozowym młodniakiem — robiło się raźniej na duszy, i ciszej, i jakoś z sobą możliwie.

— Czy to nie ładne? — pytała Madzia i wtykała do ręki wszystko, co przechodząc podniosła albo zerwała. Jakiś kwiatek niebieski, ponoć zdziwiony. Bazie długie, zupełnie jak gąsienice, brunatne, gdzieniegdzie skrwawione — pełno ich było pod topolą przydrożną. Nierozkwitłe, czarne jeszcze, zwęglone zda się kiście bzu rosnącego tu zwarcie i ciągło do samego końca działki werkfirera Mussa. Do niego właśnie nawiązując, Tomczewski gadał, że Walek mussuje.

Myśl o bracie była nieproszona i wstrętna, Szczęsny wprędce ją zgubił podążając za Madzią, uciszany rytmem jej kroków, a te miała ona jak żadna. Niewiele co prawda chodziło się pod rękę, przecież się pamięta! Zocha na przykład szła zawsze filmowo, uwieszona ramienia,

---

*) — Mowa o Tomaszowskiej Fabryce Jedwabiu, o strajku w 1933 roku, kiedy robotnicy walczyli z policją kamieniami i kwasami z hydrantów. Strajk przerwano zdając się na arbitraż prezydenta Mościckiego, który właśnie bawił w niedalekiej Spale. Robotnicy opuścili okupowaną fabrykę, na słowa Mościckiego, że obniżka zostanie cofnięta, jeśli się rozejdą spokojnie. Tymczasem dyrekcja fabrykę zamknęła jakoby z powodu remontu.

rozmamłana w tej niby miłości od strutej chryzantemy. Albo Stasia, przygoda pułkowa, z Suwałk. Ta znów nie szła, lecz stąpała sztywniejąc na pokaz. A z Madzią idzie się lekko i prosto. Nie on ją — to ona go prowadzi podana naprzód, wychylona ku czemuś, potrząsając swą grzywką niesforną. Że też ten chód wyzwolony i śmiały, jakiś zupełnie upojny chód, ma dziewczyna z Madery, dobra skądinąd dziewczyna, ale kompletna gęś!

Wyszli prosto na Grzywno. Jeziorko łysnęło zza krzaków tak nagle, że przystanęli. Przeciwległy brzeg odarty z zieleni, wydeptany do gołego piachu, cały w krostach ognisk i budek, jakby się zżymał ze wstrętu fałdami, uchodząc pod lasek na widnokręgu.

— Są tu jednak domki, nawet dużo — zdziwiła się Madzia, z pewnym nawet rozczarowaniem. — A mnie mówiono, że na Grzywnie wszyscy mieszkają w jamach.

— Nie, pół na pół. Dawniej rzeczywiście wszyscy. Wtedy zwaliśmy się Kozłowem.

Wierzba rosła przy brzegu. Usiedli na pniu, który sunął poziomo do wody, by potem dźwignąć się w górę ciężką, opitą koroną.

— Chałupę na wzgórku widzicie? Przy dużym kamieniu? To nasza chałupa. Za kamieniem jama, po włocławsku — arka. Też nasza. Tam teraz inni mieszkają, dziadoki.

Ustronnie tu było, zacisznie. Wysoka trzcina kłoniła się zbożnie, kłosiście; rozmigotana woda rzucała odbicie z powrotem na trzcinę, świetliste fale jedna za drugą przelewały się w górę po świeżych tegorocznych łodygach, zda się drżały jeszcze w powietrzu nad nimi, i to chybotanie świateł było jak dobre wspomnienie.

— Pod tą wierzbą żydóweczkę jedną ochrzciłem...

— A coście ksiądz, żeby chrzcić?

— To dawno było. Głupi byłem, zdawało się, że jak katolik Żydziaka pobłogosławi, to to jednak trochę trzyma i ten Żydziak nie jest wtedy tak bardzo żydowski. A to było dobre dziecko, ta Broncia, Brajńcia właściwie...

Zamyślił się nad tym rankiem majowym sprzed sześciu laty, nad tamtym Szczęsnym, co przeminął jak ptasi cień na rozigranej fali.

— Coś wam jednak jest, panie Szczęsny. Powiedzcie, może poradzę! Poczciwa była ta Madzia, doprawdy.

— Czemu się uśmiechacie? Ja i tak zaraz odgadnę.

Trzymając jego dłoń na kolanach, brzuścem palucha wygładziła, po czym ostrożnie bruzdy u przeguba dotknęła.

— Krew — wymówiła wreszcie.

Głos jej zmienił się na bardziej śpiewny i niski, jakby z pół snu wieszczący.

— Z tej krwi nieobeschłej... bab-el-mandeb... szariwari — straszny niew!

Znów zaczęła bobonić po swojemu, można było jednak zrozumieć, że wszystko dobrze się skończy.

— Mądry hakim myśli o tobie. Hakim cię wesprze, choć sam ledwo chodzi.

Taka była dobra w tym zatroskanym pochyleniu głowy nad jego osem, taka miła, niezwyczajna, do nikogo niepodobna, sama swoja w każdym calu, nawet z wymową zmiękczoną, przydechową: hoć, hodzi...

— Już?

Pyszną grzywką trząsnęła przecząco, że nie, że może jeszcze! Wargi trochę napuchłe, niby oparzone, nabrzmiewały śmiechem i czerwienią, ale tęczówki jak orzech polerowany grały tym samym wilgotnym, czystym blaskiem — oczy wcale niegłupie, wiedzące.

— Klituś-bajduś — ozwał się Szczęsny obejmując jej ramię. — Buaj wuja, Magduś, ale co się tobie za kabałę należy, to dostaniesz. Ile ię należy?

Wparła się dłońmi w jego pierś odpychając, nie bardzo jednak, bez przekonania.

— Puść.

— Ile? — pytał Szczęsny szukając jej ust. — No powiedz: ile?

Wykręciła głowę i raptem zamarła. Orzechowe tęczówki rozszerzyły ię zmącone przerażeniem, po twarzy przebiegł dreszcz takiej odrazy, e Szczęsny puścił, ale ona się nie ruszyła, urzeczona tym, co za nim, w trzcinie, ujrzała.

Z trzciny po drugiej stronie płytkiej odnogi jeziorka patrzyły się na ich „jaszczurki".

— Co to, Szczęsny, skąd one tutaj?

Szczęsny przytomniejąc odparł niechętnie:

— Od nas, z Grzywna. Nie widziałaś „jaszczurek"?

Chyba nie, bo wzroku nie mogła oderwać od upiorków sinobladych, nieruchomych, leżących w grząskim szlamie jeziornym, skąd tylko łówki wystawały. Siedem główek bezkrwistych. Wszystkie oddychając robiły ustami jak ryby i raz po raz powieki im ciężko na oczy padały.

Schylił się niby po kamień, zatupał:

— A ssiuuu! Ja was!

Stadkowy ich, Bunio, kwiknął i wszystkie one przewaliły się na b zawracając, znikły na chwilę, tylko chlupot i chrzęst szeleszczący sł szało się w trzcinie, aż się Bunio ukazał na brzegu, a za nim całe stadk przebierało posłusznie kruchymi pałąkami rączyn, z najmłodszą, z An sią Cichowiczowej na końcu. Pełzły wlokąc na kształt ogona no miękkawe, bezwładne, nogi, które są tylko zawadą, bruździą piasek ci gnioną z tyłu koleiną.

— Jak możesz... — powiedziała ostro Madzia jak gdyby on był w nien temu, że są dzieci półnagie, kalekie, nie wiadomo nawet: dzie czy zwierzaki — jak możesz na to patrzeć spokojnie? I jeszcze tupie na nie!

— Cóż ja na to poradzę... Paraliż. Taka plaga na Grzywnie. Paral u dzieci. Zbijają się do kupy i same sobie radzą, popatrz...

„Jaszczurki" pokładły się na piasku, brzuszkami do słońca, tylk Bunio siedział pośrodku jak suseł. Drzemały w skamieniałej szczęśliwo ści płazowej, grzane, nieruszane, a on kręcił czujnie białym łebkie rozdętym w balon. Czatował.

— Nie macie tu, widzę, litości.

— A ty masz? No to weź kija i daj każdemu w łeb. Stuknij dobrz żeby ani skwierknął!

— Rzeczywiście! Przestałbyś nareszcie błaznować.

— Albo daj na Murzynka! Teraz właśnie zbierają, całe Grzywno płac Na czarnego Murzynka w Afryce, niechrzczonego, na misję, na sod licję... Co cię obchodzą te dzieci? Przecież są chrzczone, trafią do raj

— Milcz już, bo sobie pójdę!

— Idź, po drodze wstąp do księdza, daj na kościół, nie na kanaliz cję, tylko na kościół! Niech będzie dalej smród i nędza, niech się rodzą „jaszczurki", co ci do tego? Będziesz miała kwitek na Ser Panajezusowe. Za pieczątką!

Tak szarpał i dogryzał, aż się w końcu obraziła: „nie wiedziałam, tyle w tobie żółci!" Powiedziała nie „złości", ale właśnie zjadliw „żółci". Na odchodnym jeszcze mu flis wspomniała niby rzecz ja zdrożną: „oryl jesteś, skończony oryl!" I poszła. Nie zatrzymywał. Mi dosyć jej zgody na wszystko, jej dobrej, przytulnej bezmyślności. L piej nawet, że poszła. Bo do czego mu ona? Pobawić się z kawalersk owszem, ale to jakby dziecko skrzywdzić. Jednak go wtedy przed po cją schowała i w ogóle — szczere toto, ufne, same idzie w ręce... A że znów na stałe, na żonę i towarzyszkę — to jakby przez wdzięczno całe życie potem z gęsią się pętać.

Chwilę siedział ze spuszczoną głową gładząc bezwiednie chropawą orę wierzby, bo to wszystko nie było proste, ciągnęło go przecie do ej dziewczyny jak łania, coś go ciągnęło i odpychało na przemian — zamoroka jakaś" — westchnąłby ojciec.

Dźwignął się wreszcie — „na pochyłe drzewo kozy skaczą!" — i ruzył do domu.

Bunio obrócił się w jego stronę białym balonem uwiązanym na cieiutkiej szyi, odprowadził wzrokiem starego gryzonia na kopcu. Szczęsny minął leżące pokotem, wyschnięte „jaszczurki", pierwszą arkę, ierwsze opłotki, zza których zionęło na niego nagrzanym odorem Żaiego Skrzeku i zapranych brudów.

Był na Grzywnie — na Grzywnie rozbabranym w ciepły dzień wioenny, wystawionym na słońce wszystkimi patrochami. Widział wsypi czerwone, cynaderkowe, dudy kołder gałgankowych, flaczki bieliznę rozpiętej od budy do budy, wyrka biedoty, urynały bogatych wznieione na tykach wysoko jak buławy, jak godła wygody i posiadania.

Tyle czasu chodziło się tędy, drogą zawsze tą samą, obok arki „dziadoków", obok budek Rosińskiego, Świdzika, Przystupy, obok Rajdołka, kapliczki i sklepu Korbala. Tyle czasu patrzyło się na tych, których wieś wygnała, a miasto nie wzięło. Którym pracy nawalono za wiele ponad siły. Którzy klepią na szosie kostkę „trylinkę" trzy razy w tygodniu z funduszu bezrobocia... Jak żyją otumanieni, jak się sterają po nału, do zdry, na wątlutką powłokę doczesną, piją z rozpaczy, szukają ujścia w Rajdołku z dziewczyną za złotego, wznoszą kaplicę do Serca boją się Justki Przystupy, która bije gdzie popadnie, w śledzionę czy słabiznę, bez różnicy — Justce wszystko wolno, bo była w zakładzie ma „wariackie papiery".

To się już opatrzyło i nic zwykle nie wzbudzało, najwyżej gorycz hwilową, że walka toczy się przecie o Grzywno, tymczasem Grzywno est jeszcze chwiejne i nie bardzo świadome, świadomych a pewnych nożna na palcach policzyć... Ta sama droga inaczej, ale to zupełnie naczej wygląda, gdy się idzie w pustkę straszliwą, po sądzie nad sobą, buntem w duszy, z żalem do towarzyszy: za co?! W oczy lezie natrętie wszystka krzywda, dla której się narażało, którą chciało się pomścić, wszelka obłuda, owe „jaszczurki" i składki na Murzynka, stary urdel przy nowej kaplicy, krecie arki bezdomnych pod pięknym skleem Korbala — cały nierząd trzymający się kupy kurczowo i też chyba dzięki jakimś „wariackim papierom".

Najbardziej drażnił go widok Korbala. Przybył widocznie z miasta, głównego sklepu swego na św. Antoniego, by zlustrować interes na

Grzywnie i przy okazji zaczerpnąć powietrza. Na łono się wybrał! Sia
dział na wielkim kamieniu za sklepem — pan Roman Korbal, radn
miejski, kupiec i działacz kupiectwa chrześcijańskiego — wyniesion
wysoko nad okoliczną biedę, która go sobą żywiła pędząc w górę, w ro
łożyste bogactwo z tysięcy szeleszczących papierków, bo nie doważy
nie domierzył, wepchnął gorsze za lepsze, cenę na drobnicy podbił
A zaczął od kantu z budulcem na ten właśnie pierwszy sklep, oszukaw
szy Szczęsnego z ojcem, sześć lat temu, Szczęsny pamiętał — pamiętl
wy był, nie zapominał!

Chciał mu się po latach niewidzenia przypomnieć, ale Korbal sie
dział akurat do niego plecami, zajęty rozmową przez płotek z Walkier
w ogródku.

W domu, jedząc przy stole, co mu Weronka podała, widział przez okn
ich obu: Walka na sienniku, bladego jeszcze po zatruciu, i grubego Kor
bala nad nim po drugiej stronie płotka. Słyszał wszystko. Rozmawia
o wyborach do rady miejskiej — że komuniści mimo wszystko zwy
ciężyli! *)

„Prorok zaświerzbiony" — fuknął w myśli na Korbala. Sprzedaje si
BB za koncesję na Falbance, a Walka nic nie obchodzi poza werkfire
rem Mussem. Przez całą przerwę obiadową pisze w kantorku za Muss
wieczorami w ogródku u niego kopie i podlewa. Gdy Ostaszewski, inży
nier ruchu, wchodzi do maszynowni i gwiżdże na palcach, mechani
Tomczewski udaje, że nie słyszy, ale Walek biegnie do inżynier
i Mussa. Mussuje, powiada zjadliwie towarzysz Tomczewski.

Szczęsnemu do reszty obmierzł brat i dom. Od jakiegoś tygodni
odkąd Walek wrócił z PKU niby inwalida... Herbatę palił czy się gaz
umyślnie nałykał przy warnikach, licho wie, dość że wykręcił się
wojska kategorią „C". Nie byłoby w tym nic obrzydliwego, gdyby n
Walkowa zaradność triumfująca nad Szczęsnym nawet w tym wypa
ku, bo Szczęsny służył, a Walek nie; nie dał sobie zabrać dwudzies
miesięcy. I gdyby jeszcze nie ustawiczna krzątanina dokoła jego os
by. Cały dom stanął na nogi, bo jakże! — Walek truł się dla rodzin
żywiciel, trza go ratować, a więc i mleczko gorące, i świeże bułeczk
i siennik w ogródku — niech się opala po pracy, niech trzyma do sło

---

*) W wyborach do rady miejskiej Włocławka w 1933 roku lista jedności r
botniczo-chłopskiej zdobyła 2.265 głosów na 6.416 wszystkich głosów oddany
czyli 35%. Trzecie miejsce zajęła lista PPS — 670 głosów, następnie dopiero li
BB — 636 głosów. „Swym politycznym znaczeniem wybory te wykroczyły po
ramy miasta Włocławka. Na tle terroru i kryzysu były one jednym ze wskaźnik
rosnącej radykalizacji mas w całym kraju".

ca delikatny profil anielsko czystej twarzy, skalanej grymasem jakiejś grzesznej wiedzy. Cherub z Rajdołka!

Szczęsny wyszedł na dwór. Wziął wędkę i wiążąc zerwaną żyłkę przypomniał sobie Leona, jego przygaduszki: „na barykady, albo pójdę sobie na rybki!" Ojciec tymczasem dalej podlewał swe kwiatki w ogródku, w ogródku na długość splunięcia — dziesięć metrów na dziesięć. Chodził koło nich chciwie jak złodziej, bo też po złodziejsku ogrodniczył: wszystkie warzywa oddawał dla domu, ale kwiatki sprzedawał ukradkiem ciułając groszaki na grób. Na grób jak u Babury jeszcze za życia na własność, z ławeczką, gdzie można pomyśleć o sobie ukojnie, cmentarnie i z pewną godnością, że ostatecznie ma się jednak oparcie... Taki już był niemądry ten ojciec stareńki, o uszach całkiem zwiędłych, zbielałych, nieporadny we wszystkim i chytry na grunt do grobowej deski.

— A możebyś się tak chociaż przywitał — zagadnął znienacka Korbal. — Zmartwienie masz czy co, że stoisz jak pień?

Po dawnemu tykał Szczęsnego mając go wciąż za szczeniaka. Szczęsny odgryzając żyłkę zasupłaną przy haczyku, odrzekł przez zęby:

— Nie każdemu dobrze się powodzi.

— A dlaczego? Zastanawiałeś się kiedy, dlaczego jeden ma, a drugi nie?

Ludzi stojących opodal poruszyło to widocznie, niektórzy przysunęli się bliżej zadzierając głowy w stronę Korbala na głazie: rzeczywiście, dlaczego jeden ma? I czekając na sekret patrzyli tępo w skarpetki i gacie Korbala, co im podwinięta nogawka odsłoniła: skarpetki deseniowe, z niebieskiego jedwabiu w prążki, a gatki jak pianka delikatne. Nawet od spodu był Korbal bogaty i pański, a przecież kiedyś — pamiętają! — tak samo w jamie tutaj mieszkał.

— Ten ma, kto o drugim myśli. Nie o sobie, tylko o tym drugim: czego on potrzebuje? Z miłością, panie dziejku: czy można mu czymś dogodzić i za ile?

— Jakoś ta miłość u pana po świńsku wygląda. Chuda, psiakrew, i przerośnięta. Jak majowy szponder!

— Spokojnie, spokojnie — mitygował go z góry Korbal kiwając zielonym termosem, który opierał o udo. — Po co zaraz „po świńsku"? Mnie się powiodło, nie ukrywam, a że tobie jest źle, żeś dotąd siekiera i tyle, i nacierpiałeś się, słyszałem, w domu u Albertynów w Warszawie, to któż temu winien? Czekaj, bez złości! Spokojnie mówimy. Żal mi cię, słowo daję; przyjdź do kantoru, może w handlu urządzę albo we młynie, co z waszym szwagrem buduję...

— Dziękuję, obejdzie się.

— No, nie wiem. Złapałbyś u mnie cug, spojrzenie miałbyś.

— Spojrzenie?

— Weź Grzywno, całe Grzywno, jak je widzisz. Wszystek śmietnik z gnojówką pośrodku. Wstyd, co? Ile można zacenić?

— To i wstyd pan sprzedajesz?

— Wiadomo, sklep towarów mieszanych — odparł Korbal i z termosu solidnie pociągnął. Wierzchem dłoni otarł mięsiste wargi, wyłupiaste oczy zaszły mu winnym oparem. — Trzeba umieć. Patrzysz oto na pieniądze i nie widzisz, a ja właśnie sobie kalkuluję, ile mi oni za ten widoczek zapłacą, łobuzy od korony polskiej!

Przybyło Korbalowi na wadze i na powadze, bogactwem śmierdział, ale jak dawniej rzępolił rozczapierzoną łapą po włochatej piersi, czochrał się i gadał, i zawsze, po pijanemu czy po trzeźwemu, w każdym widział zawistnie lepszego łobuża.

— No a ty, na przykład. Na ile siebie szacujesz? Gdybym tak chciał przejechać się na tobie, to wiele?

— Jak to należy rozumieć? — spytał głucho Szczęsny.

— Zwyczajnie. Takie mam życzenie, abyś mnie obniósł dookoła. Dookoła Grzywna, tam i nazad. Pięćdziesiąt złotych chcesz?

— Pół stówki to pieniądz... Tylko że pan cholernie gruby, panie Korbal. Sto kilo będzie.

— Dziewięćdziesiąt sześć.

— Wszystko jedno, bez mała sto. Gdyby chociaż po złotówce od kila.

— Niech tam... Poniesiesz za stówkę?

— Ale czy pan nie żartuje? Jak dostanę z góry, to poniosę.

— Och, głupi ty, głupi, Korbalowi nie wierzysz?

Sięgnął do kieszeni; zaczął, gmerając w portfelu, odliczać. Walek stał za płotkiem z cynicznie wzgardliwym uśmieszkiem nic nie rozumiejąc, ale ojciec zbladł. Widział przecież Szczęsnego: oczy mu się zwęziły jak u rysia i górna warga cokolwieczek uniosła się w kąciku. Oj, w niedobrą godzinę zaczął Korbal ze Szczęsnym, w niedobrą...

— Opamiętaj się, synu.

— Niech ojciec odejdą. Siadaj pan!

Pas tylko na brzuchu ściągnął do ostatniej dziurki i podał plecy.

Zbiegło się Grzywno popatrzeć, jak Szczęsny pod Korbalem tańczy łażonego.

— Jadzie, jadzie sobie pan! — darł się Korbal wywijając w powietrzu termosem, który zdążył był znów przechylić i do kropli wydudlić.

Młodość mu się przypomniała, kawalerskie czasy, gdy o świcie, zaany w pestkę, dostojny ze wszystkich stron, zjeżdżał z górki na tyłku prosto do arki wyśpiewując tak samo: „...na koniku saaam!"

Szczęsny pamiętał to i wiele innych spraw; niósł go niezmordowanie do Grzywna, metrów sto, potem dookoła jeziorka metrów trzysta, w tłumie kobiet i mężczyzn, poprzedzany dzieciakami, które zabiegając od przodu wytykały strużki potu na twarzy: „ooo, jak się zgrzał!" Tłum zanosił się śmiechem, niektórzy się zakładali, czy wytrzyma, ale byli i tacy, co na ten widok spluwali z obrzydzenia. Coś podobnego! Tak się poniżyć...

Pod wydmą piaszczystą, gdzie wygrzewały się w słońcu „jaszczurki", grunt był niezwięzły, Szczęsny stąpał zapadając się po kostki, a gdy się zachwiał, Korbal zawołał z przestrachem:

— Nie wywal! Jak nie doniesiesz, to forsę oddasz!

— Doniosę — wyrzucił z trudem Szczęsny — doniosę i... oddam.

Przystanął na koniec, ciężko dysząc, w miejscu, skąd zaczął drogę wokół jeziora, i tu zapytał szybko, między jednym a drugim oddechem:

— Forsa moja?

— Twoja. W porządeczku. Daj no zejdę...

— Czekaj. Teraz ja mam życzenie!

Zgiął się raptem na brzegu i chlusnął Korbala do wody.

Niegłęboko tam było, po pas. Korbal zaraz się wynurzył i prychając posunął ku brzegowi, ale Szczęsny huknął:

— A pójdziesz stąd, ty...

Zdzielił takim wyzwiskiem, że Korbal w wodzie przysiadł.

— Coś ty — zamamrotał — coś ty, ja żem radny...

Szczęsny wyrwał spod nóg garść gliny i zmieszawszy z Korbalową forsą zamachnął się na niego tą kulą.

— Pieskiem płyń — takie mam życzenie! Z góry dostajesz, war-war, pieska twoja bebeska!

Mierzył w gębę, ale że Korbal uchylił się, trafiło w kark. Klapnął — żółty, zmyty wodą bąbel odpadł mu z karku.

— Forsę chapaj, ty żeś radny!

— Zobaczysz — telepał się tamten w jeziorku i bełtał — do Gęsiówki pójdziesz za to, łobuzie!

Ale widząc, że Szczęsny znów się nachyla, padł na wodę i popłynął rzeczywiście po piesku, majdając pod sobą łapami. Zarzucona na głowę koła marynarki zwisała jak ucho legawca.

— Ehehe — rechotało Grzywno — wolnego, panie kąpany!

— Co się tak śpieszysz, panie Romciu!

— Do domciu, panie Romciu!

Ktoś klepnął Szczęsnego po ramieniu, Kwapisz zawołał: „ty się nie bój Gęsiówki, bo pan radny nigdzie z tym wstydem nie pójdzie!" Tomczewski odkrzyknął: „ale prywatnie będzie się mścił!"

— Pieniądze — zaszemrano — pieniądze pozbierać, bo się zmarnują.

— Stać! — warknął Szczęsny. — Niech idą na dno.

Srebro poszło na dno, ale papierki pływały. Kilka papierków trzymało się na powierzchni obracając się za wiaterkiem łagodnie popychającym je ku środkowi, rozbełtanym szlakiem Korbala, który się właśnie otrząsał na przeciwnym brzegu.

— Patrzcie — mówiono — jak forsa za nim idzie!

— Ojej, tyle mamony! O tam, jeden... drugi...

Liczyć papierki jak Bóg wszechmogące, życiodajne i bez pożytku niknące — to była męka, ale nikt się nie ruszył, bo należały do Szczęsnego. Dopiero z trzciny plusnęło. Biały krążek wychynął stamtąd i ślizgnął po gładkiej już toni.

Był to Bunio-stadkowy. Płynął dość szybko i pewnie, mimo iż tak głęboko, po same usta tkwił w wodzie, obciążony niewładnymi nogami. Dopadłszy papierków, połapał je dziobiąc pyskiem w wodę, i z forsą w zębach umykał czym prędzej na powrót w swą trzcinę.

— Gdyby który drań tam poszedł — wycedził Szczęsny — gdyby zabrał „jaszczurkom", to niech już nie wraca na Grzywno. Uczciwie mówię: niech lepiej tu potem nie wraca!

Tłum rozstąpił się w milczeniu. Grzywno różnych widziało furiatów i znało się na tym, komu w porę zejść z drogi. Bo taki niby spokojny, to dopiero belzebub!

Szczęsny idąc po wędkę uczuł wreszcie ulgę, po raz pierwszy w tym wariackim dniu, jak gdyby ciężar ogromny zrzucił do jeziora. Została znów pustka i myśl nieodczepna, piekąca, że się jest poza partią. Może robić, co mu się podoba, wszystko mu wolno. Jak Przystup Justka, która była w zakładzie...

*

* *

Na Kościuszki, za liniarnią Grünlanda, spotkał Staszka. Rychlik właśnie śpieszył do niego.

— Nie jesteśmy jeszcze wyrzuceni. Pewnie pójdą do Olejniczaka

co robiący zdadzą wszystko na niego. Olejniczak rozsądzi. Zawsze tak... Chodźmy do niego, mieszka na Wienieckiej pod szesnastym.

Szczęsny jednak zaciął się, nie chciał iść w swej sprawie, ani tym bardziej prosić. Narażał się, wystarczy; nie rozumieją tego, więc trudno.

Zgniewało to w końcu Rychlika.

— Takiego czorta to ja jeszcze nie widziałem. Obraził się! Może partia ma go jeszcze przepraszać: nie gniewajcie się, towarzyszu Bida, chodźcie, więcej tego nie będzie, towarzyszu Bida!

I po chwili, wobec milczenia Szczęsnego, zadecydował:

— W takim razie sam pójdę. Ale gdzie będziesz, bo może przyjdę do ciebie?

— Na Zielonej Główce będę.

Tak się rozstali. Nawet mu Szczęsny nie powiedział o Korbalu, jak go w jeziorku wykąpał.

Droga wiodła wzdłuż Wisły, ulicą Toruńską, obok wielkich masywów fabrycznych Bohma i pierwszej papierni Steinhagena. Domy za nimi były z początku murowane i schludne, potem coraz mniejsze, już drewniane, z odstępami wypełnionymi sadami w białoróżowej zadymce kwitnienia. Ulica stopniowo wioszczała stodołami i słomą na dachu, ale i to się skończyło — sama szosa wymknęła się z miasta, zostawiając na uboczu ogrody badylarzy i rzekę jak ona na Toruń — Chełmno — Gdańsk.

Nurt przetaczał się w tym miejscu od góry Szpetalskiej zarywając ostro w podmyty brzeg próchnicowy, toteż bito tu gęsto tamy o główkach kamiennych, a najdłuższa była ta właśnie, na której stanął Szczęsny, cała w zieleni wiklin i u nasady także zieleniąca się sporą kępą olszową.

Skraj nieba, obrzękły fioletowo, łypał jeszcze na zachodzie jasnością, ale drzewa nad Wisłą, łacha w oddali, bakan przy niej sterczący — wszystko omotało się w zmierzch łagodny, włóknisty jak obłok zwisający smugami z niskiego pułapu. Czarna woda przy główce gotowała się ciężko, smołowo. Spławik ledwo-ledwo widzialny kołował dyndając na wirach, a pod nim, dwa metry poniżej, nie mogła się urwać z haczyka płotka paluszkowa nadziana na żelazo przez grzbiet.

Szczęsny patrzał tępo na wiry lejkowate i ssące, takie same zapewne jak te, które biegły za okrętem, gdy Martin Eden schodził z trapu w głębiny. „Gdy wszystko pojął, pojmować przestał" — słowa wstrząsające, dreszczowe. I przyszło mu na myśl, że jest w kropce jak Martin.

Tak samo szukał, walczył, błądził i oto gdy się ze wszystkiego wyłabudał na prostą drogę, znalazł się w odmętach.

Przez cały czas później myślał o tym. Podszedł do zapomnianej w kępie olch sterty faszyn, rozbieranych pomału przez wszystkich nocujących na Główce. Łamał nogą faszyny na krótkie kawałki i poznosiwszy rozpalał ognisko, a w duszy wciąż ćmiło i ćmiło: to bez partii nawet życia nie wolno oddać dla sprawy? Nic a nic nie wolno samemu, z własnej woli? A jeżeli partia, ci tam w górze, na człowieku się nie znają i w ogóle mają go gdzieś, co wtedy?

Strażnik wodny odpłynął, zostawiwszy po sobie czerwone światełko na boji dla statków. Chrobot wioseł o drewniane dulki zamierał w dole rzeki. Znów było pusto, samotnie. Ryba pluskała wyskakując przed snem na powietrze wiślane, pachnące starymi iłami i trochę jeszcze paloną kawą zbożową, bo wiaterek powiewał akurat włocławski, od Bohma.

Chciał być sam. Jest więc sam. Ale ból od tego nie zelżał i nie zrobiło się jaśniej.

Wyjął ostatni „Czerwony Sztandar" i przysunął się z nim do ogniska. Czytał, jak stało, po kolei — o strajku generalnym w Łodzi, o fali terroru na Białorusi Zachodniej, gdzie burżuazja polska mści się za śmierć Hołówki, o gorączkowej robocie interwentów... — „My nie chcemy być kibicami!" — woła w stronę wielkich państw kapitalistycznych pan pułkownik Miedziński (z „Gazety Polskiej"). Faszyzm polski chce być równouprawnionym graczem! I on, malutki, chciałby uszczknąć dla siebie kolonię jakąś!

Pan pułkownik tylko o tym zapomniał — przyszło do głowy Szczęsnemu — że faszyzm to przecież nie sklepik kolonialny, ale kartel. A kartel słabe przedsiębiorstwa zamyka. Jak było na przykład z Soczewką?

Myślał o losach tej staroświeckiej fabryczki, o panach z Centropapieru, o kartelu, który rządzi rynkiem z pięknego biura nad Wielką Ziemiańską na Kredytowej... *).

W biurze na Kredytowej — jak mu się przyjrzeć uważniej — przegląda się dobrze ustrój kapitalistyczny, świat nienawistny, nie do zniesienia. Warto żyć bodaj po to, by niszczyć i walką zachłysnąć się w partii na zatracenie... Partia! Jasny gwint, człowiek nawet nie wiedział, gdzie się ona zaczyna a gdzie kończy, robił swoje nie zastanawiając się nad tym, od kiedy właściwie jest w partii. Dopiero gdy chcą wylać, to się widzi, że jest! Że żyć bez niej nie może. Okazuje się, że to jest wszyst-

*) Patrz „Załączniki".

ko, co się w życiu znalazło, ta partia. Cały sens i motor. Zabrać — to co pozostaje? Sama pustka bezmierna, ciemny ocean Martina, zgroza fal pluszczących przeraźliwej wieczności i myśl natrętna, dyndająca jak spławik: gdy wszystko pojął, pojmować przestał...

Zachlupotało u nasady tamy. Łańcuch zgrzytnął szczękliwie. Ktoś łódkę cumował wychodząc na brzeg.

Szczęsny nakrył ognisko naręczą faszyn. Mrok zamknął się nad nim, by po chwili unieść się wyżej od rozjątrzonych, skaczących płomieni.

— Pozwoli pan? Chłodnawo, a muszę tu pobyć do rana.

— Proszę, miejsca starczy.

Gość przykucnął z drugiej strony ogniska. Starszawy jegomość. Niewysoki, szczuplutki.

— Sznury zarzuciłem — wyjaśnił głosem dźwięcznym, młodym, wyciągając dłonie do ognia. — Na węgorza. Może się co złowi.

— Może. Pan tu rybaczy? To pański rewir?

— Nie — uśmiechnął się tamten i ściągła czerstwa twarz od razu mu się ociepliła przy tym uśmiechu, wydobrzała — nic tu mojego. Nie jestem rybakiem. Ale rybacy mnie znają. Możesz pan łapać, powiadają, nie zbiedniejemy. Ano, kiedy tak mówią po dobroci — nie zbiedniejemy! — to się łapie i z tego się żyje... Pan też się wybrał na węgorza?

— Nie, ja na szczupaka. Ale nie bierze — poskarżył się Szczęsny, choć od godziny nie spojrzał na wędę.

— To nic — pocieszył go nieznajomy — to nic, o świcie weźmie... Ale siedzieć tak to nie interes. Kawy trzeba ugotować.

Szczęsny nic z sobą nie wziął, nie pomyślał o jedzeniu — aby tylko najdalej od miasta i ludzi, aby zostać nareszcie sam na sam ze swoją rozterką, tego jedynie pragnął wyrywając się z Grzywna. Ale przybysz był zapobiegliwy. Poszedł do łódki przynieść menażkę, chlebak i żelazny trójnóg. Krok miał niepewny i drobny.

— A mówiłem, żeby tak nie ciskać — gderał oglądając pogiętą nogę z grubego płaskownika. — Teraz muszę prostować.

Jął się mocować z opornym żelazem. Szczęki mu się zwarły nieustępliwie, nieomal złowrogo, rysy stężały z wysiłku, on jednak dalej wyginał, aż dopiął swego i trójnóg wyprostowany nad ogniem ustawił.

— Ma pan, widzę, krzepę.

— W rękach jestem mocny, ale w nogach... Nogi do niczego.

Zawiesił menażkę i zaczął do niej przelewać kawę z litrowej butelki. Skrzętny był w ruchach, gospodarski.

— Zapalimy?

— Owszem...

Poczęstowali się szczyptą tytoniu przyglądając się sobie przy pełgającym świetle ogniska: młodzian dziarski, desperacki i człowiek już w latach, o spojrzeniu pogodnym jak wrzesień na Kujawach, świadomym wielu spraw, dojrzałym w ciepłym blasku spod krzaczastych brwi.

Noc była w pełni, pierwsza noc majowa, niespokojna, półprzytomna od szmerów, powiewów, cykania... Powietrze gęste, rozpięte niejako na czarnych krosnach, drgało niskim jednostajnym buczeniem wokoło, jak gdyby gdzieś pod lasem ktoś bardzo niemrawy, pierwotny wystawił z wody pysk dziki, ropuszy, by wychuchać z siebie swą ogromną nieludzką tęsknotę, a miał na to tylko tę jedną nutę: hu-hu-hu...

— Bąk — powiedział nasłuchując człowiek z drugiej strony ogniska.

— Wypij — odparł Szczęsny przypominając sobie noce nad Wołgą. — Do dziś nie wiem, jak to się nazywa po polsku. Ale po rosyjsku pamiętam: wypij! Widziałem. Ptak nieduży, ale bardzo pękaty, jakby wzdęty. Na długich nóżkach, cały popielaty, a dziób ma jak fanfara. On właśnie tak po nocach hałasuje.

— Dziwi mnie, że w takie bzdury wierzycie.

— Przecież pan sam zaczął o bąku.

— Powiedziałem o jednym ptaku, którego krzyk słychać z mielizny. A wy mówicie, że cały ten hałas w przyrodzie na wiele kilometrów — to sprawa bąka czy też po waszemu — wypij. W takim razie musiałoby ich być tyle co komarów!

— Nie wiem. Tak słyszałem.

— A czy każdej gadce mamy wierzyć? Trzeba samemu dochodzić. Pomyślcie: powietrze w nocy ochładza się, idzie w dół i tarabani o wodę, a wody jest tutaj lustro olbrzymie, bo i Wisła, i starorzecze, i jeszcze rozmaite jeziorka. Stąd koncert... Jesteście jednak nie bardzo krytyczni, towarzyszu Bida.

Szczęsny drgnął.

— Olejniczak jestem, Franciszek — przedstawił się tamten po prostu, jak gdyby był pospolitym Olejniczakiem, jednym z mnóstwa Franciszków na świecie. — Nie chcieliście przyjść do mnie, więc ja się do was wybrałem.

— Toście specjalnie przyjechali?

— Niezupełnie. Towarzysz Corobiący wytłumaczył, gdzie jesteście. Ja tu nieraz nocowałem. A nad ranem wszystko jedno musiałbym płynąć tędy na majówkę, więc za jednym zamachem, pomyślałem, można i waszą sprawę wyświetlić.

Zamieszał w menażce.

— Powiedzcie mi — zagadnął dmuchając w skupieniu na fusy — powiedzcie mi, jak to się właściwie stało.

— Zwyczajnie. Gąbiński na zabawie wygadał się po pijanemu, z pistoletem na nas skoczył... Przerzuciliśmy go przez płot, wtenczas Corobiący zaczął biadolić, że Gąbiński może sypnąć. Juliana, powiada zasypie.

— Co za Julian?

— Nie mam pojęcia. Podobno dwadzieścia lat pilnowano Juliana i wszystko miało się wydać przez Gąbińskiego, no więc trzeba było z miejsca go zrobić, tak czy nie? Zrobiłem, to teraz znowuż na mnie, że — anarchista! Terror na własną rękę, niedopuszczalne metody i tym podobne.

— A wam się zdawało, że partia za to pochwali, będzie zachwycona: co za bohater! Tymczasem... Czekajcie, chciałbym wiedzieć dokładnie, w jaki sposób zabiliście Gąbińskiego. Mówcie, jak było. Od początku. Przerzuciliście go przez płot, co dalej?

Szczęsny zaczął opowiadać. Olejniczak słuchał uważnie, doglądając kawy nad ogniem, to znów pajdy smarując tłuszczem. Miał wszystko w chlebaku. Stary praktyk.

— Bierzcie kubek, możemy się teraz posilić... No bierzcie, mówię, jej, co z was za człowiek! Na każdego by fukał i boczył się... A więc z Gąbińskim poszło u was na łeb na szyję, nie można było zwlekać?

— W żadnym wypadku. On by wszystko wydał.

— Czyście mówili o tym Perlikowskiemu?

— Perlikowski o niczym nie chce słyszeć: samowola i już! A ja tego pojąć nie mogę. Przecież partia potem sprawdziła, przekonała się, że defa go przerobiła i to niedawno, dopiero co zaczął, kur...cze pieczone, całe szczęście, że głupio! Ale gdybyśmy czekali, nim partia sprawdzi, nim wyda wyrok, a on tymczasem sypałby na całego, to wtedy byłoby lepiej? Ja się tym broniłem i jeszcze tym, że przeminęło szczęśliwie, wszak nikt nie ucierpiał! Nikogo policja nie ruszyła, a więc o co ten krzyk! Ale Perlikowski wciąż swoje, że skutki mogły być wprost nieobliczalne, że niby strzeliłem w partię! W dyscyplinę partyjną, w postawę masową, że to nic innego tylko demoralizacja! Nawet ataku od tego dostał, z pianą na ustach, z drgawkami, tak że zebranie musiano przerwać.

— To po Grudziądzu — jakby do siebie powiedział Olejniczak. — Odkąd wyszedł z tamtejszego więzienia, miewa czasem podobne ataki. Gdy się zdenerwuje... Wiele przeżył, musicie to zrozumieć.

— Ale ja nic nie mam do niego, tylko czy można tak od razu mówić na człowieka — „element szkodliwy"?! Jeden Dobiszewski *) mnie bronił. Nie wiem, czy obronił, choć nic złego nie zrobiłem.

— Nie w tym rzecz — rzucił w zamyśleniu Olejniczak. — Zło jest w was. W was samych jest coś niepokojącego, jakaś cecha niebezpieczna. Gorącość? Na to wygląda. Tam prowoka zabiliście, a tu, słyszę, kupca wrzuciliście do jeziora...

Szczęsny spojrzał na niego spod oka — patrzcie, już wie! Dzisiaj to się stało, nawet Staszkowi nie zdążył powiedzieć o Korbalu. W jaki zatem sposób do Olejniczaka to doszło?

— A może nie tylko gorącość? Może jeszcze trochę tej bohaterskiej samotności, co się później zawsze rozwielmożnia w straszną pogardę: „ii, co tam oni, ta moja za pozwoleniem klasa robotnicza, ten motłoch..."

— To i wy, widzę, przeciw mnie.

Olejniczak zamiast odpowiedzi podał pasmarowaną kromkę: „jedzcie". Jakby burknął — głupiś.

Chwilę milczeli siorbiąc z kubków wrzącą prawie kawę.

Było ciemno, do kresu ciemności ostatnich, schyłkowych, i powietrze na dalekich roztoczach wibrowało tym samym tęsknym, jednostajnie niskim dźwiękiem, który przywoływał na pamięć bęben, filmy o Afryce, mroczne murzyńskie tamtam...

— Widocznie każdy musi wszystko przeżyć od nowa — rozmyślał na głos Olejniczak. — Bodaj w skróceniu, w przybliżeniu, ale musi. Sam! Na słowo nie wierzy... „Także przeciw mnie!" „Nie mogę, choćbym nawet chciał". Toć w waszym wieku byłem jak wy. Czasy też były gorące: dziewięćset piąty rok! Wierzyłem w terror i w akcję bojową. Ruch masowy, uświadomienie, organizacja, dyscyplina — nie, tego się nie doceniało, to się miało za rzecz niekoniecznie szkodliwą, ale niemocną, za taki spirytus bez alkoholu... W „krwawej środzie" brałem udział — może słyszeliście? — miał Włocławek taką środę. Policmajstra wtedy zabiliśmy i naczelnika ziemskiego. Potem były różne eksy no i ten napad na pocztę lipnowską pod Fabiankami. Tam kozacy nas postrzelali, towarzysz mój oberwał w pierś, szczęściem doktór jeden Chrobotek, wyratował...

— Długi jak czapla, cienkosz, w okularach?

— Tak. Znacie go?

---

*) Antoni Dobiszewski, nauczyciel, kierownik uniwersytetu ludowego w Warszawie, członek KPP, jeden z 50 Powieszonych 16.X.1942 roku.

— Znam. Leczył mnie, jak chorowałem na ślepego kura. Mieszka koło nas, pod Rzekuciem. Domek sobie postawił, stary kawaler.

— W takim razie musicie też Dojmy znać. Pamiętam z tamtych lat, że gdzieś za Rzekuciem. Biały pałac nad Wisłą, park i sad owocowy do samej wody — wszystko hrabiów Dojmuchowskich.

— Pałacu już nie ma. Spalony w czasie wojny. A sad, owszem, ocalał. Nasz szwagier dzierżawi, ścierwo jakich mało. Ja bym ich wszystkich powystrzelał!

— Kogo mianowicie?

— A tych Dojmuchowskich ze szwagrem, Steinhagenów i innych. Całą burżuazję!

— Cóż, i we mnie kiedyś coś podobnego kipiało, ale w porę się połapałem, że nie tędy droga. Gąbiński też zaczął od strzelania, Sumczaka przecież zabił przez zemstę. A jak skończył? Nie, tu nie ma innego końca: albo człowiek rozumie, że nic w pojedynkę nie zrobi, albo się wreszcie spodli... Podrzućcie no lepiej do ogniska.

Szczęsny zdjął niepotrzebny już trójnóg, nakładł faszyn. Ogień znów buchnął, oświetlając postać skuloną o kolanach sterczących wysoko i twarz tuż przy kolanach.

— Równowagę macie zachwianą.

Zabrzmiało to z lekarska, jak diagnoza.

— O czym mówicie? Że jestem niezręczny czy co?

— Nie o tym. Nad podziw zręczni jesteście. Mówię, że — nienawidzicie. Ociekacie wprost nienawiścią.

— Ależ nie będziecie mi chyba prawili o miłości bliźniego!

— Nie, nie będę. Miłość ewangeliczna, towarzyszu, jest nierealna i politycznie szkodliwa. Wygodna dla posiadaczy i ich propagandą stoi na piśmie, nic więcej. Od tego stanowczo musimy się odciąć. Ale nienawiść do wroga i miłość człowieka, gdy jest człowiekiem, to są, wiecie, dwa skrzydła. Gdy oba są równie mocne, wtedy się ma lot wysoki, silny lot, a gdy jedno szwankuje, to się tylko podfruwa.

— A ja podług was jestem taki ptak kaleki? O jednym skrzydle?

— Tak mi się wydaje. Zżera was nienawiść, spalacie się w niej. A co wam przybywa z miłowania? Nic, bo nikogo naprawdę nie kochacie.

— Nie wiadomo.

— Wiadomo. Nawet uczucie dla najbliższych jest u was jakieś bezwładne. Coście na przykład zrobili, żeby siostrę uświadomić, żeby ją wyrwać z ciemnoty i opuszczenia?

Szczęsny znów drgnął. Zacinając się w sobie — wszystko wie, psiakość, od Staszka pewnie! — odrzekł niechętnie:

— Próbowałem. Na nic tu uświadomienie.

— Toście słabo próbowali. A Bajurski? Nauczyliście go czytać? Nie, patrzycie bezczynnie jak towarzysz — wyjątkowych zdolności towarzysz! — jest wciąż analfabetą.

— Kiedy on się nie daje. Namawiałem. Jak mnie zamkną, powiada, w uniwerku z kratkami, wtedy wezmę się za naukę.

— Słuchajcie, czy naprawdę nie możecie spojrzeć na siebie samokrytycznie? Przecież ja wam chcę pomóc. Nie podzielam zdania towarzysza Perlikowskiego, raczej jestem z Dobiszewskim. Zabiliście z myślą o partii i jak się okazało rzeczywiście prowokatora, a że na własną rękę i na wariata — to można jeszcze wybaczyć. Ale razi mnie wasz stosunek do życia i ludzi. To nie jest dobra postawa partyjna.

— Nie rozumiem. Czy ja czego nie wykonałem?

— Znów to samo. Eh, towarzyszu, towarzyszu... Wszystko wykonaliście, znakomicie wykonaliście, tylko człowiek wam uciekł!

— Człowiek? Co ma piernik do wiatraka?

— Ma — ciął tym słowem. Twardo wypadło, bezwzględnie.

Wciąż siedział obejmując kolana, tylko głowę uniósł wyżej, dalej od dymu ogniska, i błyski drżały płynną czerwienią na zadartym golonym podbródku, na wąsach szpakowatych rosnących po prostu, bez górnych ambicji. Ostrym podbródkiem jakby się wystawił na Szczęsnego.

— Walczymy o komunizm. Jak wy to sobie wyobrażacie? Jak rekrut! Od zadania do zadania, tu służba, a tam wychodne... Otóż muszę was zmartwić: nie ma wychodnego! Walczyć, nawet zginąć — to jeszcze nie wszystko i to jeszcze nie najtrudniejsze. Ale zawsze, przez całe życie iść komunistycznie, bez ugody i z gorącym sercem — ba, to dopiero zadanie partyjne! Żeby nawet taki Korbal, któregoście skąpali, żeby nawet taki łobuz musiał w końcu zakląć: „cholera, jednak to są lepsze ludzie!“ Myślicie może: e, takie tam ględzenie. A ja wam zaraz przykład dam, bardzo bliski przykład, że to się wszystko wiąże i ma skutki praktyczne. Ale wpierw zapalimy.

Znów wzięli po szczypcie z blaszanego pudełka z białym okrętem i kapitanem na wieczku. Skręcili. Szczęsny podał trzaskającą iskrami gałązkę. Stary przypalił.

— Lat temu dziesięć albo dwanaście, w każdym razie w parę lat

o powrocie z katorgi, idę ja ulicą do „Pracy", która nie była wtedy łączona z „Przyszłością" *), istniała jeszcze osobno — wiecie?

— Wiem.

— A więc idę do zarządu, zamyślony, bo nasze spółdzielnie zaczęto uż gnębić, a tu z bramy wylatuje jakiś berbeć i za mną: „Tutka słoiana, krzyczy, tutka słomiana!" Kto go wie, dlaczego akurat „tutka", ylko drze się na całą ulicę, i wykrzywia się, i przedrzeźnia mój chód. rzystanąłem. „Masz rację, chłopcze — mówię — co to za nogi?" Poazuję mu i sam się dziwię: „sfelerowane, pokręcone jak stare korzeie — wstyd patrzeć. Nie można porównać z twoimi — prościutkie, wieżutkie, wyścigowe nogi, słowo daję! Ale wiesz co? Z takimi chorymi ogami ludzie też muszą jakoś żyć. No, powiedz sam, czy nie muszą?" ogadałem z nim — już mnie nie przedrzeźniał. Nazajutrz znów spotyam go na Piekarskiej, bo to na Piekarskiej było, on tam mieszkał. zapkę, widzę, zdejmuje i nieśmiało: „dzień dobry, panie Olejniczak". uż się dowiedział, bystry chłopak. „Dzień dobry, jak się masz, Pawełu?" — „Nie, ja jestem Staszek". — „Wybacz, nie poznałem się, a to zeczywiście lepsze imię"... Takeśmy się poznali. Wkrótce i ja się o nim owiedziałem: kucharki jednej syn, nieślubny. Matka na służbie, sam ę chowa. Spotykaliśmy się od czasu do czasu, niekiedy cukierka daałem, ale nie dla cukierków ze mną trzymał, nie! Podrósł, zaczął mnie dwiedzać. Książki mu dawałem. Za czytaniem nie przepadał, za to uchać lubił ogromnie. Skontaktowałem go potem z młodzieżą. Cóż, est teraz towarzyszem. Zdun, pracuje w Celulozie. Bardzo oddany tooarzysz, nieraz narażał się, jakiś hetman nos mu w bójce szpetnie przeącił. Dawno to było, ten także już się odmienił, może pod wpływem taszka... Znacie chyba tego hetmana?

— Owszem — wyznał głucho Szczęsny: coś w piersi wzbierało — i to wstyd, ni to podzięka — jakieś ciepło.

— No, a co by było, gdybym wtedy chłopaka nie zrozumiał? Odtrąił? Mogłem się przecież zdenerwować. Nie twierdzę, że nie byłby dziaj w partii, może przyszedłby do nas inną drogą, ale to pewne, że ie spotkalibyśmy się tutaj, towarzyszu Bida.

---

*) Włocławski związek spółdzielni robotniczych „Przyszłość w Pracy", kierowany przez Olejniczaka, miał oddziały w Brześciu Kujawskim, Osięcinach i Luaniu, razem 9 sklepów i 3 piekarnie. Sabotażowa polityka gospodarcza „Społem", którego związek ten musiał dla braku gotówki zaopatrywać się w towary, konurencja ze strony chadeckiego „Ogniwa", które miało kredyt bankowy, i niestająca akcja policyjna — wszystko to w końcu zmogło pięknie rozwijającą się rganizację.

— Nigdy mi o tym Staszek nie mówił.

— Ba, toć to już stary partyjniak. Nic nie powie ponadto, co dru wiedzieć powinien. Z przyzwyczajenia.

— A jak jest teraz z wami? Spółdzielnie przecież zamknęli.

— Ano — bez roboty tymczasem. Rybami się teraz ratuję. Czase ryby łapię, a Helenka sprzedaje. Mniejsza o mnie, jakąś pracę znajd ale „Przyszłość"... „Przyszłość" zniszczyli.

To bardzo widocznie bolało. Spauzował patrząc na przejaśnion rzekę.

— A noc tośmy przegadali... Spójrzcie, może wam wzięło.

Szczęsny poszedł do wędy. Wyciągnął tylko grzbiecik żywca, któreg okonki akuratnie obgryzły.

— Nic nie ma.

— No to będziemy się zbierać. Muszę i ja spojrzeć na sznury. Co tam chyba będzie dla małej na śniadanie.

— Macie dziecko?

— Mam. Kuzynki córeczka, sierota. Wziąłem na wychowanie. Ja be dziecka nie mogę.

Zgarnęli rzeczy i poszli do łódki.

Idąc za Olejniczakiem Szczęsny mógł nareszcie przyjrzeć mu się dc kładnie, jak chodzi. Krok miał drobny, na stopę. Kajdaniarski krok Raz się potknął i wtedy ręce wyrzucił nienaturalnie: do przodu. Jakb z nich coś ciężkiego zwisało.

— A wiele to lat towarzysz kajdanami dzwonił?

— Jedenaście. Jeszcze mi kulę żelazną z tyłu uwiązali.

— A po co kulę?

— Bo dwa razy uciekałem. Żeby biła po nogach... Bierzcie bosak, n pych pojedziemy.

Odbili. Łódź pierwszym rozpędem przebiła się śmigle przez kipi pod Główką i poszła, zwalniając, na płytkie. Szczęsny bosakiem pch od rufy co mocy w ramionach, bo wart tutaj walił prawie podgórsk Krawędź mielizny była jak brzytwą równiutko ucięta i piasek denn szorował szparko za wodą. Olejniczak na dziobie musiał raz po ra wiosłem z lewa zarabiać trzymając się kursu — szczupły i kruchy r pozór. Przypomniała się wróżba Madzi.

— Nie wiecie czasem, co to znaczy: hakim?

— Hakim... — zastanowił się Olejniczak. — Tak nazywają lekarz w Egipcie. Słowo zdaje się arabskie... Co wam strzeliło?

— A gdzieś słyszałem...

Nie chciało się mówić o Madzi. Dziwnie z nią się układa, poplątane
d początku, niezrozumiałe do końca. Gipiura jakaś...
Mewy wzbiły się nad boją. Obaj mimo woli odprowadzili je wzro-
iem. Skrzydła mew były różane. Słońce wschodziło nad Włocławkiem,
ybiegłym do Wisły swym mostem drewnianym i białym pałacem
iskupim, bazyliką i kominami na wyprzódki, który wyższy, który
muklejszy...
— Widzicie? — spytał Olejniczak.
Na kominie najwyższym, na kominie Celulozy łopotał czerwony
ztandar.
— Wiedziałem — mówił wsparty o wiosło — wiedziałem... Co roku
ak jest, a zaczęło się w dziewięćset czwartym. Patrzcie, tam oto, nad
egielnią Bojańczyka zawisł pierwszy nasz sztandar. Byłem wtedy
rochę młodszy od was. Pracowałem u Fajansa, a ruch skupiał się w fa-
ryce narzędzi rolniczych Kochanowicza. A na prawo, nad garbarnią,
eż zawiesiliśmy sztandar i jeszcze nad gorzelnią Bauera...
Widział wyraźnie swą młodość i ręką Szczęsnemu wskazywał wszyst-
ie sztandary, co rankiem pierwszego maja zakwitały nad miastem
roku czwartym, piątym, szóstym...
— A w siódmym, gdy byłem w Tobolsku, pochód pierwszomajowy
ebrał się na Placu Kopernika i tam się rozdzielił: jedna kolumna po-
zła w kierunku Celulozy, a druga do Mühsama. Policmajster nie wie-
ział, który pochód wpierw ścigać. Tymczasem wszyscy zebrali się
rzed domem naczelnika powiatu. To była największa za cara demon-
tracja! Wywalczono wtedy dziesięciogodzinny dzień pracy. Nie terro-
em, jak myśmy próbowali, ale właśnie naciskiem mas!
Zdarzało się Szczęsnemu widywać ludzi dobrych, sprawiedliwych,
lbo mężnych, albo ofiarnych, ale żeby w jednym człowieku było to,
tamto, i trzecie... Pierwszy raz uczuł pragnienie: być do kogoś podob-
ym, przeżyć jak on!
— Mostek nad Zgłowiączką widzicie? Spójrzcie dalej, za park. Tam
łaśnie w trzydziestym roku policja przywitała nas bombami. Pierwszy
az w Polsce rzucono bomby łzawiące na pochód pierwszomajowy, i to
iejsce robotnicy kiedyś upamiętnią! Może masówką, a może pomni-
iem... A więc — z Pierwszym Maja, towarzyszu!
Wyciągnął rękę pozdrawiając Szczęsnego i ten schylił się do niej jak
dyby był we wsi u ojca.
— A coście... — żachnął się stary katorżnik. — Jakieś klerykalne
eszcze pozostałości...

Ale zrozumiał młodego. Zmarszczki wokół oczu wszystkie się nara zbiegły — do ciepła wzruszonego spojrzenia.

— Dobry z was będzie towarzysz. Tylko musicie się opanowa i przejść na robotę od podstaw. Koniecznie na robotę wśród mas. A teraz jedźmy pod Szpetal, tam wysiądziecie. Idźcie do miasta, n pochód, bo ja tu muszę być.

— W takim razie zaraz machnę na tamten brzeg!

— Dajcie spokój...

Ale Szczęsny się uparł. Zrzucał już ubranie, wiązał w tobołek, b umocować paskiem na głowie. Rozpierała go radość i rzeźkość — boda do Krakowa pod prąd w taki ranek!

Woda była lodowata i bystra. Drobne leje igrały nad głębiną ja płotki, a chciałoby się, żeby były jak rekiny — to by się dopiero po mocowało!

Płynął nie za niknącym w oddali okrętem, nie jak Martin, co samo chcąc poszedł, głupi, na dno, ale — prosto na komin Celulozy, zwane do jasnej cholery Ameryką! Na sztandar powiewający wyzwanie i nadzieją.

Płynął pewnie, mocnymi rzutami, wpatrując się w czerwoną zjaw z podziwem i żalem, że też jego przy tym nie było! Bo żeby wejść n komin wysokości przeszło stu metrów i zatknąć tam sztandar, aby nik nie przyłapał — to nie w kij dmuchał robota! A więc czyja to sprawa Może Surdyka, a może Bajurskiego. Ale najpewniej Grzybowskiego, b w kotłowni pracuje, pod kominem, i natura mimo czterdziestki psotna chłopięca...

(Dalszy ciąg nastąpi)

Igor Newerly

JERZY PUTRAMENT

Notatnik chiński*)

PRZEZ HOANG HO
I JANG TSE-KIANG

10.X. W nocy.

Wyjeżdżamy na południe. Jest ciemny wieczór. Delegacje ładują się do samochodów. Rwetes i bieganina. Jakiś boy hotelowy z zawiniątkiem pod pachą podchodzi kolejno do wozów, nachyla się, pyta o coś. Tutaj służba w hotelach czy restauracjach budzi podziw: napiwki ją obrażają. Windziarze czy boye, którym proponuje się papierosa — okazują się niepalący. Spróbuj mu coś wetknąć do ręki — odskoczy jak oparzony i podziękuje z ironicznym uśmiechem.

Ale jest jedna rzecz, na którą „leci" tu każdy, do tłumaczy i organizatorów naszej wyprawy włącznie: znaczki. Takie znaczki do klapy. Organizacji społecznych, konferencyj międzynarodowych czy kongresów — obojętne. Ta namiętność przybiera czasem formy zgoła niebezpieczne. Nasz młodzieżowiec, ujęty niezwykłą uprzejmością i życzliwością tutejszego personelu hotelowego — niezepsuty pod tym względem przez naszych hotelarzy, którzy tak chętnie przybierają wobec gości miny ministerialne — chciał się jakoś odwdzięczyć i włażąc do samochodu dał któremuś z boyów znaczek ZMP. Podeszło dwóch jeszcze. Dał i tym także.

Wtedy istna nawałnica spadła na nasz samochód. Z pobliskich samochodów, z gmachu hotelowego — czy ja wiem skąd jeszcze? — zbiegły się tłumy. Zrobiło się takie kotłowisko, że w jednej chwili uświadomiłem sobie, iż Chiny rzeczywiście mają pół miliarda ludności. Szofer nasz próbował bronić samochodu, było to jednak niemożliwe. Przerażony młodzieżowiec wyciągnął z kieszeni wszystkie zapasy znaczków, przygotowane na pięć prowincji południowych, które mieliśmy odwiedzić. Znaczki te znikły „jako wosk w obliczu ognia" (któryś tam psalm). W końcu wywrócił na nice wszystkie kieszenie w spodniach i marynarce i pokazał. Na szczęście uwierzyli.

Drzwi samochodów trzaskają — ruszamy. W tej chwili podchodzi do nas ów boy z zawiniątkiem. Czyśmy nie zapomnieli czego? Zaczynam głośno łajać naszą delegację. Naturalnie, Polacy zawsze muszą coś zapomnieć. Czy nie mówiłem, żeby sprawdzić pokoje przed odejściem? — Wtem wzrok mój pada na zawiniątko: buty. Moje, zapasowe. Zostawiłem pod łóżkiem.

Nie mając gdzie ich wpakować, wściekły zostawiam paczkę boyowi:

— Oddacie mi, gdy będziemy wracali. — Uśmiecha się, potakuje. No, zobaczymy, jak to jest z tą ich uczciwością.

Z tą uczciwością, było tak, że przez owe dziesięć dni rozluźniła się jakoś nasza, prawie instynktowna, czujność jeśli idzie o teczki, walizki, płaszcze, zostawiane w biurach czy hotelach, kieszenie z portfelami i tak dalej. Któryś z naszych delegatów miał nawet z tej racji kłopoty; obrzydły mu nasze papierosy i próbował pozbyć się ostatniej paczki. Zostawiał ją na stole w restauracji, w windzie, u fryzjera; mylił czujność piętrowych i podrzucał ją na oknach w korytarzach. Wracała do niego nieubłaganie jak pierścień Polikra-

*) Patrz Twórczość numer poprzedni.

tesa. W końcu musiał wypalić te papierosy do ostatniego.

Pociąg. Na peronie, o metr przed wagonami biała linia. Kiedy zbliża się czas odejścia pociągu, wychodzą wartownicy i kolejarze. Pilnują, żeby nikt z żegnających nie przekroczył tej linii.

Jedziemy bardzo szybko. Przeszło sto dwadzieścia kilometrów do Tien Tsinu robimy w niespełna dwie godziny.

Jest po jedenastej. Tien Tsin widzimy jako kilka rozległych zbiorowisk świateł elektrycznych. Jakieś łachy wodne; światła w nich odbite jak reflektory odwracają się do góry nogami, świecąc w niebo.

Długo mijamy napół wiejskie z wyglądu przedmieścia. Jest już po północy, ale przekupnie sterczą jeszcze na pustych ulicach przed koszami ze swoim skromnym towarem. Błyskają osłonięte przed wiatrem świeczki.

11.X. W drodze, przed Ben Fu.

Budzę się o szóstej rano, niespokojny, że przegapię wielką rzekę Hoang Ho. Ogromna równina, gładka jak rozlewisko śmietany. Ani drzewka, tylko pola, pola, pola. Ryż całkiem żółty. Duże płachty zoranej ziemi koloru zmielonej gorzkiej czekolady, przygotowane do siewu na zimę. Bawełna, kukurydza, gaolan, pataty. W tym królestwie rolnym jest coś przypominającego nasze obszary między Warszawą i Łowiczem.

Trzeba wsi, żeby uchwycić różnicę. Zagrody otoczone glinianym murem. Ściśnięte nim jak opaską na włosy, przechylają się na zewnątrz korony nieznanych drzew owocowych. Wsie są dość rzadkie, pojedynczych zagród nie widać. Słońce ledwo wyłazi na horyzont, a na polach ruch w najlepsze. Z motykami uniesionymi nad głową zginają się chłopi chińscy nad swoim zagonem. Ten i ów już skończył robotę, dźwiga na plecach kosz, idzie znużony do domu. O której musiał zacząć pracę?

Patrzę w kierunku jazdy. Coraz więcej kanałów. Trochę pojedynczych drzew na miedzach. Wyskakuje niebieskawy stożek jakiejś samotnej góry. Zbliżamy się do niej. Daleko za nią zjawiają się inne. Pociąg zwalnia.

Samotna góra okazuje się stumetrową skałą z bazaltu. Na jej szczycie japońskie bunkry. W dole wioska.

Wjeżdżamy nagle na most. Hoang Ho, żółta rzeka, co do wielkości druga po Jang Tse, ale bardziej od tamtej okrutna, gwałtowna, niestała. Jej figle wiosenne kosztują Chiny rok rocznie ogromne sumy. Co kilkadziesiąt lat zdobywa się ona na wybryk nadzwyczajny i po prostu zmienia koryto. Rzecz w tym, że niesiony przez nią muł podnosi stopniowo jej koryto, aż wreszcie przerywa ona tamy i zalewa niezmierzone przestrzenie. Po opadnięciu wód okazuje się, że główny nurt poszedł zupełnie gdzie indziej. Co byśmy powiedzieli o Wiśle, gdyby ta gdzieś za Warszawą skręciła na Niemen i Kłajpedę, albo na Poznań i Szczecin?

Hoang Ho nie jest żółta, jest jak kakao, dobre, przedwojenne kakao Van Houene, obficie zaprawione mlekiem. Jej gwałtowne cielsko prześlizguje się pod żelaznym mostem z szybkością naszego Dunajca. Wysokie tamy po obu brzegach. Na jednej z nich tuzin burłaków z wysiłkiem holuje naładowaną berlinkę.

Zaraz za rzeką, która ma tu szerokość Wisły pod Grudziądzem, zaczyna się miasto Tsinań. Kto z nas pamięta bitwę stoczoną tu na wiosnę 48 roku? Rozumiem teraz jej doniosłość. Zdobycie Tsinań przez nieliczne stosunkowo wojska rewolucyjne prowincji Szanduń, otworzyło dla głównych sił ludowo-wyzwoleńczych drogę do Chin Środkowych, między Hoang Ho

Jang Tse. Mao przedziwną koncepcję trategiczną zrealizował z nadzwyczajym skutkiem w końcowym okresie wojny domowej. W momencie gdy zdobywano Tsinań, w rękach kuomingangowców znajdował się jeszcze i Pekin i Tien Tsin i nawet Mukden. Ale cielsko „zielonego smoka" chińskiej reakcji było w tym czasie zaatakowane jednocześnie i od głowy — Tunbeju, od serca — tu, na Hoang Ho. Pamiętam żałosne treny prawicowej prasy francuskiej, opłakującej utratę Tsinań. Miała rację, raz w życiu.

Tsinań jest dużym miastem chińskim, złożonym z dziesiątków tysięcy drobnych chałup glinianych i pewnej ilości paropiętrowych budynków w śródmieściu. Tyle tylko widzimy z pociągu.

Peron bardzo czysty. Długie rzędy umywalni. Na dworcu ogromny portret Mao. Cieniutki głos kobiecy zapowiada coś przez megafon. Pasażerowie wyrównaną, dwójkową kolumną idą zajmować miejsca w pociągu. Jest ciepło, choć dopiero dochodzi ósma.

Za Tsinań wjeżdżamy w dziwną krainę gór Tajszań. To te góry, któreśmy widzieli mgliście przed rzeką. Są tej wysokości co nasze Sudety, ale różnią się od nich wyglądem.

To nie łańcuch górski jak u nas, to bezładne zbiorowisko nagich skalistych szczytów, wyrastających wprost z równiny. Zaokrąglone zbocza uwieńczone są stromymi słupami bazaltu.

Zwolna poletka kurczą się, wpełzają na zbocza, półkolistymi stopniami idą coraz wyżej, podparte murami z kamieni. Grupki drzewek, głównie tuje. Na poletkach wielka ilość mogił. Wjeżdżamy w zwężającą się dolinę rzeczki zatłej na swoje ogromne, kamieniste łoże.

Co kilkaset metrów wioski. Jakiś parek stromo nad wioską, schody, na szczycie w zieleni drzew wdzięczna świątyńska buddyjska z zadartymi rogami dachu.

Tak wygląda ten pejzaż: chaotycznie porozrzucane góry, jak drewniane wiaderka tu i tam ustawione do góry dnem przez znudzone dziecko. Między nimi płaskie kawałki gruntu. Szara i żółta jest ta ziemia. Bardzo niewiele ciemnej, zakurzonej zieleni.

O dziesiątej wyjeżdżamy z gór. Po czterech godzinach jazdy widok ulega wielkiej zmianie. Przed rzeką przeważała naga, zorana ziemia, w górach była jeszcze różowo-zielonkawa ruń, tu już jest całkiem zielono.

Koło południa mijamy jakieś miasto, otoczone wysokim murem, nad którym góruje tylko kilkupiętrowa pagoda. Wsie gęstsze. Oto jedna: w cieniu drzew drzemie krowa, snopy łodyg kukurydzy. Pompa, sieć kanalików, niewiele szerszych od dwóch złożonych dłoni.

Znowu trochę gór, jeszcze bardziej samotnych. Co chwila pociąg przelatuje z hukiem przez mostki nad wyschłymi rzekami.

Potem z prawej strony dobiega do toru ogromne jezioro Wejszan Chu. Jest to „rezerwowy zbiornik" Hoang Ho, przedłużony kanałami aż do Jang Tse. Samo jezioro ciągnie się na 150 kilometrów. Tu jest otoczone pagórkami. Na nim całe stada dżonek o malowniczych żaglach w kształcie trójkąta, podstawą zwróconego do góry. Kanały od jeziora. Znowu skupiska mogił na polach, w kształcie ostrych regularnych stożków.

Wieś, boisko koszykówki. Chłopcy trenują do jednego kosza. Czy nie dlatego sport ten popularniejszy tu jest od piłki nożnej, że ta wymaga dużego boiska, a z ziemią w Chinach ciasno?

Duża wieś. Wysoki mur z kamienia. Takie same wieże. W środku słomiane strzechy chałup. Jeśli będziemy się starali wytłumaczyć tę nielogiczność doj-

dziemy do wniosku, że ważniejsza tu była obrona przed wrogami niż troska o znośne życie.

Wzgórza z ruinami forteczek. Miasto Siuj Czou. Pagoda jak masywna wieża ciśnień. Na peronie sprzedają granaty, kaki, pieczone kurczęta.

Granaty są owocem zabawnym, gdy się je próbuje po raz pierwszy, potem stają się nudne. W konkurencji z pomarańczami od stu lat nieustannie przegrywają.

Potem z dziesiątek kilometrów przy torze biegną kwiaty, niebieskawe i liliowe, na dużych łodygach.

Tory są utrzymane nadzwyczajnie. Co parę kilometrów dróżnik. Kiedy pociąg go mija, wychodzi na tor i nie wiadomo komu macha chorągiewką.

Nadchodzi wieczór. Pędzimy przez wsie pełne powracających z pracy chłopów, karawan objuczonych osłów, przez miasteczka, gdzie tłumy ludzi przewalają się przez place, dziewczęta biją w bębny, chłopcy grają w koszykówkę.

Wieczór i tylko gdzienieniegdzie ognie. Jest znowu równina. Zbliżamy się zwolna do Jang Tse.

12.X. W nocy.

Koło drugiej w nocy budzą mnie krzyki. Stoimy w Pukou — mieście leżącym nad Jang Tse, naprzeciw Nankinu. Biegnę szybko do salonki, którą nam przydzielono: jej szklane ściany znakomicie nadają się do podziwiania największej rzeki Chin. Cicho i ciemno w wagonach sypialnych, delegacje śpią. Ale w salonce zastaję już parę osób, powoli zbiera się ich coraz więcej. Przychodzi Anna Seghers, oświadczając, że w ogóle nie zasnęła z obawy przegapienia tego widoku.

Chińscy kolejarze sprawnie przetaczają nasz pociąg na ogromny prom. Holownik rusza, okręca się. Ciemne niebo, tylko nad horyzontem czerwieni się zachodzący księżyc. Bardzo dalekie światła Nankinu. Prąd i tutaj jest gwałtowny, woda ledwo oświetlona latarniami kolejarzy na promie wydaje się także mętna, przypomina wodę Hoang Ho.

Szybko przecinamy rzekę. Myślę o Liu Czi-linie, który przemierzał tę rzekę w małej łódeczce, pod ogniem kuomintangowców.

Drugi brzeg. Błyskawicznie dobijamy do śluzy, nadjeżdża lokomotywa, ruszamy dalej. Cała operacja nie trwała pół godziny.

PRZYJEŻDŻAMY DO SZANGHAJU

12.X. Szanghaj.

Mgła. Dzień przypomina w kolorze nasz chmurny dzień jesienny. Pociąg pędzi wzdłuż kanałów, dygoce na mostach, przelatuje przez czyściutkie stacje, ze wszystkich stron obsadzone japońskimi bunkrami. Między kanałami nie kończące się ryżowiska, rudawe, dojrzałe do żniwa. Na kanałach kwiaty, jakby naszej żółtej lilii. Osiedla robotnicze, baraki kolejarskie z gliny, krytej blachą. Na kanale dżonki pod żaglem — dziwnie przypominają Kolumbowskie karawele. Burłacy przełażą właśnie przez garbaty chiński most. Para lepianek — i obok boisko koszykówki. Lepianki tuż nad wodą. Do diabła, przecież to nasze Żuławy! Na peronie stacyjki pies z kulawą nogą bacznie ogląda nasze wagony.

Kanały, kanały, ryż zżęty, ryż dojrzały, ruń ryżowa, wszystko naraz. Widać, że nie pora roku decyduje tu o cyklu rolniczym, ale pilność rolnika. Nad kanałem, na wąskim wale ochronnym pasie się dziwne, garbate bydło. Nie wiem — bawoły to, czy odmiana tybetańskich jaków. Dżonki o żaglach koloru zbutwiałego worka. Grobowce mają tu kształt murowanych domków metrowej długości.

Kanałów coraz więcej, między nimi

już nie ryżowiska ale fabryki. Osady z ogródkami przy lepiankach. W grzędy powtykane maleńkie czerwone chorągiewki. Przy chatach ogromne krzaki kwiatów o tym samym odcieniu czerwieni. Rozległe hale fabryczne obok chałup krytych słomą.

Zatrzymujemy się. Dworzec szanghajski jest duży, czysty, sprawnie pracujący. Witają nas ośmioletni pionierzy z kwiatami.

Jedziemy do hotelu. Po obiedzie objeżdżamy autobusami śródmieście. Oto w największym skrócie jego obraz.

Dzielnice chińskie: domki z gliny i drzewa — parterowe na skrajach miasta, piętrowe bliżej centrum. Piętra wychylają się nad parterami jak w średniowiecznych dzielnicach miast niemieckich czy normandzkich, tyle że dachy są zadarte po chińsku. Ani jednego domu, który by nie był sklepem. Ryksze są tu obliczone na dwu pasażerów, tu i ówdzie widuje się jeszcze pieszych rykszarzy, biegnących drobnymi kroczkami na póługiętych nogach. Kobiety nie chodzą tu w spodniach, noszą bardzo obcisłe sukienki (nareszcie różnokolorowe!), sięgające trochę poniżej kolan, ale po obu bokach rozcięte na 10—15 centymetrów. Wśród mężczyzn przeważają zwyczajne granatowe drelichy, ale można też spotkać ubranych w długie szare i czarne kapoty, przypominające sutanny.

Dzielnice, które kiedyś należały do koncesji amerykańsko-angielskiej czy francuskiej, trochę się różnią od tamtych. Są w nich niektóre ulice prawie bez sklepów, domy z cegły, monotonne i nudne, aleje platanów wykoszlawionych, jakby to było jakieś zapomniane miasteczko francuskie z Indre-et-Loire. Sporo szyldów po angielsku i rosyjsku. W pewnych punktach co setny przechodzień jest Europejczykiem.

Wreszcie trzeci typ miasta: wieżowce. Nasz hotel ma jedenaście pięter. Naprzeciw niego drugi, czternastopiętrowy. Tu i ówdzie sterczą samotnie inne. Ale nad rzeką Wampu wieżowce tworzą nawet zwarty szereg. Są brzydkie, każdy po swojemu. Ten usiłuje udawać ogromną świątynię z kolumnami, tamten puszcza się na pretensjonalne dekoracyjki z różnokolorowej cegły, inny wreszcie jest ostentacyjnie geometryczny, w stylu wczesnego Le Corbusier. W którymś punkcie dostrzegłem nawet ogromne, szerokie, ośmiopiętrowe gmaszysko, usiłujące utrzymać się w klasycznym stylu chińskim: pozadzierało rogi swego dachu z zielonożółtej dachówki. Jest szczególnie odpychające, jak ciężki, czterdziestoletni babszyl, udający podlotka.

Ruch ogromny. Na alei Sun Jat-sena, między wieżowcami i Wampu dwa nieustanne sznury samochodów. Dzwonią tramwaje, jadą na ciężarówkach wycieczki roześmianej młodzieży. Rzeka Suczou, która wpada do Wampu w samym środku miasta wypełniona jest dżonkami jak ruchliwa ulica powozami. W tych dżonkach mieszkają, śpią, rodzą się i umierają ci, którym feudałowie chińscy i zagraniczni kapitaliści nie zapewnili „miejsca na ziemi".

Stoimy na tarasie osiemnastego piętra wieżowca u ujścia Suczou. Ogromne miasto leży przed nami jak na dłoni. Horyzont zasnuły powichrzone dymy fabryczne. Porykują parowce na Wampu, w dole buczą samochody. Hałas, ściszony dzięki wysokości, dobiega do nas już zharmonizowany w tak zwaną „symfonię wielkiego miasta".

Patrzę na dół. W szeregu wieżowców wyrwa: rozległy dziedziniec, zieleń trawników, ogródek i pośrodku niewielki, czerwonoceglasty budynek. Uderza jego spokój, jego bezruch na

tle nieustannej kotłowaniny sąsiednich ulic i rzek. Można by nazwać go podmiejskim dworkiem, gdyby nie wysoki stalowy maszt koło domu. Jest to brytyjski konsulat.

Wieje ogromny wiatr od Pacyfiku, ciężkie, nabrzmiałe od deszczu chmury przewalają się nad miastem. Na dole jest gorąco i duszno.

Z okna hotelu widzę duży, ogrodzony plac. Pewnie tutaj za czasów koncesyjnych było boisko do golfa. Na zielonej murawie kupki skoszonego siana. Kilku chłopców kopie piłkę. Przy największym stogu siana ustawiło się kilkunastu rzędem. Jeden za drugim biegną na stóg siana i zręcznie fikają na nim koziołki.

Czy mógłbym zobaczyć tak bezpretensjonalny objaw radości w kraju, gdzie lud jest nieszczęśliwy?

ZŁOTA ĆMA

Wieczorem idziemy na spotkanie z aktywem robotniczym Szanghaju. Ogromna hala za sceną. Zasiadamy na niej. Kilkunastu szefów delegacji — każdy w swoim języku — witają proletariat rewolucyjnego Szanghaju. Obdarowani wspaniałymi bukietami goździków, róż i chryzantem zajmujemy miejsca na widowni. Częstują nas herbatą po tutejszemu — zieloną. W każdym kubku na dnie szczypta zielonych listków. Smakuje trochę jak ziółka nieznanego u nas gatunku. Jest gorąca i bez cukru. Przyzwyczaić się do niej niezbyt trudno.

Program składa się z trzech części. W pierwszej fragment klasycznej opery. Cesarz chiński, aby uchronić swój kraj od najazdu koczowników, ofiaruje ich wodzowi księżniczkę za żonę.

Oglądamy dzieje podróży księżniczki, odprowadzanej do dzikiego oblubieńca przez zaufanego masztalerza. Długa jest droga z Chin do pustyń środkowej Azji — zwłaszcza, gdy odbywa się ją konno. I całą tę drogę pokazuje nam para artystów.

Masztalerz jest ubrany w lekki strój czarno-biały. Wchodzi na scenę z patykiem, na którym uwiązano parę pęczków końskiego włosia. Oznacza to, że jest na koniu. Dla zapewnienia nas o tym wykonuje ruchy przypominające podskoki chłopczyków bawiących się w jazdę konną.

Potem nadchodzi księżniczka w ciężkiej szacie ze złotolitego brokatu, spadającej aż do ziemi. Na głowie ma dwa pióra bażancie długości chyba z półtora metra. Następuje taniec. Masztalerz miota się po scenie, fika po pięć z rzędu koziołków — w powietrzu i na podłodze, robi płaskie przysiady, szpagaty, podskoki i rozkroki, chodzi na ręku, na głowie, na łokciach, tarza się, lata w powietrzu. Księżniczka z lekka przyśpiewując melodyjnym i metalicznym głosem kręci się wdzięcznie dokoła własnej osi. Te proste ruchy mają jednak niezwykłe skutki: bażancie pióra na jej głowie zaczynają dokonywać przedziwnych ewolucyj, rozchylają się — jedno w prawo, drugie w lewo, skręcają się w świdry, falują. Efekty są nadzwyczajne. I wreszcie, gdy księżniczka odwraca się plecami do widowni — staje się zrozumiała „wielka metafora" jej stroju, jej piór: powstaje wielki złotoskrzydły motyl nocny, ćma z ogromnymi puszystymi czułkami. W pewnej chwili księżniczka zwalnia swoje wirowanie, odwraca się od widowni. Ktoś w „cywilu" podaje jej szklankę herbaty. Czekamy przez minutę, aż ją wypije. Potem feeria taneczna zaczyna się na nowo.

Taniec ten, w którym fabuła była tylko pretekstem, swoją odrębnością, swoim odmierzonym zestawieniem gro-

teski ze swoistą liryką mógłby wzbudzić podziw na scenach całego świata.

Inny taniec, również z repertuaru klasycznego, to taniec wojenny. Dwa wojska. Jedno reprezentuje pięciu panów w barwnych szatach. Każdy z nich ma za plecami cztery chorągiewki. Każda chorągiewka oznacza dziesięć tysięcy żołnierzy. Krótki rachunek wykazuje, że mamy tu do czynienia z dwustutysięczną armią. Tak poważnych sił zbrojnych nie widuje się zazwyczaj na scenie. Innych pięciu nosi obcisłe czarne stroje, przypominające naszych kominiarzy, tyle że bez cylindrów.

Po chwili zostaje tylko dwóch: główny bohater i pierwszy z wrogów. Tańczą śmiertelną walkę. Symbolika jej jest bardziej zawoalowana i czasem dla nas niejednoznaczna. Tragiczne sceny, kiedy bohater, atakowany przez pancerne wozy (aktorzy, wbiegający na scenę z czymś w rodzaju okrętowego dziobu), przez grad kamieni, przez wierzgających kominiarzy, zaczyna się chwiać, pada i umowną mimiką pokazuje, że bardzo cierpi — wywołują chwilami wrażenia komiczne.

Trzeci fragment jest powtórzeniem tańca w umownej ciemności z San Cza-kou. Znów bije się para tancerzy, którzy siebie nie widzą. Bohater jest w stroju czarnobiałym, przypominającym stroje naszych księży.

Jest jeszcze chór — doskonały, lepszy od pekińskiego.

DOM KULTURY I PRZEDSZKOLE

13.X.

Jedziemy do Domu Kultury Związków Zawodowych. Ruch na ulicach regulują policjanci w białych ubiorach i kaskach typu francuskiego.

Dom Kultury mieści się w ruchliwej dzielnicy handlowej, wśród maleńkich domków, które robią wrażenie jednopiętrowych. Przy bliższym zbadaniu okazuje się, że mają tych pięter dwa i nawet trzy — tylko wysokość ich nie przekracza 1,5 — 2 metrów. Na chodnikach kosze z owocami, klatki ze śpiewającymi ptakami.

Dom Kultury był dawniej hotelem. Otwarto go przed rokiem i przez ten czas rozwinął on nielada działalność. Mieści się tu biblioteka obejmująca 50 tysięcy tomów. Jest czytelnia na 100 osób, w której zawsze pełno. Urządza się zebrania dyskusyjne. Jest kilka scen, — każda widownia liczy 400 miejsc — dla filmów i przedstawień teatralnych. 84 wykłady polityczne i naukowe wygłosili profesorowie uniwersytetu i działacze partyjni. W sumie w ciągu roku Dom Kultury zorganizował 794 imprez, które zgromadziły około 170.000 ludzi.

Prowadzi się tu koła muzyczne i teatralne — to ostatnie liczy 174 członków. Najpopularniejszy jest jednak chór. Pieśń, której się tu nauczą, roznosi się natychmiast po szanghajskich fabrykach. Organizuje się turnieje szachowe i pingpongowe. Są kursy kroju i szycia dla kobiet, połączone z wykładami politycznymi, wykładami higieny itd. 2.044 kobiet ukończyło już takie kursy.

Dzienna frekwencja waha się od 3.000 w dni powszednie do 12.000 w niedziele.

Główne zadanie Domu Kultury polega na instruowaniu klubów dzielnicowych i fabrycznych. W przyszłym roku — dzięki pomocy Domu Kultury — planuje się otwarcie 14 klubów dzielnicowych. Połowa fabryk szanghajskich, zatrudniających ponad 300 robotników, posiada już własne świetlice.

Oglądamy wielopiętrowy budynek. Wystwa poświęcona walkom rewolucyjnym szanghajskiego proletariatu — zrobiona pomysłowo i przystępnie. Bo-

haterzy tych walk. Oto portret robotnicy Cho Y-dien, która nie chcąc wydać organizatorów strajku, po aresztowaniu wyskoczyła z okna 3 piętra. Oto monter — elektryk Won Siao-cho, który zmarł podczas tortur, nie wydając swoich towarzyszy. Fotografie demonstracji, walk ulicznych, krwawej masakry Czang Kai-szeka z 1927 roku. Fotografia transparentu z ostatniej fazy wojny domowej z napisem: *US Army back sweet home.*

Trzydzieści lat trwała zorganizowana walka robotników Szanghaju, zanim nadeszło wyzwolenie. Stali bywalcy Domu Kultury uczą się dziejów ludzi, którym zawdzięczają swoje obecne wolne i pracowite życie.

Biblioteka pachnie kadzidłem. Pokazują mi maleńkie książeczki, w formie wzorowane na amerykańskich *comics'ach*. Na każdej stronie rysunki i trochę tekstu. Ale nie gangsterów, nie „wampów" przedstawiają te książeczki, tylko dzieje bohaterów wojny domowej, ochotników koreańskich, przodowników pracy. Ta sama forma — ważna wobec niezlikwidowanej jeszcze tutaj choroby analfabetyzmu — która w Ameryce jest wyrazem upadku kultury, tu staje się narzędziem jej podnoszenia. Tam opiewa się bandytów, tu bohaterów. Trudno o lepsze zestawienie stosunku burżuazji i ludu do narzędzi kultury.

Dalej — koło miłośników rysunków. Spora sala. Dwie Wenery z Milo stoją w kąciku. Stoły. Koło liczy 150 członków. Teraz zajęć nie ma, uczniowie pracują w fabrykach.

Sala kółka baletowego z dużymi lustrami, aby adepci mogli oglądać swoje pozy. Uczą się tu baletu chińskiego i europejskiego.

Kółko szachowe. Szachy chińskie różnią się od naszych. Pól jest więcej, bo 81. Figur tyle samo. Ale w tym klasycznym dotąd kraju piechoty — pionków jest tylko pięć, są dwa „działa", które chodzą po „końsku", a „strzelają" jak wieże, wreszcie jest 2 hetmanów. Także i ustawianie jest inne: rząd 1 — 9 figur, rząd 2 — dwa działa na liniach D i F, wreszcie w trzecim rzędzie piechota w rzędach od C do G.

Jest sala dla szkolących się reżyserów teatralnych — z miniaturą sceny. Sala ciężkiej atletyki i gimnastyki. Sala ping-pongu. Wszystkie są teraz puste — „urzęduje się" w nich codziennie od 13-ej do 21-ej.

Na korytarzach moc fotografii i doskonałe karykatury polityczne robione przez samych robotników.

Musimy śpieszyć się, bo nasi szanghajscy gospodarze ułożyli dla nas program pobytu niezwykle obfity. Przed obiadem musimy obejrzeć jeszcze dwa obiekty.

Jedziemy do dziecińca. Długo ciągną się przedmieścia. Chaty tutaj są budowane z osobliwej plecionki bambusowej, nie z gliny jak pod Pekinem. Ruch duży. Oddział wojska z łopatami na ramieniu, młodzi, uśmiechnięci chłopcy.

Dzieciniec mieści się w dawnej prywatnej klinice, przeznaczonej dla szanghajskich milionerów. Otwarto go w 1949 roku dla 50 dzieci. Dziś jest ich 200. Są to dzieci bohaterów pracy i sieroty, których rodzice byli zasłużonymi uczestnikami walk rewolucyjnych. Rodziny odwiedzają je raz w tygodniu.

Oglądamy dzieci przy drugim śniadaniu. Siedzą przy maleńkich stolikach i popijają kakao. Nasze przybycie wywołuje duże podniecenie: biegną do nas, obejmują nas za kolana, usiłują za wszelką cenę jakoś się z nami dogadać.

Siadamy na ich krzesełkach w „sali zebrań" i przyglądamy się popisom

tanecznym. Występują zespołami 4—5-letnie, potem 2½-letnie. Komizm tego widowiska jest niebywały. Ale spróbujcie to opisać!

Potem oglądamy sypialnie: małe łóżeczka z „prawdziwymi" mustikierami. W klasach wiszą rysunki dzieci — podobne w zasadzie do naszych. Na tablicy wiszą białe i czarne kółeczka: czy ręce dziś były czyste czy brudne. Na 33 dzieci tylko dwoje ma czarne kółka.

W innej klasie co innego: dzieci narysowały cały swój dzień w dziecińcu: pobudka, „gimnastyka", mycie się itd. Obok wykaz wydarzeń z całego tygodnia, które same dzieci uznały w czasie dyskusji za najważniejsze. Więc w poniedziałek jeden z chłopców awansował do starszej klasy, we wtorek odbył się konkurs rysunków (który zasługuje na zawieszenie w sypialni?) — w środę — wielkie porządki, w czwartek — niestety nasza wizyta...

Dzieciniec położony jest w niedużym, ale pięknym ogrodzie, z palmami bananowymi, najpiękniejszymi odmianami tui, morwą i tak dalej. Dzieci mają maleńkie grządki, które same uprawiają.

Niezbyt daleko stamtąd jest grób twórcy nowoczesnej literatury chińskiej, przywódcy „ruchu 4 maja" — Lu Sina. Pochowano go na cmentarzu o dziwnie „kosmopolitycznym" wyglądzie. Są tu groby chrześcijan — Chińczyków, Europejczyków, krzyże, kamienie zwykłe, słupki, wszelkie możliwe symbole wiecznego odpoczynku.

Składamy wieńce na grobie Lu Sina. Jest bardzo skromny. Na nagrobku tylko tyle: Lu Sin, 1881.25.IX — 1936. 19.X.

Były to czasy Czang Kai-szeka. Więcej o Lu Sinie wtedy nie pozwolono pisać.

Wracamy. Po południu odwiedzają nas przedstawiciele społeczeństwa szanghajskiego. Parę informacji: W Szanghaju jest 90 teatrów. Federacja pracowników kultury składa się z 10.000 członków, przeważnie aktorów. Do miejscowego oddziału Związku Literatów należy 300 członków.

KOMPOT Z GRZYBÓW I KONCERT NA PI - PA

Wieczorem bankiet. Kuchnia chińska jest tak osobliwa, że warto o niej parę słów powiedzieć. Tym bardziej że na jej temat kursuje u nas chyba najwięcej legend i uprzedzeń.

Oto, co nam podano tego wieczoru.

Sałatka na zimno, złożona z drobno krajanej, pieczonej kaczki (tzw. „kaczka po nankińsku"), szynki, grzybów przypominających solone opieńki, szparagów, krewetek.

Płetwy rekina z jarzynami, na gorąco, w mączystym sosie, jak u nas w tzw. „potrawce". W smaku jest to dosyć mdłe, jak rozgotowane chrząstki głowizny wieprzowej.

„Kaczka po syczuańsku" — nadziewana ryżem i pieczona. Chińczycy przyrządzając to danie osiągają dwie sprzeczne, zdawałoby się, zalety: kaczka ta jest i krucha, i tłusta. Za najsmaczniejszy jej kąsek uważana jest skórka.

Pysk rekina z prażonym ryżem. Jedno i drugie podaje się oddzielnie. Nad stołem leje się sos rekini na rozpalony, podrumieniony ryż. Powstaje sporo syku i pary. W smaku pysk rekina nie różni się od jego płetw.

Potem kura nadziewana szynką. Formą swoją przypomina rybę. *Chuejju* — ryba smażona w miodzie, nadziewana grzybami. Zupa z kury, z jarzynami. Wreszcie kompot z moreli, ziaren lotosu i grzybów.

To ostatnie danie jest najbardziej malownicze. Morele jak morele — złotawe i słodkawe, lotos jak lotos —

słodki i mączysty jak ocukrzone kulki krochmalu. Ale w kompocie dostrzegłem coś jeszcze — srebrnawe, przezroczyste krople jakby galaretki. Zapytuję, co to jest. Okazuje się, że to są tzw. „srebrne uszka" — *(in-er)* — grzyby, które nie rosną w stanie naturalnym. Hoduje się je w prowincji Syczuań w ten sposób, że polewa się pnie ściętych drzew jakiegoś osobliwego gatunku. Jak smakują? Jak galaretka ani kwaśna, ani gorzka, ani słodka, ani słona. Jedliśmy ją zresztą z całym szacunkiem, jako nielada wyczyn chińskiej sztuki kulinarnej.

Kuchnia chińska jest niesłychanie bogata. Każda prowincja mą swoje lokalne dania, każdy kucharz usiłuje w miarę możliwości wprowadzać własne pomysły do dań już ustalonych. Poza tymi potrawami, wcale nie najbardziej typowymi — jedliśmy już chyba z pół setki innych. Szczególnie smakowały nam smażone pędy bambusu. Ten sam bambus jedliśmy już i na zimno, i jako jarzynkę w potrawach.

Jednak najciekawsze danie, któreśmy próbowali, zawdzięczają Chiny mnichom buddyjskim. Któregoś dnia podano nam coś takiego czarniawo-brunatnego, w kształcie zwiniętego w rulon naleśnika pokrajanego na drobne kawałki. Próbujemy: ki licho? Ni to grecka kiełbasa z flaczków, ni to jakaś nieznana potrawa mączna. Zgodziliśmy się tylko na jedno: bardzo smaczne.

Dopiero Lu Chua-lan (która rzeczywiście mówi po polsku i była u nas jako tłumaczka z cyrkiem chińskim) wyjaśniła nam, o co chodzi. W starych, dobrych czasach mnisi buddyjscy przestrzegali jeszcze reguł postu. Ale pokusa mięsa była zbyt silna. Nie mogąc się jej oprzeć, postanowili sami siebie oszukać. Zaczęli wymyślać potrawy całkowicie jarskie, które by w smaku jak najbardziej przypominały mięso. Nie było to bardzo łatwe. Na szczęście dzięki kontemplacyjnemu trybowi życia i wstrętowi do wysiłku fizycznego mieli czas na pokonanie tych trudności. I oto rezultaty — naleśniki z mąki sojowej, przyrządzone tak, że nikt nie może poznać, że to nie z mięsa.

Dziwaczność niektórych potraw chińskich nie wypływa jednak z odrębności dziwnej, zagadkowej „duszy chińskiej" — jak to z lubością tłumaczyli zachodnio-europejscy znawcy Dalekiego Wschodu. Owszem, jedzą zupę z gniazd jaskółczych, jedzą trepangi, „morską kapustę" — rodzaj wodorostów, pędy bambusu, korzenie lotosu, „wodne orzechy" — bulwy jakiejś rośliny wodnej. Widziałem tu, w Szanghaju, w sklepie z delikatesami cały półmisek smażonych w oleju sojowym okazów *Dytiscus marginalis* — „pływaków żółtobrzeżków", znanych i u nas dużych, czarnych żuków wodnych.

Główny powód tych niezwykłości kulinarnych jest prosty i okrutny. Od tysiącleci lud chiński nawiedzały straszliwe klęski głodu. Niesłychanie urodzajne równiny chińskie pozwalały w dawnych czasach na większy przyrost ludności, niż gdziekolwiek na ziemi. Ale wystarczyło, żeby Hoang Ho wyszła z brzegów i zmieniła kierunek, a już kilkadziesiąt milionów istot ludzkich skazanych było na głód. Ani feudałowie chińscy, ani zagraniczni imperialiści nie mogli i nie chcieli walczyć z tym klęskami. Nieurodzaj w jednej prowincji stawał się przecież okazją do niebywałych zysków spekulacyjnych. Że kilka milionów ludzi umrze z głodu? Chińczycy przyzwyczaili się łatwo umierać. Taka już jest ta zagadkowa dusza człowieka Wschodu!

Pozostawiony sam sobie lud chiński bronił się jak mógł przed głodem.

W okresach nieurodzaju wypróbowano wszystkiego, co by mogło ratować od śmierci głodowej. Wykryto przy tym nieoczekiwanie zarówno rzeczy jadalne jak i najgwałtowniejsze trucizny, jak na przykład korzeń jaśminu.

Innymi słowy przyczyna niezwykłości kuchni chińskiej jest taka sama jak i przyczyna przysmaków kuchni francuskiej czy włoskiej. Właśnie w najuboższej prowincji francuskiej, w Bretanii, można zobaczyć dzieci i starców, biegnących na plaże po odpływie morza, by szukać małży, które się otwiera nożem i połyka na miejscu, bez soli, octu czy jakiejkolwiek przyprawy. Właśnie w ubogich portach włoskich jako „morskie owoce" *(frutti di mare)* zajada się ośmiornice, rozgwiazdy, jeże morskie i inne stwory, lęk budzące swoim wyglądem.

W sumie kuchnia chińska jest bardzo smaczna, pożywna i zdrowa. Tylko trzeba się do niej przyzwyczaić

Po bankiecie koncert kapeli chińskich instrumentów muzycznych. Występ solowy na instrumencie, zwanym *szen*. Jest to znany nam już flet, podobny do greckiej „syringi". Dosyć ostre, ale przyjemne dźwięki. Melodia z epoki Tan, pełna uroku, melancholijna i monotonna, trochę w nastroju podobna do „bandoskiej" pieśni naszego „Mazowsza". Nic dziwnego — to także pieśń chłopska sprzed wielu wieków.

Teraz znów pieśń „Gdy złocistymi iskierkami zapłoną gałęzie iwy" wykonana na innym flecie, podobnym do naszego.

Skrzypce o dwóch strunach *(chuciń)*. Przepiękna melodia „Samotny gęsior" — tematem jej jest rozpacz dzikiego gęsiora, który zgubił odlatujące na południe stado.

Inna pieśń, wykonana na *chu-ciń* — „Słychać ptasie głosy w dzikich górach" jest bardziej uproszczona tematycznie.

Potem usłyszeliśmy jeszcze dwa utwory na *pi-pa* — rodzaj mandoliny. Drugi w wykonaniu aż dwunastu „pipistów" budzi żywiołowy entuzjazm delegatów, którzy żądają powtórzenia.

Jeszcze jest *ditzy* — też rodzaj fletu, instrument wiejskich ślepców, chodzących po jarmarkach. Wykonana jest pieśń współczesna z prowincji Hu-Nań, opiewającą zwycięstwo rewolucji.

— Nawet ślepcy zobaczyli naszą rewolucję — komentuje Lu Chua-lan.

NOWA WIEŚ I NOWE MAŁŻEŃSTWO

14.X.

Dzień rozpoczynamy zwiedzeniem wystawy na temat reformy rolnej. Mieści się ona w ogromnym gmachu, gdzie dawniej było kasyno przy miejscowym „kanidromie", to jest polu wyścigowym dla psów.

Wystawa jest bardzo ciekawa. Niestety, Lu Chua-lan nie rozumie dialektu szanghajskiego i każde zdanie jest tłumaczone kilka razy: z szanghajskiego na pekiński, z pekińskiego na polski. Stąd nie wszystko, cośmy widzieli, dało się uchwycić i zrozumieć.

Ale cyfry są jasne. W prowincji Sunań (dawna prowincja Ksiang-Su została ostatnio rozdzielona na dwie części: Subej, na północ od Jang Tse, i Sunań, na południe od rzeki) 3% obszarników posiadało 36% całej ziemi ornej w prowincji. 50% najuboższych chłopów posiadało zaledwie 19% ziemi.

Jeden z obszarników we wsi Lun-Czua posiadał 10.000 mu ziemi. Inny zbudował sobie dwór na powierzchni 390 mu.

Feudalizm chiński doszedł do tak dziwacznych przywilejów, że na przykład ten, który potrafił zdobyć majątek przekraczający 100.000 mu — zostawał zwalniany z podatków.

Swoją drogą i u nas istniało coś podobnego. Taki np. Radziwiłł z poleskiego Stolina, mając kilkaset tysięcy hektarów ziemi, również nie płacił podatków pod pretekstem, że są zbyt wysokie. I nikt mu nic przez całe lata nie zrobił.

Chłopi chińscy dusząc się na swoich skrawkach ziemi musieli przy lada niepowodzeniu zaciągać pożyczki. Szli do obszarnika. System procentów pomyślany był tak, że w praktyce spłata ich trwała latami. Jednym ze sposobów spłaty była np. odróbka na polach obszarnika, zapewniająca bezpłatną w gruncie rzeczy siłę roboczą.

Co lepsze, zdychający z głodu chłop — niby posiadacz paru mu ziemi — nie mógł ziemi sprzedać. Wynikało to stąd, że obszarnik często zmuszał chłopa, by ten płacił procenty długu dolnymi warstwami (!) swego gruntu. Innymi słowy — chłopu na własność zostawała górna, uprawna warstwa gruntu, natomiast wszystko, co było głębiej — należało do obszarnika. Takiej ziemi chłop sprzedać nie mógł bez zgody posiadacza warstw dolnych, obszarnika.

Czym ten ustrój różnił się od najdzikszych czasów pańszczyźnianych w Europie? Tylko jednym: chłop, nie mogąc wyżyć na swoim skrawku ziemi, nie mogąc jej sprzedać — mógł jednak rzucić ją na pastwę obszarnika — i uciec po prostu do miasta. Proces ten rozwijał się za czasów Kuomintangu dosyć szybko i przynosił podwójną korzyść ówczesnych panom Chin. Obszarnik powiększał swoje grunty, fabrykant otrzymywał coraz liczniejszą armię nędzarzy, którzy szli do pracy w jego zakładach godząc się na najgorsze warunki.

Oglądamy „techniczne" szczegóły tego przemyślnego syst-mu ucisku. Zakres możliwości obszarnika był szeroki: od drobnego oszustwa, aż po najdzikszy terror. Tu na przykład stoi zwykła beczka. Nie od razu się połapiesz, że ma ona dno podwójne. Zboże pożyczane mierzyło się beczką z podwójnym dnem, oddawane przez chłopów sypano po wyjęciu tego dna. Ile zarabiano na tym oszustwie? Może dwa, może pięć procent. Ale, jak powiedział ten, co dla pięćdziesięciu groszy zamordował: — Tu pięćdziesiąt groszy, panie sędzio, tam pięćdziesiąt groszy i jakoś się żyje!

Żyło się niezgorzej tym panom obszarnikom. Oto meble ziemiańskie gdzieś z okolic Szanghaju. Kilka starych przepięknych stołów i parawanów z laki chińskiej, trochę starej porcelany. Ale i tutaj dotarły ideały piękna mieszczucha niemieckiego — fajansowe damy, nagie ale z bujnymi fryzurami, gipsowe złocone jelenie itp. Na osobnej półeczce kolekcja fajek z kości słoniowej do palenia opium.

Wysoko cenił sobie chiński feudał ten sposób życia. Na straży jego przywilejów stało nie tylko państwo. Rozchybotany przez samych feudałów aparat państwowy nie zawsze mógł z dostateczną siłą wspierać panowanie obszarnika nad wsią, gminą, powiatem. Bardziej przedsiębiorczy panowie montowali sobie podręczny aparacik władzy, na własny użytek. Mieli na podorędziu paru rzezimieszków, uzbrojoną służbę, czasem nawet prywatne więzienie. Oglądamy fotografie i makiety takich więzień, izb tortur, dworów, które były zarazem twierdzami. Oto broń, używana przez takich lokalnych despotów — od najbardziej średniowiecznych samopałów, aż po najnowsze „steny".

Proces przekształcania się obszarników we władców regionalnych zbiegł się z innym. Przywódcy szajek bandyckich, sadowiąc się w odleglejszych okolicach kraju zwolna zdobywali sobie grunty rolne, zapędzali chłopów do obróbki, przekształcali się w obszarników. I nie wiadomo — czy obszarnik był raczej bandytą, czy bandyta obszarnikiem.

A czy ewolucja zawodu businessmana i gangstera w Ameryce nie posiada cech podobnych? Czy ten i ów handlarz, chcąc zniszczyć konkurenta nie używa zbrojnej pomocy gangstera? Czy gangster, któremu się powiodło, nie próbuje zafiksować swojej nowej rangi społecznej zdobywając *puby, drug-story,* nocne lokale i nie przybiera maski „uczciwego" businessmana?

Upadający ustrój społeczny powoduje wszędzie te same zjawiska — rozkład aparatu państwowego i wyrastanie lokalnych despotów na bezprawiu, przemocy, zbrodni. Sala, obrazująca los chłopa przed reformą. Szałasy z trzciny, służące za mieszkania. Najprymitywniejsze kije do uprawy ziemi. Fotografie wygłodzonych dzieci. Dokument, kwitujący sprzedaż córki do domu obszarnika. Matka z czaszką syna.

I oto druga część wystawy: reforma.

Została ona przeprowadzona nie jako coś narzuconego z góry. Wielka akcja uświadamiająca, która ją poprzedziła, podniosła poziom polityczny mas, wyzwoliła ogromne siły społeczne chłopstwa chińskiego.

Na terenie prowincji Sunan, gdzie reforma w zasadzie jest skończona — przeprowadzono ogromną ilość zebrań, na których mieszkańcy wsi oskarżali swoich obszarników. Tu na przykład widzimy serię fotografii z jednego takiego zebrania. Oskarżony musiał być bardzo znany w okolicy — był to bowiem okrutnik niezwykły nawet pośród chińskich feudałów, mający na sumieniu kilkanaście zwykłych morderstw. Na zebranie przyszło 45 tysięcy ludzi!

Ogółem w takich zebraniach wzięło udział w samej tylko prowincji Sunan około 10 milionów ludzi, czyli prawie cała jej ludność wiejska.

Ziemię zabraną obszarnikom dzieliły lokalne komitety reformy rolnej. W wyniku reformy najbiedniejsze chłopstwo otrzymało około 40% ogólnego areału prowincji. Rozdzielono między chłopów 23.566 sztuk bydła, wiele budynków, narzędzi rolnych, zboża. Wynik reformy — wzrost stopy życiowej chłopa. Wzrost jego świadomości politycznej, jego aktywności. Po reformie na przykład ilość członków Związku Chłopskiego wzrosła z 30% ludności prowincji wiejskiej do 4.500.000 czyli do 43,3%.

Na koniec jeszcze kilka fotografii. Oto nędzna chatynka z bambusu i słomy, ocieniona bambusowym gaikiem. Ta sadyba i jeden mu ziemi — to był cały majątek pewnej rodziny chłopskiej. Dwadzieścia lat temu obszarnik zabrał tej rodzinie ziemię nie uciekając się nawet do zwykłego pretekstu, że nie zapłaciła procentu. Po prostu — bo mu się tak chciało. Rodzina tułała się po norach ludzkich w Szanghaju. Wszelkie próby odwołania się do sprawiedliwości zawiodły. Członkowie rodziny stopniono wymierali. Została staruszka-matka, która przeżyła śmierć męża i dzieci, i doczekała się władzy ludowej.

Oto ona. Chyli się nad tą swoją ziemią, wbija kołek z hieroglifem swojej rodziny, której już nie ma. Uśmiecha się, ale ten uśmiech jest bardziej przejmujący niż łzy, rwanie włosów, tarzanie się po ziemi. Władza ludowa może

zapewnić, że niesprawiedliwości więcej nie będzie. Ale nawet władza ludowa nie zapłaci jej za zdeptane, sponiewierane życie, nie powróci jej dzieci.

Jest i inna wystawa w tym samym budynku. Tematem jej jest nowe prawo małżeńskie.

Niewiele z tej wystawy zostało mi w głowie. To jednak straszna mordęga chodzić godzinami od jednego eksponatu, zdjęcia, wykresu — do drugiego.

Zapamiętałem tyle: przed reformą dopuszczone było wielożeństwo, kobieta nie miała prawie żadnych praw cywilnych, utrzymywał się zwyczaj sprzedawania dzieci (dziewczynek) na „służbę".

Nowa ustawa zrównuje całkowicie prawną sytuację mężczyzny i kobiety. Oczywiście i sprzedaż dzieci, i wielożeństwo są zakazane.

To ostatnie jednak nie zostało zniesione w sposób bezwarunkowy. Istnieją wyjątki. Myślę, że chiński prawodawca ludowy w tym wypadku okazał nie tylko zmysł realizmu i sprawiedliwości, ale i pewne poczucie humoru. Mianowicie stare małżeństwa wielożenne nie zostały rozwiązane. Małżonek, który miał wiele żon, musi im zapewnić dożywocie teraz, gdy się zestarzały.

Najważniejsze na tej wystawie — to jednak nie sens prawny nowej ustawy. Mamy wiele krajów kapitalistycznych, gdzie kobieta prawnie jest całkowicie zrównana z mężczyzną. Jednak tylko władza ludowa może kobiecie zapewnić równość nie tylko prawną ale i faktyczną.

Widzimy więc rozbudowany system żłobków i przedszkoli, poradnie macierzyńskie, kursy przygotowujące do nowych zawodów, działalność potężnej organizacji — Chińskiej Ligi Kobiet, która powołana jest do obrony kobiety, tam gdzie przeżytki feudalizmu nie dają się jeszcze usunąć.

Prawdziwy podziw i zazdrość wywołuje we mnie technika tej wystawy. Widzimy na ścianach chyba ze sto sporych kolorowych rysunków, bardzo przystępnie i poprawnie wykonanych przez tutejszych malarzy. Jest to w gruncie rzeczy seria kilku opowieści w obrazach. Oto dzieje dziewczyny, zmuszonej przez rodziców do poślubienia zamożnego starca. Jej losy, jej walka. Pomoc władzy ludowej i zbudowanie nowego życia. Oto inna, sierota, którą „przygarnęła" jakaś jejmość z miasta, wyzyskując następnie dziewczynę, zmuszając do najbrudniejszych zajęć. I tak dalej.

Chińczycy wykazali na tej wystawie należyte zrozumienie propagandowej roli rysunku powiązanego fabułą w pewną serię. Przykładowe, typowe historie jednej, konkretnej postaci łatwiej pomagają zrozumieć konkretny sens takiej czy innej normy ogólnej niż wielosłowne frazesy propagandowe. I tu, jak u pekińskich kolejarzy — uderza nastawienie wystawy na przystępność, na masowego widza, nie na „znawców" i „specjalistów".

PRZESZŁOŚĆ Z DYMEM POSZŁA

Po południu wyjeżdżamy na wieś. Mijamy trzy strefy Szanghaju: „europejskie" śródmieście, chińskie dzielnice handlowe, stopniowo przechodzące we wsie przedmieścia. Szosa wpada wreszcie między uprawne pola. Głównie bawełna i gaolan, trochę jarzyn. Dużo bunkrów przy szosie.

Jedna po drugiej zwarte wioski. Z daleka widać kryty słomą budyneczek i dużo flag. To tutaj.

Wchodzimy na podwórze, otoczone bambusowym, rzadkim parkanem. Pełne jest ludzi. Nasz widok wywołuje szał oklasków. Zaczynają walić ogłuszające petardy. Chór dzieci szkolnych śpiewa „Mao Tse-tung — Stalin", ale

nie bardzo może przekrzyczeć oklasków i eksplozji.

Jest to wieś Min-Cdzy, z gminy Sy Tan. Odbywa się tu dziś święto zakończenia reformy rolnej.

Siadamy na niziutkich, dziecinnych ławkach miejscowej szkoły. Nadchodzą spóźnieni chłopi, niosą maleńkie, rozkładane krzesełka bambusowe, siadają. Dzieci w czystych koszulinach. O pół metra nad ziemią scena na słupach, kryta bambusem, stół, transparent: „Zwycięsko przeprowadziliśmy reformę rolną..." Mocne słońce, duży wiatr.

Przemawia „zastępca szefa rejonu" — odpowiadający mniej więcej naszemu dawnemu wicestaroście. Sens przemówienia: reformę skończyliśmy, teraz trzeba wzmóc ruch obrony przed amerykańską agresją.

Przemawia jeszcze ktoś z władz miejscowych: — Nasza wieś ostatnio cztery razy była niszczona doszczętnie, dwa razy przez Japończyków, dwa razy przez Kuomintang. Nie pozwolimy więcej niszczyć jej nikomu!

Następuje punkt kulminacyjny. Dwóch młodzieńców ciągnie ciężki worek. Obok sceny z trudem robi się w tłumie wolne miejsce. Z worka sypią się kartki papieru, pełne czarnych hieroglifów i czerwonych stempli podpisów. To są dawne prawa własności, zobowiązania dłużnicze, weksle obszarników, baza „prawna" gospodarczej i społecznej niewoli mieszkańców Min Cdzy.

Ktoś zapala zapałkę. Tłum napiera. Jak w dramatycznym momencie meczu bokserskiego wszyscy wstają, żeby lepiej widzieć. Jest cicho.

Poryw wiatru, zapałka gaśnie. Westchnienie biegnie przez tłum, jakby te parę sekund zwłoki mogło zahamować lub odwrócić bieg historii.

Tym razem pierwszy papierek się zapalił. Blade w tym oślepiającym słońcu płomyki wolno przeskakują z jednego papierka na inny. Papier jest gruby, niechętnie ulega płomieniowi. Ludzie zaczynają się niecierpliwić, kilku naraz wyciąga zapałki, ten zaczyna dmuchać, ów rzuca garściami pożółkłe dokumenty na wzmagający się ogień.

Dym, okrzyki. Z estrady młody nauczyciel wiejski cienkim głosem rzuca raz po raz hasła. Dzieci pierwsze zaczynają je podchwytywać, ich donośny chór zagrzewa starszych.

Palą się papierzyska i tłum skanduje: odeprzemy Amerykanów, podniesiemy wydajność rolną, zniszczymy wrogie agentury, zapewnimy szczęśliwą przyszłość dzieciom. Niech żyje przewodniczący Mao, niech żyje Stalin!

Hałas rośnie. Przy każdym okrzyku tłum wznosi do góry pięści i małe chorągiewki na bambusowych rózgach. Dzieci biegają.

Jeszcze nie dopaliły się resztki przeszłości, a już z estrady zaczynają wywoływać nowych właścicieli ziemi w Min Cdzy. Jeden po drugim wychodzą z tłumu starcy z rzadkimi bródkami, onieśmieleni uwagą tylu ludzi młodzieńcy, kobiety, staruszki. Po drabinie włażą na scenę, otrzymują duży, żółtawy papier, ściskają ręce przedstawicielowi władzy ludowej.

Papierzyska przed sceną dopalają się. Czatujemy na staruszkę, która właśnie otrzymała swój przydział. Dałbym jej osiemdziesiątkę — tyle zmarszczek na jej wychudłej twarzy, tak szczuplutkie są jej brązowe, wąskie dłonie o długich palcach.

Ma lat 59, nazywa się Ma A-ctzyn. Na kawałku ziemi równym $5^1/_2$ mu żyli w sześcioro: ona, syn z synową i troje wnucząt. Głód. Chatę spalili Japończycy. Mieszkali potem w szałasie ze słomy.

Po reformie dostała jeszcze 4 mu. No, żyje teraz lepiej. Uprawiają bawełnę, fabryki płacą uczciwą cenę. Oczywiście, do raju daleko, ale zawsze...

Oglądamy jej akt nadania ziemi. Duży arkusz, żółtawy rysunek przedstawiający płody rolne — bawełna, kukurydza, ryż. Czeka, aż się przypatrzymy hieroglifom, potem szybkim ruchem bierze papier, chowa w zanadrzu.

U In-zia jest dosyć młody, ma lat 29. Nie ożenił się. Czemu? Przed reformą miał 1,30 mu ziemi. Gospodarowali we dwójkę z matką. Dostał teraz 2,5 mu ziemi, która przedtem należała do obszarnika. Czy ożeni się teraz? U In-zia zamyśla się; to pytanie, które by u nas wywołało co najmniej chichot, jest dla niego przedmiotem poważnego namysłu. Może i ożeni się, odpowiada wreszcie. Jeśli będzie dobry urodzaj... W najgorszym razie będzie dorabiał rąbaniem drew.

Zakończono wydawanie aktów własności, dopaliły się stare papierzyska, dzieci biją pałkami po popiołach, silny wiatr znad Pacyfiku rozwiewa ostatnie szczątki przeszłości.

Na estradzie sołtys wiejski, U Siao-ke. Wytycza on główne zadania, stojące dziś przed mieszkańcami Min Cdzy.

„Pierwsze zadanie: walczyć z agresją amerykańską, pomagać Korei. Będziemy dalej zbierać fundusze na zakup samolotów i dział. Jeżeli ta sprawa pójdzie dobrze, wszystko będzie dobrze, pójdziemy naprzód, będziemy budować swój kraj.

Drugie zadanie: musimy się organizować, bo w jedności siła. Bronić swego kraju.

Trzecie: podnieść produkcję. Podnieść jakość nasion bawełnianych. Kupować je w kooperatywach. Organizować się w kooperatywy.

Czwarte: podnieść kulturę. Rozbudować szkoły wieczorowe. Uczyć się polityki i kultury.

Piąte: walczyć o dalszą demokratyzację Chin. Idziemy słuszną drogą, ale czeka nas robota tak gigantyczna jak budowa Wielkiego Muru; ułożyliśmy dopiero pierwsze cegły. Musimy pamiętać, że kiedyś będziemy budować socjalizm i komunizm".

Hasła, oklaski, wszyscy razem śpiewają „Mao Tse-tung — Stalin". Słońce się zniża, niebo bez chmurki, tylko wiatr dmie, potężny i ciepły.

Kierownictwo zaczyna nas podpędzać do maszyn: Podobno w pobliskiej prowincji Czecdzian szaleje tajfun i według ostatniego komunikatu kieruje się na Szanghaj.

W Min Cdzy liczą się z jego nadejściem, ale planują mimo to zabawę. O siódmej wieczór przyjdą do nich delegaci z sąsiednich wsi. Projektuje się występy tancerzy, śpiewaków i tak dalej. Przeklinamy tajfun — było by ciekawe obejrzeć taką zabawę wiejską.

Tłum jeszcze stoi. W trzech jego punktach trzy kapele, złożone z bębnów dużego i małego oraz „talerzy". Rżną na całego podniecający rytm *Jang-ko*. Jednocześnie huczy śpiewem głośnik radiowy. Kuba przysłuchuje się uważnie dwunastoletniemu może bębniście, a potem daje mu znaczek FDJ. Ten chwyta znaczek i jeszcze mocniej zaczyna walić.

Wychodzimy. Zaraz za szkołą pola rudziejącej bawełny. Trochę zieleni na miedzy, ale to nie grobowiec, to bunkier. Budowali je głównie kuomintangowcy dla obrony przed komunistami. W niektórych z nich mieszkają teraz bezdomni.

W SZANGHAJSKIEJ ORZZ

15.X.

Delegacje rozdzielono „resortowo". Wybrałem się z naszym związkowcem do tutejszej ORZZ.

Mieści się ona na wybrzeżu Wampu. Robotnicy Szanghaju mają swoją siedzibę w dużym budynku, jednym z serii wieżowców, nie najbrzydszym. Mieścił się tu niegdyś bank.

W sali konferencyjnej portrety Marksa, Engelsa, Lenina, Stalina i Mao Tse-tunga. Wita nas zastępca przewodniczącego szanghajskiej ORZZ, tow. Czi. Jest to młody człowiek, o przyjemnej, otwartej i rozumnej twarzy. Referuje nam pokrótce dzieje walk szanghajskiego proletariatu, tego najliczniejszego i najbardziej bojowego oddziału chińskiej klasy robotniczej. Jest duszno, przez otwarte okna dudni aleja Sun Jat-sena, najruchliwsza arteria Szanghaju, porykują statki na Wampu.

— Ruch robotniczy w Szanghaju — mówi Czang Czi — rozwinął się szczególnie po utworzeniu chińskiej partii komunistycznej. W latach 1925—27 było tu około 400 związków zawodowych, skupiających 800 tysięcy robotników. Przewodniczącym Związków Zawodowych Szanghaju był wtedy Li Li-san, obecnie przewodniczący ogólnochińskiej Rady Związków Zawodowych.

Po zdradzie Czang Kai-szeka ruch trochę osłabł, związki przeszły na robotę nielegalną, ale pracowały przez cały czas. W 37 roku, po wybuchu wojny z Japonią, nastąpił nowy wzrost ruchu. W pierwszym okresie robotnicy Szanghaju brali bezpośredni udział w walce zbrojnej. Samych drukarzy poszło na front około tysiąca, inne związki także utworzyły własne oddziały zbrojne.

Japończycy okupowali jednak Szanghaj mimo kilkutygodniowej bohaterskiej obrony miasta. Proletariat Szanghaju stanął wówczas na czele ruchu oporu.

Oczywiście, nie można było pracować legalnie. Tworzono różne organizacje, będące przykrywką roboty związkowej — np. Towarzystwo Pomocy Wzajemnej lub tzw. Związki Ziomków, jednoczące niby wszystkich robotników, wywodzących się z tej samej prowincji.

Japończycy próbowali i to zdławić, ale nie dali rady. Jednym z celów ludności było zmniejszenie wydajności pracy. Na przykład w obecnych zakładach włókienniczych Nr 12 produkcja tkalni spadła od 40 metrów wykonywanych podczas jednej zmiany przez jednego ostrych represji robotnicy transportu robotnika — do 20 metrów. Mimo miejskiego i użyteczności publicznej często przeprowadzali strajki.

Po kapitulacji Japonii proletariat tutejszy liczył na to, że do Szanghaju wejdzie armia rewolucyjna i przeprowadził akcję zabezpieczenia maszyn w fabrykach przed zniszczeniem przez Japończyków.

Ale przyszedł Kuomintang. Do miasta napłynęło dużo towarów amerykańskich i wiele zakładów przestało pracować. Robotnicy Szanghaju stanęli na czele walki z imperializmem amerykańskim i kuomintangowską reakcją.

Walka z Kuomintangiem zaczęła się od haseł ekonomicznych: chcemy pracy, chcemy uruchomić cały nasz przemysł!

— Hasła ekonomiczne! — myślę sobie. Oczywiście, ekonomiczne i w formie i w treści. Ale jednocześnie uderzające w jakże ważny punkt polityczny! Czang Kai-szek — marionetka amerykańska — nie mógł powstrzymać zalewu rynku szanghajskiego przez amerykańską tandetę. Ale ten zalew uderzał przecież w rzemieślników Szanghaju i w część średniej a nawet wielkiej burżuazji. Klasa robotnicza, rozpoczynając walkę o pełne uruchomienie szanghajskiego przemysłu, uderzała w społeczną bazę Kuomintangu, pogłębiała tarcia i konkurencję poszczególnych grup burżuazyjnych, nieodłączną od samego ustroju kapitalistycznego, obejmowała polityczne kierownictwo prawdziwego narodowego frontu walki z imperializmem. Wybór tego pierwszego uderzenia wskazywał na polityczną dojrzałość partii chińskiej. Błędy i klęski lat 25—27 nie poszły na marne.

— 19 września 1945 roku — ciągnie Czang Czi — przyjechał do Szanghaju wysłannik amerykańskich imperialistów, admirał King. Kuomintangowscy lokaje chcieli go hucznie powitać. Byli na tyle głupi, że zgłosili się i do robotników, prosząc o przysłanie pięciuset delegatów.

— Plan ten wykonaliśmy w 10.000%— uśmiecha się Czang Czi. — Przyszło 50.000 robotników, manifestując bardzo hucznie przeciw amerykańskim planom ujarzmienia Chin.

Fala demonstracji szybko rosła. 10.000 metalowców żądało uruchomienia fabryk. 50.000 robotników z 48 zakładów przemysłowych otoczyło miejski komitet Kuomintangu, żądając pracy.

Oczywiście prowodyrzy kliki Czang Kai-szeka ani nie mogli, ani nie chcieli przeciwstawiać się powodzi towarów amerykańskich. Zbyt wiele zarabiali na spekulacji tymi towarami. Bezrobocie rosło.

Rozpoczęła się akcja bojkotu towarów amerykańskich. 9 lutego 1947 roku sprzedawcy wielkich magazynów zwołali wiec. Policja napadła na zebranych. Było wielu rannych. Jeden robotnik, Lian Żen-da, został zabity. Wywołało to ogromne wzburzenie w mieście. Wdowa po zabitym odrzuciła odszkodowanie pieniężne, ofiarowane jej przez Kuomintang. Zorganizowano dla niej zbiórkę publiczną.

Walka zaostrzała się coraz bardziej. W kwietniu 48 roku policja aresztowała ponad 200 związkowców, zwłaszcza w miejskiej elektrowni. Wielu aresztowanych z Wan Hsian-chy na czele, zostało rozstrzelanych we wrześniu tegoż roku.

Ruch walki z Kuomintangiem rozszerzył się w tym okresie na coraz to nowe środowiska. 29 stycznia 1948 studenci urządzili wielką demonstrację na dworcu. W dwa dni później tancerki z nocnych lokali zdemolowały wydział opieki społecznej Kuomintangu. 2 lutego wybuchł strajk w zakładach włókienniczych, zatrudniających 7.000 robotników. Policja zaatakowała fabrykę. Doszło do zbrojnego starcia, kilku zabito, stu zostało rannych, siedmiuset aresztowano.

Jeszcze w lutym 1949 roku, podczas wielkiego strajku tranportowców, aresztowano kilku przywódców związkowych i trzech spośród nich rozstrzelano.

27 maja 1949 roku Szanghaj został wyzwolony. W ostatnich dniach przed wyzwoleniem przeprowadzono wielką akcję ochrony maszyn i surowców przed zniszczeniem czy ewakuacją przez Kuomintang. W tym celu stworzono 55-tysięczną milicję. 70 procent stanowili robotnicy, reszta — studenci, urzędnicy itd.

W trzy dni po wyzwoleniu zwołano delegatów robotniczych i odtworzono miejską Radę Związków Zawodowych— tymczasową, dla przygotowania kongresu.

Dopiero 7 lutego 1950 Rada została utworzona ostatecznie.

Pierwsze jej zadanie polegało na jak najszybszym zorganizowaniu mas robotniczych. W momencie powstania Rady Związki liczyły 670.000 członków. Obecnie jest ich 990.000. Można powiedzieć, że 90 proc. pracujących Szanghaju jest obecnie zrzeszonych w Związkach. Na ogólną liczbę 520.000 robotników przemysłowych — 99 proc. należy do Związków.

Związków branżowych Szanghaj liczy w tej chwili 23. Najliczniejszy — to włókniarze, których jest około 200.000. Dokerów jest 120.000, metalowców — 85.000, pracowników handlowych — 180.000.

W pierwszym okresie po wyzwoleniu kuomintangowcy bombardowali miasto wielokrotnie. Robotnicy zorganizowali drużyny obrony przeciwlotniczej. Jedna z robotnic otrzymała tytuł bohaterki walki z bombardowaniem. Po stworze-

niu lotnictwa ludowego Kuomintang zaprzestał nalotów.

Pozostały inne kłopoty. Przemysł Szanghaju zależał od zagranicznych surowców. 60 proc. bawełny dla zakładów włókienniczych Szanghaju przywożono z Indii i Ameryki. Blokada amerykańska miała na celu sparaliżowanie najważniejszej gałęzi przemysłu miasta.

Ale władza ludowa zmobilizowała chłopów. W ciągu dwóch lat produkcja bawełny w okolicach miasta wzrosła ogromnie. W tym roku przemysł nasz nie tylko pracuje normalnie, ale osiągnął już przedwojenny poziom produkcji.

Proletariat Szanghaju bierze aktywny udział w akcji pomocy Korei. 4 marca br. urządzono demonstrację, w której wzięło udział ponad 660 tysięcy samych robotników. W milionowym pochodzie na 1 maja szło 800 tysięcy robotników.

Ponad 10.000 robotników Szanghaju poszło do szkół wojskowych, aby wzmocnić obronność ojczyzny. Ochotniczo zgłosiło się na wyjazd do Korei przeszło 900 szoferów i około 1200 pracowników służby zdrowia. 1.850.000 robotników i ich rodzin podpisało Apel o Pakt Pięciu Mocarstw. 70 proc. robotników podpisało zobowiązania patriotyczne. Rozwija się coraz silniej ruch dozbrojenia wojsk ochotniczych w Korei. W ciągu trzech miesięcy zbiórki na 50 samolotów odrzutowych zebrano 37 miliardów 900 milionów juaniów. Na dzień 1.X zbiórka osiągnęła już 45 miliardów, tj. 60 proc. przewidzianej sumy. Pieniądze te płyną z zapłaty za wykonywany z nadwyżką plan produkcyjny.

Rozwija się ruch racjonalizatorski. W ciągu 8 miesięcy tego roku zgłoszono 6.393 propozycji. Między innymi wynaleziono technologię produkcji balonów na kwas fosforowy, sprowadzanych dotąd z Ameryki za drogie pieniądze. Buduje się teraz własną fabrykę tych balonów.

Wzrosła wydajność pracy. Przed wyzwoleniem średnia produkcja na dobę przędzy bawełnianej wynosiła z jednego wrzeciona 0,65 funta, przed rokiem równała się 0,84 funta, teraz zaś osiągnęła 1,24 funty. Jest to produkcyjny rekord naszego kraju.

W ramach współzawodnictwa pracy wezwanie mukdeńskiej brygady metalowców Ma Chyn-czana podjęło w Szanghaju ponad 970 brygad.

Obserwujemy ogromny pęd robotników do nauki. Uczą się z entuzjazmem. Około 110 tysięcy uczy się obecnie, nie porzucając produkcji.

Dużo mamy do zrobienia, jeżeli chodzi o opiekę społeczną. 674 przedsiębiorstwa, z których każde zatrudnia ponad 100 robotników, mające razem około 300 tysięcy pracowników, objęte są ustawą o ubezpieczeniu przed bezrobociem. Mniejsze zakłady mają umowy zbiorowe.

Rada przystępuje do tworzenia sanatoriów i domów wypoczynkowych. Na razie są tylko dwa takie domy, oba w Hanczou. Spędziło już tam urlop 1400 przodowników pracy.

Stworzyliśmy pewną sieć żłobków przy zakładach pracy — na razie 103 o 4.837 łóżkach i 7.142 miejscach. Są one głównie przy zakładach włókienniczych, bo tam dużo robotnic.

Czego nam brak? Brak doświadczenia, brak wyszkolonych kadr. Dużą robotę zrobiliśmy, więcej jeszcze zostało do zrobienia.

Czang Czi kończy prośbą o krytykę tego, co widzimy, i wskazówki praktyczne. Dziękujemy mu serdecznie. Wychodzimy. Upał straszliwy, niebo bez cienia chmurki, wiatr znad Pacyfiku. Tajfun, który nas wczoraj wypłoszył z Min Cdzy, jakoś się rozwiał.

OD NAJLŻEJSZEGO DO NAJCIĘŻSZEGO KALIBRU

Po południu idziemy do fabryki żarówek. Jest niewielka, ma własną hutę, gdzie wydmuchuje się szklane gruszki i kilka warsztatów, doprowadzających te gruszki do skończonej formy żarówkowej. Huta nie jest zmechanizowana, robotnicy zanurzają długą rurę w rozżarzonej masie szkliwa i potem dmuchają, obracając miarowo rurę, aż z garści czerwonej masy powstanie wydłużona praforma żarówki. Pracują parami lub pojedynczo. Pary mają wydajność pracy wyższą o jakieś 15 proc. od pracujących pojedynczo.

Dalsze stadia pracy są częściowo zmechanizowane. Oglądamy szeregi agregatów huczących, świszczących, rozedrganych od pośpiechu. Maszynka, która tnie druciki, pokrzykuje coś, co brzmi z francuska „dramatique, dramatique, dramatique". Obsługują te maszyny prawie wyłącznie kobiety.

W świetlicy fabrycznej kilka transparentów: „Uczmy się u grupy Ma Tanczan!", „Precz z kontrrewolucją!". „Pamiętajcie o zobowiązaniach patriotycznych!" „Będziemy pomagać Korei"! „Łączmy się w ruchu oporu przeciw amerykańskiej agresji!"

Gazetka ścienna: na czarnej, szkolnej tablicy kolorowymi kredkami wypisano kilka artykułów. Są też rysunki. Przed kilku dniami Stalin udzielił wywiadu korespondentowi „Prawdy" na temat doświadczeń z bombą atomową w ZSRR. Gazetka fabryczna zareagowała na to znakomitym rysunkiem, którego mogłoby pozazdrościć niejedno nasze pismo.

Przedstawiają nam młodziutką dziewczynę. Nazywa się Ma Aj-ciń, ma lat 22 i jest przewodniczącą tutejszej Rady Zakładowej. Wybrano ją $2^1/_2$ roku temu, od razu po wyzwoleniu. Nie jest zadowolona z sytuacji: dotąd nie udało się stworzyć żłobka fabrycznego, choć robotnice stanowią 60 proc. ogółu zatrudnionych. Pracuje tu przeważnie młodzież — najstarsza ma 36, najmłodsza 16 lat. Poza żłobkiem jednak sprawy mają się nieźle, produkcja w ostatnim roku wzrosła o 60 proc. W fabryce jest bardzo czysto. Miny robotników doskonałe. Na 200 zatrudnionych jest 6 przodowników pracy.

Ma Aj-ciń jest prawie po dziecinnemu wesoła i bezpośrednia. Otoczyli ją kołem delegaci kilkunastu narodów, ale ani śladu tremy po niej nie widać. Jest córką szanghajskiego robotnika.

Co by chciała przekazać robotnikom polskim?

Z całego serca życzy, żeby chińscy i polscy robotnicy stanowili jedną rodzinę. Żeby w Polsce myślano często o robotnikach chińskich. Żeby pomagano wskazówkami i krytyką. Serdeczne pozdrowienia dla kobiet a zwłaszcza dzieci polskich!

To nie przypadek, że ona właśnie jest przewodniczącą Rady Zakładowej. Sekretarzem organizacji partyjnej — członkiem partii od 50 roku — jest Bao Chej-wen, także dziewczyna, także córka robotnika, ma lat zaledwie 23.

Nasz młodzieżowiec, przejęty rolą, którą w tej fabryce grają jego rówieśnicy, koniecznie chce się sfotografować z obiema dziewczętami. Ale już się trzeba zabierać, musimy zobaczyć dziś jeszcze jedną fabrykę, cięższego kalibru. Ledwo zdążył się ustawić, musimy jechać.

Tym razem są to wielkie zakłady mechaniczne, daleko za miastem. Duże baraki, kryte papą albo sfalowaną blachą. Jeden z największych — to świetlica.

Witają nas — dyrektor fabryki, sekretarz organizacji partyjnej i przewodniczący rady zakładowej.

Krótkie dane: zakłady stworzyli Amerykanie w 1947 roku — dla wyrobu najprostszych maszyn rolniczych. Zakłady przynosiły duży deficyt. Wartość pro-

dukcji stanowiła ledwo 10 proc. jej kosztów. W końcu maja 49 roku, tj. zaraz po wyzwoleniu, fabrykę upaństwowiono i zreorganizowano. Zamiast tak „skomplikowanych" narzędzi jak sochy i brony produkuje się obecnie kotły parowe dla statków, pompy dla regulacji rzeki Hoang Ho (są to największe dotąd roboty w Chinach, pracuje przy nich parę milionów ludzi — szkoda, że nie wiedzieliśmy tego wcześniej), głównie zaś matryce dla maszyn. Produkcja wzrosła bardzo wydatnie w porównaniu z czasami Kuomintangu i rośnie coraz bardziej. W roku bieżącym podwoi się w stosunku do roku 1950.

Obchodzimy poszczególne działy. Oprowadza nas dyrektor Tyn Chen, grubawy, w okularach. Blaszane dachy przykryto matami ze słomy — dla ochrony przed upałem. Nadchodzi wieczór. Okolica poprzecinana kanałami. Między dwoma barakami przesuwa się bez szmeru fantazyjna sylwetka żaglowej dżonki.

Dział drobnych napraw mechanicznych. Odlewnia. Parę baraków, wypełnionych tokarkami, wiertarkami i innymi przemyślnymi maszynami. Czytam napisy: Cincinnati, USA, Japonia, Anglia. Dzień pracy się kończy; 40 proc robotników uczy się na kursach wieczorowych, ale sporo z nich jeszcze pracuje, obsługuje te amerykańskie, japońskie, angielskie maszyny z niebywałym mistrzostwem.

— A to... — mówi Tyn Chen i urywa.

Nowiuteńka obrabiarka. Szukamy stempla firmowego. Znajdujemy parę hieroglifów.

— Tak, to już nasze!

Z prawdziwym wzruszeniem poklepujemy świeżo wylakierowaną maszynę, głaszczemy jej boki, ściskamy ręce robotnikowi, który wykończył jej montaż.

Jedna z pierwszych obrabiarek, całkowicie wykonanych w Chinach!

Dusza przemysłu, symbol prawdziwej niepodległości wielkiego kraju. Bez takich oto maszyn cały przemysł zdany jest na łaskę i niełaskę zagranicy. A co jest wart kraj bez przemysłu, o tym Chińczycy od stu lat wiedzą doskonale.

Monter tej obrabiarki nazywa się Czang Czyn-szyn, ma lat 25. Ojciec jego jest szewcem. A on, po wyzwoleniu politycznym swego kraju, awansował do najwyższej rangi świata robotniczego.

Montował obrabiarkę przez 3 miesiące. Teraz idzie mu to szybciej.

Po tej pierwszej widzimy bowiem cały szereg innych, zrobionych tutaj. Są to duże obrabiarki uniwersalne. Jedną pakuje się na wystawę do Indii.

Swoboda, czeski tokarz - stachanowiec, wywołał tymczasem zbiegowisko w sąsiedniej hali. Przekazuje chińskim towarzyszom opracowaną przez siebie metodę toczenia stalowych wałów na szybkich obrotach. Ledwo można się docisnąć przez tłum ciekawych.

Wreszcie wracamy do świetlicy. Czeka tu na nas kilkunastu przodowników pracy.

Rozmawiamy z Czang Juan-lajem. Jest seniorem w tym świecie młodzieży, ma lat 45. Zawód — monter-mechanik.

Ojciec jego też był robotnikiem, pracował w niewielkiej olejarni, w prowincji Czecdzian.

Czang Juan - laj opowiada swoje dzieje.

W 27 roku przywiózł go do Szanghaju krewny ojca i ulokował jako ucznia w niewielkiej fabryce chińskiej. Kilkakrotnie zmieniał pracę, bo fabryczki tymczasem bankrutowały. W czasie pierwszego incydentu japońskiego, w 1931, pracował w Czapeju (dzielnica Szanghaju). Fabrykę jego zbombardowano, wrócił do ojca, pracował jako maszynista w łuszczarni ryżu. W 1934 roku jako bezrobotny znów przyjechał do Szanghaju. Wybuchła wielka wojna

japońska, fabrykę ewakuowano, wędrował za nią zrazu przez prowincję Hunań, potem dotarł aż do Junnań, niemal do granicy birmańskiej. W 1945 roku trafił tu, do zakładów, które właśnie organizowano. Z początku zarabiał blisko 200 kilo ryżu miesięcznie, potem dewaluacja sprawiła, że zarobki efektywne spadły aż do 30 kilo.

Teraz zarabia przeszło 300 kilo. Ma na utrzymaniu 7 osób. Jego stopa życiowa wzrosła ośmiokrotnie!

Losy jednego człowieka czy zwięzły kurs historii przemysłu tego kraju w ostatnim ćwierćwieczu?

Do Związku wstąpił zaraz po wyzwoleniu, jest członkiem Rady Zakładowej. Jest bezpartyjny. Dlaczego jest przodownikiem? Jego brygada wykonuje plan w 160 proc. Jak spędza czas poza pracą? No, często są zebrania produkcyjne... A poza tym, w niedziele chodzi z dziećmi na wystawy. Troje dzieci chodzi do szkoły. Za naukę się nie płaci, kosztują tylko podręczniki i pomoce szkolne.

Wychodzimy. Jest wieczór. Dym z kominów fabrycznych zabazgrał jaśniejący jeszcze zachód. Niebo powyżej jest tkliwie różowe, potem zielonkawe, potem szare. W halach przyświecają niebiesko światła neonowe. Bezszelestnie uwijają się nietoperze. Czerwony księżyc wyłazi znad kanału. Nasuwa się nań żagiel dżonki, opięty na bambusowych rejach właśnie jak skrzydło nietoperza na sztorc postawione.

U SZANGHAJSKICH WŁÓKNIARZY

16.X.

Z rana zwiedzamy zakłady włókiennicze. Po dłuższym błądzeniu wśród lichych domków bambusowych i sklepików wjeżdżamy na teren fabryczny. Elegancka piętrowa willa w kępach drzew, przed nią trawnik wielkości boiska futbolowego i ogromne, kwitnące agawy. Tu ongi mieszkał dyrektor zakładów, teraz zaś mieści się świetlica.

Witają nas dyrektor, sekretarz partii, przewodniczący Rady Zakładowej — 26-letnia dziewczynka.

Fabryka należała przedtem do grupy wysokich dostojników Kuomintangu. Znacjonalizowana zaraz po wyzwoleniu. Przed odwrotem kuomintangowcy usiłowali ją zniszczyć, ale robotnicy potrafili plany te pokrzyżować. Była później bombardowana. Szkód nie poniosła dzięki bohaterskiej postawie robotników, którzy uporali się z bombami zapalającymi.

W ciągu dwóch lat trzeba było się uporać z wieloma trudnościami. Wartość produkcji w tym czasie wynosiła 600 miliardów juaniów.

Od maja 51 roku robotnicy ubezpieczeni są od bezrobocia. W ramach ruchu walki z agresją amerykańską zebrano 100 milionów juaniów na zakup samolotów. Cała załoga podpisała Apel Sztokholmski i Berliński.

W przędzalni wydajność pracy wzrosła o 16,9 proc., w tkalni — o 29,1 proc. Zmniejszyły się odpadki — o 64 proc. w przędzalni i o przeszło 75 proc. w tkalni. Od maja do sierpnia koszta własne produkcji spadły o 1,14 proc.

Rozwija się ruch wielowarsztatowy: przeciętnie 1 robotnik na 8 warsztatów.

Fabryka dba o rozwój kulturalny swoich robotników. Po wyzwoleniu założono już bibliotekę, szkołę wieczorową, internat na 1100 łóżek, punkt pomocy lekarskiej. Buduje się szkołę dla tysiąca dzieci robotników.

Czas pracy wynosi 10 godzin. Za czasów Kuomintangu pracowano jednak 12 godzin. Dzisiaj nie można je-

szcze przejść na 8-godzinny dzień pracy, bo są ogromne zamówienia i brakuje kadr. Szkoli się teraz nowy narybek, by jak najszybciej dojść do trzech zmian i 8-godzinnego dnia pracy.

System płac: co dwa tygodnie ustala się stawki, zależnie od wydajności pracy każdego robotnika. Przy osiągnięciu przeciętnej normy dolicza się 10.000 juaniów (średnie zarobki 200—250 tys.). Jeśli robotnik utrzyma się na tym samym poziomie przez dalsze 2 tygodnie — powiększa mu się premię do 20 tys. Maksymalna premia wynosi 150 tysięcy.

Norm indywidualnych na razie nie ma.

Na ogólną ilość robotników — około 3000 — nieobecnych jest średnio 10 proc. Składają się na to głównie urlopy macierzyńskie i wyjazdy przodowników pracy na wszelakie konferencje.

Obchodzimy hale fabryczne. Są przestronne i czysto utrzymane. Dużo gazetek ściennych z doskonałymi rysunkami na tematy produkcyjne. Maszyny są w dobrym stanie, choć nie pierwszej młodości. Pochodzą z Ameryki, Anglii, Japonii. Sporo jest chińskich — zwłaszcza w tkalni. Hałas przeraźliwy.

Obok stołówka, gdzie podano już obiady pierwszej partii robotników. Posiłki wydaje się dla całej załogi. Kosztują 1700 juaniów. Dziś na przykład za tę cenę dostaną robotnicy po misce tłustej zupy, parę kawałeczków kaczki po nankińsku i sporą porcję zielonej fasolki. Ryż? Ryżu dodaje się do posiłku w dowolnej ilości.

Trochę na uboczu, z dala od fabrycznego kurzu, mieści się żłobek. Około setki karmiących matek lokuje tu swoje pociechy idąc do pracy. Dzieci są karmione trzy razy w ciągu zmiany. W tej chwili kilkanaście czarnowłosych niemowląt tuli się do matczynych piersi. Pielęgniarki w śnieżnobiałych chałatach odbierają dzieci już nakarmione, niosą za przegódkę, gdzie nawet matkom „wstęp wzbroniony".

Jeszcze w hali krosien. Tu sporo chorągiewek przodowników pracy. Przez parę minut rozmawiamy z Han Pei-lan, 24-letnią brygadierką. Ojciec jej pracuje w banku. Za czasów Kuomintangu wyrabiała w najlepszym wypadku 36—38 jardów, bo „nie chciała się wysilać". Jedna trzecia tego była brakowana. Po wyzwoleniu wyrabia 40 — 45,5 jardów. Braki spadły do 0,1 proc. Czterokrotnie uzyskała przechodni czerwony sztandar. W zeszłym roku była na święcie rewolucji w Pekinie i widziała Mao Cuszi. Słuchając jego przemówienia o potrzebie nowych kadr, stworzyła brygadę, która, jako zobowiązanie patriotyczne, podjęła się wyrabiać na zmianę 44,75 jardów przy braku nie większym niż 1 proc.

Młodzieżowiec nie wytrzymał i wręczył Han Pei-lan znaczek zetempowski. Powstało lekkie zamieszanie, bo zaraz koło nas zrobił się tłum. Wygrzebaliśmy jeszcze kilka znaczków. Uratowali nas Węgrzy, którzy mają tego niebywałe ilości.

Obok wydeptanego mocno boiska koszykówki i prawie nietkniętego pola futbolowego wracamy do samochodów.

Po południu jesteśmy w I Szanghajskiej Fabryce Perkalu. Mieści się nad rzeką Suczou, dopływem Wampu. Suczou tutaj jest wąska, zapchana ładownymi dżonkami, jak u nas uliczka w dzień targowy.

Wchodzimy na dziedziniec. Wciśnięty między dwa budynki fabryczne mały, syntetyczny niejako ogródek. Kilkanaście karłowatych drzewek, sztuczna skała wielkości składziku i sztuczne jezioro, wielkości dużej balii. Oj, coś tu pachnie Japończykami.

Istotnie, zbudowali oni tę fabrykę w 1931 roku. W 1945 przejął ją Kuomin-

tang. Po wyzwoleniu stała się ona własnością ludu.

Nie od razu dało się ją rozkręcić. W końcu 1949 roku produkcja osiągnęła zaledwie trzy czwarte poziomu sprzed wyzwolenia, w 1950 roku wzrosła o dalsze 15 proc. I dopiero w tym roku osiągnęła ona 151,6 proc. produkcji z czasów Kuomintangu.

Zaraz po wyzwoleniu powstał Związek Zawodowy. Dzięki wzrostowi uświadomienia politycznego i słusznym posunięciom organizacyjnym fabryka liczy teraz 98 przodowników pracy pierwszej kaegorii i 130 — drugiej. W tym roku zgłoszono 49 pomysłów racjonalizatorskich, które przyniosły zakładom blisko dwa i pół miliarda oszczędności.

Poznajemy jednego z tych racjonalizatorów. Nazywa się Szen Szy-lin, ma lat 30. Jest niewysoki, pucołowaty, często się śmieje.

Ojciec — chłop bezrolny, dzierżawił niegdyś u obszarnika parę mu ziemi.

Od 13 lat Szen Szy-lin pracuje w fabryce. Za Japończyków był bezrobotny, sprzedawał graty albo handlował, wożąc towar ze wsi do miasta i z powrotem. Zarabiał do 40 kg ryżu. Po przyjściu Czanga Kai-szeka dostał się tu znowu, zarabiał około 75 kilo. Dziś zarabia trzysta kilo. Rodzina jego dostała na wsi 4 mu ziemi. Jego żona i synek mieszkają jeszcze na wsi, u dziadka. Posyła im połowę zarobku. Z reszty kupuje pożyczki państwowe, odkłada do banku, sprawia sobie ubrania.

Kiedy sprowadzi żonę? Wiecie, tu w Szanghaju z mieszkaniami...

Jest kandydatem partii.

Jego pomysł racjonalizatorski polega na wynalezieniu pewnego szczegółu na waliku maszyny farbiarskiej, co trzykrotnie podniosło produkcję. Premii na razie nie otrzymał, tylko honorowy proporczyk. Bo premię oblicza się przy końcu roku, proporcjonalnie do zysków, jakie wynalazek przysporzy fabryce.

Czy czytał jakąś literaturę techniczną? Nie, wcale. Po prostu dobrze znał maszynę, na której pracował. Jak mógł taką literaturę czytać, skoro ukończył tylko 6 oddziałów szkoły powszechnej? Owszem, wieczorami uczy się. Głównie jednak literatury politycznej, która jest podstawą wszystkiego.

Czy jest zadowolony z przemian, które zaszły? Oczywiście.

Idziemy do fabryki. Ogromne hale, skomplikowane maszyny. Pasy płótna biegają tędy i owędy, wyskakują z paszczy dwóch wałów, lecą pod sufit, zawracają, skręcają się we dwoje, przebiegają przez rynny z wodą, wpadają na setkę płonących palników gazowych i znowu do wody. Ach, ten perkal! Zaiste, jak mówią Rosjanie, przechodzi przez „ogień, wodę i trąby miedziane"! I potem nawet jest jeszcze nijaki, kremowo-biały, nadający się tylko na nocne koszuliny i gatki.

Aż dopiero dostępuje awansu społecznego w innej, jeszcze większej, ciemnawej hali, która mogłaby doprowadzić do szału twórczego malarzy-formalistów.

A więc ciemnawe tło, szare i czarne plamy maszyn. I w tym wszystkim nagle pionowy pas czerwieni, jakby gdzieś na suficie poderżnięto gardło ogromnego potwora. Zręcznie skomponowane z tym krwistym wodospadem dwa jadowicie żółte festony, koloru pośredniego między siarką a świeżą cytryną. A poza tym tu i ówdzie sterty koperkowej zieleni, atramentowego granatu, czegoś malinowego, ceglastego, brązowego.

Cóż za używanie dla kolorysty! I najważniejsze — żaden z chińskich Krajewskich (jeśli są tu tacy, czego dotąd nie stwierdziłem) nie może się przyczepić — tematyka ściśle produkcyjna!

Potem te płachty zieleni, czerwieni, granatu stają się zwolna deseniowate, nabierają przecinków, trójkącików, kwiatków, rybek, motyli, rajskich ptaszków, aż do narodowego zwierzątka chińskiego — smoka — włącznie. I już zdolne są podniecać nie malarzy-formalistów, ale modnisie z jakiegoś Nań Czanu czy Piotrkowa.

Oglądamy pracownię wzorów, przechodzimy przez wszystkie stadia produkcji, wracamy.

NIEWIELE O NOCNYM SZANGHAJU

Tyle się naoglądało filmów, naczytało książek o nocnym życiu Szanghaju, o spelunkach, gdzie się pali opium, o bezlitosnych bandytach i porwanych blondynkach, że jestem trochę niespokojny. Założę się, że po powrocie ten a ten zapyta mnie, czy paliłem opium. Jest to wybitny pisarz i moja przecząca odpowiedź nie podniesie mego autorytetu w jego oczach.

Ale rady nie ma, kłamać niesposób. Nie paliłem opium i moje nieśmiałe pytania, czy coś w tym rodzaju praktykuje się jeszcze, wywoływały reakcje różnorakie w formie — od śmiechu przez zażenowanie, aż do patetycznego oburzenia — ale całkiem zgodne w treści. Opium znikło z Chin.

Rewolucja chińska wywołała takie poruszenie w samym gąszczu mas ludowych kraju, że ta groźna choroba społeczna nie znajduje tu dziś dla siebie miejsca.

Bo to nie jakiś mistyczny „wschodni" charakter tego narodu, nie jakaś obojętność dla spraw codziennych, dla przyszłości, nie łatwość godzenia się z nędzą, cierpieniem itd. — były pożywką, na której szerzy się ten nałóg. Straszliwy, zacofany ustrój społeczny, w którym człowiek nie widział dla siebie perspektywy rozwoju — oto przyczyna palenia opium czy używania innych narkotyków. Główną zaś siłą, która „upowszechniała" to nieszczęście ludu chińskiego, był imperializm. Nie zapominajmy o wojnach opiumowych, prowadzonych przez mocarstwa zachodnie, z Anglią i Francją na czele, o wolność sprzedaży opium na terenie Chin.

Ciekawa cecha „charakteru narodowego" Chińczyków, którą trzeba było rozwijać za pomocą najazdów obcych armii!

Wieczorem ruszamy na pieszy spacer po śródmieściu. Niektóre ulice, pełne przyzwoitych sklepów i neonowych reklam przypominają jakieś Bazyleje czy Lozanny. Równie czyste. Za to nie takie nudne.

Trochę egzotyki — oto mnich buddyjski, sprzedający „ręce Buddy" — dziwaczne owoce, przypominające kolorem i zapachem cytryny, ale zakończone jakby pięcioma czy sześcioma pokręconymi palcami. Tego się nie je, trzyma się to dla zapachu.

Oto tutejsze smakołyki. Różne gatunki owoców w cukrze, orzeszków. Chiński figi — też z pestką — najpierw solone, a potem cukrzone lub na odwrót, w każdym razie łączące w smaku wszystkie wdzięki śledzia i daktyla. Solone owoce mangowca — ogromne, wielkości dłoni, rozcięte na połowę. W smaku — jak powyżej. Kasztany pieczone wprost na ulicy. Ziemne orzeszki.

O dziesiątej miasto zaczyna zasypiać. W bocznych uliczkach czynne są jeszcze tanie jadłodajnie — przy postojach rykszarzy, na rogach ulic. Sprzedaje się tutaj chińskie kołduny, smażone na oleju sojowym kawałeczki mięsa czy bambusu, placki i pierożki. Trochę uboższych sklepów z galanterią, naczyniami, owocami. Herbaciarnia dla najuboższych. Ciemna, brudnawa izba, a raczej wnęka w domu, niczym od ulicy nie osłonięta. Słaba żarówka. Rodzina właścicieli w brudnych kitlach drzemie przy kilku wiadrach z paru-

jącym wrzątkiem. Amator dostaje szczyptę zielonej herbaty na dnie kubka, zalewa się to wrzątkiem, po dwóch minutach można popijać.

Naprzeciwko grupka ludzi przy leciutkim stoliku. Grają w „walkę z amerykańską agresją" — czyli w chiński bilard. Przyglądamy się parę minut, niedostrzeżeni przez porwanych hazardem graczy.

Na ogół ludzie wydają się zadowoleni, są uśmiechnięci albo do uśmiechu bardzo skorzy. Ubrani są dobrze. Żebraków prawie nie widać. Jedyna żebraczka, która nas zaczepiła tuż przed hotelem, była wyraźną zawodówką.

Niedaleko hotelu sklep meblarski. W otwartej niszy pokazowej tapczan. Przechodzimy: ułożyło się na nim do snu troje ludzi — jeden dorosły, dwoje dzieci. Śpią niemal pod otwartym niebem, przykryci czymś w rodzaju prześcieradła.

Bo księżyc świeci jaskrawo, jest ciepło, jakby nie październikowa to była pełnia, ale czerwcowa.

TO NIE SZTUKA BYĆ U NAS DZIENNIKARZEM

17.X.

Znowu nas dzielą według specjalności. Ja, oczywiście, zgłaszam się do redakcji *Siń Weń Żi bao*, co znaczy „Dziennik nowości". Bo *Siń Weń* — to nowości, *Żi* — dzień, *bao* — gazeta.

Siń Weń Żi bao została założona w 1893 roku. Była organem angloamerykańskich kapitalistów, obliczonym na ludność chińską. W 1929 przeszła do rąk kliki Kuomintangu i przez dwadzieścia lat oscylowała między Czang Kai-szekiem a Japończykami. Obecnie jest własnością spółki akcyjnej o mieszanym kapitale prywatno - państwowym. Obliczona jest na szerokie masy bezpartyjnej ludności Szanghaju. Ma największy nakład w Szanghaju. Ile? 120 tysięcy. Z tego 80% przypada na miasto, reszta na inne ośrodki miejskie kraju, trochę na wieś.

W Szanghaju wychodzi razem 13 gazet, o łącznym nakładzie około 300 tysięcy.

Siń Weń Żi bao drukowana jest na 6 kolumnach, mieszczących 120.000 hieroglifów. „Podstawowy fundusz słowny", którym operuje gazeta, wynosi 3—4 tysiące znaków.

Jak długo trzeba się uczyć, aby móc czytać taką gazetę?

W szkole średniej 2—3 lata, w szkole początkowej 5—6 lat.

Te dane rysują nam z całą jaskrawością podstawowe trudności dziennikarstwa chińskiego.

W Chinach problem analfabetyzmu wygląda zupełnie inaczej niż u nas. Tutaj ludność nie dzieli się na tych, co umieją i tych, co nie umieją czytać. Tu są analfabeci, trzyćwiercianalfabeci, półanalfabeci, ćwierćanalfabeci.

Aby móc czytać gazetę — trzeba kilku lat nauki. Rezultat: w pięciomilionowym mieście sprzedaje się zaledwie paręset tysięcy egzemplarzy gazet.

Rozległość Chin i trudności komunikacyjne sprawiają, że terytorialny zasięg gazety jest bardzo wąski. Pekińska gazeta do Szanghaju dociera po 2 dniach, do Kantonu — po 5, do takiego np. Czung Kingu — chyba po paru tygodniach.

Ruszamy na oględziny redakcji. Nowa sensacja: nie ma linotypów! Cały skład gazety odbywa się ręcznie.

Oczywiście, a jakże ma być inaczej? Skonstruujcie, proszę, linotyp na kilka tysięcy znaków!

Sala zecerska. Kaszty jak u nas. Przy każdej pracuje dwu zecerów. Kaszta podzielona jest na trzy części. W lewej i w prawej mieszczą się zespoły hieroglifów najczęściej używanych — jest ich około 1000. Przy każdym takim

komplecie pracuje jeden zecer. Po środku mieszczą się 2—3 tysiące rzadziej używanych hieroglifów. Każdy z dwu zecerów sięga do nich w miarę potrzeby.

Częściej używane pojęcia, np. „Armia Ludowo-Wyzwoleńcza", „amerykańscy podżegacze wojenni", nazwiska znanych osobistości — zawczasu są łączone razem. Zecer chwyta całą przygotowaną grupę znaków i pakuje w skład.

Wyobraźcie teraz sobie, ile wysiłku wymaga: a) składanie, b) korekta, c) rozbieranie składu, d) pisanie na maszynie. Bo istnieje, oczywiście, taka chińska maszyna.

Ktoś z nas ją odkrył, zwołujemy się z całej hali, by obejrzeć ten dziwoląg. Redaktor z uśmiechem woła maszynistkę.

Maszyna wygląda tak: półmetrowa, kwadratowa kaszta, doszczętnie wypchana hieroglifami. Nad tą kasztą okrągły wałek, jeżdżący na kółkach w górę i w dół. Na wałku taki jakiś „chwytacz", jeżdżący w lewo i w prawo.

To jeszcze nie daje obrazu pracy na takiej maszynie. Maszynistka, fertyczna jak i u nas, bierze arkusz papieru, nawija na wałek.

A potem odbywa się „polowanie na upatrzonego". Wałek jedzie na dół, dojechał do potrzebnego szeregu poziomego. Wtedy „chwytacz" przesuwa się na lewo czy prawo, do właściwego rzędu pionowego — hops! — łapie upatrzony hieroglif, podnosi do wałka i uderza nim w papier. Potem delikatnie odstawia hieroglif na miejsce i zaczyna się pogoń za następnym.

Ile wystuka maszynistka w ciągu godziny? Zła — 600—700 znaków, dobra— do tysiąca. Strasznie mało. Co prawda, pamiętajmy, że to są nie szczątki słów, ale pełne słowa, więc, jeśli chodzi o wydajność pracy, różnica między naszą i chińską maszynistką nie jest znów tak duża.

Zecerzy pracują na trzy zmiany. Jest ich razem 78.

Organizacja redakcji jest następująca: redaktor naczelny, komitet redakcyjny, 9 działów: polityczny, ekonomiczny, kulturalno-oświatowy, międzynarodowy, „terenowy", listów od czytelników, ilustracyjny, zapasu redakcyjnego, korekty.

A oto i trzeci, związany z poprzednimi, czynnik limitujący nakład gazety. Cena egzemplarza wynosi 1000 juaniów, tj. przeszło połowę ceny posiłku w stołówce fabrycznej. Przy prenumeracie rabatu nie ma. Jest to normalna cena gazety w Chinach. Tylko centralny organ Partii, *Ży Myń Zi bao* — kosztuje trochę mniej, bo 800 juaniów.

Jak wygląda łączność z czytelnikami? Po pierwsze — sieć korespondentów, licząca około 3 tysięcy osób — więc bardzo dużo przy tak niskim nakładzie. Po drugie — tworzenie „grup wspólnego czytania" gazety. Jest ich ponad 2 tysiące, obejmują razem około 15 tysięcy osób. Wreszcie — po trzecie — gazeta prowadzi specjalny dział: „Ogród czytelników". We wrześniu gazeta otrzymała około 5 tysięcy listów. Dziennie z tego drukuje się w „Ogrodzie" średnio po 10 listów. Odpowiada się też listownie.

Raz w miesiącu redakcja gazety organizuje spotkania z czytelnikami, na których dyskutują nad gazetą, a potem oglądają seans filmowy. Przychodzi od 2 do 4 tysięcy ludzi.

Najważniejszym działem gazety jest dział ekonomiczny. Bardzo dużo miejsca poświęca się sprawom produkcji. Jest na to specjalna kolumna. Gazeta posiada około 1800 korespondentów handlowych i przemysłowych, w tym wielu z fabryk prywatnych.

Prawie co dzień jest artykuł wstępny. Artykuł liczący 1000 znaków traktowany jest jako długi. Średni artykuł liczy od 400 do 500 znaków.

Sprawy międzynarodowe zajmują około 15% miejsca w gazecie, polityczne — 30%, produkcyjne i gospodarcze — 40%, 10% zostaje dla zagadnień oświaty i kultury, 5% na drobną kronikę.

Trudno mi określić, w jakim stopniu te wszystkie dane są typowe dla całej prasy chińskiej. Sądzę raczej, że forma *Siń Weń Żi bao* jest dosyć specjalna.

Tymczasem przewodnicy nasi i tłumacze zaczynają się niepokoić. Dziś po południu jedziemy do Hanczou, a mamy jeszcze obiad na statku i spacer po Wampu. Trzeba uciekać.

WJEŻDŻAMY DO PROWINCJI CZECDZIAN

Tegoż dnia, Hanczou.

Wyjechaliśmy o trzeciej żegnani przez przedstawicieli organizacji społecznych Szanghaju. Wagony nasze są zawalone kwiatami. Siedząc w salonce, w jej oszklonym końcu, zapatrzony w przewijający się przed oczami pejzaż.

Długie przedmieścia, zabudowane lepiankami glinianymi i bambusowymi chałupkami. Między nimi co krok boiska koszykówki i lotne targowiska. Hieroglify na sczerniałym, bambusowym parkanie.

Potem zaczynają się pola, gęsto usiane grobowcami, krytymi zszarzałą dachówką. Bawełna i jarzyny. Kanały, kałuże. Wiatrak do pompowania wody z kanału. Gęste i zwarte szczotki dojrzewającego ryżu. Pół bagno — pół pole zasadzone lotosem. Wsie, jedna za drugą, gęste i zwarte. Kilka czarnych cielaków, pojedynczo pasących się przy torze. Pod daszkiem ze słomy kierat, poważna krowa pompuje wodę. Ryż jest zielonkawo - złoty, niezwykle gęsty i równy. Bawoły, koloru szarego błota, z płaskimi rogami w kształcie sierpa czy nowiu.

Po godzinie dojeżdżamy do sporego miasta. Wysoka pagoda z tuzinem daszków, markujących piętra. Obok maleńki domek-grobowiec, którego ściany są racjonalnie wykorzystane na reklamy nieznanych nam towarów. Za miastem, otoczonym wysokim murem — istne kretowisko mogił, bez jednego kamyka czy krzaczka.

Równina absolutna, ale na północy, na horyzoncie niebieskawo majaczą dwa lub trzy samotne, strome i dosyć wysokie pagórki. Na najbliższym smukła sylwetka pagody.

Po obu stronach toru kilkumetrowej szerokości kanały, jeden pełen wody, drugi pustawy, z gęstą, czarną mazią szlamu na dnie, z którego sterczą żółknące liście lotosu i jeszcze jakichś roślin ziemnowodnych. Tu i ówdzie wody w kanale jest więcej, pływają po niej dzieci w okrągłych baliach, wiosłują rękoma, wyciągają kłębiaste łodygi, z korzeni obrywają jakby małe bulwy ziemniaka, liście także układają na stos w swoim stateczku. — Wodne orzechy — mówi Lu Chua-lan. — W smaku przypominają jadalne kasztany. A liście zbierają na podściółkę dla bydła, a może na opał.

Osobliwy pejzaż. Kanały pną się do góry, płyną wyżej ryżowisk. Gęste miedze w charakterze nasypów. Dwa snopy ryżu posuwają się ścieżką ze znaczną szybkością: człowieka, który je niesie, nie widać. Kanałów coraz więcej Po polach ryżowych pływają dżonki — gęsty kłos zasłania wodę. Kupy snopów zwozi się na płaskich pychówkach. Stada kaczek żerują po kanałach. Wioski z chatami, krytymi piękną dachówką.

Samotne fermy w gaikach bambusowych.

Duże miasto Cdzia sin. Siedmiopiętrowa pagoda. Za miastem duży staw, na stawie wyspa, na wyspie czerwonościenne świątynie. Pola fasoli. Domki, sady morwowe mocno poszczypane. Żołnierze grają w koszykówkę.

Nadchodzi zmierzch, wjeżdżamy do prowincji Czecdzian. Ginie trochę tamta ziemnowodność pejzażu, zaczynają się niewysokie i drobne wypukłości gruntu, bujniejsza roślinność, kępki krzaczków, laski morwowe, coraz rozleglejsze zarośla bambusów. Pola rzadsze, ryż zżęty i wymłócony, słoma w snopkach na polu, pokrytym jeszcze (czy już) kilku centymetrami wody. Jej powierzchnię przebijają już tu i ówdzie blado-zielone pędy nowego zbioru.

Zrobiliśmy koleją blisko tysiąc pięćset kilometrów przez najgęściej zaludnione tereny Chin właściwych. Można już na tej podstawie wyrobić sobie ogólne zdanie o chińskim pejzażu.

Więc kraj bez lasów i łąk. Kraj roli i nieużytków. A te są niewspółmiernie rzadziej niż u nas. Błota idą pod ryż. Nawet kanały, nawet stawy coś rodzą: lotos lub „wodne orzechy". Tylko susza, tylko naga skała kładą kres chińskiemu rolnictwu, a i wtedy nawet chłop chiński rezygnuje niełatwo. Każdą kroplę wody chwyta kanałami. Aż pod szczyt skalistych pagórków podpełza małymi poletkami wielkości naszych klombów. Chińczyk nie tylko wykorzystuje każdy skrawek ziemi uprawnej, ale sam ją stwarza. Z kamieni układa półokrągłe wały na zboczach górskich, wykopuje ziemię na grubych pokładach loesu, nosi ją kilometrami całymi w koszach, sypie, tworzy tarasy, potem nosi wodę, wspina się pod górę, polewa.

Któż obliczy, ile ludzkiej energii zużywa się — wprawdzie nie na marne — ale na cele nieproporcjonalnie małe w stosunku do tak niebywałego wysiłku. Dać Chińczykowi maszyny rolnicze, sztuczne nawozy, nawodnić pustynne obszary nad środkową Hoang Ho czy w wewnętrznej Mongolii, a przede wszystkim rozwinąć przemysł, a kto wie — czego by dokonała ta pracowitość, skromność, ten nieporównany zapał rewolucyjny i patriotyzm, ta dyscyplina wewnętrzna nagle objawiona światu, te zdolności organizacyjne.

HANCZOU

Jest już ciemno, gdy wjeżdżamy do Hanczou. Pociąg staje na dużym, czystym peronie, dzieci z kwiatami. Straszliwy upał i nagle, zagłuszając zapachy kolejowe spalonego węgla, leciutki wietrzyk owiewa nas falą woni ni to heliotropu, ni to oleandru.

Tyle się czytało o słodkich, korzennych zapachach dżungli podzwrotnikowej, że natychmiast wyobraziłem sobie gdzieś w pobliżu las spowity lianami, dzikie storczyki i tak dalej.

Oczywiście, do zwrotnika stąd jeszcze kilkaset kilometrów. Bądź co bądź Hanczou leży na trzydziestym równoleżniku, to znaczy na szerokości — z grubsza biorąc — Abadanu, nad zatoką Perską (znanego ze swoich straszliwych upałów i przykrości, które mieli tam Anglicy), Kairu i Nowego Orleanu.

Przechodzimy przez wysoką, oświetloną halę dworcową. Pod sufitem miota się zabłąkany nietoperz. Kilkuletnie dzieci rozdały nam kwiaty, a teraz chórem śpiewają, jedno z nich energicznie dyryguje. Jedziemy przez szerokie i proste ulice kilkusettysięcznego miasta. Dużo sklepów i straganów, świetlne reklamy, aleje platanów.

Lokują nas w niewielkim hotelu, otoczonym kilkunastoma egzotycznymi drzewami. Lu Chua-lan pokazuje

sprawcę tej tropikalnej powodzi zapachu — duże drzewo chińskiej oliwki o drobniutkich białych kwiatuszkach. Hotel mieści się nad samym brzegiem jeziora Si-chu (tj. zachodniego jeziora) głównej atrakcji turystycznej w tym mieście.

Bo Hanczou jest ogólno-chińską osobliwością. Jezioro i otaczające je góry, budowle i zabytki sprawiają, że z całych Chin ściągają tu turyści. Jest to wymarzony obiekt podróży poślubnych. Każdy szanujący się poeta uważa za konieczne odbyć tu krótki staż i przeprowadzić poważne obserwacje nad odbiciem księżyca w tutejszym jeziorze. W jedenastym wieku było Hanczou stolicą państwa południowo-chińskiego.

Diabli wiedzą — które z miast naszych spełnia podobne funkcje społeczne? Może Kruszwica? Gdyby ją oporządzić i dodać „obiektów"... Z niecierpliwością czekamy wyjazdu na jezioro. Księżyc zaczyna przechodzić w ostatnią kwadrę. Jutro będzie za późno. — Trzeba jechać natychmiast — postanawia kierownictwo.

Do przystani hotelowej zawija kilkanaście łódek dosyć szerokich i długich. Pośrodku ławeczki, nad nimi płócienny daszek na czterech drążkach, między ławeczkami stolik i na nim nieodłączna zielona herbata. Słowem jest to coś w rodzaju gondoli.

Wyjeżdżają jedna po drugiej na pełne jezioro. Księżyc, rzeczywiście, zaczyna tracić swą okazałość. Ledwo go starcza na ujrzenie ciemnych masywów górskich, otaczających jezioro z trzech stron. Drogi są wytyczone miejskimi światłami. Tu i ówdzie czerwony neon, nielojalnie konkurujący z księżycem.

Nasze gondole, każda z parą czerwonawych lampionów, ustawiają się w szereg, a potem zgodnie z tutejszą tradycją zaczynają wyścig. Na dziobie naszej stoi kilkunastoletnia dziewczyna, na rufie siedzi chłopak. Oboje mają po jednym wiośle, ona wiosłuje, on steruje. Pech, który sprawił, żeśmy w Polsce wzięli tyle cięgów w ostatnich latach od sportowców innych krajów — nie opuszcza nas i tutaj. Patrzymy, jak jedna po drugiej wyprzedzają nas gondole bułgarskie, węgierskie, czeskie, nawet rumuńskie.

Jakaś wyspa wynurza się z ciemnej strony jeziora. Grzywa czarnych drzew o płaczących gałęziach. Z jeziora wyłania się dwumetrowa wieżyczka dziwnych kształtów. Lu Chua-lan jedzie z resztą naszej delegacji, a przydzielony do nas tłumacz nie bardzo może się ze mną dogadać. Mówi, że ta wieża jest pułapką na księżyc, czy coś w tym rodzaju. Nie rozumiem.

Tymczasem mijają nas coraz to inne gondole. Młodzieżowiec nie wytrzymuje, bierze wiosło od dziewczyny. Podzielając jego uczucia siadam przy sterze. Zaczynamy wściekle wiosłować. Bez rezultatu. Albo raczej — skutek jest, po dwóch minutach czuję, jak mi wyskakują bąble na dłoniach.

Ten piekielny wyścig nie pozwala nam w pełni rozkoszować się zachodzącym księżycem, czarnymi trójkątami gór na horyzoncie, pluskaniem jeziora. Mijamy jeszcze jedną pełną drzew wysepkę, ale jedyną moją refleksją jest, że znowu dwie gondole nas wyprzedziły.

Zrezygnowany oddaję ster. Wyciągamy się w długą linię. Przed nami półkole świateł, na prawo można z daleka odróżnić nasz hotel. Wtedy nielojalny, niesportowy pomysł przychodzi mi do głowy. Gestami tłumaczę sternikowi, żeby skręcił wprost na hotel. Gondola skręca w prawo, zaczyna się oddalać od reszty.

Niebawem dostrzeżono naszą ucieczkę. Krzyki z innych łodzi, pościg. Tym razem jednak nie daliśmy się, bijąc najlepsze załogi węgierskie i niemieckie o kilkanaście długości.

18.X.

Ciężka noc w upale. Moskity. Pierwszy raz w życiu spałem pod mustikierą. Głupie uczucie bezbronności i osaczenia — jak ryba w sieci.

Od rana znowu na Si-chu. W dzień jest o wiele piękniejsze — nie ma neonowych dysonansów.

Góry, oczywiście, zostały. Są bliższe i nie tak wysokie, jak się wydawały w nocy. Nie są tak nagie jak przy Wielkim Murze. Ciemnozielony filc czegoś krzaczastego przykrywa je prawie aż po szczyty. Czasem z tej masy wyłaniają się rzędami pasy jaśniejszej zieleni. Drzewa herbaciane — mówi Lu Chua-lan. Ha, to bym sobie obejrzał.

Miasto otacza jezioro z trzech stron. Jedziemy szeroką aleją wysadzaną kurtyzowanymi platanami. Jest czysta, pełna trawników z ogromnymi czerwonymi kwiatami. Przypomina szwajcarskie miasta nad Lemanem.

Potem samochody skręcają w lewo, w jezioro i wjeżdżamy na parukilometrową groblę, która prowadzi na daleką wyspę. Wyłazimy. Jest to przepiękna aleja wysadzana morelami i wierzbami płaczącymi. Morele wycięli Japończycy, posadzono je ponownie dopiero w tym roku. Trawniki, klomby. Kilkudziesięciu młodych kolejarzy gra w jakąś chińską odmianę berka.

Na prawo od grobli niewielka pajda jeziora, zarośnięta przekwitłym lotosem. Stromy brzeg, na nim wille i ogródki. Na szczycie pagórka, zwanego Górą Klejnotów, stoi osobliwego kształtu pagoda. Jest bardzo wysoka i cienka, bez daszków, ze szczytem długim i zaostrzonym. Przypomina wieże świątyń indyjskich.

— Owszem — mówi Lu Chua-lan — w okolicy Hanczou od tysiąca lat przeszło osiedlali się dosyć często mnisi buddyjscy, którzy zawędrowali tu z Indii. Ta pagoda jest znana w historii architektury chińskiej właśnie jako przykład wpływów indyjskich. Nazywa się... jakby tu przetłumaczyć? — myśli parę minut — pagoda, która obroniła brata ojca czy coś w tym rodzaju.

Takich tłumaczeniowych kłopotów Si-chu dostarcza w nadmiarze. Obiekty jeziora mają nazwy niezwykle „upoetycznione". Na lewo jezioro jest duże, kilkukilometrowej średnicy. Jedna wyspa: „W sercu jeziora", inna wyspa, którąśmy wczoraj mijali, nazwana jakby „Pułapką księżyca". Lu Chua-lan wyjaśnia: „Wyspa trzech wież wabiących księżyc". Bo tamte dziwne wieżyczki mają na szczycie po trzy otwory. Wstawia się tam świece i powstaje dziewięć „księżyców" odbitych w wodzie.

Mijamy groblę. Na wyspie wydłużony przylądek z paru budynkami i drzewami. Zwie się „Jesienny księżyc nad pustym jeziorem". Cesarze z którejś dynastii nankińskiej przyjeżdżali tu bowiem jesienią i spędzali wieczory na kontemplacji księżyca w zupełnej samotności.

Teraz tu jest ruch. Sprzedawcy pamiątek: stare pieniądze — krążki w kształcie zakrzywionej szabli, w kształcie wachlarza, zwykłe krążki — ale wszystko z kwadratowymi otworkami. — Skąpiec u nas — opowiada Lu Chua-lan — nazywa się „tym, co ma twardo związany supeł." Bo pieniądze nosiło się nanizane na sznurek. Gdy trzeba było płacić wszyscy zaczynali rozwiązywać swoje sznurki. No i najskąpszemu szło to najtrudniej.

Inne pamiątki: kolie i różańce z niemalowanych kulek drzewa sandałowego, o silnym zapachu kadzidła. Wachlarze z jedwabiu opiętego na cieniutkich listewkach z tegoż drzewa. Parasolki z jedwabiu i bambusu. Najprostsze wachlarze z liścia palmowego. Posążki z drzewa i kamienia. Różnobarwne plany Si-chu. Rzucamy się na to wszystko, przypominając sobie o setkach znajomych w kraju. Niebaczni: ten pierwszy stragan „pamiątek" nie jest ostatnim i z pewnością nie jest najlepszy.

Cała wyspa wypchana jest obiektami turystycznymi. Parę drzewek i ogłuszający wrzask cykad. Napis na którymś budynku „Samotne serce jest jak samotny obłok". — I na odwrót — chciałbym odpowiedzieć nieznanemu poecie.

Potem, na niewysokiej skale uwieńczonej starodrzewiem — świątyńka buddyjska. Poświęcona bogowi bogactwa. Brama jedna i druga, z pozaginanymi daszkami, mury malowane na czerwono. Wewnątrz czerwonozłoty, ogromny Budda. A poza tym wszystko poświęcone kultowi bogactwa — obrazki z papieru przedstawiające bryły złota i srebra. Stara kobiecina, tutejsza odźwierna, sprzedaje licho pozłacane z lichego papieru jakieś „niby pieniądze", mające symbolizować właśnie bryłki i monety złote. Wierny płacił za nie, a potem palił przed obliczem Buddy. Ten zaś odwdzięczał się, zsyłając wiernemu bogactwo.

Po tak treściwych i konkretnych pertraktacjach wiernych z Buddą, dla których jest przeznaczona świątynia, nieoczekiwaną pointą staje się maksyma, wypisana przy wejściu: „Jedynym skarbem jest cnota". Wydaje się być asekuracją i pociechą dla wiernych, którzy wydali swe grosze na ofiarne „pieniądze"!

Lu Chua-lan przetłumaczyła nam wypisaną w świątyni cytatę z Lao Tse („Niech On ci pomoże znaleźć drogę"), daje zwięzłą charakterystykę tego mędrca: — Lao Tse dawał ludziom nauki może i wzniosłe, ale jakieś niepraktyczne. Kazał skakać z samolotu, ale spadochronu nie przypinał. — A sam? — pytamy. — Sam jeździł na ośle.

Obchodzimy sztuczne skały, pagody, altanki, patrzymy na Si-chu z lewej strony, z prawej, z dołu, sycimy się do końca dni naszych tym przepięknym widokiem.

Słońce grzeje, małe, beznogie jaszczurki uwijają się między głazami, budząc przerażenie swoją wężową postacią u tych, co słabo znają zoologię.

Rodzaj muzeum i ogrodu botanicznego. Oto drzewo *(Juniperus chinensis)* — pół jałowiec, pół tuja. Część igieł kłuje, część pachnie. *Podocarpus chinensis* z szerokimi szpilkami. *Osmanthus fragrans.* Palmy bananowe. *Eriobotrya japonica. Locerstoemia indica. Firuniana plantifolia.* I tak dalej.

Wycieczka robotników z Szanghaju skupia się razem z nami dokoła jednej z tutejszych osobliwości: „Kotła wrzącego bez ognia".

Jest to misa miedziana z II czy III wieku. Ustawia się ją na watowanej podściółce. Przewodnik energicznie zaczyna pocierać rączki. Nieruchoma woda nagle się burzy. U ścianek powstają wysokie i cieniutkie fontanki.

Jaka precyzja u tych rzemieślników sprzed osiemnastu wieków! Tak obliczyć amplitudę drgań!

Wychodzimy na następną skałę. Cykady wrzeszczą metalicznie. Mgiełka nad jeziorem, niebieskawe góry. Pagoda o wdzięcznych, rokokowych proporcjach.

W dole, nad samą wodą, kolej żelazna dla dzieci.

Wracamy wreszcie długą aleją nad jeziorem. Co dwadzieścia metrów tablica na dwóch drągach z kupką hiero-

glifów. Nie można powiedzieć, abym nic z nich nie zrozumiał: kończą się wszystkie naszym znajomym wykrzyknikiem.

„NA NIEBIE JEST RAJ, NA ZIEMI..."

Po południu znowu na jezioro, tym razem w gondolach. Przecinamy je, długo płyniemy przez „ulotosioną" część. Kręcą się tu łódki, mieszkańcy miasta zrywają liście, które będą służyły jako papier do pakowania.

Zwiedzamy dom wypoczynkowy szanghajskich robotników, który mieści się w dawnej prywatnej willi wielkiego kapitalisty.

Hanczou było dawniej miastem wypoczynku tylko dla bogaczy. W tym domu przebywa teraz 40 robotników z Szanghaju (w tym 9 kobiet), premiowanych pięciodniowym, bezpłatnym pobytem za dobrą pracę. I drogę i rozrywki w czasie pobytu tutaj opłaca szanghajska RZZ. Przyjeżdżają tu przodownicy pracy. Pierwszego dnia oprowadza się ich po okolicach miasta, drugiego dnia robią, co chcą. Trzeciego i czwartego dnia znów mają zaplanowane rozrywki, piąty dzień — znów wolny.

Przypominam sobie referat Czang Czi. Mówił on o 2 domach w Hanczou. Drugi należy do szanghajskich kolejarzy. Jest teraz w remoncie. Należał do Wanga, ostatniego ministra spraw zagranicznych Kuomintangu.

Potem jedziemy znowu na jezioro. Zwiedzamy „wysepkę w sercu jeziora", „wyspę trzech wież wabiących księżyc" — jeszcze widać ślady iluminacji na święta dożynek, „latarnię morską" — całkiem dokładnie imitującą prawdziwe latarnie. Wysepki są wdzięczne, leciutkie, pełne mostków i drzew o „płaczących" gałęziach. Sporo kiosków z „pamiątkami".

Na jednej z wysp świątynia Buddy w jego wcieleniu Kuan Ju, które nie wiem, co oznacza. Ołtarz, świece, czerwone proporce i lampiony. Miedziany kubeł z pałeczkami bambusowymi, na których wypisano „losy ludzkie". Wierny zapalał świecę, klękał, modlił się i potrząsał kubłem: która pałeczka wypadnie pierwsza?

Mało jest teraz wiernych, kapłan dorabia sprzedając posążki świętych i chińskie kastaniety. Na ścianach cztery ładne obrazki z wiewiórkami i ptaszkami, oraz dwie fotografie: Mao i Czu Teh.

A potem długi spacer drugą groblą, odcinającą północny górzysty kawałek brzegu. Przepięknie utrzymana aleja i trawniki. Tu i owdzie grupy cudownie dekoracyjnych palm, gaików bambusowych i tujowych. Sprzedawcy porozkładali kosze z „wodnymi orzechami" i kawałkami czegoś, co wygląda jak zabłocone korzenie trzciny wodnej. Nie od razu pojąłem, że to jest trzcina cukrowa.

Jeszcze pierwszego dnia pekińskiego Erenburg i Neruda opowiadali mi cuda o tym jeziorze. Małżonka Nerudy powiedziała nawet: to jezioro złożone jest z samych ścieżek. Jest to znakomita definicja Si-chu.

Istotnie, największy wdzięk tego jeziora polega na wykorzystaniu dużej tafli wodnej dla efektów, które w zwykłym parku uzyskuje się przez trawniki. Groble, które przecinają jezioro, są normalnymi alejami parkowymi, a dokoła nich tafla wodna, wieczorami urozmaicona iluminacją sztuczną i naturalną (księżyc), wysadzana lotosami, obramowana pięknym zespołem górskim.

Wszystkie Wersale europejskie dużo by dały, by dorównać niezwykłością

temu wspaniałemu parkowi. Nie dziwię się, że istnieje w Chinach powiedzenie: „Na niebie jest raj, na ziemi Hanczou i Suczou".

Wilgotny upał. Z okien pokoju obserwuję liliowy zmierzch w górach. W mieście ktoś gra na flecie tutejszą, uroczą melodię. Trąbią samochody.

Za chwilę znowu do roboty: bankiet. Parę nowych potraw. Zakąski i wśród nich największy tu rarytas: smażone kartofle. Szynka z daktylami chińskimi bardzo ostra, słodka i smaczna. „Morelowa kura" — arcydzieło soczystości i smaku. Skóra rekina z kawałeczkami kury. Po chińsku to danie nazywa się: skóra smoka i mięso feniksa.

Potem koncert w wielkiej sali miejskiej. Wejście nasze na salę jest witane żywiołowym wybuchem oklasków i okrzyków. Najpiękniejsze uczucie ludzkie: przyjaźń dla innych narodów.

Zaczyna się przedstawienie. Chór w roboczych kombinezonach i czapkach. Pieśń o Korei. Potem *Jang-ko*, z bębnami — bardzo głośno, z zapałem.

Te bębny, obcięte płasko u obu końców, wyglądają jak ogromne żołędzie. Sześć dziewcząt w czerwonych kombinezonach wali ogłuszająco, przyśpieszając rytm. Tańczą frenetycznie, na chwilę bębny milkną — wtedy tancerki prawie falsetem wykrzykują chórem bardzo proste hasła, w rodzaju: podpiszemy zobowiązania patriotyczne, zakupimy samoloty, zniszczymy kontrrewolucję — i znowu w bębny.

Potem na scenę wpada ubrany współcześnie mężczyzna. Dobiega do rampy, staje, podnosi nogę, robi parę ruchów stopą, potrząsa kijem z pęczkiem końskiego włosia. Słowem zachowuje wszystkie atrybuty klasycznego tańca chińskiego. Kij, jak wiadomo, oznacza, że bohater jedzie konno. Akompaniuje mu starochińska orkiestra: piszczałki, bębenki, pałeczki. Potem wpada kobieta. Są z mężczyzną sami na scenie, ale „nie widzą się", zderzają się tyłem, padają. Na sali śmiech.

Wstają. Następuje wyjaśnienie konfliktu: ojciec wraca z miasta, gdzie nie tylko wpłacił swój udział na pomoc Korei, ale i kupił konia — potrząsa kijem z pomponami. Córka została w domu, ale również nie próżnowała: kupiła krowę.

Umownym, klasycznym duetem śpiewają finał: nasza władza daje nam wszystkie możliwości! Na sali ogólne zadowolenie.

Taniec z szalami. Potem taniec pionierów. Wreszcie scenka w stylu tzw. „dramatu *Jang-ko*". Kobieta śpiewa, że mąż poszedł do armii, naśladuje mimikę i intonację głosu wiejskiej baby. Przychodzą goście, wybuchają drobne, komiczne spięcia, przeplatane sloganowymi replikami.

Hanczou nie ma jeszcze swego zawodowego teatru. Wszystko to są amatorzy. Teksty są robione „ad hoc". Uderza zdumiewające powiązanie elementów sztuki klasycznej, sztuki ludowej, sztuki współczesnej, wzorowanej na europejskiej. A wszystko razem uporczywie i konsekwentnie nawiązuje do wielkich zadań politycznych, stojących dziś przed Chinami.

„ŚWIĄTYNIA CHMUR I GAJÓW" ORAZ „WIELKA ŻÓŁTA ŚWIĘTA"

19.X.

Z rana ruszamy w okolice Hanczou. Lichą szosą wjeżdżamy między góry. Poletka, pojedyncze zagrody. Trzech chłopów zbiera ryż. Stoją do pół łydki w błocie, ścinają pęczki słomy. Obok skrzynia drewniana, której trzy ściany są wyższe o połowę od czwartej. Każdy z żeńców chwyta swój snopek kłosów i uderza o kant tej niższej ściany. Bije

raz po raz, wytrząsając ziarno. Trzy wyższe ściany chronią je przed rozproszeniem. Słomę wymłóconą wiąże się w snopy i zostawia na polu.

Dziwne wysokie rośliny o białych dużych kwiatach, podobnych do naszych malw. Rzekomo to są chińskie konopie.

Potem wjeżdżamy w wąwóz między dwiema górami. Starodrzew — pierwszy raz w Chinach. Rzędem budki z „suwenirami". Ulegając tajemniczej presji wewnętrznej kupuję „ośmiu świętych, idących przez rzekę" z kamienia, razem ze dwa kilo wagi. Okazuje się, że to jeszcze nienajgorzej. Istnieje tu także seria osiemnastu świętych.

Szaleństwo z różańcami z drzewa sandałowego. W każdej następnej budce drzewo to pachnie coraz mocniej. Idziemy objuczeni tym towarem jak przekupnie.

Celem wyprawy jest „Juin Lin Si", czyli świątynia „chmur i gajów". Wysoka brama, wysoki gmach typu bazyliki. Zbudował to wszystko mnich buddyjski, który 2 tysiące lat temu wrócił z Indii.

Na wprost wejścia ogromny posąg „Żu Laj Fo", przyjaźnie uśmiechniętego Buddy, który występuje tu w roli „boga wesela i pomyślności". Po bokach dziesięciometrowe chyba posągi czterech jego przybocznych o minach bardziej wstrzemięźliwych.

Ołtarz jest ozdobiony długą serią płaskorzeźb z drzewa, opowiadających dzieje Buddy i jakichś antycznych monarchów. Gdyby to było gdzieś na Zachodzie mielibyśmy tuziny bogato ilustrowanych tomów poświęconych temu bezsprzecznemu arcydziełu. Uderza znakomita plastyka figur, realizm ich póz i min, wspaniała kompozycja.

Lu Chua-lan twierdzi, że w Chinach Budda jest mimo wszystko najpopularniejszy z wszystkich bóstw krajowych i importowanych. Głównie dlatego, że podobno nie obraża się, jeśli się mu nie okazuje szacunku.

Jeszcze kamienne rzeźby w oknach: liście, tak delikatnie zrobione, jakby były kute w metalu. Pochodzą z X wieku.

Na przeciwległej ścianie skalnej kilka wprost w skale wykutych posągów Buddy. Służą za tło dla klientów wędrownego fotografa.

Chmury i upał.

Błądzimy parę kilometrów między pogórkami. Kolejna osobliwość — In Czüen — źródła nefrytowe. Jest to zwykła karczma z niewielkim stawem w wewnętrznym dziedzińcu. Hoduje się tam ogromne (do 17 kg) ryby czarne i złote, karmione surową rzepą. Są niejadalne, bo łykowate. Może dlatego wydają się być znudzone swym losem i nawet na rzepę reagują słabo. Ze 100 sztuk zresztą zjedli Japończycy.

„Suweniry" sprzedaje tu emerytowany mnich buddyjski o pokręconych pazurach długości około 15 cm.

Wychodzimy. Krzaki, pola kukurydzy. I nagle widzę rzędami metrowej wysokości drzewka z połamanymi gałązkami. Herbata! Rzucamy się jak jastrzębie między krzaczki. Liście są owalne, twarde i łamliwe. Sezon zbioru dawno się skończył. Liście młode i świeże pędy zrywa się na wiosnę. Zerwaliśmy mimo to parę gałązek i parę białych kwiatków, przypominających trochę nasz głóg, ale mniejszych.

Dalej jest „jaskinia żółtego smoka". Ongi, w okresie posuchy jakiś mnich modlił się tutaj o deszcz. Jego talent krasomówczy był tak wielki, że deszcz lunął, zanim skończył się modlić. Trudno, trzeba było ufundować świątynię.

Wchodzimy do niej. Poświęcona jest kultowi Lao Tse. Na wprost bramy bóg Lao, raczej gniewny, z kijem nad gło-

wą. Obok dwóch świętych, jeden — kierownik niebieskiego wydziału personalnego, drugi — nazwiskiem Tu Dżen, zarządzający transportem. Także zły, łysy.

Trochę dalej dwudziestometrowy staw, pełen niezwykle jaskrawej, żółtozielonej wody. Za stawem, na zboczu skalnym, w gąszczu bambusów i bananowców pysk smoka, mocno wyszczerzony i pomalowany na żółto. Ten właśnie odkręcił tak szybko kurek ulewy. Działo się to 1000 lat temu, za czasów dynastii Sun.

Jeszcze wyżej sztuczna grota z labiryntem galeryjek. Jest to świątynia „Wielkiej Żółtej Świętej", tj. samicy lisa, która czasem zmienia się w człowieka. Lisów pod Hanczou jest sporo. Potem duża płaskorzeźba Buddy w roli żółtego smoka. Wyżej źródło.

Wracając natrafiam na napis tuszem na kamieniu. Proszę o przetłumaczenie, myśląc, że to zwykła mania podpisywania się turystów.

Lu Chua-lan tłumaczy: nauka Lao Tse nazywa się „Droga". A tu napisano — mamy teraz nową drogę, drogę Mao cu-szi!

Jeszcze raz zjeżdżamy nad jezioro. Pokazują nam grób bohatera ludowego Ju Huej-fyja, który tysiąc lat temu stanął na czele ludu chińskiego w walce z najeźdźcą.

Bramy i przejścia, tarasami idzie się do mauzoleum. Sześć posągów zwierząt, sześć postaci ludzkich. Wreszcie zwyczajna kamienna kopuła i obok inna, trochę mniejsza — groby bohatera i jego syna. Kopuły te niedawno odrestaurowano.

W kąciku przy wejściu — na prawo i na lewo klęczą dwie pary posągów. Są to dwaj zdrajcy z żonami, którzy wydali Ju Huej-fyja w ręce wrogów. Złapano ich potem i ścięto, trupy zaś wystawiono na widok publiczny.

Klęczą i teraz, ręce mają związane do tyłu, brzuchy wypięte. Są opluci. Lud i po tysiącu lat nie zapomniał ich zbrodni.

W FABRYKACH JEDWABIU

Hanczou jest jednym z największych ośrodków przemysłu jedwabniczego. Przekonujemy się o tym po południu.

Minąwszy parę czystych ulic, skręcamy w zaułek. Stajemy: bucha *Jang-ko* — wyszła na nasze przywitanie kapela fabryczna, złożona z dorodnych dziewczyn. Parę dmie z potężną siłą w piszczałki.

Fabryka istnieje ćwierć wieku z przerwami, bo zbombardowali ją Japończycy i produkcję wznowiono dopiero w 1947 r. Pracuje tu 308 robotników, w tym 260 kobiet. Przerabiają dziennie 130 kg nici jedwabnych. Mają 120 maszyn. Surowiec dostają od państwa. Pracują na eksport.

Czas pracy 10 godzin (za czasów Kuomintangu — 12 godzin). Mają stołówkę, hotel robotniczy, żłobek i punkt sanitarny. Wiek robotników od 17 do 25 lat (!).

Oto jak wygląda proces produkcji nici jedwabnych.

Po pierwsze: sala z kilku maszynami, podobnymi do zwykłej sieczkarni. Robotnice kręcą korbą i kilkaset białych kokonów podskakuje sobie w kwadratowym pudle. Oczyszcza się je w ten sposób z zewnętrznej nieregularnej watki. Stosy tej watki pakuje się do worków. Używa się jej do kołder, które są bardzo lekkie i ciepłe.

Po drugie: w tejże sali kilka robotnic przegląda oczyszczone kokony, odrzucając zepsute, podziurawione itd.

Po trzecie: w dużej hali parę kilkunastometrowych rynien ze szklanymi

okienkami. Płynie w nich wrzątek i w nim przepływają kokony. Przez 17—20 minut przebywania we wrzącej wodzie nasiąkają one wilgocią, rozklejają się. Upał w hali jest tak potworny, że wychodząc na słońce zaraz ziębniemy.

Potem następuje czwarte, najgorsze stadium — odwijanie nici z kokonów. Duża, jasna hala, dwa rzędy rozedrganych maszyn. Przed każdą siedzi robotnica. Miska pełna wody. Drgają i miotają się w niej kokony. Nie od razu można zrozumieć, skąd te skoki się biorą. Dopiero zabłąkany promień słońca ukazuje jakieś błyski między kokonami a szpulami białych nici wirujących na maszynie. Robotnice co chwila rzucają do miski nowe kokony i zanurzają je w wodzie, chwytając koniec nici, doczepiają do szpuli. Nić jest tak cienka, że dopiero gdy się łączy z 7 innymi, staje się naprawdę widoczna. Upał jak w hali poprzedniej. Robotnice mają zbielałe palce od ciągłego zanurzania w prawie wrzącej wodzie, która w dodatku oblewa im brzuchy.

Gdy na dworze temperatura przekracza 94 stopnie Fahrenheita — pracę w hali przerywa się.

Chętnie bym posłał wszystkie nasze entuzjastki chińskiego jedwabiu, by się przyjrzały, jak powstaje.

Jedziemy do tkalni jedwabiu, kilka ulic dalej.

Paru szczegółów o fabryce udziela przewodniczący Rady Zakładowej. Robotników jest ponad 300, działa Związek Zawodowy. Przed wyzwoleniem robotnik chiński nie był syty ani dobrze ubrany. Zarabiał dziennie na paczkę papierosów. Dziś dziennie zarabia ponad 30.000 juaniów. Jego stopa życiowa wzrosła pięciokrotnie. Wydajność pracy wzrosła o 30%.

Idziemy popatrzeć na robotę. Wyrabia się tu głównie ciężkie brokaty o wzorach opartych na motywach chińskich. Stukają krosna, rośnie powoli pas czarnego czy granatowego materiału, upstrzony złotymi smokami, altankami, stylizowanymi kwiatami i drzewkami. Złote brokaty, czerwone, żółtawozielone. Trudno się od nich oderwać.

Odjeżdżamy wreszcie, żegnani orkiestrowym tuszem.

TYSIĄC SIEDEMSET STOPNI I SZEŚĆ POKOJÓW

20.X.

Z rana wyjazd do „góry nefrytowego króla", zwanej także „górą 1700 stopni". Stopni ciepła mniej, bo ledwo 35—38 w cieniu.

Mijamy świeżo zżęte ryżowiska. Wyżej chaty rzadsze, sklepiki, szałasy z bambusu i słomy. Gęste podszycie na zboczach górskich, tu i ówdzie bambusowe gaiki.

Wreszcie brama. Przed nami wysoka góra, cała pokryta lasem drzew, przypominających buki. Nasz wóz szedł jeden z ostatnich, jesteśmy we wspinaczce o parę minut spóźnieni, za Węgrami i Bułgarami. Starczy to, żeby zagrzać potomków zwycięzców spod Kircholmu i Wiednia. Ruszamy ostro, mijamy drużynę NRD, na dwóchsetnym schodku dopędzamy Bułgarów. Nie patrzymy na żadne tam krajobrazy, tylko długimi krokami przesadzamy kamienne, wyślizgane stopnie. Może na pięćsetnym jest kolejna „stacja" tej Kalwarii. Tu drużyna węgierska czując niebezpieczeństwo podstępnie proponuje nam, byśmy obejrzeli jakieś lokalne jaskinie, rzekomo nadzwyczajne.

Nie dajemy się nabrać, ruszamy dalej. Schodki stają się nagle bardzo strome. Przemy naprzód i do góry pod bambusami i tymi niby bukami. Pełno wycieczek szkolnych, krzyczą do nas, my do nich, oklaskujemy się wzajemnie.

I oto szczyt — ni to klasztor, ni to

oberża. A raczej i to i tamto. Zbudowane niedawno, jakieś 80 lat temu, w celach bezsprzecznie komercjalnych. Ale nadkruszone mury pozwalają wierzyć w dawność i urok tego przybytku.

Widok jest piękny. Obchodzę okno po oknie, podchwytując coraz to nowe wycinki pejzażu. Na prawo jezioro Si-chu, ze swymi groblami, wyspami, ostrym szpikulcem pagody, „która broniła młodszego brata ojca", wyglądającej stąd jak dobrze zatemperowany, malutki ołóweczek, rozległe Hanczou, płaskie, szare, białe i zielone. Na wprost góry, całe w zieleni. Czasem jaskrawsze, uszeregowane krzaki — to herbata. Trochę poletek — ułożonych w jednym miejscu, regularnymi, wydłużonymi trójkami dokoła zielonego czubu nieuprawnego szczytu. Trochę domów na dalszych i wyższych górach. Ale ogromna większość — to po prostu półdzika, soczysta zieleń, pokrywająca góry jak gęsty miękki dywan.

Na lewo ogromna rzeka Dziań Tań, na niej most, z rzadka dżonki, daleko, za zakrętem rzecznym wysokie góry, okryte niebieską mgiełką, gęstniejącą czasem nieznacznie w chmury, pożerające te i owe szczyty. Nasza góra nie jest bardzo wysoka, ale starczy tego, by pejzażowi nadać trzeci wymiar: głębokość. Jest przepięknie.

Dołącza tymczasem młodzieżowiec, za nim ciągnie niemal malinowy reprezentant CRZZ. Oto i pierwsze, od 5800 lat zwycięstwo drużyny polskiej nad sportowcami węgierskimi. Pot leje się z nas ciurkiem, chłodnawy wietrzyk, wiejący na szczycie jest zbyt nikły, by nas ostudzić.

Czy to widok, dosyć żałosny, naszego przemęczenia wywołuje nagły przypływ zainteresowania się nami ze strony dzieciarni? Nagle jesteśmy nią otoczeni. Znamy do spółki cztery słowa po czecdziańsku: „sisi" — dziękuję, „nuncho" (a może „chajcho"?) — dzień dobry, „cajchwej" — do widzenia i „tundz" — towarzysz. Próbujemy z tym zapasem ułożyć parę wstępnych rozmówek. Skutek jest dziwny — dzieciarni przybywa coraz więcej, otaczają nas coraz szczelniej, śmieją się, machają rękami. Na szczęście młodzieżowiec znajduje wyjście : zaczyna śpiewać „Mao Tse-tung — Stalin".

Śpiewamy zgodnym chórem, pomagając sobie klaskaniem. Głos młodzieżowca musiał na nich zrobić wrażenie, bo po skończonej pieśni rzucają się na niego, żądając autografów.

Wreszcie nadciągają inne grupy. Siedzimy w narożnej sali, pożerając (na zapas) oczami ten wspaniały widok.

Na ścianach karczmy wiszą całe tuziny obrazków o starych, pejzażowo-zwierzęcych tematach chińskich. Są na sprzedaż. Malowała je córka miejscowego kapłana-oberżysty. Po głębokim namyśle kupuję parę. Kosztują dosłownie grosze.

Dom obudowany jest dokoła starego drzewa. Pewnie coś to miało znaczyć, ale nikt nie wie co.

Wracamy. Na dziedzińcu młodzieżowiec zaczyna grać w chińskiego tenisa z maleńką, uroczą studentką. Rakietki są jak nasze, tylko małe i leciutkie. Piłka uwieńczona jest tuzinem piór. Młodzieżowiec błyskawicznie opanowuje nieprostą technikę gry i już za drugim uderzeniem trafia w studnię. Dzieciarnia podnosi wrzask zachwytu. Może takie trafienie punktuje się tu specjalnie wysoko? Piłkę jednak uratowano.

Anna Seghers nadchodzi dopiero teraz. Pytam, czy widziała obrazki córki kapłana. Okazuje się, że została bez grosza po odwiedzeniu pracowni pewnego starego malarza, na dole. Dosłownie arcydzieła!

Ach, tu się kryje ten węgierski re-

wanż. Ta pracownia była pewno tam, gdzie proponowali nam się zatrzymać. Stary malarz wygląda kubek w kubek tak, jak na osiemnastowiecznych obrazkach starzy i biedni Chińczycy powinni wyglądać. Rzadka siwa broda, trochę siwych włosów. Oko mi bieleje, gdy widzę jego prace. Córka kapłana przy nim — to szczeniak.

Na dole jest pełno słońca i upał, o którym trochę tam w górze zapomnieliśmy. Znów gdzieś jedziemy. W rozgrzanym samochodzie, wzdłuż jeziora Nie do domu... Parę pagórków, ruiny starych pałacyków, grobowce, chińskie bramy z szarego kamienia. I nagle Dziań Tan, most.

Ogromna rzeka jest pod nami. Góra 1700 stopni patrzy na nas, maleńka, taka jak tuzin innych dokoła. Most ma 1453 metry długości, jest piętrowy. Na parterze dudni właśnie pociąg. Niżej szybka i gwałtowna rzeka, szersza od Hoang Ho pod Tsinaniem. Dżonki wolno płyną z prądem, ale pod wiatr.

Nad brzegiem jest pagoda. Machinalnie liczę: 12 pięter. Czuję jeszcze w nogach tysiąc siedemset stopni i cieszę się, że już pora do domu.

Akurat! Właśnie pod pagodą zatrzymują się samochody. I tu pełno dzieciarni, machają rękami na nasz widok, krzyczą.

Ha, co robić? Jak włazić, to włazić. Z młodzieżowcem wysuwamy się na czoło, zaczynamy odwalać piętro po piętrze, pragnąc utrzymać prymat drużyny polskiej. Dzieci na nasz widok zaczynają pokrzykiwać z uciechy, towarzyszą nam we włażeniu, przenikliwym wołaniem zapowiadając swoim kolegom na górnych piętrach, że nadciągają rzadkie osobliwości.

I oto na dwunastym piętrze jesteśmy otoczeni morzem małych istotek, sięgających nam do pasa. Już nie próbujemy rozmówek z czterech słów, od razu zaczynamy śpiewać „Mao Tse-tung — Stalin! i tak, na czele tej armii liliputów, dochodzimy do balustrady.

Tu zaczyna się szaleństwo. Wznosimy okrzyk: „Mao cu szi wanzee! Ktoś natychmiast odpowiada „Stalin wanzee!" Krzyczymy, klaszczemy. Jesteśmy z siebie nawzajem bardzo zadowoleni, żeśmy się tak łatwo dogadali.

Potem oczywiście autografy. Tu i mnie nie oszczędzono.

Otoczony kilku tuzinami tych małych istotek, wymachujących mi przed nosem kajecikami, notesami, lub po prostu skrawkami papieru, zdając sobie sprawę, że ani „dzień dobry", ani „do widzenia", ani „dziękuję" w tych okolicznościach nie przyniosą mi natychmiastowej ulgi — zrozumiałem częściowo samopoczucie Gulliwera.

Próbowałem ustawić dzieci w ogonek. Nie udało się, nie wierzyły w moje dobre intencje, bały się, że nawieję. Podpisywałem więc jeden po drugim te zeszyciki. Ilość ich nie zmniejszała się. Pięćset milionów! — przemknęło mi przez myśl. Trudno — odpowiedziałem sam sobie — spróbujemy! I dopiero pewna dziewczynka spowodowała moje psychiczne załamanie: w jej notesie jak wół stało moje nazwisko. Pokazałem jej to. Nie przejęła się, rozczapierzyła dwa paluszki. Dwa podpisy! Dałem nura w tłum, rzuciłem się na dół.

Pagoda tymczasem drżała od krzyków. Po schodach, na korytarzach, przed czerwono malowanymi Buddami ścigano zaciekle młodzieżowca, który też próbował się wyrwać z tej tortury autografowej. Tu i tam, w którejś arkadzie migała mi jego blada twarz, trochę strwożone oczy, śmigła sylwetka, pochylona w kolejnym susie — i dwa kroki za nim pierwsza fala pościgu z białymi kartkami papieru. Los jego nie wydał mi się godny zazdrości.

Gdy i za mną runęła pogoń, przyjąłem to pogodnie, dałem się zaraz schwytać. Taktyka ta okazała się trafna. Dzieciarnia zrezygnowała z autografów, poprzestała na samej osobie.

Jeden, mianowicie, wziął mnie za lewą rękę. Drugi zaraz chwycił prawą. Reszta nie zgodziła się na takie przywileje. Oto trzeci chwyta mnie za jeden palec prawej ręki, czwarty za jeden palec lewej. Wyglądałem teraz, jak chorągiew używana do kościelnych procesyj, zwana feretronem. Drąg środkowy dźwiga jeden dorosły człowiek, a cztery wstążki idące od szczytu trzyma czwórka właśnie takich cherubinków.

Szliśmy tak zgodnie, noga w nogę, śpiewaliśmy, krzyczeliśmy „wanzee". Na dole powitano nas jednak bez entuzjazmu. Okazuje się, że reszta delegacji poprzestała na pierwszym piętrze i czekała na nas pół godziny.

— Czemu nas nie zawołaliście? — Jeszcze jak krzyczeliśmy, ale tam u was było jeszcze głośniej.

Pełni skruchy wypytujemy ich o szczegóły. Pagoda pochodzi z czasów dynastii Sun, tj. z epoki naszego Mieszka I. Nazywa się pagodą sześciu pokojów (pokój, mir, frieden, peace, paz, la paix — jak się śpiewa pomysłowo w różnych piosenkach). Na górnym piętrze tej sześciopokojowej pagody mnóstwo wydrapanych w tynku podpisów, w tym kupa amerykańskich, z 1947—48 roku. Co do nas, udało się nam opanować pokusę i oszczędzić mury.

Wreszcie powrót. Upał. Motyl z rodziny Papilionidae, wspaniały, czarny, długoogoniasty, lata nad kwiatami.

Po południu, wymęczony upałem, zostaję w hotelu i włażę do wanny. Woda w takim wypadku musi być raczej ciepła. Po paru godzinach jej stygnięcia marznie się w takiej wannie znakomicie.

Tym razem poskutkowało to nadzwyczajnie. Wieczorem, gdy wreszcie szczękając zębami wylazłem z wanny, musiałem szukać swetra. Okazuje się, że w międzyczasie wiatr się zmienił i do Hanczou przyszła wreszcie jesień.

NANKIN

21.X. Nankin.

Wczesnym rankiem wyjazd z Hanczou. Cały dzień jazda przez mżący po naszemu deszczyk. Praca na polach nieprzerwana. Czterech chłopców trzyma się żerdzi i szybko przebierając nogami pompuje wodę z kanału. Inni w łódkach i w baliach jeżdżą po kanałach, wygrabiają wodorosty, zbierają szlam, którym się będzie nawoziło pola. Najwięcej jednak tych, co czterozębnymi motykami kopią kleistą glebę.

W Nankinie jesteśmy wieczorem. Jedziemy z dworca przez długie, ciemne i puste ulice. W hallu hotelowym kilka pięknych fresków, przedstawiających kompozycje osobowe — kobiety o zaokrąglonych kształtach, w złotolitych strojach i z garbatymi noskami, mężczyźni w pancerzach. Są to freski z epoki Ming, gdzieś z XV wieku, „żywcem" przeniesione tutaj ze świątyni w prowincji Honań.

22.X.

Od rana pada kapuśniaczek i miasto nabiera melancholijnych tonów. Odbywamy przed południem rozmowę z przedstawicielami nankińskich literatów, kobiet i obrońców pokoju. Parę cyfr: Nankin liczy około 600 członków Federacji Pracowników Kultury. Literatów jest 32, w tym 12 młodych. O znaczeniu rysunku, plakatu w tym kraju świadczy fakt, że w czasie kampanii o pakt pięciu młodzież nankińska zro-

biła 27 tysięcy plakatów. W Nankinie są 2 uniwersytety i 4 wyższe szkoły specjalne.

Po południu ruszamy na miasto. W ciągu ostatnich stu lat wojny niejednokrotnie dały się we znaki Nankinowi. Rezultat jest taki, że w samym mieście nie ma prawie ciekawych zabytków historycznych. Natomiast zaciążyła na nim rola stolicy, którą spełniał przez ćwierć wieku rządów Czang Kai-szeka i Wan Dzin-weja. Wielcy kapitaliści kuomintangowscy usiłowali nadać miastu charakter „europejski". Dawna dzielnica dyplomatyczna posiada proste i szerokie ulice, wysadzane drzewami. Domki tu — jak w koncesjach szanghajskich — naśladują modę architektoniczną krajów, z których przybyli ich właściciele. Dzielnica handlowa w śródmieściu jest zrobiona „na wyrost". Ulice tu są szerokie, zbiegają się gwiaździście w place, których środek upiększają cokoły pomników. Ale domy przy tych ulicach są niskie, parterowe lub jednopiętrowe, z gliny i drzewa, niedopasowane do wymiarów ulic.

Nie ma serca miasta, jakim w Pekinie jest aleja naprzeciw Tiań Ań Myń, a w Szanghaju wybrzeże Sun Jatsena nad Wampu. Są za to ogromne przedmieścia, siedliska nędzy, straszniejsze niż w tamtych dwóch miastach-olbrzymach.

Można by powiedzieć, że na obliczu Nankinu odbiły się wszystkie słabości opóźnionego w rozwoju, zależnego od obcych panów, cherlawego kapitalizmu chińskiego. Stać go było na projekty, nie stać na realizację. Projekty te zresztą, naśladowały bezmyślnie i bezkrytycznie wzory jego panów, ich wygodzie przede wszystkim usiłowały służyć.

Świadczą o tym dzieje gmachu, który właśnie zwiedzamy.

Za czasów dynastii Ming (więc między XVI a XVIII wiekiem) w tym miejscu wznosił się pałac pewnego wielkiego pana, który się zwał Dży Chun-u. Był on tak potężny, że planował objęcie tronu cesarskiego, co mu się zresztą nie powiodło, pałac jego spalono, przez parę wieków było tu pustkowie.

Aż nagle, już po wojnie z Japonią, Czang Kai-szek wpadł na pomysł zbudowania akurat tutaj swego prywatnego domu. Budowa poszła szybko, gdyż szef Kuomintangu chciał tu właśnie święcić swoje sześćdziesięciolecie. I to mu się udało.

Nie udało mu się tylko dłużej utrzymać ludu chińskiego w nędzy i posłuszeństwie. Niedługo potem musiał uciekać z Nankinu.

Władza ludowa nie spaliła tego domu, przeznaczyła go na pałac kultury tutejszych Związków Zawodowych.

Gmach jest spory i brzydki. Jest bękartem stylu pseudoeuropejskiego i pseudochińskiego.

Dom kultury został otwarty niedawno — bo w czerwcu 1951. Posiada salę kinową, bibliotekę, sale sportowe, studia teatralne i muzyczne, na które uczęszcza po 150 słuchaczy, kurs radiowy, kilka sal wykładowych. Prowadzi się tu szkolenie ideologiczne, zawodowe i ogólnokształcące. Jest też nieduży hotel, kooperatywa, restauracja, łaźnia. W niedzielę frekwencja na wszystkich imprezach Domu sięga 15 tysięcy gości. W dnie powszednie wynosi 3—4 tysiące. Z biblioteki dziennie korzysta 200 osób.

Udajemy się następnie do oficjalnej rezydencji Czanga. U wejścia dwa lwy średnich wymiarów, z betonu, usiłują udawać wspaniałe rzeźby marmurowe sprzed Tiań Ań Myń. Potem jedna po drugiej pseudoantyczne bramy z ogromnymi dachami, krytymi niebieskawo-zieloną dachówką, czerwone ko-

lumny z drzewa, balustrady malowane na niebiesko, odrzwia jasnokawowe. Idziemy długą amfiladą, kolory na ogół te same co i w pałacach Pekinu, ale odcienie! Krzykliwość i pretensjonalność tej dawnej rezydencji rzucają się w oczy.

Dziś mieści się tu komitet ochrony zabytków. Historia gmachu byłaby szlachetna, gdyby nie ostatnie dziesięciolecia Czangowe. Miał tu swój sztab przed 100 laty wódz powstania Tajpinów — Hun Siu-cziun. Rezydencję jego zniszczono po upadku powstania. Z tamtych czasów została tylko marmurowa galera w tutejszym mikroskopijnym stawku — uboga kopia ihojuańskiej. Po rewolucji 1911 roku zamieszkał tutaj Sun Jat-sen jako pierwszy Prezydent Republiki Chińskiej. A potem przyszedł Czang.

Teraz mieszczą się tu bodaj trzy wystawy. Racjonalizatorzy nankińscy z Jan Dżu-chua na czele, który wynalazł nowy gatunek ogniotrwałego betonu, tańszy o 80 procent od zagranicznego. Potem wystawa walki z blokadą amerykańską, pokazująca produkty przemysłowe wyrabiane ostatnio w Nankinie. Więc aparaty telefoniczne, szkło specjalne, specjalne żarówki, pomoce szkolne, detale maszyn, obrabiarki, warsztaty tkackie, aparaty radiowe, amperometry, zwrotnice kolejowe, autobusy. Wreszcie wystawa, poświęcona przebudowie szkół wyższych, którą obejrzeliśmy pobieżnie ze względu na spóźnioną porę.

MAUZOLEUM, GROBOWIEC, MOGIŁY

23.X.

A może to jeszcze nie jesień? Znowu słońce. Wyjeżdżamy z miasta, przyzwoitą szosą jedziemy do mauzoleum Sun Jat-sena.

Wielki mur miejski zrobiony jest tu na wyrost: biegnie oddzielony od ostatnich zabudowań parusetmetrowym pasem ogrodów warzywnych i pustkowi. Za murem szeroka fosa, po lewej stronie zamieniająca się w staw. A potem ni to park, ni to las.

Dziesięć kilometrów od miasta szosa dochodzi do okrągłego placyku. Bliskie, kilkusetmetrowe góry tworzą tło. Bardzo wysoko, bo — jak się wydaje — prawie do połowy ich brązowo-zielonej ściany biegnie biały kilkudziesięciometrowej szerokości pas schodów.

Jedna i niedaleko druga brama w starochińskim stylu. Wchodzimy do mauzoleum. Jest to ogromny obszar (prawie 3 tysiące hektarów) parku na zboczach gór Dżi Din-szań. Przemierzamy zwolna blisko czterysta jego stopni. Wysoko w górze właściwe mauzoleum.

Wewnątrz prostokątnego gmachu z pozadzieranymi do góry kątami dachu mieści się okrągła, sklepiona sala z posągiem Sun Jat-sena. Za nią mniejsza sala również okrągła. Tutaj, po ukończeniu mauzoleum w czerwcu 1929 roku złożono zwłoki wielkiego demokraty - rewolucjonisty chińskiego.

Widok stąd jest olśniewająco majestatyczny. Kępy dekoracyjnych drzew *julań*, o owocach w kształcie szyszek z purpurowymi nasionami, tuje, specjalnie strzyżone i hodowane bukszpany. Schody spadają w dół ogromną białą kaskadą wśród jaskrawej zieleni parku. Daleko z przodu i na lewo niebieskawe łańcuchy górskie. Na prawo dymy nad Nankinem i połyskujące tu i ówdzie słońcem łachy Jang Tse. A z tyłu bliska ściana gór Dżi Din-szań.

Trudno o wspanialszą perspektywę, o silniejszy i bardziej harmonijny dobór kolorów. Architekt Ju Jen-dż, który projektował mauzoleum, wybrał dla niego miejsce najpiękniejsze, jakie można wymarzyć.

Wracamy. Bliżej miasta, na tych samych zboczach górskich mieszczą się grobowce cesarzy z dynastii Ming.

Dokoła zarośla bambusów, wrzask ptactwa. Palmy kwitną — wodotryski białych kielichów. Rabaty czerwonoliliowych, nieznanych u nas kwiatów. Płaczące tuje.

Wyjeżdżamy inną drogą, tą, którą dawniej tu jeżdżono z miasta. Biegnie obok wąskiej alei, wysadzanej cyprysami. Jej krętego biegu pilnują posągi ludzkie sprzed kilku wieków, potem słonie, stojące i klęczące, z przednimi łapami ułożonymi jak u psów, z uszami w kształcie liści lotosu. Potem konie, potem wielbłądy, potem lwy, które pilnują wejścia na tę żałobną drogę.

Po południu jedziemy znowu za miasto. Niedaleko za murami samochody zaczynają piąć się pod górę, między osypiskami żwiru, pagórkami, szarymi od zeschłych chwastów, rozłupanymi szczątkami bunkrów. Rycząc na pierwszym biegu włażą wreszcie na płaski szczyt wzgórza.

Jest to U-chua-taj — „wzgórze dżdżystych kwiatów" — jak usiłuje przetłumaczyć Lu Chua-lan. Dawniej był tu jeden z miejskich fortów. Nic dziwnego, jest to wspaniały punkt strategiczny: stąd jak na dłoni widać cały Nankin. Mając tu kilka bateryj artyleryjskich, można trzymać miasto w postrachu.

Ale Czang Kai-szek nie poprzestał na tym. Od 1927 roku, od krwawego, zdradzieckiego zamachu stanu, Czang mordował tu swoich wrogów politycznych, komunistów. Na tych osypiskach żwirowych, w jamach porosłych chwastami, potajemnie, o świcie rozstrzeliwano dzieci ludu chińskiego, walczące o szczęście swojej ojczyzny. Czang rozkazał ukrywać tę mokrą robotę, większość straconych tutaj — to nieznani z nazwiska żołnierze rewolucji. Wiadomo jednak, w 1927 roku rozstrzelano tutaj sekretarza nankińskiego komitetu Partii, Lo Dyń-siena. Zginął tu jeden z przywódców Partii chińskiej, Chwej Dej-ju. Padł tu także śmiercią bohatera Den Dun-sia, weteran chińskiego ruchu robotniczego i jeden z organizatorów Partii. Japończycy za czasów okupacyjnych kontynuowali tu robotę Czanga. Oblicza się, że w ciągu 22 lat panowania tego i tamtych — zginęło tu około 200 tysięcy najlepszych synów narodu chińskiego.

Złożyliśmy wieńce. Ma tu stanąć mauzoleum. Na razie jest tylko kamień z napisem.

Stoimy i patrzymy. Umierali, mając w oczach przymglony chmurką Nankin. Widzieli niebieskawe dachy rezydencji swego kata. Bliżej widzieli niezmierzone ilości lepianek nankińskiej biedoty. Widzieli, z kim walczyli i o co.

Tuż przed zmierzchem wiozą nas jeszcze do obserwatorium astronomicznego, na najbliższym szczycie Dżi Din Szania. Szczyt jest skalisty, starczyło jednak miejsca na parę budynków i niewielki park. Jeszcze raz oglądamy daleką białą sylwetkę Mauzoleum, bliżej i niżej położone grobowce Mingów.

Pod gołym niebem stoi kilka astronomicznych aparatów sprzed kilkuset lat. Oto na czterech smokach mosiężnych wsparty przyrząd do mierzenia południka gwiazd, niczym w zasadzie nie różniący się od współczesnych. Pochodzi z lat między 1436 a 1449. Obok globus gwiezdny sprzed 600 lat. Jeszcze coś innego, z tejże epoki.

Astronomowie chińscy z owej epoki nie znali tylko soczewek.

Dzisiejsze obserwatorium zaczęto budować w 1930 roku. Mają dwa duże teleskopy Zeissa. W 1937 usiłowano ewakuować sprzęt najcenniejszy, ale części

wywieźć nie zdążono i uległa zniszczeniu. Kuomintang nie interesował się zbytnio astronomią, kredyty były niewielkie. Dopiero po wyzwoleniu praca wreszcie ruszyła. NRD wysyła specjalistę do naprawy zeissowskich teleskopów. Na razie pracują głównie na binokularze badając plamy słoneczne i fotografując gwiazdy.

Dymy wieczorne nad Nankinem. Dalszych gór już nie widać. Zerwał się ostry wiatr.

POCZĄTEK POWROTU

Jang Tse ogromna. Woda mętna, wcale nie niebieska, prąd szybki. Na środku stada dzikich kaczek, nie lękających się statków, które tu ciągle kursują między Nankinem i Pukou. Dżonka o rufie hiszpańskiej karaweli. Inna, gdzie się wiosłuje jak w rzymskich galerach.

Parę minut — i jesteśmy na drugim brzegu. Kilka kroków do dworca. I tu — jak w Nankinie — kolumny demonstrantów, ze sztandarami i bębnami, dziewczęta w żółtych strojach, rytm *jang-ko:* pochody na cześć rocznicy pomocy Korei.

Na dworcu tłum: odjeżdża kolejny oddział sanitarny do Korei. Młode dziewczęta w mundurach, zdrowe i ładne, roześmiane, rozśpiewane. Razem z naszymi delegacjami śpiewają: „Mao Tse-tung — Stalin", „Pieśń o Stalinie", „Do swidania, mama". — Potem „Hej lala la la" — piosenkę, ułożoną w Korei przez ochotników, której pierwsze dwa wiersze brzmią mniej więcej: „Słońce ogrzewa ziemię, wyrastają kwiaty". Jest w tym sens głębszy: ta żywiołowa radość, ufność w życie tych, którzy co dzień stykają się z amerykańską chemiczną i zmechanizowaną śmiercią.

26.X. w drodze na Tien Tsin.

W nocy bardzo zimno. Z rana na polach szron. Pagórki mają stopy opatulone w zwoje mgły, tylko ostre szczyty wyrastają na porannym niebie. Grupa chłopów na polu, kopią motykami, rozebrani do naga.

Wzdłuż toru długi rząd krzaków rycynusu.

Przed jedenastą znowu Tsi Nań. Na peronie nankińskie ochotniczki. Wbiegły na wiadukt, popatrzyły na miasto. U sprzedawcy wędrownego kupują miseczki zupy z ryżu i soi. Któryś z sanitariuszy przyniósł pęczek czerwonych kaki. Znowu śpiewają, ze śmiechem rozbiegają się do swoich wagonów.

Po południu przychodzi do nas kilku lekarzy z oddziału. Rozmawiają z delegacjami. Na zakończenie zostawiają taką deklarację:

„Złączymy się razem, aby obronić trwały pokój na całym świecie".

I dokoła tej deklaracji wachlarz paruset podpisów.

W CHIŃSKIM „PEGEERZE"

28.X.

Wczoraj z rana odbyła się dramatyczna dyskusja między delegacjami. Okazuje się, że wracać musimy w dwóch grupach: jedna 30 października, druga 2 listopada. Oczywiście, wszystkie delegacje zadeklarowały, że chcą jechać w drugiej grupie. Po jakimś czasie Węgrzy zrobili z siebie ofiarę. Poszliśmy z bólem serca w ich ślady. Czesi, Bułgarzy, Rumuni i NRD zdobyli sobie w ten sposób prawo oglądania tego niezwykłego kraju o trzy dni dłużej.

Nasza decyzja oznacza, że musimy dziś wieczór wracać do Pekinu. Ze wszystkich pierwotnie ustalonych planów zdecydowaliśmy się na jedno: obejrzeć tzw. „gospodarstwo ludowe", odpowiednik naszego PGR.

Wyjeżdżamy. Przez ruchliwe ulice dawnych koncesji i miasta chińskiego dostajemy się do jeszcze ruchliwszych przedmieść. Parę kilometrów za miastem szosa wprawdzie biegnie jeszcze jako tako, ale lada miasteczko hamuje samochód, domki włażą na ulicę, jeden i drugi wóz tarasuje przejście, zbiegają się dzieci, czekamy niemało.

Potem znów pejzaż się rozluźnia. Fabryki całkiem nowoczesne. Oto papiernia. Sąsiednie mokradła i kanały pełne są sadzonej specjalnie wysokiej trzciny: surowiec dla papierni. Potem świeżo wykopane kanały. Słońce grzeje nieźle. Chłopi w słomkowych, stożkowatych kapeluszach łapią „na podrywkę" ryby w mętnej wodzie. Jest niedziela.

„Ludgosp" nazywa się Szon Lin. Skręcamy z szerokiej ale gruntowej drogi między kanałami. Kilka podłużnych drewnianych baraków, zestawionych w czworobok. Ziemia pełna kolein i wybojów — słabo się robi na myśl, co się tu dzieje po paru godzinach deszczu. Teraz jest sucho. Od szerokiej drogi do środka czworoboku zabudowań prowadzi aleja krzaczków tui, wysokości pół metra. Pośrodku klomb i już teraz kwitną czerwone „grzebienie koguci" i astry.

Zasiadamy w wąskiej, długawej i nagiej świetlicy „ludgospu". Słuchamy opowiadań kierownika.

Szon-Lin ma około 6 tysięcy mu ziemi (ok. 375 ha). Powstał w marcu tego roku. Nie było tu dawniej majątku obszarnika, nie chciano dołączać do niego ziem dzielonych w wyniku reformy rolnej. Założono go na nieużytkach, na słonych, nadmorskich glebach, które się wypłukuje z soli za pomocą gęstej sieci świeżo wykopanych kanałów.

Pracuje teraz w gospodarstwie 200 robotników, z czego połowa pochodzi z okolicznych wiosek, połowa z miasta. I ci i tamci mieszkają tu sami, rodziny ich zostały dotąd na dawnych miejscach. Planuje się, oczywiście, zbudowanie dla nich domów, na razie jednak są to raczej zbiorowe koszary.

Gospodarstwo kończy właśnie swoje pierwsze zbiory ryżu. Jest to swoisty eksperyment — czy ta roślina może się udać na słonych jeszcze gruntach? Zaplanowano przy zasiewach 275 kg ryżu na 1 mu ziemi (maksymalny urodzaj tu, na północy daje 400 kg na dobrej ziemi). Sądzą, że plan będzie wykonany. Na przyszły rok zamierzają zebrać 330 kg, w 1953 — osiągnąć maksimum.

Plan został ustalony na naradzie produkcyjnej. Przewiduje się premie za jego przekroczenie.

Zarobek wynosi 100—115 kg czumizy miesięcznie. Wykwalifikowany robotnik otrzymuje 125—150 kg. Premie ustali się po zbiorach.

Powstał Związek Zawodowy. Należy doń w tej chwili 60% robotników.

Kierownikiem gospodarstwa jest 28-letni Chu Siao-chuaj, z zawodu inżynier budowlany. Czemu akurat inżynier? Bo się zaczyna tu od budowania. Ma on trzech zastępców do spraw rolnych.

Oto krótki opis uprawy ryżu.

Na 1 mu wysiewa się około 5 kg nasion — mniej więcej 20 maja. Przed sianiem nasiona kładzie się do wody na 3—5 dni. Potem wysiewa się na płytko zoranym kawałku gruntu, przemytym z soli i podzielonym na grządki szerokości około 1,20 metra. Woda w tym czasie musi być płytka. Gdy pędy osiągają wysokość 2—3 cm, daje się jako nawóz wytłoki sojowe, 200 kg na 1 mu. Jeśli ryż rośnie kiepsko, dodaje się nawozów sztucznych.

Po miesiącu można pędy przesadzać — jeśli przekroczą 15 cm wysokości. Rozsadza się je po kilka w odległości 20—24 cm. Dodaje się wytło-

ków, dwukrotnie po 45 kg. Za trzecim razem daje się 10 kg fosforytów.

W miarę wyrastania zasiewu dodaje się wody, ale najwyżej do poziomu 10 cm. Gdy ryż zaczyna żółknąć, przestaje się dodawać wody.

W tych okolicach ryż dojrzewa w 128 dni po wysadzeniu. Na 1 mu ryżu trzeba 16 dniówek roboczych.

Oprócz ryżu zasiano 200 mu gaolanu — na suchych gruntach — oraz 40 mu jarzyn.

Oglądamy gospodarstwo. Projektuje się budowę łuszczarni ryżu. Boisko siatkówki obok kwietników.

Ferma drobiu: mają 300 rasowych, białych kur oraz 180 kaczek i gęsi. Dostali je z elektrycznej wylęgarni pod Pekinem. Kaczki są wspaniałe, niektóre dorównują wagą gęsiom. Tuczy się je specjalnie. Po 20 dniach takiej „kuracji" osiągają $3^1/_2$ kg wagi.

Sypialnia robotników: długa galeria z ogromnym, glinianym „kanem". Śpią na nim pokotem. Oczywiście, to tymczasowe, potem zbuduje się domki rodzinne.

W polu młócka ryżu. Lokomobila wprowadza w ruch około dziesięciu bębnów, ze specjalnymi drutami, które uderzają po snopach, nie niszcząc słomy.

Jeden kłos ryżu zawiera 170 — 180 ziaren!

Oglądamy jeszcze niezżęte zagony ryżu. Regularna sieć kanałów, teraz osuszonych. Duże kraby biegają po dnie. Pierwszy raz w Chinach widzę nie poletka, ale łany.

Gospodarstwo ma trzydzieści parę mułów.

Stosunki z okolicznymi wioskami są przyjazne. Na przyszły rok rozbuduje się jeszcze bardziej sieć kanałów, żeby i one dostawały wodę.

Wracamy. W Tien Tsinie zespoły *jang-ko* na ulicy, jakieś pochody. Dorożka, klasyczny „cab". Kilka osób ubranych na biało, z czerwonymi wstęgami. Wesele? Nie, powiada tłumaczka, pogrzeb.

W ciągu tych ostatnich paru godzin chciałoby się obejrzeć jeszcze miasto. ale nasz konsulat koniecznie chce, żebyśmy i tam zajrzeli. Dobrze, na minutę i potem jedziemy razem.

Akurat, z tą minutą! Dojeżdżamy do konsulatu po wykonaniu kilkunastu skrętów i zwrotów w gęstej i nieregularnej (dawna angielska koncesja!) sieci ulic. Wchodzimy do dużego gmachu konsulatu. Spostrzegam, że to pułapka: przygotowali tzw. przyjęcie.

Wybiegam wściekły i — na złość babce! — idę na piechotę do hotelu.

Ze dwie godziny trwała ta nieroztropna podróż. Nie kończące się uliczki, wąskie i pustawe, z ceglanymi anglo-pruskimi domkami. Nie wiem, jak się nazywa ulica, na której jest nasz hotel. I stwierdzam nagle, że i nazwy hotelu nie jestem pewien.

Błądzę wściekły i bezradny. Nawet na miasto patrzeć się nie chce. W pewnej chwili jednak spostrzegam: mecz piłki nożnej! Nieogrodzone prawie boisko. Paruset widzów. Przyłączam się do nich. Ten wspaniały naród nie jest narodem futbolistów. Myślę, że nawet my mielibyśmy z nimi szanse. Grają miękko, technikę mają niezłą, ale brak im przebojowości, szybkości, zgrania taktycznego. Widzowie reagują bez zapału, widać, że większość z nich piłki nożnej dotąd nie oglądała.

A przecież trafiłem do hotelu. Spotkałem jakąś straszliwą Europejkę; pokazała, którędy iść. Oczywiście, szedłem nie tam, dokąd chciałem. A tak byłem dumny ze swego „zmysłu orientacyjnego" w terenie!

ZNOWU PEKIN

29.X. Pekin.

Czyżby ostatni dzień Chin? Dojechaliśmy wczoraj bez przygód. Ulokowano nas w zwykłym wagonie tutejszej „luxtorpedy". Wygodne fotele w czystych pokrowcach. Kupa magazynów — chińskich! Głośnik radiowy, przez który przemawia jakaś dziewczyna, śpiewnie i rymami.

No, a Pekin — to prawie jak w domu. Ulokowano nas w innych pokojach, na górnym piętrze. Widok stąd piękniejszy. Naprzeciw budowano dwa domy. Przez te niespełna trzy tygodnie jeden z nich urósł o dwa piętra. Toż to prawie jak w Warszawie!

Pukanie. Wchodzi chłopak, który w dniu naszego odjazdu na południe biegał po samochodach, szukając właściciela zapomnianej pary butów. Odnalazł mnie teraz.

Patrzę przez okno. Zieleń i szare, przysadziste dachy chińskich domostw. Jedna, druga i trzecia — naprzeciw, na prawo dwie obok siebie — pięć wysokich bram pekińskich, wielodachowe, z pozaginanymi rogami.

Idę na dach hotelu. Te same szare dachy małych domków. Kłęby zakurzonej, szarej zieleni. Trochę dalej ze sto żółto-czerwonych dachów — wielkich i wyższych, ale w formie podobnych. Miasto cesarskie. Za nim góra „Węglowa" z trzema pagodami.

Dalej jeszcze pagórek z samotnym białym budynkiem w kształcie dzwonu, otoczonym dachami. Tak zwana „biała pagoda", w parku miejskim, koło „bejchaju" — „morza północnego".

Mgiełka.

Daleko na horyzoncie całkiem zamglone, ciemnoszare góry.

Minęła godzina porannego spokoju i oto przedodjezdny rwetes. Nie widzieliśmy przecież Świątyni Nieba! Trzeba dopilnować biletów, paszportów, bagażów. Ceremonie pożegnalne.

Wjeżdżamy w mały pekiński zaułek. Dwudziestu czy więcej ludzi niesie ciężką trumnę, na której leżą różnobarwne, haftowane płachty. Przed trumną człowiek, który uderza pałeczką w deszczułkę. Przed nim paru chłopów w białych, płóciennych szatach. Pierwszy z nich, najstarszy syn zmarłego, trochę płacze i trzyma w ręku patyk z chorągiewką. Drugi, mniejszy — niesie na patyku papierową miniaturę którejś z pekińskich świątyń. Trzeci, najmniejszy, najbardziej zapłakany; przepaska, podtrzymująca włosy, zsunęła mu się na oczy. Na czele pochodu kilku starszych ludzi w strojach zwyczajnych. Jeden właśnie spotkał znajomego i wymienia z nim uśmiechy.

Pożegnalny obiad z miłymi gospodarzami. Przemówienia i toasty.

Po południu Świątynia Nieba.

Położona w południowej części miasta. Duża przestrzeń, otoczona murem. Masa ciemnej zieleni — są to drzewiaste tuje. Pośród tego gaju szeroka i wzniesiona na jakieś dwa metry od ziemi jakby ulica z marmuru.

Na lewo prowadzi ona do Świątyni Nieba. Duża brama, jak przy Mieście Zakazanym. A potem dziedziniec i pośrodku świątynia.

Trzy duże, okrągłe i koncentryczne tarasy z białego marmuru. Świątynia wznosi się na środku najwyższego. Ma trzy dachy, kryte niebiesko-zielonymi, falistymi kaflami. Mury jej są czerwone. Jest stożkowata, przysadzistością swoją przypomina stóg zboża.

Zbudowano ją za Mingów w r. 1419. Została odnowiona w połowie wieku XVIII, w 1889 zaś spaliła się od uderzenia piorunu. Niebawem została odbudowana.

Była miejscem modłów cesarza o dobry urodzaj.

Wnętrze jej jest dosyć proste. Wysoka — około 30 metrów — kopuła, podparta kilkunastu większymi i mniejszymi kolumnami z drzewa, obitymi pomalowaną na czerwono skórą. Pośrodku płyta kamienna z czarnoszarą plamą, przypominająca kształt smoka. Jest tu chłodno jak w mogile i ciemnawo.

W oficynach kolekcja instrumentów muzycznych, potrzebnych ongi do celów liturgicznych. Ogromny bęben. Cymbały z kamienia o pięknym, srebrzystym dźwięku, 16 dzwonów, ułożonych w jakieś tam gamy. Jeszcze inne, o nieznajomych kształtach. W oficynie tej cesarz przed modłami kąpał się i pościł.

Wychodzimy na szeroką, marmurową „ulicę" wśród tuj. Na jej drugim końcu mieści się „ołtarz nieba". Lu Chualan mówi, że dzięki Japończykom i kuomintangowcom ołtarz ten stracił dużo ze swej piękności. Pierwsi wycięli tuje, które go otaczały ciemnozielonym masywem, drudzy zapuścili park i sam ołtarz.

Ołtarz jest po prostu trójstopniowym tarasem z białego marmuru, takim jak ten, na którym o paręset metrów dalej stoi świątynia. Każdy z tych stopni otacza balustrada. Na środku ołtarza jest punkt, gdzie cesarz w bezpośredniej rozmowie referował niebu ziemskie sprawy bieżące.

Lian Ta popycha któregoś z nas do tego punktu i każe coś do siebie samego — byle nie szeptem — powiedzieć. O dziwo! Każde słowo, które mówię, dudni mi w uszach. A przecież nie ma tu ścian, o które by się mogło odbić. Akustyka ołtarza pomyślana jest — pionowo! Fala głosowa odbija się od marmurowej posadzki, zahacza o uszy mówiącego i biegnie wprost do góry, do nieba.

Między ołtarzem a świątynią, ale bliżej tego pierwszego, na marmurowej „ulicy" mieści się jeszcze jedna świątynia: „Majestatu Nieba". W przeciwieństwie do innych — jej mur zewnętrzny ma kształt regularnego koła. Zbudowano ją w 1530 roku. Wewnątrz nieduży budynek świątyni, naprzeciw bramy, i dwie jeszcze mniejsze oficynki.

Krąg podwórza ma średnicę jakichś 75 metrów.

Lian Ta robi jakieś manewry. Młodzieżowca ustawia między murem a jedną z oficyn. Mnie każe stanąć przy drugiej. Na dziedzińcu jest sporo ludzi normalnie (to znaczy głośno) rozmawiających. I w tym hałasie słyszę głos młodzieżowca: „No jak tam, towarzyszu Putrament?". Podnoszę głowę, jest pusto. Głos ten rozlega się z absolutnej pustki, ze dwa metry ode mnie.

Odpowiadam, nie podnosząc głosu. Na tle dużego hałasu, w odległości 70 metrów jeden od drugiego prowadzimy prawie półgłosem rozmowę. Takich cudów akustycznych nie spotykałem.

Zaiste, ściany mają uszy w tej świątyni!

WASZE SZCZĘŚCIE I NASZE

Właściwie już trzydziesty października. Cały wieczór latania za ostatnimi sprawami i sprawunkami. Potem nagrywanie na taśmę przemówienia radiowego. Potem dzielenie się wrażeniami z Chin w naszej ambasadzie wobec kilkunastu jej pracowników i grupki stypendystów.

Przedsmak powrotu: co potrafię powiedzieć o Chinach ludowych? Jak ułożyć w logiczne całości ten natłok najjaskrawszych wrażeń? Chyba najprościej będzie jak najdokładniej te wraże-

nia opisać, niech słuchacze i czytelnicy układają to jakoś sami sobie.

Zobaczyliśmy tu zabytki pięknej historii i przeżytki okrutnej przeszłości. Zobaczyliśmy wspaniałe świątynie, pałace, rzeźby, obrazy, tańce, muzykę. Zobaczyliśmy ślady niedorzecznych przesądów, liche lepianki w przeludnionej wsi czy na przedmieściach wielkich stolic, brak dróg, niewysoki poziom uprzemysłowienia kraju. Zobaczyliśmy świadectwa przemyślanych zbrodni rządzących tu od stuleci aż do zaprzeszłego roku własnych i obcych okupantów.

I nigdzie — poza Związkiem Radzieckim — nie widziało się, nie czuło się tyle niefałszowanej, żywiołowej radości, tyle śpiewu, uśmiechów, wiary w przyszłość. Bo szczęście ludzkie nie wynika z takiego a takiego minimum spożytych dziennie kaloryj, ani z określonej ilości metrów kwadratowych powierzchni mieszkalnej. Szczęście ludzkie nie boi się największych trudów i wyrzeczeń. Boi się ono tej najgłębszej samotności, którą nosi w sobie drapieżne zwierzę w puszczy, mieszczuch w społeczeństwie kapitalistycznym.

Nawet najlepiej zorganizowane społeczeństwo kapitalistyczne, różne Szwecje i Szwajcarie nie potrafią uchronić swoich obywateli przed epidemiami alkoholizmu, samobójstw, melancholii, chorób umysłowych.

Widziałem przed rokiem Szwajcarię. Widzę teraz Chiny. Szwajcaria ma bezsprzecznie lepszą sieć dróg, znakomicie działające telefony. Ale Chiny bezsprzecznie dzisiaj są szczęśliwsze.

Bo ich ludność wie, po co walczy, wie, w imię czego wyrzeka się i dziś jeszcze tego czy owego. Wie, że jej dzieci mają lepsze dzieciństwo, będą miały lepszą młodość, doczekają się nowego, wspanialszego życia, gdy dorosną.

To szczęście dzisiejszego półmiliardowego narodu jest i naszym szczęściem. Nie tylko dlatego, że każdy człowiek cieszy się cudzą pomyślnością. Przede wszystkim dlatego, że zwycięstwo Chin Ludowych zmienia radykalnie sytuację świata, czyni rolę podżegaczy wojennych szczególnie niewdzięczną, więc bezpośrednio wpływa i na losy naszego narodu.

W historii ludzkiej wypływają z tego zwycięstwa dwa wielkie skutki.

Po pierwsze — ze świata kapitalistycznego wypadł kraj, który był jego największą rezerwą. Kraj ogromnych przestrzeni — prawie bez dróg, ogromnych zapasów surowca — prawie bez przemysłu. Kraj ogromnych mas chłopskich, kraj przeludnionej wsi.

To znaczy, że kraj ten otwiera przed kapitalizmem pole do ogromnej eksploatacji. Chiny mogłyby dla Ameryki stać się na przykład: 1. rynkiem zbytu własnej tandety przemysłowej; 2. źródłem najcenniejszych i tanich surowców; 3. terenem szerokiego obrotu kapitałów włożonych w lokalny przemysł, oparty o tanią siłę roboczą.

Te trzy źródła szybkich i wysokich dochodów zostały Ameryce odebrane. To znaczy, że kapitalizm światowy o ileś tam lat ma swój żywot skrócony. To tak jak z ogniskiem, które się dopala. Była jeszcze prawie nietknięta przez ogień wielka kłoda. Wyciągnięto ją z płomienia. Ognisko wypali się szybciej.

Ale przecież to nie tylko Chiny wypadły ze świata kapitalistycznego. Ich przykład ma ogromne znaczenie dla ludów Azji, będących w podobnej sytuacji. Chiny wskazują, jak, którędy może naród zacofany, półfeudalny, półkolonialny odzyskać swoją niepodległość. Narody Indyj, Indonezji, Pakistanu, Vietnamu, krajów arabskich Bliskiego Wschodu od paru lat czy nawet paru dziesięcioleci na własnej skórze

przechodzą naukę: co znaczy „niepodległość" uzyskana za zgodą dawnej kapitalistycznej metropolii. „Wielkoduszna" Anglia Indiom i Egiptowi, Pakistanowi i Birmie „podarowała" osobliwe „niepodległości", za które narody te płacą haracz swoją nędzą, głodem i krwią. Amerykańska „niepodległość" Filipin, holenderska — Indonezji, najbrutalniejsze i najgłupsze „niepodległości" francuskie Vietnamu czy Maroka nie utrzymają się, nie mogą się utrzymać w obliczu zwycięstwa Chin Ludowych. Trzeszczy i chwieje się epoka, na której wyrosły zakłamane „wolności" kapitalistycznej Europy Zachodniej czy Ameryki Północnej. Bo jak bez zysków, ciągnionych z nędzy, głodu i poniewierki ludów kolonialnych, utrzymać „rozkosze" materialne i „piękności" duchowe metropolii?

Ale Chiny nie tylko wyszły z obozu imperialistycznego, one także przeszły do obozu demokracji i socjalizmu. I to jest drugi na miarę światową skutek zwycięstwa ludu chińskiego i partii Mao Tse-tunga. Po zwycięstwie Rewolucji Październikowej, po powstaniu pierwszego państwa socjalistycznego na kuli ziemskiej — to nowy, wielki krok ku przyszłej ludzkości.

Dla naszego narodu sprawa istnienia i rozwoju sprowadza się do ułożenia braterskich stosunków z obu naszymi wielkimi sąsiadami — Związkiem Radzieckim i Niemcami. Możliwe to staje się tylko, jeśli istnieje i u nas, i u nich ustrój demokracji ludowej i socjalizmu, jeśli pokój światowy jest zachowany. Zwycięstwo Chin Ludowych, osłabiając podżegaczy wojennych, wzmacniając obóz pokoju i demokracji — bezpośrednio i konkretnie wpływa na nasze losy, daje nam szansę rozwoju, radości i życia.

Wasze szczęście, przyjaciele chińscy, jest naszym szczęściem.

POWRÓT

Jest już po pierwszej. O czwartej przyjdą mnie budzić. Pakuję resztę papierzysk i drobiazgów, zaglądam do szuflady biurka. Jest pusta, tylko na jej dnie widzę kilka podpisów. „Sgt W. H. Tribble, USMC. PFC m. 6. Fulton, Jazoo City Min. PFC A. Ctacy, KY t NC. PTC B. Thompson, Ala". I tak dalej. Kaprale i sierżanci amerykańskich sojuszników Czang Kai-szeka, którzy przyjeżdżali tu przed paru laty, szwendali się po świątyniach pekińskich, żuli gumę, pili wódę, tłukli rykszarzy — kiedyż zrozumieją, że zwycięstwo pogardzanych przez nich Chińszyków, daje im, amerykańskim żołnierzom, szansę uratowania swego życia, uniknięcia wojny, przemiany ich samych w ludzi, ich kraju w kraj kulturalnych?

A zresztą... Popatrzmy lepiej po raz ostatni na nocny Pekin. Noc jest ciepła. Trochę żółtych ogni. Pali się czerwono kreska najupartszego neonu. Niebieskie gwiazdy. W dole przed hotelem jadą dwukółki zaprzężone w muły, ale na samochodowych oponach. Gdzieś warczy jeden i drugi samochód.

Jak komety wpadliśmy tutaj, zobaczyliśmy coś niecoś, i hajda z powrotem!

1.XI. Irkuck.

Pożegnanie na lotnisku. Przyrzekamy Lian Ta i Lu Chua-lan, że listy, że się zobaczymy... Start przed świtem. Ihojuań w półmroku. Widać wolno sunący wąż samochodów — wracają ci, co nas żegnali.

Gobi. W Sajn-Szauda mróz parustopniowy i ostry wiatr. Znowu pustynia. Na jej żółto-czerwonej płachcie śnieg: jakby komuś pękł worek z gipsem.

Góry za Ułan - Batorem. Na dnie głębokiej doliny rzeczułka powykręcana jak werset z Koranu.

Rzeka Selenga. Ciemnozielona, malachitowa, upstrzona krą jakby okami zakrzepłego tłuszczu. Szara, rzadko zabudowana wioska i obok biała zabaweczka cerkwi.

Nad Bajkałem mgiełka. Jest ciemnoniebieski, chwilami podobny do letniego nieba: chmury przesłoniły wzgórza przeciwległego brzegu.

W Irkucku starzy znajomi. Przez noc samoloty za oknami porykują z zimna jak mastodonty.

Świt się przeciera, wyglansowany, turkusowy, żywcem wzięty z litografii.

1—2.XI. Moskwa.

W Krasnojarsku błoto, w Nowosybirsku i Omsku — mróz. Lot wolniejszy i męczący, pod wiatr, z huśtaniem. Moskwa pełna przedświątecznych przygotowań, ruch w sklepach ogromny, tu i ówdzie zaczynają dekorować gmachy.

Żyję jeszcze według czasu pekińskiego: zasypiam o dziewiątej wieczór, budzę się o czwartej.

Warszawa w listopadzie.

Najczęściej stawiane mi pytanie: jak tam ze zgniłymi jajami? No, a gniazda jaskółek, jakie w smaku? Wybitny intelektualista pyta: paliłeś opium?

Napisałem wstęp do niniejszego notatnika. Pewien redaktor przyczepił się od razu do pierwszego zdania: „Pojechałem do Chin wiedząc o nich tyle, co przeciętny inteligent, to znaczy prawie nic. I oczywiście, zmienił to „prawie nic" na „stosunkowo niewiele". Ha, niech się cieszy. To nie jego rozpytują o te gniazda jaskółek.

Jerzy Putrament

Notatnik chiński drukowany w Twórczości ze skrótami ukaże się w całości nakładem Wydawnictwa Ministerstwa Obrony Narodowej

MICHAŁ ISAKOWSKI *Przełożył* WŁODZIMIERZ BORUŃSKI

PORANEK

Obudź się,
Podejdź,
Wytęż wzrok:
Wiosenny wiatr otulił ziemię
I jeszcze brzask, jak góry stok,
Czerwonym ściele się płomieniem.
Mych bosych stóp widnieje ślad
I tak się cieszy tym przyroda.
Patrz:
Wczoraj padał deszcz i grad,
A dziś
Słonecznie, dziś — pogoda.
Wioska śpi jeszcze.
Ludzie śpią;
Wiedzą, że będzie coraz lepsze,
Jaśniejsze życie. W słońcu lśnią
Schludne dachówki, zmyte deszczem.
Nad nimi anten drżący ruch,
Co przestrzeń tną i w dal gdzieś gonią.

Lecz oto traktorzysta-zuch
Wytłoczył furtkę mocną dłonią.
Lenistwa nocy jeszcze cień
Z uśmiechu zniknąć mu nie może.
On czujnie bada nowy dzień,
Oparłszy się na radiatorze.

Powoli wciąga fajki smak, —
Pierś odsłonięta, lok na czole;
Za chwilę, napełniwszy bak,
Wyjedzie orać wprost na pole.
On czarny obrus będzie słał,
Glebę przed wszelkim złem obroni...
I siłę tych dwudziestu koni
Człowiek w swym ręku będzie miał.
I śmiało wyrzec będzie mógł,
Witając zmierzch, co skośnie osiadł,
Że się zwaliła
Tutaj z nóg
Przeżyta, jednokonna Rosja.

(1929).

MATCE

Że syn twój odszedł, niech cię to nie smuci,
O lepsze dni nikogo dziś nie proszę.
Zawsze i wciąż rocznicę Rewolucji
Wierszami witam, dar jej swój przynoszę.

Piszę o biedzie, która noce całe
Wyrka skrzypiące gniotła, zła, szalona,
I o tym piszę, że do niskich chałup
Miedzianym drutem światło płynie do nas;

Piszę, jak podział dusił nas i jak to
W ten ciężki czas głód stawiał szare krzyże,
I że dziś pola nam zaorał traktor,
Że gęste zboże rośnie coraz wyżej.

O matko miła, wiecznie się modląca!
Ty, co w pokorze znosić los umiałaś!
Czy to nie twoja w izbie ręka drżąca
Portret Lenina chlebem przyklejała?

Czy to nie ty, wieczorem już, przy świetle,
Synową prosisz z zawstydzoną miną,
By przeczytała tobie tę gazetę,
W której drukują wiersze twego syna?

O, gdyby lata stare w otchłań rzucić, —
Mój szlak i twoim byłby przeznaczeniem.
I zawsze, wiedz, w rocznicę Rewolucji
Przesyłam ci synowskie pozdrowienie.

(1925).

WIOSNA

Śnieg stopniał już, w zieleni ziemia tonie,
Most znowu drży od ciężkich kół furmanek.
Mkną słońcem spite wróble, a jabłonie
Zmieniają barwę, wiatrem kołysane.

W zagrodach życie wstaje wraz z porankiem
I w ciągu dnia wesoły gwar narasta,
I stado już zapędza na polankę
Od zimy czekający na nie pastuch.

O wiosno, wiosno, panno rozśpiewana,
Wkrąg tobą wszystko żyje, szumi, dyszy,
Na samym szczycie dachu kogut stanął
I pieje tak, że cały rejon słyszy.

Otwarte okna. Ziemię wiatr ochładza tkliwie,
Skłębiona mgła nad rzeką lekką parą wstaje
I dzieci śmieją się do słońca hałaśliwie,
I staruszkowie wciąż o życiu rozmyślają.

(1927).

przełożył **Włodzimierz Boruński**

HENRYK MARKIEWICZ

Krytyka literacka w latach 1945 — 1951

Referat wygłoszony na Plenum ZLP poświęconym zagadnieniom krytyki literackiej

Szkicowy nawet zarys rozwoju naszej krytyki literackiej w powojennym sześcioleciu nastręcza dziś dużo jeszcze trudności.

Po pierwsze — ze względów technicznych: podczas gdy oryginalną twórczość artystyczną z grubsza selekcjonuje książkowa forma publikacji — tutaj ograniczać się do wydawnictw książkowych znaczyłoby absurdalnie zaciemnić i zniekształcić obraz krytyki współczesnej. Uważne zaś przeanalizowanie całości materiału czasopiśmienniczego, który narósł w ciągu sześciu lat, wymagałoby długich i żmudnych studiów.

Po drugie — sprawdzianem słuszności postulatów i sądów krytyka jest ich weryfikacja przez historię literatury. A my tymczasem nie zdobyliśmy się dotąd — poza szkicami R. Matuszewskiego (Myśl Współczesna, 1950/10) i W. Woroszylskiego (Twórczość, 1951/5) — na szersze, gruntowniejsze zwartościowanie literatury powojennej, zwłaszcza lat 1945 — 1948, dokonane z dojrzałego marksistowskiego punktu widzenia.

Po trzecie — szkic syntetyczny zazwyczaj opiera się na poprzednich ocenach szczegółowych i do nich się odwołuje. Tymczasem ja, chociaż w toku referatu będę występował przeciw krytyce, która wyrokuje i orzeka, zamiast argumentować i przekonywać, sam z konieczności stawiam niekiedy takie nie dość umotywowane, a nawet apodyktyczne cenzurki. Trudno bowiem rozbudowywać referat analizami szczegółowymi, a „krytyka krytyki" w omawianym okresie prawie nie istniała. Wydane prace krytyczne zdobyły niewielką ilość recenzji i to jest niemal cała „literatura przedmiotu" aż do ostatnich głosów dyskusyjnych na temat krytyki w Nowej Kulturze. Ogólne charakterystyki sytuacji w literaturze, podejmowane przez Żółkiewskiego, Ważyka i Putramenta, zatrzymywały się na krytyce tylko mimochodem, pobieżnie, wyliczając parę nazwisk i stwierdzając, że jest na ogół coraz lepiej, choć krytyka wciąż nie spełnia swych zadań i nie nadąża nie tylko za życiem, ale również za literaturą.

Po czwarte — granice obszaru krytyki są bardzo rozciągliwe; trudno go oddzielić od wypowiedzi kierowników naszego frontu ideologicznego, od publicystyki kulturalnej, od niektórych prac historyczno-literackich, od programowych czy samokrytycznych wypowiedzi pisarzy.

Z tych wszystkich przyczyn niniejsza próba zarysowania głównych linii rozwoju krytyki polskiej w latach ostatnich jest na pewno ułomna, niepełna i sporna w wielu szczegółach. Jeżeli da jednak orientacyjne rusztowanie dla dyskusji — myślę, że zadanie jej będzie spełnione.

Osią referatu jest sprawa udziału krytyki w kształtowaniu się realizmu socjalistycznego w literaturze Polski Ludowej. Tylko pod tym kątem widzenia uwzględnione w niej zostały prace dotyczące literatury obcej i prace historyczno-literackie. Całkowicie pominięto krytykę teatralną, krytykę książek dla dzieci i młodzieży, wreszcie recenzje w prasie codziennej.

Polska krytyka literacka startowała po wojnie w warunkach bardzo niekorzystnych. Spośród wszystkich dziedzin literatury — kadry krytyki zostały chyba najokrutniej zdziesiątkowane w czasie wojny. Zmarł wybitny marksista, autor książki o Żeromskim — Julian Brun-Bronowicz. Zginęli tacy krytycy jak Boy-Żeleński, Ignacy Fik, Franciszek Siedlecki, Dawid Hopensztand — od których pozycji ideowych prowadziły na pewno drogi ku marksistowskiemu literaturoznawstwu. Zginęło wielu innych wytrawnych krytyków i badaczy literatury.

Byłoby dziś rzeczą i niewłaściwą i bezpłodną zastanawiać się, czy i kogo spośród nich dojrzelibyśmy dziś w obozie postępu. Ale oceniając ciężar strat, nie można zapominać o tej drodze przemian ideologicznych, jaką przebyło w czasie wojny tylu przedstawicieli inteligencji twórczej — drodze, która i dla nich stałaby otworem także.

Trudny start krytyki literackiej wynikał przede wszystkim stąd, że w okresie przedwojennym była ona w znacznym stopniu inspirowana przez idealistyczne koncepcje nowszej humanistyki burżuazyjnej, zwłaszcza diltheyizm i formalizm, a zarazem niejednokrotnie programowo rezygnowała z rygorów naukowych. Krytyka, jak każdy rodzaj publicystyki, ściślej jeszcze niż literatura uzależniona była od burżuazyjnych ośrodków dyspozycji politycznej. Pozycje lewicy w tej dziedzinie były zdecydowanie słabsze niż np. w poezji czy prozie artystycznej. W chwili wyzwolenia znajdowało się w grupie marksistowskich krytyków kilka zaledwie nazwisk, jeśli nawet określenie to rozumieć w sensie najszerszym, najbardziej liberalnym — jako krytyków obznajmionym z teorią marksizmu i estetyką materialistyczną, co przecież — jak zobaczymy — nie gwarantowało zawsze sprawnego i konsekwentnego zastosowania ich w praktyce.

Powojennej krytyce literackiej w Polsce tym trudniej było odciąć się od swej najbliższej przeszłości i osiągnąć dojrzałość ideologiczną, że w jej tradycjach narodowych słabe były elementy estetyki realistycznej, a równocześnie powiązanej z rewolucyjnym demokratyzmem. Sytuacja krytyków polskich była o ileż trudniejsza od położenia postępowych krytyków rosyjskich w analogicznym momencie historycznym! Im drogę do marksizmu ułatwiały żywe tradycje Bielińskiego, Dobrolubowa, Czernyszewskiego, tradycje dziś nawet w znacznym stopniu aktualne jako wzory postępowania krytycznego. Można przypomnieć: a Edward Dembowski? Ale rewolucyjną myśl krytyczną Dembowskiego trzeba z trudem nieraz wydobywać z idealistycznej skorupy jego sformułowań, podczas gdy na recenzji Bielińskiego czy Dobrolubowa dziś jeszcze wprost można się uczyć bojowej i realistycznej krytyki.

Z tych między innymi przyczyn w czołówce literackiej, która w roku 1944 rozpoczęła ofensywę w kierunku przedpola realizmu socjalistycznego, główną siłą, zwłaszcza na początku, nie była krytyka sensu stricto, lecz publicystyka uprawiania przez pisarzy, niejako na marginesie głównego nurtu ich pracy twórczej. Publicystyka ta, jeszcze w zarysach ogólnych, wysuwa postulaty literatury związanej ze współczesnością i służącej społeczeństwu przez to, że uczestniczy w kształtowaniu się sprawiedliwych stosunków społecznych i odbudowie moralnej człowieka. Literatura nie jako zabawa pięknoduchów, ale jako sprawa odpowiedzialności moralnej, całkowitego ideowego i emocjonalnego zaangażowania się twórcy — oto jak określają zadania pisarza artykuły Adama Ważyka (P o z y c j a a r t y-

sty) i Mieczysława Jastruna (Poezja i poetyczność) zamieszczone w n-rze 8—9 lubelskiego Odrodzenia (listopad 1944). Są to pierwsze chyba powojenne wypowiedzi literacko-ideologiczne. Ale nawołując pisarzy do „współczesności" (myśl tę będzie potem rozwijał Jastrun w artykule Poza rzeczywistością historyczną, Kuźnica, 1945/1), autorzy z naciskiem odżegnują się od postulatów politycznej aktualności, od „manii poezji agitującej i pobudzającej", od forsowania prozy, która „odzwierciedla aktualnie zachodzące procesy".

Jak widać, program to jeszcze ogólnikowy i niekonsekwentny. Główna wartość omawianych artykułów, podobnie jak i innych wczesnych wystąpień publicystycznych, polega raczej na zawartych tu elementach krytyki literatury burżuazyjnej okresu imperializmu. Głównym przedmiotem ataku jest proza z jej skrajnie zsubiektywizowanym obrazem świata i przerostem analizy psychologicznej lub biologiczną koncepcją człowieka. Mniej zdecydowany jest stosunek do nowej poezji: tylko skrajnie estetyzujące stylizatorstwo i jawnie formalistyczne eksperymentowanie zostaje potępione. Przy przejściu na grunt polski dołącza się tu zdecydowanie negatywny stosunek do poetyki ekspresjonizmu i neosymbolizmu w jego ostatnim, katastroficznym wydaniu, pewne lekceważenie poetyki Skamandra, uznanie dla Przybosia, otoczone zastrzeżeniem, że są to osiągnięcia niepowtarzalne. Natomiast niektóre elementy postsymbolicznej poezji francuskiej zostają uznane za wartościowe i aktualne dla dalszego rozwoju kultury poetyckiej. Słabą stroną tej krytyki była jej skrótowość, ogólnikowość i aluzyjność; przy próbach interpretacji marksistowskiej — nie dość precyzyjna interpretacja klasowego charakteru zjawisk literackich, które na ogół wiązano genetycznie tylko z sytuacją drobnomieszczaństwa lub inteligencji, pomijając ich funkcję w ogólnej strukturze kulturalnej okresu imperializmu.

Na ogół przy tym znacznie częściej pisano o literaturze obcej niż polskiej. Studium Pawła Hoffmana o Brzozowskim (Nowe Drogi, 1947/2), odsłaniające falsyfikację marksizmu i elementy prefaszystowskie w jego ideologii, było pozycją odosobnioną. Ankieta na temat dwudziestolecia rozpisana przez redakcję Twórczości w roku 1946 wywołała odzew przeważnie wśród apologetów tej literatury. Natomiast gruntowną kampanię przeciw tradycjom literatury chłopskiej opartej o mit odrębności i jednolitości wsi i chłopski personalizm (Wici) przeprowadził tygodnik Wieś, głównie piórem Jana Aleksandra Króla (artykuły zebrane w tomie Drogowskazy na manowcach kultury ludowej) i Anny Kamieńskiej. Wieś demaskowała próby użytkowania kultury ludowej dla zatarcia klasowego rozwarstwienia wsi i rozbijania sojuszu robotniczo-chłopskiego. Redakcja nie przemyślała jednak jeszcze marksistowskiej teorii stosunku kultury ludowej i narodowej, popełniała w tym zakresie pewne błędy, niejednokrotnie wpadając w likwidatorstwo, w nihilistyczny stosunek do wartości i możliwości dalszego rozwoju folkloru.

Na szerszą skalę podjął polemikę z literaturą burżuazyjną okresu imperializmu Jan Kott (również jednak na przykładach zaczerpniętych z literatury obcej) w kilku studiach napisanych jeszcze w okresie okupacji, ogłoszonych częściowo w roku 1945, a zebranych potem w tomie Mitologia i realizm (1946). Prace te posiadały na gruncie polskim ważne znaczenie metodologiczne jako jedna z pierwszych u nas prób bliskich marksizmowi w badaniach literackich. Kott, analizując twór-

czość Stendhala, nadrealistów, Gide'a, Conrada — ustala, żeby się tak wyrazić, „ekwiwalent ideologiczny" znaków literackich — sytuacji i konfliktów omawianych utworów. Ale na tym szczeblu interpretacji się zatrzymuje, nie sięgając do ich konkretnego historycznego uwarunkowania. Tu interesują nas jednak prace Kotta przede wszystkim ze względu na zawarty w nich ładunek polemiczny, na atak wymierzony w pojmowanie poezji jako „oszałamiającej przygody duchowej" i formalistycznego eksperymentowania, w antyspołeczny amoralizm koncepcji człowieka u Gide'a, wreszcie — w pesymistyczny tragizm samotnych bohaterów Conrada i Malraux, zmagających się z bezlitosnym, ślepym i irracjonalnym losem. Tym mitom epoki imperializmu przeciwstawiał Kott postulat powrotu literatury do rzeczywistości, hasło zaufania do pozn wczego, intelektualnego opanowania świata. „Antyrealizm był najbardziej istotną cechą poezji po tamtej wojnie, powrót do rzeczywistości i nowy realizm będzie może znamieniem powstającej obecnie literatury. Będzie prawdopodobnie dążyła do odbudowania pojęcia człowieka, do pokazania jak naprawdę wygląda świat, i jak żyją i powinni żyć ludzie". (P o w r ó t d o r z e c z y w i s t o ś c i w p o e z j i, Odrodzenie, 1945/18). W czerwcu 1945 pierwszy numer Kuźnicy w programowym artykule Mieczysława Jastruna P o z a r z e c z y w i s t o ś c i ą h i s t o r y c z n ą stwierdzał już bez wahań: „Nowy styl, nieznany nam jeszcze, może tu i ówdzie już zapoczątkowany, nowy realizm zwycięży z nieodpartą historyczną koniecznością..."

Wypowiedzi Kotta i Jastruna stanowią punkt wyjściowy dla walki o realizm podjętej przez grupę Kuźnicy w latach 1945—1947. W walce tej mieściła się z jednej strony dyskusja z tendencjami programowo antyrealistycznymi jak i z wypowiedziami, które — pozornie akceptując realizm — wypaczały całkowicie jego sens. Z drugiej strony — był to ciągły, choć powolny i oporny proces krystalizacji postulatów literackich, które terminem realizm, użytym ogólnikowo, były raczej zamarkowane niż istotnie sprecyzowane.

Tendencje jawnie antyrealistyczne stanowiły literacką ideologię obozu reakcji politycznej. Najczęściej grawitowały w stronę wyraźnego fideizmu, wskazując metafizykę katolicką jako centralny problem literatury. Faszystowski krytyk Edward Jastrząb w poznańskim Życiu Literackim (1945, nr 7—8) tylko dla prowokacji uznawał celowość realizmu: żądał od niego oszczerczej kompromitacji demokracji ludowej; zresztą domagał się od literatury ukazywania kontaktów człowieka ze sferą metafizyczną. Konrad Górski tak formułował „rolę pisarza katolickiego w dobie współczesnej" (Tygodnik Powszechny 1946/37), broniąc obiektywnej rzeczywistości faktów naukowo niesprawdzalnych: „chodzi o to, żeby światu, który zatracił zdolność wewnętrznego „słuchu", pokazać z całą potęgą sugestii literackiego języka rzeczywistość duchową doświadczeń rzekomo niesprawdzalnych i nie dających się skontrolować... Dziś nie ma ważniejszego problemu dającego się opracować literacko jak wierne oddanie tych perypetii życia wewnętrznego, które prowadzą do utraty łaski albo od jej odzyskania". Postulaty te w podobnych sformułowaniach będą na łamach prasy katolickiej powracały niejednokrotnie (np. w artykule Jerzego Zawieyskiego, Z a g a d n i e n i e l i t e r a t u r y k a t o l i c k i e j, Tygodnik Powszechny, 1947/23).

Sformułowania tak fideistyczne w swej treści i tak programowo odwracające się od współczesności wymagały oczywiście od marksistów dyskusji nie

tyle estetycznej, co filozoficznej i politycznej; polemika taka się odbywała wielokrotnie na łamach Kuźnicy i Odrodzenia. Dyskusja estetyczna potrzebna była natomiast wobec drugiej grupy wypowiedzi, które zniekształcały sens postulatu realizm, pozornie go aprobując. Najczęściej była to tradycyjna, naturalistyczna interpretacja realizmu, którą w aż skarykaturowanej postaci reprezentował K. W. Zawodziński. „Ideałem jego (realizmu) jest proste przedstawienie powszedniości, codzienności życia, z pozostawaniem co do wyboru jego zjawisk w szczupłym środkowym diapazonie zwyczajności: „obrazy powszednie, zgodne z rzeczywistością codzienną, spokojne, nie rażące ani formą, ani treścią, jak mówi Chmielowski o Hoffmanowej, której programem były jej własnymi słowy „powieści obyczajowe, domowe; bez wielkich i nadzwyczajnych przygód malować rzeczy i ludzi z natury, jak je wkoło siebie widzimy" (R z u t o k a n a l i t e r a t u r ę p o l s k ą 1 9 4 5 r., str. 41). Klementyna Tańska awansowała na największego realistę naszej literatury...

Rzadsza, ale bardziej myląca, bo posługiwała się pozornie argumentacją marksistowską, była interpretacja, która tak poszerzała zakres realizmu, by objąć nim te wszystkie utwory, które znamiennie świadczą o swojej współczesności, ale obojętnie jakimi środkami artystycznymi. W takim rozumieniu realistyczna była np. również twórczość Leśmiana, Gombrowicza i Schulza, jako charakterystyczny wyraz swej epoki. Henryk Vogler doszedł tą drogą do przekonania, że każde zjawisko literackie rozpatrywane jako „produkt form gospodarczych, jako wykładnik krzyżujących się sił społecznych" jest i automatycznie być musi — nacechowane realizmem (P r a w d a i f i k c j a r e a l i z m u, Twórczość, 1945/5).

Jak rozumiała wówczas realizm krytyka Kuźnicy? Zestawmy cytaty z kilku felietonów Kotta z drugiej połowy 1945 r.: „Realizm to zrozumienie, że obraz i los człowieka kształtuje nie tylko biologia i psychologia, ale historia, i przede wszystkim historia" (Po prostu, 1946, str. 98), to wybór „trafnych związków przyczynowych określających działalność człowieka", inaczej: „konstrukcja losu ludzkiego, pojęta nie jako studium namiętności, choroby czy oddziaływania łaski, ale jako analiza przemian grupy społecznej" (str. 136). Z czasem nazwano to „socjologiczną konstrukcją losu ludzkiego" — sformułowaniem, którego świadoma nieprecyzyjność otwierała furtkę dla koncepcji burżuazyjnej socjologii. O jaką „historię" i jaką „socjologię" chodziło, tego nie mówiły wprost pierwsze felietony Kotta w Odrodzeniu; dopowiedziała to dopiero ofensywa myśli marksistowskiej przeprowadzona piórem Schaffa i Żółkiewskiego na łamach Kuźnicy w latach 1945—46. *Expressis verbis* doprowadził ten postulat do świadomości pisarzy Żółkiewski na łódzkim zjeździe pisarzy w roku 1946, dowodząc bankructwa burżuazyjnych form humanistyki i wskazując na marksizm jako jedyną dojrzałą współczesną wiedzę o kulturze i człowieku. W związku z tym trzeba zaznaczyć, że w tym okresie wielu reprezentantów krytyki lewicowej, przyswajając sobie marksizm, uczyło się go stosować w badaniach literackich głównie według wzoru Lukacsa, a częściowo także Plechanowa, a więc z balastem ich błędów; nadto nie zawsze umiało konsekwentnie odciąć się od niektórych lepiej zamaskowanych form idealistycznej humanistyki.

Wróćmy jednak do pierwszej dyskusji o realizmie. Socjologicznej konstrukcji losu ludzkiego towarzyszył w artykułach Kotta postulat inny, niesformułowany wyraźnie, ale łatwy do wywnio-

skowania: postulat socjologicznej typowości postaci i ich losów. „Bohaterowie Stendhala i Balzaka wyrażają prawa rozwoju społecznego... Jeśli Julian Sorel, Vautrin i ojciec Goriot wyrastają jak wielkoludy ponad szarą przeciętność postaci powieści współczesnej, to dlatego, że losy ich nie są przypadkowe i indywidualne, ale ukute prawami historii." (Mitologia i realizm, str. 49). W związku z tym Kott przesadnie podkreślał prawo pisarza-realisty do zagęszczania rzeczywistości, do wyolbrzymienia i uproszczenia rysów bohaterów, do naruszenia powierzchownego prawdopodobieństwa sytuacji, jeśli dyktuje to wierność wobec istotnej prawdy historii. Przesadnie — bo ta słuszna w swej antynaturalistycznej tendencji teza prowadziła do lekceważenia realizmu szczegółów, do swoistego „realistycznego symbolizmu", do bardzo dowolnego reżyserowania faktów, co obserwujemy np. w ówczesnych książkach K. Brandysa i P. Hertza.

Później nieco uzupełnił Kott swą poetykę wielkiego realizmu postulatem żądającym, by pisarz odsłonił w dziele decydujący dla epoki konflikt ideowy, obyczajowy i moralny (Mury Jerycha, Kuźnica, 1946/31).

Nieporozumieniem, w skutkach swoich szkodliwym, była natomiast inna teza normatywna Kotta, która w sferze zainteresowań pisarza realisty pozostawiała tylko czyny bohaterów, jako rzeczywistość jedynie sprawdzalną, w przeciwieństwie do świata ludzkich myśli i uczuć. Sfera świadomości — twierdził Kott — nie poddaje się wierzytelnemu opisowi, a przy tym etyka laicka jest bezradna i obojętna wobec myśli, pragnień i marzeń człowieka, liczy się jedynie z obiektywną funkcją jego czynów. Ku poglądowi temu, którego konsekwencją w grucie rzeczy są dla literatury dyrektywy behawiorystyczne, doprowadziła Kotta chęć jak najostrzejszego przeciwstawienia się psychologizmowi schyłkowej powieści burżuazyjnej i jej relatywizmowi etycznemu. Nie trzeba dziś tłumaczyć, dlaczego pogląd to fałszywy. Trudność, o której mówi Kott, rozwiązuje realizm socjalistyczny inaczej — nie przez ignorowanie zjawisk wewnętrznego życia jednostki, lecz przez ich konfrontację z praktyką społeczną, z postępowaniem człowieka.

Normy stawiane realizmowi przez Kotta były wprowadzone przy pomocy Lukacsa z powieści realizmu krytycznego. Dlatego były one (tylko zresztą częściową) próbą określenia zadań literatury jako swoistego odzwierciedlenia poznawczego rzeczywistości społecznej. Nie uwydatniały natomiast innego aspektu literatury, szczególnie ważnego w momencie przełomu. Nie mówiły o jej zadaniach jako ideologicznego oręża w walce klasowej. Wymagały od pisarza, aby był wnikliwym interpretatorem wybranego odcinka rzeczywistości społecznej (postulat uchwycenia zasadniczego konfliktu społecznego wysunął Kott dopiero później i, jak widać z recenzji o Murach Jerycha, traktował go bardzo liberalnie). Nie mówiły natomiast o obowiązku współudziału literatury w kształtowaniu nowej rzeczywistości — poprzez kształtowanie świadomości czytelników. A raczej — pojmowały to zadanie w sposób uproszczony, jako automatyczną pochodną poznawczej funkcji dzieła literackiego, a nie jako nadrzędne zadadanie pisarza.

Natomiast ówczesne wypowiedzi Żółkiewskiego akcentowały silniej postulat osiągnięcia przez pisarzy pełnej świadomości politycznej, ich całkowitego zaangażowania ideowo-emocjonalnego w toczącej się walce klasowej. Jeśli nawet w wypowiedziach pisarzy lewicowych obowiązek społeczny twórcy ogólnikowo tylko określany był jako obowiązek współudziału w odbudowie moralnej

człowieka, to w przemówieniu Żółkiewskiego na zjeździe pisarzy w roku 1946 otrzymywał on wyraźną interpretację polityczną: „Walka ze złem — to walka ze złem w stosunkach między klasami i obowiązek moralny pisarza polega na współdziałaniu w tej walce..." (Kuźnica, 1946/43).

W roku 1947 realizm otrzymuje nowe wyznaczniki ideologiczne i poznawcze oparte na rezultatach pierwszych dwóch sezonów wydawniczych. Kott ogłasza wówczas swój pamflet Zoil czyli o powieści współczesnej, (Odrodzenie 1947/35), fałszywy w ogólnej tezie przekreślającej całkowicie wartości powojennej literatury. Słusznie wskazywał jednak Kott, że nie podjęła ona centralnej problematyki czasu: wyzwoleńczej walki mas ludowych, że jest oderwana od masowego czytelnika. Żółkiewskiego w artykule O literaturze współczesnej (Kuźnica 1947/37) bronił wówczas jej osiągnięć; był w tym artykule pewien ton samouspokojenia, przekonania, że literatura znajduje się już na najlepszej drodze rozwoju, a zahamowania jej i trudności pochodzą przede wszystkim stąd, że na pisarzach, rozumiejących swe obowiązki wobec współczesności, ciąży spadek obcych ideowo tradycji literackich: ekspresjonistyczna deformacja, motywacja biologiczna postępowania człowieka, psychologistyczne izolowanie wnętrza bohatera od rzeczywistości obiektywnej, oglądanie świata tylko oczyma bohatera przy wyrzeczeniu się przysługującej autorowi pełnej wiedzy o świecie. Obserwacje te były trafne, nie sięgały jednak do ideologicznych przyczyn ciągłej aktualności owych tradycji literackich, przez co stwarzały pozór, że chodzi tu tylko o niedomagania warsztatu literackiego.

Dopiero przemówienie Prezydenta Bieruta na otwarciu radiostacji wrocławskiej (16 listopada 1947) rzuciło ostre światło na społeczne zadania twórczości artystycznej w Polsce Ludowej. „Obowiązkiem twórcy kształtującego duchową dziedzinę życia narodu — mówił Prezydent Bierut — jest wczuć się w tętno pracy mas ludowych, w ich tęsknoty i potrzeby, z ich wzruszeń i przeżyć czerpać natchnienie twórcze do własnego wysiłku, którego celem głównym i podstawowym powinno być podniesienie i uszlachetnienie poziomu życia tych mas".

Dopiero przemówienie to umożliwiło krytyce lewicowej dostrzeżenie istotnych słabości ideologicznych nowej literatury. Referat Żółkiewskiego na walnym zjeździe literatów w listopadzie 1947 (Kuźnica 1947/49) wskazywał, że środowisko, z którego rekrutują się bohaterowie nowych powieści, jest jednostronnie inteligenckie, że pisarze skupiają swą uwagę na ubocznych problemach współczesności, prawie wyłącznie na przemianach ideowych inteligencji, przy czym zagadnienie to izolują od głównego problemu naszej epoki — walki wyzwoleńczej mas pracujących, co — rzecz prosta — prowadzi do fałszywej perspektywy. W tezach tych mieściło się (niesprecyzowane zresztą wyraźnie) wezwanie do zasadniczego zwrotu tematycznego ku problemom życia i walki mas ludowych. Jeśli dodamy tu postulat ludowego optymizmu sformułowany przez Żółkiewskiego w czasie dyskusji o prozie — otrzymamy ostateczne szczeble świadomości teoretycznej, do których dotarła krytyka lewicowa w pierwszym, ofensywnym okresie swojej działalności.

Postulaty te formułowane były oczywiście w języku ideologicznym, nazywały wartości ideowe i poznawcze, które literatura realistyczna powinna spełniać. Od pisarzy wychodziły jednak ciągłe apele o przeniesienie dyskusji w kierunku warsztatowym, w kierunku zagadnień literackiej konkretyzacji owych

założeń ideowo-poznawczych. Trzeba powiedzieć, że apele te były i są nadal trudne do realizacji — hamować je musi zawsze obawa przed doktrynerskim skrępowaniem i ujednoliceniem stylu pisarskiego. Niemniej były to apele słuszne: „od założeń literackich do stylu pisarz ma jeszcze nieprzebraną ilość stopni swobody, których go rozumna krytyka normatywna nie pozbawi" — wskazywał w dyskusji o prozie Adam Ważyk (W stronę humanizmu, 1949, str. 82). Od niego wyszły też w kilku wypowiedziach polemicznych sformułowania, słuszne zasadniczo i nadal aktualne, choć zbyt skrótowe i zmetaforyzowane. Tak np. Ważyk domagał się od powieści realistycznej — czynnej konstrukcji losu ludzkiego, tj. takiej budowy utworu, w której bohater byłby podmiotem wydarzeń, a nie jedynie ich ofiarą; bronił klasycznego typu powieści fabularnej opartej o fikcję, wbrew próbom rehabilitacji prozy amorficznej; zwalczał ekspresjonistyczne wynaturzenia stylu, traktowanego jako samodzielna koncepcja językowa, przekraczająca normy języka ogólnonarodowego. (W obu wypadkach stanowisko jego pokrywało się z poglądami wypowiadanymi równocześnie przez Kazimierza Wykę). Ważyk pierwszy bodaj sygnalizował niebezpieczeństwo schematyzmu jako rezultat jednostronności postulatów krytyki: „Postuluje się dla prozy powieściowej wielkie realia społeczne. Ten postulat jest słuszny tylko wtedy, kiedy będziemy domagali się równocześnie konkretnego ujęcia tematu, konkretnej sytuacji życiowej. Postuluje się socjologiczną konstrukcję losu ludzkiego. Ten postulat trzeba uzupełnić wymaganiem takiej konstrukcji losu ludzkiego, aby prawda stosunków społecznych ukazywała się za urodą jednorazowego zdarzenia. Domagajmy się typowości charakterów, ale tylko takiej, która mieści się w zindywidualizowanym obrazie człowieka" (j. w. str. 83).

Krytyka postulująca nie potrafiła jednak szerzej przełożyć swych tez na język specyficznych środków literackich; umiała tylko — jak widzieliśmy — eliminować antyrealistyczne konwencje literackie. Apele pisarzy o konkretne normy estetyczne w literaturze nie pozostawały jednak bez echa. Krytyka usiłowała lukę zapełnić, wskazując za Lukacsem na klasyczne wzory twórczości realistycznej — na Stendhala i Balzaka, Prusa i Orzeszkową. Jak konkretnie ma wyglądać wykorzystanie przez współczesną powieść ich doświadczeń realistycznych — tego krytyka nie potrafiła sprecyzować, kiedy się o to kusiła, powracała do ogólnych postulatów poznawczych: trzeba „podpatrywać u Balzaka zagęszczanie rzeczywistości, selekcję motywów, urastanie konfliktów klasowych, wybór trafnych związków przyczynowych, określających działalność człowieka i przede wszystkim ową obecność historii, której puls czuje się na każdej stronie Komedii ludzkiej (Kott, Rosół i makaron, Kuźnica, 1947/9). Trzeba przyznać, że pod tym względem niewiele się w krytyce naszej zmieniło.

Tradycje literackie, jakie w dyskusji o realizmie przypominano, były niewątpliwie wybrane trafnie. Niesłusznie jednak zwężano krąg tych tradycji do realizmu krytycznego, zapominając o innych okresach literatury. Przy tym w początkowych wypowiedziach najczęściej nie zdawano sobie sprawy z ograniczoności realizmu krytycznego. Wybór tych właśnie tradycji korzystny, choć oczywiście niewystarczający, dla artystycznej reedukacji pisarzy do rozrachunku z najbliższą przeszłością, był mało użyteczny wobec zadań twórczej afirmacji nowych form życia społecznego. Przykład realistów krytycznych — pisarzy często obiektywnie postępo-

wych pomimo swego światopoglądu — mógł prowadzić do fałszywego przekonania pomniejszającego znaczenia świadomości ideologicznej pisarza socjalistycznego. Dokładniejsze studia historyczno-literackie wykazały później, że pozycja realizmu krytycznego, wynikającego najczęściej albo z ideowego konfliktu pisarza ze swoją klasą, albo z wymowy obiektywnej utworu zwycięsko przeciwstawiającej się światopoglądowi pisarza — jest nieporównywalna z pozycją realizmu w warunkach demokracji ludowej. Wówczas Kott rozszerza wybrane tradycje na realizm osiemnastowieczny, realizm optymistyczny, pełen wiary w rozum i siły człowieka, realizm pisarzy młodej burżuazji, walczących w subiektywnym przekonaniu o interesy całego społeczeństwa, obiektywnie — w imię postępu burżuazyjnego, ale umiejących niekiedy obnażyć jego antagonistyczny charakter (S z k o ł a k l a s y k ó w, 1949).

Jeśli jednak zbliżenie pisarzy do twórczości wielkich realistów przeszłości było ze strony krytyki postępowaniem słusznym, choć niewystarczającym, przyczyniło się do wzmocnienia elementów realizmu w literaturze polskiej, to chybione były próby nawiązywania do niektórych ideologii artystycznych doby imperializmu. Niesłuszna była początkowa stawka Wyki na postawę tragiczności i drwiny (a więc pozycję bezwyjściowego pesymizmu, mitologizującego przedwojenną rzeczywistość polską) jako postawę wyjściową ku realizmowi. Niesłuszna była gloryfikacja wartości rzemiosła pisarskiego schyłkowej powieści burżuazyjnej podejmowana przez Pawła Hertza. Ten warsztat pisarski mógł co najwyżej — według słów Kotta — posłużyć „do dokonania ostatecznego obrachunku inteligenta kajającego się za grzechy kapitału finansowego", ale wobec innych zadań literatury był bezradny. Właściwym natomiast nawiązaniem do tradycji literackich dwudziestolecia było przypomnienie przez Wieś powieści Kowalskiego i Wasilewskiej i przeciwstawienie ich tradycjom solidarystycznego naturalizmu Burka i „chłopskiego nadrealisty" Piętaka.

Ze względu na przejrzystość powyższa charakterystyka walki o realizm w latach 1945—1947 uwzględniała tylko ważniejsze pozycje o charakterze postulatywnym i teoretycznym. Ale jest to oczywiście uproszczenie. W rzeczywistości — w walce tej współuczestniczyła na równi z nimi krytyka oceniająca poszczególne nowe pozycje literackie, zwłaszcza że niejednokrotnie recenzja stanowiła punkt wyjścia do ważnych uogólnień teoretycznych. Tu należą np. prace krytyczne Melanii Kierczyńskiej; artykuły jej zebrane w tomie S p ó r o r e a l i z m wybijające się swą ideologiczną dojrzałością, prawdziwie partyjną postawą wobec omawianych utworów, miały znaczenie metodologicznego wzoru dla ówczesnej krytyki.

Na ogół można powiedzieć, że krytyka ta była sprawniejsza, bardziej precyzyjna i celna w swoich atakach niż w swoich pochwałach. Przykładem prace Ryszarda Matuszewskiego zebrane w tomie L i t e r a t u r a p o w o j n i e (1948), na ogół słuszne w polemice ideologicznej z utworami Zawieyskiego, Pruszyńskiego i Żukrowskiego, budzące natomiast sprzeciw tam, gdzie bez zastrzeżeń afirmują nowe zjawiska literackie. Był to zresztą symptom ogólniejszy w ówczesnej krytyce literackiej. Z jednej strony niewystarczające kryteria oceny (owa „socjologiczna konstrukcja losu ludzkiego"), z drugiej — obowiązek szczególnej pieczołowitości wobec słabych nawet zapowiedzi realizmu i niecierpliwe doszukiwanie się urzeczywistnień własnych postulatów — wszystko to prowadziło krytyków często

do przeceniania utworów, usiłujących postulaty owe realizować, kazało dopatrywać się całkowitych spełnień tam, gdzie występowały one zaledwie w kształcie ułomnym lub w kształcie częściowej tylko zapowiedzi. Przykładem szczególnie jaskrawym — entuzjastyczna recenzja Kotta z Murów Jerycha Brezy.

Z drugiej strony krytyka ówczesna nie zawsze potrafiła z dostateczną troskliwością odnieść się do utworów, które po pioniersku podejmowały nową tematykę w okresie, gdy właśnie dokonanie tego skoku tematycznego stanowiło podstawowe zadanie literatury. Przykładem — niedocenienie Rzeczywistości Putramenta, recenzje Kierczyńskiej i Kotta z Popiołu i diamentu — słuszne, ale niewątpliwie jednostronne, brak szerszego zainteresowania krytyki dla Fundamentów Pytlakowskiego.

W pracach młodych krytyków między innymi w moich pierwszych recenzjach pojawiała się niekiedy swoista odmiana wulgarnego socjologizmu. Recenzje te ograniczały problematykę krytyczną realizmu do sprawdzenia, czy autor ukazuje zależność postępowania i obyczajowości bohaterów od stosunków ekonomicznych, ewentualnie — czy postaci te i ich losy są typowe dla swych środowisk społecznych; jeśli tak — utwór był aprobowany i oceniany jako realistyczny. Zagadnienia stylu artystycznego — w obawie przed formalizmem — najczęściej były ignorowane.

Mowa była dotychczas o krytyce opartej o założenia metody marksistowskiej. Ale na platformie ideologicznej demokracji ludowej i platformie estetycznej realizmu działa wówczas także krytyka eklektyczna, grupująca się głównie w Odrodzeniu, Twórczości i Nowinach Literackich. Formalistyczną teorię krytyki propagował wprawdzie jedynie Artur Sandauer, formalizmem obciążona była jednak w poważnym stopniu cała działalność krytyczna Wilhelma Macha, Janiny Pregerówny, Henryka Voglera. Formalizm ten przejawiał się bądź w samym zakresie zainteresowań krytycznych — kiedy np. recenzent ograniczał swoje zadania do opisu środków formalnych, charakteryzujących dany utwór (przykładem recenzja Popiołu i diamentu, w której autor zainteresował się tylko umiarem stylistycznym Andrzejewskiego i dwoma systemami kompozycyjnymi zastosowanymi w powieści), bądź też występował w sposobie wartościowania—kiedy krytyk trafnie charakteryzował zawartość ideowo-poznawczą utworu, ale ocenę swą uzależniał tylko od sprawności artystycznej pisarza w realizacji swych założeń ideowo-poznawczych, choćby nawet były one fałszywe i płytkie. Tendencja essayistyczna, właściwa tej grupie krytyków prowadziła często do rozluźnienia wszelkich norm metodologicznych i rozplenienia się impresjonistycznej dowolności. Poważnym błędem krytyki marksistowskiej była metoda tolerancyjnego przemilczania błędów krytyki eklektycznej; jedynie Ważyk zaatakował formalistyczną teorię kultury.

Wśród krytyki eklektycznej odrębną pozycję zajmował Kazimierz Wyka. Nie określał on w tym okresie wyraźnie swych założeń metodologicznych. Charakteryzował natomiast swą krytykę jako „ogniwo, na jakim postulaty (realizmu) sprowadza się na teren dzieła i na jego terenie ukazuje się pisarzowi, co w jego utworze jest nie do przyjęcia, co godne rozwoju, co martwe, a co postępowe" (Twórczość, 1947/12). W egzekwowaniu tych postulatów wykazywał Wyka nieraz bardzo dużo liberalizmu, nieraz uchylał się od oceny ideologicznej, zafrapowany wykrywaniem wewnętrznej zasady funkcjonowania ar-

tystycznego mechanizmu utworu, ustalaniem specyficznych cech wyobraźni twórczej pisarza. Zainteresowania krytyczne Wyki, choć zawsze uzasadnione i prowadzące do konkretnych rezultatów, nieraz dosyć kapryśnie przechodziły mimo zasadniczej problematyki książki. Niemniej prace Wyki przynosiły zawsze wiele odkrywczych ujęć i kapitalnych spostrzeżeń, na ogół trafnie wyznaczały literacką rangę ocenianych utworów (przykładem recenzje o Brezie, Nałkowskiej, Gołubiewie, cykl o obrachunkach inteligenckich w tomie Pogranicze powieści, 1948). „Przeważna, niekiedy uderzająca trafność diagnoz szczegółowych i zawiłość nie zawsze przekonywających dróg, którymi krytyk do nich dochodzi, niezaprzeczona słuszność tendencji ogólnych i pewne jak gdyby zawieszenie w powietrzu niektórych syntez nieosadzonych w określonym systemie ujmowania całości" — w ten sposób słusznie scharakteryzował ówczesną działalność krytyczną Wyki, R. Matuszewski (Literatura na przełomie 1951, str. 262). A jeśli ocena tu podana może być uznana za zbyt ostrą, to wydaje mi się, że daje nam prawo do takiej ostrości sądu dzisiejsza działalność naukowa i krytyczna Kazimierza Wyki, realizująca tak owocnie i coraz precyzyjniej założenia marksistowskiej metody badań literackich.

Oceniając pierwszy etap działalności krytyki — lata 1945—1947 — trzeba wystrzegać się uproszczeń, trzeba mieć na uwadze, że odbywała się ona w pierwszym etapie naszej rewolucji. Krytyka ta nie osiągnęła na ogół marksistowskiej dojrzałości teoretycznej, brak było jej wyraźnego ostrza klasowego. Niemniej kierunek rozwoju był zasadniczo słuszny — postulaty i kryteria oceny stopniowo przesuwały się w kierunku realizmu socjalistycznego, chociaż bez zasadniczego skoku jakościowego, bez przełomu — dotarcie do niego było nieosiągalne. Dziś dziwić musi okrężna i zawikłana nieraz droga, na której krytycy w walce o realizm „odkrywali Amerykę" — dawno już odkrytą. Oczywiście — nie można stawiać krytyce zarzutu, że nie wysunęła w roku 1945 hasła realizmu socjalistycznego. Można i trzeba widzieć błędy krytyki w tym, że niemal zupełnie nie korzystała ze zdobyczy radzieckiej estetyki i krytyki, że nie wskazywała na literaturę radziecką jako wzór kierunkowy dla literatury polskiej.

Źródła tych błędów znajdowały się z jednej strony — w niepełnej dojrzałości ideologicznej tej krytyki, która dopiero dopracowywała się do marksizmu, w jej nieprzezwyciężonych jeszcze związkach z literaturą i estetyką burżuazyjną. Z drugiej strony błędy te były związane z oportunistycznym skrzywieniem naszej polityki kulturalnej, były na terenie literatury w pewnym stopniu rezonansem forsowanej przez odchylenie prawicowo-nacjonalistyczne tezy o „polskiej drodze do socjalizmu", jako rzekomo całkowicie odmiennej od doświadczeń budownictwa socjalistycznego w Związku Radzieckim. Podpierała je długo ciążąca na estetyce marksistowskiej błędna teza, że literatura realizmu socjalistycznego może powstać tylko dosłownie jako „nadbudowa" istniejącego już ustroju socjalistycznego, a więc po jego całkowitym ukształtowaniu.

Scharakteryzowana tu słabość ideologiczna krytyki pogłębiła się w okresie reaktywizacji odchylenia prawicowego w latach 1947—1948. Spowodowało ono — jak stwierdziła później rezolucja sierpniowego plenum KC PPR — „długotrwałe tolerowanie zamętu ideologicznego wśród inteligencji partyjnej i niewypracowanie właściwych metod pracy wśród inteligencji, zaniedbanie marksistowskiego oświetlenia zagadnień li-

teratury sztuki, nauki." Krytyka zatracała swą socjalistyczną perspektywę rozwojową. Niektóre konieczności taktyczne okresu poprzedniego straciły swe uzasadnienie obiektywne — wchodziły natomiast w ideologię krytyków.

Nastroje demobilizacji stwierdzał już jesienią 1947 r. Adam Ważyk w swym artykule Niedobry klimat. W ciągu roku 1948 uległa zahamowaniu ofensywa ideologiczna krytyki marksistowskiej. Osłabiła ona i zwęziła swą walkę z jawnie wrogimi zjawiskami w dziedzinie literatury (choć oczywiście nie zaniechała jej całkowicie — przykładem choćby ówczesne recenzje Barbary Rafałowskiej), z ożywieniem tendencji kosmopolitycznych, pozostawiała bez wystarczającej odpowiedzi wystąpienia sprzeczne z interesami rozwoju literatury realistycznej, jak np. Anty-Zoil Aleksandra Wata (Kuźnica, 1948-6 — 7). Wręcz panegirycznie aprobowała utwory wybitnych pisarzy obozu demokratycznego, nie spełniając w stosunku do nich swych ideowo-wychowawczych obowiązków (przykładem stosunek do Adolfa Rudnickiego i Jastruna) oportunistycznie tolerowała nadal błędy krytyki eklektycznej, przenoszące się zresztą również na łamy Kuźnicy. Dostrzegając zasadniczo proces degeneracji kultury burżuazyjnej, przeceniała zarazem jej siły i wartości (przykładem artykuł Żółkiewskiego Rozważania pierwszomajowe z zakresu teorii kultury i sztuki w Kuźnicy, 1948/18), aprobowała niektóre jej przejawy jak np. pesymistyczny pseudokrytycyzm współczesnej powieści amerykańskiej (liczne artykuły Zbigniewa Bieńkowskiego). Poszczególne artykuły Kuźnicy demaskowały wprawdzie ideologiczny sens egzystencjalizmu (piórem Adama Ważyka, 1947/41) i współczesnego naturalizmu amerykańskiego (wypowiedź Kazimierza Brandysa, 1947/32), niemniej krytyka polska nie potrafiła w pełni zapobiec ich penetracji w polskie życie literackie. Potępiając oblicze ideologiczne tych kierunków, z reguły tak delektowano się ich wartościami artystycznymi, że rezonans społeczny takiej krytyki był wręcz przeciwny intencjom autorów.

Rzecz jasna, że w warunkach odchylenia prawicowo - nacjonalistycznego pozostawał niezrewidowany, fałszywy stosunek do literatury radzieckiej, do realizmu socjalistycznego jako perspektywy rozwojowej.

Regres ideologiczny uwidocznił się na łamach Kuźnicy szczególnie w wystąpieniach Jastruna i Hertza z lat 1947-48. Ustawicznie podkreślana przez Jastruna teza, że współczesny temat polityczny nie jest jedynym i najskuteczniejszym wyrazem współczesności pisarza, była— abstrakcyjnie rzecz biorąc — słuszna, ale w konkretnych warunkach oznaczała obiektywnie obronę tradycyjnego kręgu tematycznego poezji postsymbolicznej. Apologia „rzemiosła" i „poziomu artystycznego" w artykułach Hertza była w istocie rzeczy obroną burżuazyjnej powieści psychologistycznej, błędnie absolutyzowała wartość jej warsztatowych osiągnięć. Poprzez kult klasyków rysowała się w publicystyce Hertza niewiara w możliwości rozwojowe współczesnego realizmu i niedocenianie jego społecznych zadań.

Dopiero ujawnienie i rozbicie odchylenia prawicowo-nacjonalistycznego oraz zjednoczenie ruchu robotniczego stworzyło warunki dla przełomu ideowo-artystycznego w literaturze, dokonanego z inicjatywy i pod kierownictwem Partii. Zapowiadał go już artykuł Żółkiewskiego Agitur de re vestra (Kuźnica, 1948/44), będący próbą wyciągnięcia wniosków dla literatury z rezolucji sierpniowego plenum KC PPR. Artykuł

stwierdzał, że „tak jak zasadnicze etapy drogi do socjalizmu, pomimo specyficzności narodowych warunków (są) te same — podobnie i rozwój naszej postępowej literatury — można zasadnie przewidywać, iż powinien i będzie się rozwijać w kierunku, który tworzy dziś jedyne na świecie społeczeństwo socjalistyczne". Na zjeździe szczecińskim ZLP w styczniu 1949 r. w referatach Włodzimierza Sokorskiego i Żółkiewskiego realizm socjalistyczny wyraźnie już określono jako kryterium oceny i normę estetyczną literatury polskiej, obalono błędne przekonanie, jakoby literatura taka mogła powstać dopiero w warunkach pełnego rozwoju socjalizmu.

Trzeba się zgodzić z Woroszylskim, że w roku 1949 i początkach 1950, w okresie przechodzenia pisarzy na nowe pozycje, w okresie poprzedzającym pojawienie się pierwszych prób realizmu socjalistycznego — krytyka bodaj najbardziej pozostawała w tyle, najmniej umiała wywiązać się ze swych zadań. Najczęściej po prostu była nieobecna, czasem rzucała kłody pod nogi nowatorskiemu pisarstwu (przykładem artykuł Sandauera o powieści Wilczka, Odrodzenie 1949/38).

Toteż właściwie ponad głowami krytyki przeszła batalia o przełom poetycki w początkach 1950 roku. Jej opóźnienie w stosunku do dyskusji o realizmie w prozie nie było przypadkowe. Walka o realizm w poezji przez cały czas prowadzona była znacznie słabiej i mniej konsekwentnie. Niemal całym jej dorobkiem były pierwsze odważne i twórcze wystąpienia Jastruna, które postulowały poezję jako „rzecz ludzką", służącą sprawie postępu, proklamowały jej powrót do realizmu i treści humanistycznych. Już jednak w roku 1947 Jastrun wycofuje się na pozycje kompromisowe wobec estetyzmu; a w dalszych wypowiedziach jednostronnie ostrzega przed lekceważeniem tradycji, zaniedbaniem poziomu, przed inwazją politycznej deklaratywności, nie doceniając niebezpieczeństwa tradycjonalizmu i estetyzmu, nie dostrzegając nowatorstwa młodej poezji. W polemice z Przybosiem, który w licznych artykułach drukowanych w Odrodzeniu w latach 1945-46 absolutyzował swoją praktykę twórczą jako poetykę normatywną — i Jastrun i Ważyk zajmują postawę raczej kompromisową: ograniczają się do obrony i równouprawnienia innych metod poetyckich, protestują przeciw zacieśnieniu możliwości rozwojowych poezji. Nie było tu natomiast zasadniczej dyskusji z poezją samego Przybosia; poprzestawano raczej na ogólnikowej krytyce słabych jego naśladowców. W ogóle walka z formalistycznymi schorzeniami w poezji prowadzona było nieśmiało i kompromisowo, skierowana było tylko przeciw najbardziej rażącym ich przejawom. Z drugiej strony wypowiedzi programowe młodych poetów, dążących do upolitycznienia poezji grzeszyły formalistyczną ciasnotą w swoich postulatach „dramatyzacji i dynamizmu" (Bratny), w odrzucaniu rygorów wiersza regularnego, w lekceważeniu tradycji narodowych. Krytyka poetycka nie umiała wobec tych spraw zająć żadnego stanowiska; od roku 1948 prawie w ogóle nie istniała, nie spełniała najbardziej elementarnych obowiązków sprawozdawczych. Nowe pędy poetyckie słabe jeszcze i ułomne, ale ważne przez swe możliwości rozwojowe — pozostawały niezauważone i nieocenione, albo zbywane bądź ogólnikową pochwałą, bądź wyniosłym mentorstwem.

Brak wszelkiej pracy ideowo-wychowawczej krytyki w stosunku do młodej poezji spowodował m.in. to, że artykuł Wiktora Woroszylskiego Batalia o Majakowskiego (Odrodzenie, 1950/5), słuszny w swych zasadniczych tezach — upolitycznienia poezji, przezwyciężenia estetyzmu i wykształcenia

komunikatywnej formy poetyckiej — argumentował je w sposób błędny, mieszał sprawę ideowej postawy pisarza ze sprawami stylu i formy, niesłusznie traktował technikę poetycką Majakowskiego jako jedyny wzór formalny obowiązujący dla poezji socjalistycznej, zwężał polskie tradycje poetyckie do Mickiewicza i Broniewskiego. Niemniej ten fałszywy w argumentacji artykuł odegrał rolę pozytywną: stał się zaczynem dyskusji, która ujawniła istotne błędy polityki redakcyjnej Kuźnicy i przyczyniła się do zwycięstwa słusznych kryteriów wartościowania, przyśpieszyła rozwój realizmu socjalistycznego w poezji.

Słabość ideologiczna krytyki, która wyraźnie nie dorosła na tym etapie do zadań awangardowych wobec literatury, spowodowała, że istotne zadania krytyki postulującej — określenie roli pisarza i celów literatury w okresie budowania fundamentów socjalizmu — musiało niemal całkowicie wziąć na siebie partyjne i państwowe kierownictwo polityki kulturalnej. Pamiętne przemówienie ministra Bermana o roli i zadaniach pisarza (na konferencji pisarzy w lutym 1950) liczne wypowiedzi ministra Sokorskiego i Pawła Hoffmana nie znajdowały na ogół rozwinięcia i uzupełnienia w pracach krytyków, poza głosami Kierczyńskiej i Ważyka. Pracę tę podejmowali natomiast sami pisarze w wystąpieniach publicystycznych, które nie będąc krytyką literacką sensu stricto — w rzeczywistości spełniały jej funkcję, że przypomnimy tylko ważki głos Jerzego Andrzejewskiego (Odrodzenie 1950/5).

Znaczną poprawę sytuacji w dziedzinie krytyki przyniosło dopiero zreorganizowanie czasopiśmiennictwa literackiego w roku 1950 i działalność młodej kadry krytyków. (W tym miejscu podkreślić należy zasługi redakcji Wsi, która śmiało i trafnie wysuwała nowe kadry krytyczne, jednak nie prowadziła z nimi dostatecznej pracy wychowawczej). Krytyka wykonuje obecnie — choć nie dość jeszcze szybko — swe zadania sprawozdawcze wobec twórczości bieżącej, podczas gdy dawniej książka całymi latami czekała nieraz na recenzję. Zniknęły z prasy literackiej wystąpienia wyraźnie szkodliwe i fałszywe. Najważniejszym faktem jest to, że normą i kryterium oceny stał się dla krytyki realizm socjalistyczny. Powiedzmy od razu, że jest to osiągnięcie tylko wstępne, ale osiągnięcie zasadniczej wagi, rozstrzygające o jakościowo wyższym stopniu rozwoju krytyki. Trzeba również dostrzec niezakończoną, ale pozytywnie przebiegającą ewolucję krytyki eklektycznej w kierunku realizmu socjalistycznego (niektóre prace Sandauera, Janiny Pregerówny, Macha, Jana Błońskiego). Nie znaczy to oczywiście, że nie ma dziś już w krytyce elementów formalizmu. W toczącej się obecnie na terenie literatury walce o jakość, należy wobec nich zachować szczególną czujność, gdyż powstają warunki dla ich reaktywizacji.

Znacznie rozszerzyła się problematyka krytyczna. Czytelnik polski otrzymał nareszcie szeroką, choć nie dość pogłębioną i unikającą na ogół ujęć syntetycznych, informację o literaturze radzieckiej, literaturze krajów demokracji ludowej i postępowym nurcie literatury krajów kapitalistycznych (o którym sumiennie informują zwłaszcza Roman Karst i Egon Naganowski).

Pojawiły się również prace o charakterze teoretycznym i metodologicznym. Do teoretycznego uzbrojenia krytyki literackiej poważnie przyczyniła się praca Żółkiewskiego S t a r e i n o w e l i t e r a t u r o z n a w s t w o (1950), która wprowadza w zasady marksistowskiej metody badań literackich i przynosi gruntowną krytykę idealistycznych metod literaturoznawstwa. Szkice Me-

lanii Kierczyńskiej przenoszą na nasz grunt i rozwijają najbardziej dojrzałe osiągnięcia radzieckiej myśli estetycznej. Wyraźny wzrost zainteresowań teoretycznych spowodowały prace Stalina o językoznawstwie; liczne głosy na temat ich konsekwencji dla estetyki i nauki o literaturze zamieściła Nowa Kultura, Życie Literackie oraz ostatni numer Pamiętnika Literackiego (1951/2).

Dla właściwego rozwiązania zagadnienia tradycji narodowych w literaturze, którego całą doniosłość uprzytomniło nam dopiero VI plenum KC PPR, podstawowe znaczenie posiadają prace Instytutu Badań Literackich. Najpoważniejsze pozycje w jego dorobku to książka zbiorowa O sytuacji historii literatury polskiej, dwa tomy studiów o pozytywizmie, tom o Oświeceniu, zbiorowa monografia Żeromskiego, studia Wyki o Matejce i Słowackim, Fredrze, Wyspiańskim i „Tece Stańczyka", Szypera i Kubackiego o Mickiewiczu, Szkoła klasyków Kotta. Trudno na tym miejscu przeprowadzić ich szczegółową ocenę. Zdajemy sobie sprawę, że są w nich jeszcze pozostałości eklektyzmu i formalizmu — głównie w pracach starszych badaczy; w młodych — braki erudycyjne, elementy wulgarnego socjologizmu, lub niesłuszne redukowanie problematyki utworu do problematyki jego politycznego ekwiwalentu. Prace Stalina o językoznawstwie uświadomiły nam, że w sposób zbyt uproszczony ujmowaliśmy dotąd zagadnienie klasowości literatury, zagadnienie jej cech narodowych, specyfiki artystycznej. Zbyt jednostronnie łączyliśmy wybitnych pisarzy z ideologią poszczególnych (choćby stosunkowo najbardziej postępowych) odłamów klas eksploatatorskich, nie docenialiśmy natomiast głębokich związków ich twórczości z życiem i walką mas ludowych. Błędy te, przezwyciężane zresztą stopniowo, nie mogą jednak przesłonić śmiałego i w licznych wypadkach bardzo owocnego nowatorstwa tych prac, które wydobyły i zinterpretowały lub przynajmniej wskazały kierunki interpretacji najważniejszych zjawisk postępowego nurtu naszej literatury, włączając w krąg tradycji narodowych realizmu socjalistycznego — realizm pisarzy Oświecenia, realizm romantyczny, realizm Żeromskiego i Orkana. Wprawdzie na ogół nie rozwiązują one jeszcze konkretnie problemu kontynuacji tych tradycji przez realizm socjalistyczny — jest to problem teoretycznie bardzo trudny — ale niewątpliwie ku temu rozwiązaniu prowadzą, są jego niezbędnym przygotowaniem. Na swoim terenie próbę takiego rozwiązania przynosi praca Ważyka Mickiewicz i wersyfikacja narodowa. Najlepsze tradycje poezji polskiej ukazuje nowatorska antologia Kotta i Ważyka Wiersze które lubimy.

Z dziedziną zainteresowań krytyki literackiej łączą się bezpośrednio prace o literaturze dwudziestolecia: Żmigrodzkiej o wsi w powieści tego okresu, Matuszewskiego o Broniewskim, Zb. Wasilewskiego o Kruczkowskim, referaty IV Zjazdu młodzieży polonistycznej poświęcone powieści międzywojennej (1949), wreszcie niedawny szkic Macha o Nałkowskiej (często zresztą błędny w metodzie interpretacji). Wyborowi właściwej tradycji samej krytyki literackiej służą między innymi studia Przemskiego o Dembowskim i Żółkiewskiego o Nałkowskim.

Scharakteryzowane tu ogromne rozszerzenie problematyki krytycznej, zwielokrotnienie zadań stojących przed kadrą marksistowską (a uwzględnić tu trzeba także ciążące na niej obowiązki pedagogiczne) spowodowało, że kilku wybitnych badaczy — Żółkiewski, Wyka, Kott odeszło od krytyki bieżącej. W związku z tym słyszy się często stawiany im zarzut, że w ostatnich latach

„odeszli od współczesności". Zarzut ten może być przedmiotem dyskusji w kwestii, czy historycy literatury umieją w swej praktyce naukowej realizować potrzeby socjalistycznego budownictwa i walki o pokój, wypełniać zadanie kształtowania świadomości narodu socjalistycznego, wydobywania z dziedzictwa literackiego wartości przydatnych dla rozwoju realizmu socjalistycznego. Po drugie — czy ich działalność pedagogiczna służy wychowaniu narybku krytycznego? Jeśli jednak zarzut ten formułuje się w taki sposób, że historycy literatury nie zajmują się krytyką bieżącej twórczości, to w obecnej sytuacji, i zwłaszcza wobec młodej kadry naukowej, jest to zarzut niesprawiedliwy. Przed historykami literatury stanęły zadania tak poważne i takie tempo ich realizacji, że byłoby nieopatrznym zagrożeniem wyników prowadzonej pracy — atakować ich wąską nawet specjalizację. Postulatu wysuniętego przez Fadiejewa wobec redzieckich historyków literatury nie można mechanicznie stosować do odmiennych warunków polskich. Współczesności służy dobrze nie tylko ten, kto pisze o ostatnich nowościach wydawniczych, służy jej również ten, kto potrafi wielkich pisarzy przeszłości uczynić sojusznikami naszej walki o socjalizm, o pokój, o prawdziwy humanizm.

Zresztą — odejście historyków literatury w żadnym wypadku nie jest (i nie powinno być) — zerwaniem. Świadczą o tym ich wypowiedzi w sprawach aktualnych, jak np. artykuł Żółkiewskiego Trzy debiuty (Kuźnica, 1949/27), który pierwszy docenił nowatorstwo początkowych prób realizmu socjalistycznego, ważny teoretycznie essay Kotta Konflikty socjalistyczne (Kuźnica, 1949/23), ostatnie recenzje Wyki w Nowej Kulturze.

Niemniej jednak spośród średniego pokolenia krytyków-marksistów systematyczną działalność rozwija dziś jedynie Ryszard Matuszewski. Rzadko niestety odzywają się Kierczyńska, Ważyk, Rafałowska, Hieronim Michalski. Zerwali z publicystyką krytyczną (essay, felieton) czynni dawniej na tym polu pisarze: Jastrun, Andrzejewski, K. Brandys, P. Hertz).

Nowy tom prac Matuszewskiego Literatura na przełomie odznaczony w roku 1951 Państwową Nagrodą Literacką stanowi niewątpliwie świadectwo wyraźnego rozwoju twórczego tego krytyka, zawsze odznaczającego się dużą rzetelnością sądów i troską o ich dowodowe udokumentowanie. Recenzje Matuszewskiego, którego zainteresowania przesuwają się raczej w kierunku poezji, celne są zwłaszcza w partiach polemicznych, w interpretacji ideologicznej, w trafnej analizie antyrealistycznych obciążeń warsztatowych w twórczości poszczególnych pisarzy, wreszcie w ogólnej ocenie omawianego utworu, z reguły słusznej, choćby nie wszystkie ogniwa dowodowe ku niej prowadzące były dostatecznie mocne. Stąd duża zawsze wartość informacyjna prac Matuszewskiego, który wydaje się predestynowany do napisania syntezy współczesnej literatury polskiej. O pracach Matuszewskiego będzie jeszcze mowa dalej, przy ogólnej ocenie obecnego stanu krytyki, bo są one bardzo typowym przykładem zarówno jej osiągnięć jak i braków, a ponadto w znacznym stopniu wpływają na praktykę innych, młodszych pracowników na tym polu.

Trzeba tu odnotować zjawisko, z którego nie zawsze zdajemy sobie w pełni sprawę: oto znaczna większość ocen krytycznych w naszej prasie literackiej wychodzi spod pióra studentów lub niedawnych absolwentów polonistyki. Zasługą tej młodej kadry krytyków jest to przede wszystkim, że w okresie 1950—51 umiała ona trafnie wybrać

„główny kierunek uderzenia": dostrzegła i w pełni doceniła nowatorstwo ideowo-tematyczne pierwszych prób realizmu socjalistycznego (recenzje Tadeusza Drewnowskiego z książek Zalewskiego i Konwickiego, Leopoldowej z Hamery, Grzegorza Lasoty z W ę g l a Ścibora-Rylskiego). Krytyka ta — zwłaszcza w pracach Drewnowskiego i Andrzeja Wasilewskiego — wykazała również dojrzałość w polemice z książkami ideologicznie błędnymi.

Natomiast pewien niepokój budzi ciągle jeszcze jednostronność ambicji i zainteresowań niewątpliwie utaletowanych krytyków: Ludwika Flaszena i Andrzeja Kijowskiego, którzy K. Brandysowi nie bez przyczyny przypominają „wyjadaczy dziur w serze szwajcarskim". Przy całej bowiem bystrości niektórych ich prac (jak np. recenzje Flaszena o cyklu Gołubiewa i R d z y Macha lub niedawny szkic Kijowskiego G ł o s m a t o w a r z y s z P a n k r a t) — zwraca uwagę fakt, że krytycy ci jakby specjalizują się w recenzji negatywnej, w wyszukiwaniu, nieraz przesadnym i niesprawiedliwym, błędów i słabości omawianych przez siebie utworów.

Jest to zresztą zjawisko szersze: krytyka nie zawsze zdaje sobie sprawę ze swojej odpowiedzialności społecznej, z tego, że jej główną troską powinno być zdobycie pisarza dla realizmu socjalistycznego, że powinna być wymagająca, ale życzliwa, przyjazna, choć nie przyjacielska. Krytyka nieraz zapomina, że innym językiem polemizuje się z wrogiem, innym — z towarzyszami walki. Przykładowo można wymienić ironicznie-lekceważącą recenzję Kijowskiego z debiutanckiego tomiku Korczaka (Życie Literackie, 1951/1), i przeciwstawić jej niemniej krytyczną, ale poważną i rzeczową ocenę Andrzeja Lama w Nowej Kulturze (1951/13).

Inna sprawa, że bojową krytykę, walczącą o określony ideał estetyczny, trudno pogodzić z idealnym wyważeniem pozytywów i negatywów omawianej książki, czego oczekują znów pisarze. W tym miejscu należy zasygnalizować przesadną ich drażliwość na zarzuty krytyki — drażliwość absolutnie niezgodną z postawą pisarza socjalistycznego.

Jak już wspomniano, najbardziej znamienną i najważniejszą cechą ostatniego etapu krytyki polskiej jest fakt, że jej normą i kryterium oceny stał się realizm socjalistyczny. Inna sprawa, czy owładnęła ona już w pełni tymi narzędziami badawczymi, czy precyzyjnie, bez uproszczeń potrafi nimi operować? A to pytanie oznacza równocześnie: czy jest krytyką w pełni partyjną, czy z dostateczną dojrzałością realizuje swe zadania nadbudowy wobec kształtującej się bazy socjalistycznej? Odpowiedź nie może dla całości krytyki wypaść pozytywnie — dziś, gdy walka toczy się już nie o temat socjalistyczny, ale o jego ideowo-artystyczne pogłębienie. Zasadnicze źródło błędów i nieporozumień polega chyba na tym, że krytyka w wielu wypadkach stosuje swe kryteria w sposób uproszczony, z dogmatyczną sztywnością lub przenosi na każdy utwór literacki postulaty, które obowiązują tylko literaturę realizmu socjalistycznego jako całość.

Pierwszy z tych postulatów, to żądanie, by literatura odtwarzała wszystkie społecznie istotne zjawiska w ich dialektycznym rozwoju i wzajemnej współzależności. Nie trzeba uzasadniać słuszności tego postulatu wobec literatury w całym jej zakresie. Prowadzi on jednak do konsekwencji absurdalnych, kiedy krytyk traktuje utwór literacki jako — „mikrokosmos", w którym niczego nie wolno pominąć. Termin „mikrokosmos" nie jest wymysłem referenta, stwarzającego dla własnej wygody fikcyj-

nych przeciwników — pojawił się w recenzji Edmunda Niziurskiego i W ę g l u (Wieś 1951/15). Czytamy tam dosłownie: „Mamy więc prawo zapytać autora, o ile kopalnia „Weronika" jest mikrokosmosem rewolucyjnych przeobrażeń zachodzących w naszym kraju". To widmo mikrokosmosu krąży nie nazwane po wielu, wielu recenzjach. Jakie są domniemane przesłanki tak sformułowanego postulatu? Chyba takie, że poprzestanie na fragmencie jakiegoś zjawiska jest zawsze jego zniekształceniem, a więc zafałszowaniem. Przesłanka błędna sama w sobie: bo jeśli w wybranym wycinku zjawiska występują jego konstytutywne, a więc poznawczo najistotniejsze cechy, to zabieg jest usprawiedliwiony. Przesłanka błędna w zastosowaniu do wniosku: bo przecież dany utwór literacki nie jest nigdy dla czytelnika jedynym źródłem wiedzy o rzeczywistości; korygują go i uzupełniają źródła inne. Krytycy, którzy miarę mikrokosmosu przykładają do każdej książki, powodując się troską o jej oddziaływanie społeczne, mają chyba na myśli takiego czytelnika, który siedząc na księżycu, chciałby koniecznie zrekonstruować całą wiedzę o współczesnej rzeczywistości na podstawie jednego utworu.

Czy „mikrokosmos" jest niemożliwy do osiągnięcia? Owszem. Są książki, które postulat ten skutecznie realizują; i książkom tym przyznajemy szczególną doniosłość poznawczą. Postulat „mikrokosmosu" jako norma bezwzględna prowadzi jednak do wyłączności wielkiej powieści epickiej jako jedynej formy prozy artystycznej, jest oczywiście nie do urzeczywistnienia na terenie opowiadania czy noweli. Po drugie — „mikrokosmos" może być realizowany w granicach rozsądnych, nie zaś w takich, jakich żądają nieraz nienasyceni krytycy, którzy np. mają pretensję do Ścibora-Rylskiego, że pisze o „erotycznych przeżyciach Zeflika z żoną Jędraszki, zamiast pokazać pracę Jędraszki w ekipie robotniczej wyjeżdżającej na wieś, że woli zaakcentować kłopoty Migonia ze złą połowicą niż pokazać robotników w świetlicy, w teatrze, w klubie sportowym".

Inwazja mikrokosmosu sięga już na teren poezji. Oto J. A. Król w artykule W i o s n a s z e ś c i o l a t k i (Wieś, 1951/42) domaga się, by Andrzej Braun ukazując pracę górnika przy kombajnie węglowym uwzględnił wszystkie poprzedzające ją doświadczenia produkcyjne górnika polskiego. I argumentuje: jest przecież miejsce na to w wierszu, skoro jakaś „partia" (tzn. fragment wiersza) utyka na opisie naprawy kombajnu, wcale nie charakteryzującym etapu, skoro ukazuje jak „powietrze z rury syczy..." i „czoła lśniące pod nią" „jak godziny ciekły smołą po twarzach..." Fragment ten — konkluduje Król — mógł być zastąpiony przez obraz pracy kopalni Szulca, Kawczyka i „Czerwonego Donbasu".

Postulatowi mikrokosmosu towarzyszy często źle pojęty i źle zastosowany postulat typowości. Występuje on wtedy w tej postaci, gdy krytyk domaga się uwzględnienia części składowych i cech kręgu rzeczywistości odtwarzanego w książce — dokładnie i zawsze w takiej proporcji i układzie sił, jakie określa marksistowska analiza i ocena sytuacji ogólnokrajowej. Stąd np. zarzut stawiany Ściborowi-Rylskiemu, że wśród jego bohaterów jest tylko jeden pozytywny przedstawiciel starej inteligencji technicznej, a to stanowczo za mało. Otóż przede wszystkim, jeśli utwór literacki pedantycznie, bez indywidualnych odchyleń i zakłóceń realizuje uogólnienie socjologiczne tak wysokiego stopnia, to właśnie taka pełna zgodność, całkowite wyeliminowanie elementu przypadkowości — niszczy iluzję rzeczywistości, jakiej oczekujemy od dzieła re-

alistycznego, paraliżuje jego estetyczną aktywność, nadaje mu nieuchronnie wygląd sztywnego, ilustracyjnego schematu, którego prawdziwość bliższa jest prawdziwości tablicy poglądowej używanej w szkolnym nauczaniu niż prawdziwości dzieła sztuki.

Wydaje mi się również, że postulat realistycznej typowości spełniają nie tylko te utwory, w których obraz rzeczywistości odpowiada wspomnianemu tu najwyższemu uogólnieniu, lecz także utwory, będące artystycznym uogólnieniem niższego stopnia, jak gdyby różnymi wariantami, z których sumy można wyprowadzić dopiero ową powszechną, pełną prawdę o naszej polskiej rzeczywistości. Poznawczego bogactwa tych wariantów nie może przecież objąć ani jedna formuła uogólniająca, ani tym bardziej uogólniający obraz artystyczny. Dać tę powszechną, pełną prawdę jest obowiązkiem literatury realizmu socjalistycznego. Ale poprzestać na jednym z wariantów, jeśli przenika go dialektyczne widzenie rzeczywistości w jej perspektywach rozwojowych—jest prawem pisarza. I jest chyba przejawem fałszywego hurra-optymizmu krytyki, jeśli ma pretensje do autora, że odstąpił od wariantu w naszej rzeczywistości optymalnego.

Trzeba jednak powiedzieć jasno, że poszczególne warianty posiadają różną wartość poznawczą, że istnieje wskutek tego pewna ideologiczna ich hierarchia, że istnieją warianty, których artystyczne ucieleśnienie jest zadaniem ważniejszym, bardziej pilnym politycznie, i warianty inne mniej ważne i pilne. Funkcja społeczna omawianej książki zależy nie tylko od niej samej, ale od całego aktualnego kontekstu literackiego, w którym występuje, na którego tle jest czytana przez odbiorcę. Dojrzałość i pisarza, i krytyka partyjnego na tym między innymi polega, że rozumie tę hierarchię zapotrzebowania społecznego i uwzględnia ją w swej pracy.

Krytyka przyznając prawo pisarzowi do wyboru owych wariantów — musi odróżnić od nich zniekształcenia naturalistyczne. Walka ze schematyzmem wymaga zarazem wzmożonej czujności wobec ich niebezpieczeństwa.

Postulat dalszy głosi, że literatura powinna być optymistyczna, że powinna być szczególnie uczulona na to, co nowe, co rozwija się i rośnie, że ukazując te kiełki nowego, powinna przygotowywać i afirmować ich zwycięstwo. Postulat ten słusznie stanowi jeden z fundamentów teorii realizmu socjalistycznego. Sądzę jednak, że jest uproszczeniem, jeżeli przekłada się go na język konstrukcji artystycznej utworu w ten sposób, iż osią akcji powinna być zawsze ofensywna i uwieńczona sukcesem działalność bohatera pozytywnego, czy w ogóle reprezentantów obozu postępu. Interpretacja ta, słuszna w zastosowaniu wobec literatury jako całości, prowadzi do zwężenia możliwości poznawczych i wychowawczych literatury, jeśli będzie rygorystycznie stosowana wobec każdego utworu. Nie sprawdza tego postulatu wiele wybitnych, czołowych arcydzieł literatury radzieckiej. Albowiem czy optymizmowi służy tylko obraz zwycięstwa? Czy o historycznym krachu burżuazji mówi Jegor Bułyczow tylko dlatego, że na końcu słyszymy zza okna jego pokoju zwycięski śpiew rewolucyjny? Czy siła partii bolszewickiej nie została dobitnie pokazana w utworze o paradoksalnym tytule Klęska? Czy przyszłego zwycięstwa Armii Czerwonej nad hitlerowskimi Niemcami nie odczytujemy z całą wyrazistością z powieści, która opisuje jej odwrót — z Szosy Wołokołamskiej. Ukazując tylko perspektywy zwycięstwa postępu, ukazując tylko perspektywy klęski wrogiego nam świata

pisarz również spełnia postulat socjalistycznego optymizmu.

Łączy się z tym sprawa zwycięskiej walki nowego ze starym. Jest podstawową cechą nowatorską, a zarazem pierwszym obowiązkiem literatury realizmu socjalistycznego — przeciwstawiać negatywowi pozytywy, i zgodnie z dialektyką naszej rzeczywistości ukazywać ich przewagę. Jest obowiązkiem tej literatury — przykładem postępowania swych bohaterów agitować do działania, napawać optymistyczną ufnością. Ale są przecież małe formy literackie, np. nowela czy wiersz satyryczny, które mają prawo do bardziej wycinkowej prawdy o rzeczywistości. Wydaje mi się, że w tej dziedzinie nie można przekreślać takich utworów, które nie przynoszą programu i obrazu ofensywy nowego, które tylko demaskują i oskarżają to, co stare, złe i wrogie, ale demaskują i oskarżają tak, że stają się nie sygnałem bezradnej trwogi, lecz — sygnałem mobilizacyjnym. Prawda — nie pokazują one walki nowego ze starym, ale pomagają rozwojowi nowego, same są właśnie tym nowym, które atakuje szkodliwe relikty przeszłości.

Nie można naszej krytyce czynić zarzutów, że nie sygnalizowała niebezpieczeństwa schematyzmu — czytaliśmy o nim chyba już w pierwszych recenzjach książki Wilczka. Ale trzeba powiedzieć, że krytyka — idąc w zasadzie słuszną drogą realizmu socjalistycznego — zbaczała z niej niekiedy przez powierzchowne, uproszczone stosowanie zasad estetyki marksistowskiej, w konsekwencji sama przyczyniając się do rozwoju schematyzmu w naszej literaturze.

Korzenie tych błędów tkwią w niewystarczającym, słabym jeszcze przygotowaniu teoretycznym, w słabej powierzchownej wiedzy o rzeczywistości, w słabych, powierzchownych związkach krytyki z życiem mas pracujących. Słabość przygotowania teoretycznego rodzi bowiem dogmatyzm, a nieznajomość życia, oddalenie od spraw i trosk mas ludowych pozwala stosować go bez skrupułów i wątpliwości.

Uwagi powyższe, choć formułowane orzekająco, miały charakter dyskusyjny. Toteż niezależnie od nich kształtuje się dalsza ocena sytuacji w krytyce literackiej.

Większość recenzji z prozy artystycznej, które czyta się w naszej prasie, sprawia takie wrażenie, jakby pisane one były nie na podstawie lektury samej książki, lecz na podstawie jej dokładnego streszczenia. Skąd się to bierze? Stąd, że krytycy wkładają cały niemal wysiłek interpretacyjny w odtworzenie schematu treściowego książki i ocenę jego wartości informacyjnej i politycznej słuszności. Natomiast zagadnienia artystycznej konkretyzacji owego schematu — a więc problem realizmu w ukształtowaniu psychologicznym postaci, w plastycznym odtworzeniu zewnętrznej powierzchni rzeczywistości, sposób budowania postaci, prowadzenia akcji, stosunek przedstawienia do skrótowej relacji i komentarza, wreszcie językowa tkanka utworu — wszystko to potraktowane jest po macoszemu. Na ogół wspomina się o tym, ale zamiast analizy, dowodu — otrzymujemy stereotypowe cenzurki: od strony artystycznej podkreślić wypada dużą konkretność opisów, wielkie nasycenie książki realiami, pełną indywidualizację życia pulsującego w książce. Tak samo indywidualne, bogate i prawdziwe są doznania psychiczne bohatera powieści". Tak można by napisać o Węglu, o Pokoleniu czy paru innych jeszcze wybitnych powieściach współczesnych. A napisano to o książce Pod Łysicą. (J. Trznadel, Pod Łysicą, Nowa Kultura 1951/46).

Cóż dzieje się w rezultacie? Oto w recenzji ginie zupełnie indywidualne o-

blicze artystyczne książki i autora. Prawda, że oblicze to niełatwo poddaje się krytycznemu ujęciu, u młodych autorów czasem nie jest jeszcze dostatecznie ukształtowane i dostatecznie własne. Ale trudno zrozumieć, dlaczego, pisząc recenzję o Kształcie miłości Broszkiewicza (Twórczość 1951/10), Roman Zimand zainteresował się jedynie zawartością poznawczą książki, a z cech jej stylu (w szerokim tego słowa rozumieniu) — dostrzegł tylko bezpośredniość tonu w stosunku do osoby bohatera i deklaratywność stosunku do jego muzyki.

Analiza wartości poznawczej i słuszności ideologicznej schematu fabularnego jest oczywiście pierwszym obowiązkiem krytyka marksistowskiego, ale wystarczy chyba tylko w recenzji wewnątrz — wydawniczej, dyskwalifikującej książkę poznawczo błahą lub ideologicznie wrogą. Natomiast prowadzić może do nieporozumień — głównie do ocen przesadnie pozytywnych przy utworach o słusznych założeniach ideowo-poznawczych. Rzecz jasna — wtedy i możliwości kontroli własnych sądów są zmniejszone i krytyk sam wymyka się spod kontroli czytelników. Wskazywała na to Kierczyńska, pisząc o recenzji Lasoty z Początku opowieści (Nowa Kultura 1951/32). Zwłaszcza obecnie — na etapie walki o pogłębienie ideowo-artystyczne naszej literatury—krytyka taka uchybia swoim zasadniczym zadaniom. Słusznie pisał Erenburg: „Złe nie są schematy, zła jest książka, w której nie ma nic poza schematami". Ale tego omawiany typ krytyki zanalizować nie potrafi.

Oto inny jaskrawy przykład: młody krytyk Henryk Bereza napisał w Nowej Kulturze (1951/40) wręcz entuzjastyczną recenzję o Doznaniach ludzkich Hamery. Sąd swój uzasadniał poznawczą ważnością ukazanych przez autora konfliktów moralnych i słusznością ideologiczną ich rozwiązań. A tymczasem Hanna Kirchner, tak samo odczytując problematykę książki, stwierdza równocześnie: „Większość opowiadań przypomina suche i pozbawione indywidualności wypracowania szkolne na zadany temat, gdzie uczeń obraca się stale w obrębie niewielu wyuczonych zwrotów... Opowiadania cierpią na brak obrazu artystycznego, są niemal wszystkie przegadane, konflikt jest przeważnie powiedziany, a nie wypływa z akcji, dialogu" (Spotkania pisarza. Wieś 1951/38).

Mniejsza o to, czyja ocena sumaryczna jest tutaj słuszna. Charakterystyczne jest to, że sprawy te w polu uwagi pierwszego autora w ogóle się nie znalazły. I nie jest to wypadek odosobniony. A jeśli nawet wkraczają one w pole uwagi recenzenta, to wówczas najczęściej otrzymujemy krytykę impresjonistyczną, krytykę kiperską, która mówi: to dobre, a tamto złe, na moje słowo honoru. W rezultacie — krytyka zamiast dowodzić i przekonywać — apodyktycznie orzeka i wyrokuje.

Dziś, gdy w naszych oczach powstaje naród socjalistyczny — niełatwo ocenić prawdę psychologiczną postaci literackich. Ludzie budujący socjalizm szybko wyprzedzają nasze wyobrażenia o nich. Kogóż z nas nie trapiła wątpliwość: czy postać powieściowa jest „nieżyciowa", „wyidealizowana", a więc „papierowa" — czy może to ja właśnie pozostałem w tyle za życiem i — w przeciwieństwie do pisarza — nie umiałem wokół siebie dostrzec pięknej prostoty i bezkompromisowości nowych socjalistycznych uczuć? Trzeba dużej znajomości życia, aktywnego w nim współudziału, bliskiego kontaktu z ludźmi pracy różnych środowisk — by móc ocenić, czy pisarz jest istotnie godny miana „inżyniera dusz ludzkich".

Znaleźć formy organizacyjne dla tego kontaktu krytyka z terenem nie jest

sprawą prostą. Wyjazd w teren w charakterze prelegenta — uczy go stosunkowo niewiele. Bardziej owocny jest udział w dyskusjach literackich w zakładach pracy — forma zainicjowana przez Nową Kulturę. Redakcja Życia Literackiego zastosowała sposób inny: wysyłanie krytyków w teren jako reportażystów. Rzecz jasna, nie każdy krytyk potrafi napisać reportaż w ogóle. Ale od każdego krytyka można wymagać, by napisał reportaż, a tym bardziej artykuł problemowy dotyczący życia kulturalnego terenu.

Analiza i ocena formy artystycznej — to także zadanie trudne. Nowe perspektywy jego rozwiązaniom na gruncie marksistowskim otwarły przełomowe prace Stalina o językoznawstwie. Niewiele dotąd uczyniono dla przeniesienia ich rezultatów w szczegółowe badania nad językiem i stylem pisarza. Ale to nie usprawiedliwia lekceważącego, zdawkowego zbywania tych spraw przez krytykę.

W dziedzinie poezji ocena słusznych założeń ideowo-tematycznych jest jawnie niewystarczająca i dlatego tu krytyka zagadnień kształtu artystycznego wyminąć nie może.

Jak wspomniałem już, mówiąc o Matuszewskim, krytyka poetycka umie na ogół bezbłędnie przeprowadzić ocenę ideologiczną wiersza. Potrafi zanalizować formę poetycką — ale wtedy tylko, gdy zniekształca ona treść wiersza; przy tym w wielu recenzjach ta spostrzegawczość układa się w pięć formułek, stosowanych w różnych kombinacjach: 1) publicystyczna deklaratywność, 2) polityczna błędność lub bezmyślność obrazu poetyckiego, 3) formalistyczne niezrozumialstwo i dowolność skojarzeń, 4) ekspresjonistyczne rozwichrzenie, 5) naturalistyczne wyjaskrawienie.

Natomiast prawie zawsze zawodzi krytyka przy analizie tych utworów, które w swej ocenie aprobuje. Wtenczas nawet tak rzetelny i wnikliwy krytyk jak Matuszewski poprzestaje na epitetach: „piękny", „ładny", „szlachetny" i cytatach przytaczanych na poparcie słuszności tego osądu. Stąd błędom ideologicznym i artystycznym poświęca się 4/5 recenzji a w 1/5 pisze się tak: „Są jednak w tomie wiersze piękne, posiadające wszystkie zalety poezji Różewicza, a jednocześnie noszące już cechy poezji realizmu socjalistycznego" — tu tytuły, tematy i kropka (Andrzej Braun o Różewiczu, Nowa Kultura 1951/16). Albo: „Wolne od tych niedociągnięć są wiersze — tu tytuły — które dzięki prostocie i jasnemu obrazowaniu zajmują w tomiku czołowe miejsce". Kropka. (Herdegen o Millerze, Twórczość 1951/7).

W rezultacie recenzja poetycka nie potrafi pokazać i określić odrębności, specyfiki stylu poetyckiego pisarza w jego najlepszych osiągnięciach. (Wysiłki w tym kierunku znaleźć można najczęściej w recenzjach poetyckich Śpiewaka, Błońskiego i rzadko niestety piszącego H. E. Michalskiego).

Jeśli zaś idzie o zagadnienia wiersza — to gdyby przyszły historyk literatury dysponował tylko kompletem recenzji poetyckich, z których wykreślonoby liczne cytaty — to na tej podstawie w żaden sposób nie wywnioskowałby nawet, jakie systemy wersyfikacyjne stosowane były w połowie XX w. w poezji polskiej. I tu trzeba powtórzyć: marksistowskie metody analizy formy poetyckiej, wersyfikacji nie są jeszcze dostatecznie wypracowane. Ale wypracować je może tylko odważna i pracowita praktyka krytyczna.

Podkreślam słowo: pracowita. Wydaje mi się bowiem, że młoda krytyka, zepsuta łatwością debiutu, zbyt mało pracuje nad swymi recenzjami, które pisane są często pobieżnie, niestarannie, jak gdyby tylko na podstawie refleksji naniesionych przez pierwszą lekturę o-

cenianego utworu. Zbytni liberalizm w umieszczaniu prac niedojrzałych do druku, cechujący zwłaszcza redakcję Wsi i Życia Literackiego przyczynia się do tego stanu rzeczy.

Tak przedstawiają się funkcje, które krytyka dzisiejsza lepiej czy gorzej, ale spełnia. Brak natomiast prawie zupełnie krytyki postulującej i inspirującej pisarzy, mobilizującej do aktualnych zadań ideologicznych i artystycznych. Wypływa to po części z kilkakrotnie już podkreślanej niewystarczającej dojrzałości ideologicznej krytyki, po części — z jej ostrożności i „asekuracjonizmu". Krytyka za bardzo pamięta o tym, że nie ma prawa do błędu, i za mało pamięta o tym, że ma obowiązek ryzyka, tego ryzyka, które jest nieodłączne od wszelkiego nowatorstwa.

Oczywiście, nie można odrywać najbardziej odpowiedzialnych ogniw krytyki postulującej od funkcji kierownictwa naszej polityki kulturalnej, kierownictwa naszego frontu ideologicznego. Funkcje te wynikają z przodownictwa ideowego Partii w całym naszym życiu społecznym i w żadnym wypadku nie mogą służyć jako argument świadczący o słabości krytyki. Słabość krytyki na tym dopiero polega, że w kształtowaniu polityki kulturalnej w dziedzinie literatury — krytyka nie wykazuje inicjatywy, nie bierze samodzielnego twórczego udziału, że ogranicza się do roli egzegetycznej. Niewielki udział krytyków w ostatniej naradzie artystycznej jest jeszcze jednym tego dowodem. Dziś — gdy przed pisarzami postawione zostały zadania zwielokrotnienia swego wysiłku, pełnego i bezpośredniego włączenia się w toczącą się wielką bitwę o pokój i socjalizm, ukazania prawdy o całej wielkości naszej epoki i całej ostrości jej przeciwieństw — zadania krytyki postulującej są szczególnie ważne i odpowiedzialne, brak jej szczególnie dotkliwy. Może jednak za daleko idzie Andrzej Wasilewski (Nowa Kultura, 1951/47), gdy domaga się od krytyków, by wskazywali pisarzom konflikty i sugerowali rozwiązania. Mogłoby się to stać — jak sądzę — bardzo krępującą formą zamówienia społecznego, która by pisarzowi pozostawiała rolę artystycznego wypełniania koncepcji ideowo-tematycznych, aplikowanych przez krytykę.

Słaba jest również aktywność teoretyczna naszej krytyki, a raczej wąski jest krąg krytyków piszących o zagadnieniach teoretycznych. Zwłaszcza zaniedbana jest problematyka teoretyczna realizmu socjalistycznego. Zdobycze krytyki radzieckiej są stanowczo w niewystarczającym stopniu przeszczepiane na nasz grunt. Wypowiedzi ministra Sokorskiego, wiele ważnych stwierdzeń w referacie Jerzego Putramenta na zeszłorocznym plenum ZLP — nie znajdują przedłużenia i rozwinięcia w szczegółowych pracach problemowych (np. o typowości, o optymizmie, o tradycji i nowatorstwie w realizmie socjalistycznym). O schematyzmie mówi się i czyta do znudzenia, ale jeden tylko artykuł Flaszena w Życiu Literackim (1952/1) usiłował sprawę tę szerzej zanalizować.

Rezultaty tego oderwania znacznej części krytyków od problematyki teoretycznej widoczne są w scharakteryzowanym poprzednio sposobie stosowania norm realizmu socjalistycznego. Widoczne są w całkowitej beztrosce, z jaką krytyka posługuje się terminami: realizm krytyczny (od Fredry do Kazimierza Brandysa), ekspresjonizm, naturalizm (z jednej recenzji dowiedzieliśmy się, że Gombrowicz i Schulz — to także typowi naturaliści). Widoczne są w żonglowaniu pojęciem „wymowy obiektywnej" utworu, co pozwala przyznać balzakowskie demaskatorstwo — R o d z i n i e P o ł a n i e c k i c h. Widoczne są w poglądach, które za jedyną peł-

nowartościową formę powieści realistycznej uważają narrację wszechwiedzącego autora, jakby nie było np. trylogii autobiograficznej Gorkiego. Widoczne są w ustawicznym potępianiu mowy pozornie zależnej, która jakoby *ex natura* prowadzi do subiektywnej deformacji rzeczywistości.

Krytyka nasza obawia się nie tylko postulowania i teoretyzowania. Obawia się również wszelkiego syntetyzowania. Wyznaje „światopogląd recenzencki" — używając sformułowania Ignacego Fika: pisze tylko sprawozdania z nowości wydawniczych, a i w nich unika szerszych problemów. Wyrzekła się większej formy krytycznej, niemal zapomniała o essayu, mającym u nas tak świetne tradycje Boya-Żeleńskiego. Nie wraca do pozycji z pierwszych lat powojennych, których przewartościowanie jest pilną potrzebą społeczną. Nie zajmuje się literaturą dwudziestolecia. Poza wskazanymi poprzednio, brak szkiców monograficznych czy nawet portretów literackich pisarzy współczesnych. Nie ma szerszej, uogólniającej pracy o literaturze radzieckiej. Nie podejmuje się wreszcie krytyka — a jest już czas po temu — pracy syntetycznej o literaturze Polski Ludowej. Należy się spodziewać, że uruchomienie pracowni literatury współczesnej w Instytucie Badań Literackich spowoduje poprawę sytuacji w tej dziedzinie. Zasygnalizować również należy przygotowywany pod opieką IBL zjazd naukowy młodzieży polonistycznej, poświęcony literaturze najnowszej.

Krytyka marksistowska zaniedbała całkowicie sprawę ocen literatury obcej nam ideologicznie (polskiej i tłumaczonej). Nie określa swego stosunku do teoretycznych i krytycznych wypowiedzi publicystyki obozu katolickiego, który tak zasadniczo przecież podkreśla swą nieustępliwość w walce o oblicze kultury w nowej Polsce (J. Turowicz i St. Stomma, K a t o l i c y w P o l s c e L u d o w e j, Tygodnik Powszechny, 1950/50). Obserwujemy w nich nie tylko kontynuację dawnych programów powieści katolickiej, żądających „ukazania rzeczy niewidzialnych przez widzialne, ukazania tajemnic duszy i tajemnic łaski przez codzienne fakty życia" (Zygmunt Kubiak, Dziś i Jutro, 1950/209). Na łamach tej prasy dokonywa się również, przy zastosowaniu bardzo liberalnych kryteriów, rehabilitacja współczesnej kultury burżuazyjnej. Uniwersalizm katolicki nie gardzi dziś ani freudyzmem, ani egzystencjalizmem, ani nadrealizmem, ani jazzem amerykańskim, ani niczym, co burżuazji jest (por. Jerzy Turowicz, N i h i l i z m, k u l t u r a i k a t o l i c y z m, Tygodnik Powszechny, 1951/13). Stąd tak gościnna tolerancyjność okazywana w Tygodniku Powszechnym dzisiejszemu adwokatowi formalizmu — Stefanowi Kisielewskiemu. Ta działalność publicystyki i krytyki katolickiej utrwalająca wpływy kultury burżuazyjnej w naszym życiu nie została oświetlona przez krytykę marksistowską. Ograniczyła się ona do polemicznych utarczek z Zygmuntem Lichniakiem i Wacławem Rolą, dwoma krytykami specjalizującymi się w tanim malkontenctwie wobec zaczątków realizmu socjalistycznego, w perfidnych pochwałach dla pomyłek ideologicznych pisarzy nam bliskich (Rola o P a ł e c z c e), w dyskredytowaniu utworów pisarzy, którzy się do nas ideologicznie zbliżają (Morcinek, Mach, Żukrowski).

Krytyce naszej brak tej pasji, która nieodłączna jest od prawdziwie bojowej postawy, która jarzyła się w wystąpieniach krytycznych nieodżałowanego Tadeusza Borowskiego. W najlepszym wypadku poprawnie informujemy i oceniamy. Nie umiemy natomiast agitować do czytania książek. Język krytyki wyzbył się kwiecistości i poe-

tyzowania, maniera aluzji i barokowej metafory jest zjawiskiem raczej rzadkim. Poglądy formułowane są w sposób jaśniejszy, bardziej precyzyjny niż dawniej, niestety styl stał się na ogół oschły, ubogi i szablonowy, naładowany najpospolitszymi frazesami dziennikarskiego żargonu. Najgorsze jest chyba to, że gdyby nie wydrukowane u góry nazwiska, najskrupulatniejsze badania stylometryczne nie potrafiłyby rozróżnić autorów większości recenzji.

Nie chcę raz jeszcze mówić, że wszystko to są choroby wzrostu — bo to określenie, źle zrozumiane, powoduje czasem fatalistyczny stosunek do naszych błędów i słabości. Ale jest niewątpliwie zjawiskiem pomyślnym, że w krytyce nie trzeba dziś już walczyć o realizm socjalistyczny, lecz o jego pogłębione, dojrzałe pojmowanie i zastosowanie, że krytyka marksistowska ma już taką robotę za sobą, na tyle okrzepła i posunęła się naprzód, iż stać ją na samokrytykę. A samokrytyka to nie choroba wzrostu. To prawo rozwoju; to dowód wzrostu.

Henryk Markiewicz

Po plenum krytyki

Wygłoszony na Naradzie Artystycznej w październiku ub.r. referat Pawła Hoffmana zaważył w sposób decydujący na formowaniu się naszych sądów o literaturze. Oczyszczenie od nieporozumień, uściślenie pojęć podstawowych, a przede wszystkim realizmu krytycznego i realizmu socjalistycznego, rozwiało ostatecznie mgławicowość widzenia celów współczesnej literatury. Z dyskusji plenum krytyki zniknął więc także rozgardiasz pojęciowy, który charakteryzował wszystkie chyba dotychczasowe dyskusje teoretyczne. Stąd jednak ktoś przyzwyczajony do zamaszystych, w takich okazjach, gestów — mógł wynieść z obrad plenum wrażenie ubóstwa problematyki. Istotnie, nie wykładano, jak bywało, wszystkich przeżywających się jeszcze izmów. Wybór bowiem został już dokonany. Markiewicz mógł z całym spokojem przedstawić wszystkie fazy poszukiwań. Uwaga pisarzy i krytyków biorących udział w plenum mogła się skupić już tylko na jednej jedynej obchodzącej naszą literaturę sprawie: sprawie realizmu socjalistycznego i środków jego realizacji.

Na marginesie trzeba zauważyć, że to skoncentrowanie uwagi na sprawie najważniejszej nie wszystkich zastało w sposób dostateczny przygotowanych. „Szukanie dróg rozwojowych", „tworzenie koncepcji" — to teren, na którym bardzo wielu z łatwością się porusza. Zogniskowanie i ideologiczne pogłębienie dyskusji wokół tej sprawy jedynej było dla wielu przeszkodą do rozwinięcia sztucznych skrzydeł. Dlatego okazało się, że ten czy ów krytyk za sprawy najważniejsze uważa po prostu technologię recenzji krytycznej. Dlatego właśnie tak wiele mówiło się na plenum o recepcie na prawidłową recenzję. Czy ma być wymierzona z ostrożnością aptekarza, czy też z ryzykanctwem szarlatana, czy ma być zimna, czy ma być namiętna. Z tego nie można było wyciągnąć konkretnych wniosków. Było to tylko pianą a nie nurtem toczącego się plenum.

Wybór jedynie słusznej drogi rozwojowej, drogi prowadzącej do realizmu socjalistycznego, nie dokonał się rzecz prosta ani na plenum, ani przed plenum jednym pociągnięciem pisarskiego pióra. Przełom dokonywał się w świadomości pisarzy od 1949 r. Dojrzewanie

literatury było i jest nieodłączne od ideologicznego dojrzewania całego społeczeństwa. Narada artystyczna z października ub. r. zarejestrowała i podsumowała wyniki. Nie tylko. Wskazała nowe najbliższe cele stojące przed literaturą i sztuką dzisiaj i jutro. Rola jej była jak najbardziej mobilizująca. Walka tak w życiu jak i w literaturze nie słabnie. Dlatego niesłusznie krytyka literacka na swoim plenum czuła się tak bardzo w nastroju poprzełomowym. „Przełom się dokonał, wkroczyliśmy na drogę realizmu socjalistycznego, zajmijmy się więc teraz spokojnie usuwaniem przeszkód, które się jeszcze na naszej drodze znajdują". — Oto niedopowiedziany ale słyszalny wstęp bardzo wielu wystąpień. Dlatego jakżeż słusznie Adam Ważyk przeciwstawił się temu panującemu prawem kaduka nastrojowi przypomnieniem sytuacji politycznej, w której żyjemy. Dopóki istnieje niebezpieczeństwo agresji imperializmu w świecie, dopóki istnieje wróg wewnętrzny, dopóty nie ma spraw czysto literackich, albo inaczej — dopóty każda sprawa a więc i sprawa literatury jest sprawą polityczną. Sprawa literatury przede wszystkim, jest ona przecież związana nierozerwalnie z ideologicznym nurtem życia społecznego. Nie pora na samouspokojenie, nie pora na nastrój poprzełomowy, gdyż społeczeństwo nasze nie znajduje się w okresie poprzełomowym. Trwa walka o pokój, walka o Plan Sześcioletni. Trwa walka o socjalizm. Czyżby właśnie literatura miała swoje cele wyodrębniać z celów ogólnonarodowych? Adam Ważyk przypomnieniem tej prawdy zasadniczej sprowadził dyskusję o literaturze na właściwą płaszczyznę. Ciężar jednak teoretycznych uogólnień spychał ją wciąż w stronę abstrakcji, abstrakcji, mimo że miała ona wiele pozorów właściwego zaangażowania ideologicznego.

To samouspokojenie, ten nastrój poprzełomowy wyraził się między innymi w absolutyzowaniu zarzutów i postulatów. Wielu z pisarzy zabierających głos w dyskusji, mimo że wypowiadali się na temat utworów literackich wyraźnie datowanych, utworów powstałych w pierwszych dwóch latach Planu Sześcioletniego, wartości i błędów tych utworów poszukiwali poza czasem, poza ich czasem rzeczywistym. Nie brali pod uwagę społecznej funkcji tych utworów przymierzając do nich abstrakcyjny, absolutny wzorzec arcydzieła. Usprawiedliwiona jest najostrzejsza nawet ale konkretna krytyka, lecz nieusprawiedliwiony jest pesymizm. Istotnie żadna z omawianych powieści nie jest arcydziełem. Ale czyż można z normą arcydzieła podchodzić do jakiegokolwiek utworu? Istnieją natomiast normy celowości, przydatności, użyteczności, istnieją miary społecznej funkcji dzieła literackiego. I te są niezawodne, chociaż bynajmniej nie są absolutne. Dlatego tak bardzo na czasie przypomniano, że sytuacji w literaturze nie można analizować w oderwaniu od sytuacji politycznej. Zamierzeniem pisarza zawsze jest stworzenie książki wartościowej. Nie o wartość absolutną jednak mu chodzi. I my w dziełach literackich naszego czasu nie doszukujemy się tzw. wartości wiecznych, niezmiennych. Arcydzieła epok minionych nie dlatego są dla nas arcydziełami, że twórcy ich starannie omijając sprawy swojej epoki, sięgnęli bezpośrednio po sprawy „wieczne", ale dlatego, że sprawy swego czasu wyrazili w sposób pełny w całej ich złożoności oraz ukazali ludzki sens swojej epoki. Literacka krytyka marksistowska w Związku Radzieckim przede wszystkim, a i u nas po trosze, odczytała właściwy sens i nadała właściwe wymiary wielu dziełom przeszłości. Prace naszych badaczy literatury, chociaż jeszcze niepełne i nieraz sporne, mogą już jednak posłużyć za przykład takiej usta-

wiającej analizy ideologicznej i artystycznej. Nie do pomyślenia jest dzisiaj wartościowanie dzieł epok minionych w oderwaniu od ówczesnego układu polityczno-społecznego. A cóż mówić dopiero o literaturze współczesnej.

Dyskusja nad stosunkiem krytyki do wad i braków współczesnej prozy powieściowej w dużej mierze toczyła się na plenum w sferze któregoś tam stopnia abstrakcji, pomimo że referaty tak Markiewicza jak Melanii Kierczyńskiej dały faktyczne i ideologiczne podstawy do dyskusji konkretnej. Melania Kierczyńska przedstawiła niemal z kalendarzem w ręku pozycje literackie minionych dwu lat, proponując odczytanie wahań w rozwoju i dokonanie próby komentarza ideologicznego. Krytycy nie podjęli jednak na ogół tych propozycji. Mówili o powieści w ogóle, o konflikcie w ogóle, o bohaterze pozytywnym w ogóle, o drodze do realizmu socjalistycznego w ogóle. I nic dziwnego, że ogólnikowość postulatów została uzupełniona przez ogólnikowość oskarżenia.

Schematyzm literatury współczesnej stał się punktem wyjścia wszystkich niemalże wypowiedzi. Gorzej jednak, że poza ten punkt wyjścia mało kto z dyskutantów się posunął. Artykuł Flaszena został co prawda uznany za oskarżenie przesadne i niewłaściwe, zachowało ono jednak nawet w konkluzji plenum i cały swój sens i adres. Analizowanie zjawisk literackich w całkowitym niemal oderwaniu od sytuacji politycznej sprawiło, że „schemat", czy—jak chce Wat—„szablon" uznano za źródło niedomagań współczesnej powieści. A przecież Flaszen mimo błyskotliwości wywodu był pod tym względem nieprecyzyjny i przeczył samemu sobie. Schematyzm czy szablonowość polegałyby na powtarzaniu tych samych założonych z góry, a więc wypracowanych (raz przynajmniej) konfliktów. Flaszen jednak wielokrotnie powracając do swoich zarzutów ilustracyjności stwierdza właśnie brak konfliktów, brak ludzi, „brak ścisłej klamry organizującej materiał powieściowy".

Można i trzeba krytykować zły schematyzm, jeśli się on pojawi, można i trzeba zwalczać go za nieudolność, niepełność, za fałszowanie świata, jak to w swoim czasie uczynił Erenburg wytykając błędy schematyczne niektórych produkcyjnych powieści radzieckich. Erenburg nie atakował jednak „schematu" jako takiego. Zarzut schematyzmu może się niepostrzeżenie przerodzić w zarzut przeciwko typowości, gdyż typowe konflikty i typowi ludzie zawierają w sobie także te cechy, które konwencjonaliści i formaliści w krytyce traktują jako „schematy". Ważyk ostrzegał bardzo wyraźnie stwierdzając, że „typowość konfliktu może być uważana za schemat, jeśli komuś na tym zależy, ale typowość w naszym rozumieniu nie może być uważana za schematyzm".

Analiza utworów literatury współczesnej w ścisłym ich związku z polityczną sytuacją uchroniłaby od tego niebezpiecznego generalizowania. Poszczególne powieści, poszczególne konflikty i ludzie w nich przedstawieni, są w bardzo wielu wypadkach płascy, niepogłębieni. Nie ogólny „schemat" jednak, nie postulat typowego konfliktu, słuszny realistyczny postulat tu zawinił, nie zawinił też żaden gotowy wzór literacki, który by mógł być źródłem „schematu", bo taki potężny wzór nie istnieje. W wypadku każdego błędu artystycznego można i trzeba doszukiwać się błędu ideologicznego, błędu politycznego. Za każdą niemal wadą czy brakiem powieści współczesnej kryje się konkretny błąd w rozumieniu rzeczywistości i błąd ten trzeba znaleźć i pokazać. Nie po to, aby autora dyskwalifikować, lecz po to,

aby mu pomóc w uformowaniu jego ideologicznej i poznawczej wrażliwości. Oto rola krytyki. Flaszen w materiale przykładowym swojego artykułu konkretne błędy wytknął bardzo trafnie, we wnioskach jednak zagubił ich sens ideologiczny. Dzięki dyskusji na plenum błąd swój zrozumiał i jego wystąpienie na plenum najlepiej świadczy o moralnej, koleżeńskiej atmosferze wytwarzającej się w naszym życiu literackim.

Schematyzm, który na domiar wciąż jeszcze jest zjawiskiem widmowym, urósł do rozmiarów olbrzyma. Trzeba będzie niemało starań, aby to widmo przestało straszyć. Dyskusja nad kryteriami współczesnej krytyki nie została na plenum zamknięta. Właśnie celem plenum było jeśli nie zapoczątkowanie jej, to ożywienie i wyprowadzenie na szersze pozarecenzyjne („aptekarskie") łamy. Ten cel plenum został w pełni osiągnięty. Będzie się więc toczyć ona w lepszych z pewnością niż przed plenum warunkach. Sprawa krytyki bowiem postawiona została na jednym z naczelnych miejsc w programie prac Związku Literatów Polskich. Sprawie szkolenia młodych kadr wiele poświęcono uwagi. W spór między aptekarstwem i szarlatanerią wtargnął głos Stefana Żółkiewskiego, który postawił przed krytyką jasny postulat pogłębienia wiedzy o człowieku i wskazał na współczesne źródła radzieckie. Przykłady wielkich krytyków rosyjskich niech dla młodej — a także tej starzejącej się już po trosze — kadry staną się wzorem odwagi i odpowiedzialności sądów.

Takie jest ogólne życzenie plenum.

Utworzona przy Zarządzie Głównym ZLP komisja krytyków stworzy formy i organizacyjne ramy pracy nad literaturą i współpracy z literaturą. Literaturze naszej, jeśli nie ma ona wpaść w anemię, potrzebna jest nie anemiczna ale dojrzała ideologicznie, pewna swoich kryteriów i świadoma celów literatury krytyka. Krytyka impresyjna umarła szczęśliwie wraz z wieloma gustami burżuazji. Krytyka idealistyczna dogorywa na marginesie życia i zjawisk społecznych. Nowa, twórcza, bojowa krytyka nie może istnieć i rozwijać się na uboczu, z dala od walki i wysiłku narodu. Tak jak literatura sięgnęła odważnie po współczesną tematykę, po tematykę walki produkcyjnej w przemyśle, walki z kułakami na wsi, tak samo krytyka sięgnąć musi po niezawodną broń ideologiczną. I najważniejsze: krytyka, aby być krytyką normatywną, musi być partyjną krytyką. Postulat partyjności wyjaśniony przekonywająco (przekonywająco dla nas wszystkich, także dla nas bezpartyjnych) przez Melanię Kierczyńską ogarnia w sobie wszystkie cele i wszystkie wartości, jakie krytyka posiada w rozwoju literatury i w ogóle kultury socjalistycznego narodu. Krytyka mądra, to taka krytyka, która mądrość swoją czerpie z ideologicznej mądrości partii, prowadzącej naród do socjalizmu.

Zbigniew Bieńkowski

NA BUDOWIE PLANU 6-LETNIEGO

Żychlin jest czerwony

Żychlin jest różowy i niebieski. Różowy od świeżo wznoszonych murów budującego się osiedla i niebieski od pogodnego nieba, które tuż przed zmierzchem obniża się na wysokość parterowych szybek w starych domkach miasteczka, pamiętającego jeszcze najazdy szwedzkie.

Żychlin jest stary i malutki, naiwnie parterowy. Ale już wtargnęło do niego nowe życie, napiera od strony osiedla na wąskie uliczki, rozsadza go od we-

wnątrz poprzez marzenia ludzi, którzy te domki zamieszkują.

Jedyne wysokie budowle ubożuchnego śródmieścia — to stary kościół z dzwonnicą i przestarzała już, śmieszna konstrukcja wieży strażackiej ustawionej na środku rynku. Naprzeciwko wieży remiza straży ogniowej z wielkim, staroświeckim dzwonem zawieszonym na szerokiej taśmie, urządzenie nawet dla Żychlina anachroniczne i przypominające czasy świętego Floriana, pierwszego legendarnego strażaka. Dookoła rynku parę uliczek zabudowanych parterowymi domkami. Parę płytkich wąwozów, z rzadka poprzekreślanych błękitnym przerywnikiem nieba blednącego nad szeroką płaszczyzną jakiejś łąki czy koniczyny, pokrywającej równinę, charakterystyczną dla kutnowskiego krajobrazu.

Taki mi się wydał Żychlin: staroświecki i cichy. Nie miasto tylko mieścina. Przedwojenne, w tym wypadku na pewno na wyrost preparowane statystyki — przyznawały mu osiem tysięcy mieszkańców.

Wracam w kierunku nowego osiedla. Jest to rozległa kolonia nowoczesnych bloków mieszkalnych, paropiętrowych, szeroko rozstawionych budynków — świecą z daleka świeżym białym tynkiem jak miniaturowy Muranów albo WSM. Budowa posuwa się dalej, choć oddano już do użytku mieszkańców sto trzydzieści pięć jedno- i dwupokojowych lokali, z kuchniami oczywiście. Większość lokatorów — to robotnicy fabryki maszyn elektrycznych i transformatorów imienia Wilhelma Piecka — jedynej żychlińskiej fabryki.

Nowoczesne, harmonijne miasto na skraju starej osady, naprzeciwko fabryka i szkoła. Fabryka wciąż jeszcze rozbudowująca się. Nowa, olbrzymia hala koncentruje w sobie życie starej, przedwojennej fabryki i samego miasta. Jego rozwój zależny jest coraz bardziej od tego nowoczesnego zakładu pracy i jego ludzi — gdyż tu należy szukać najaktywniejszych działaczy partyjnych, młodzieżowych i społecznych.

Historia fabryki jest prawie tak samo dawna jak historia osady. Była tu kiedyś jakaś dworska gorzelnia. Potem przerobiono ją na kiepską, niedostosowaną do potrzeb powiatu cukrownię. W roku 1922 budynki przejęła Spółka Akcyjna o zagranicznym kapitale, firma Brown-Boveri. W starej, ciasnej ruderze wyrabiano małej i średniej mocy silniki elektryczne. W 1930, w okresie największego nasilenia kryzysu, fabrykę zamknięto.

O tych dawnych sprawach opowiada mi jeden z najstarszych pracowników fabryki, szef produkcji — Jatczak. Przed wojną był tu długie lata robotnikiem. Dzieje fabryki żychlińskiej zna na wylot, jej życiorys jest jego własnym życiorysem i życiorysem ostatnich kilkudziesięciu lat miasteczka.

Siedzimy w gabinecie zarządu. Jeden z dyrektorów ma przed sobą grubą księgę, historię fabryki. Gęsto zapisane stronice jeżą się od dat i nazwisk, od liczb i całych zestawień statystycznych. Ile czasu zajęłoby nam przewertowanie tego tomu?

Mówi szef produkcji Jatczak. Jest to żywy opis dokonywany przez człowieka, który był nie tylko świadkiem ale i bohaterem przedstawianych przez niego samego zdarzeń.

A więc, w roku 1929 wybuchł strajk. Ekonomiczny. I strajk został wygrany — przyniósł około 7% podwyżki płac wszystkim robotnikom. Niedługo jednak po tym firma Brown-Boveri doszła do przekonania, że produkcja w Polsce jej się nie opłaca. Zakłady zostały zamknięte.

Ludzie stracili pracę w fabryce — nie mogli jej znaleźć gdzie indziej.

Ludzie — to znaczy żychliniacy i okoliczni małorolni i bezrolni chłopi, których fabryka żywiła. Cukrownie w kutnowskim już były nieczynne. Jedne zamknięto, inne nawet zburzono. Żychlińscy robotnicy wystawali zimą w kolejkach po cienką, magistracką zupę. Latem, na publicznych robotach, odrabiali tę miedzywojenną pańszczyznę. Nikt nie kwapił się z anagażowaniem załogi, która niedawno prowadziła strajk i ośmieliła się go wygrać. Kryzys trwał i trwał — wydawało się, że nigdy się nie skończy, wszelkie starania o pracę były bezowocne.

Część żychlińskich fachowców próbowała szczęścia w warszawskich tramwajach. Szybko rozwiała się ta ostatnia nadzieja. Dyrektor warszawskich tramwajów odpowiedział bez ogródek: „dla ludzi z Żychlina nie ma u nas pracy. Żychlin jest za czerwony".

— Tym dyrektorem był wtedy Kühn, późniejszy minister komunikacji — wyjaśnia ktoś z obecnych.

Jatczak mówi o latach nędzy i głodu. O męce ludzi i upadku miasta, w którym jest tylko ta jedna fabryka, magistrat i kościół — i żadnych możliwości zarobku.

Uruchomione po dwóch latach przez firmę Röhm-Zieliński zakłady dały pracę tylko kilkudziesięciu ludziom. Ilość zatrudnionych z czasem powiększa się.

W roku trzydziestym szóstym fabryka żychlińska ma już ich pięciuset. I wtedy wybucha nowy strajk — „włoski". Ten trwał dwa tygodnie i formalnie był wygrany. Znowu tylko formalnie: w rezultacie około dwudziestu ludzi dostało pięcioprocentową podwyżkę. Dwudziestu, wybranych przez dyrekcję, na 500 solidarnie strajkujących!

— Sprzedali nas — mówi z goryczą Jatczak. — Pod koniec strajku przyjechali z Warszawy jako nasi delegaci prawicowi przywódcy Związku Metalowców i sprzedali robotników wyczerpanych dwoma tygodniami strajku. Jeden z delegatów był kuzynem członka zarządu fabryki. Drugi, obcy, kupił sobie potem willę.

Okres okupacji opowiadający kwituje dwoma jakże wiele mówiącymi zdaniami: „tu był Reich. Pracowało się na zupę z postnych kartofli".

Wyzwolenie zastało zakłady żychlińskie całe, niezburzone. Fabryka zamknięta była tylko przez jeden dzień — osiemnastego marca. 17-ego zamknęli ją niemieccy faszyści. 19-go otwarli polscy robotnicy.

Teraz zabiera głos młody komendant straży przemysłowej: — Byłem tu robotnikiem. Dziewiętnastego przyszliśmy na fabrykę pilnować urządzeń. Żeby nie rozszabrowali. Leżał wtedy śnieg...

— I tak zostaliście w straży?

— I tak już zostało. Dzięki pomocy radzieckiego generała udało się nam uruchomić zakłady. — Ten generał oddał na użytek fabryki węgiel przejęty na stacji kolejowej po uciekających Niemcach. Dał też środki transportowe; wciąż jeszcze jeździmy na ciężarówkach, które radzieccy żołnierze zdobyli wtedy na cofającej się armii hitlerowskiej. W kilka dni po uruchomieniu zakładów odwiedził nas marszałek Żukow. Zachęcał nas do pracy. Ale to wcale nie było potrzebne. Jużeśmy sami dużo wiedzieli.

Historia fabryki żychlińskiej skończona. Jej epilog, to oddanie przed terminem, bo 22-go grudnia, produkcji za ubiegły rok. Zanim jednak to się stało, załoga przeżyła niejedną ciężką chwilę.

Z początkiem roku wszystko układało się na pozór pięknie. Pierwszy kwartał przyniósł nadwyżkę. W styczniu wykonano 105, w lutym też 105, w marcu 103,5% miesięcznego planu.

W kwietniu 103,8. Wtedy załoga na ogólnym zebraniu postanowiła wykonać plan roczny przed terminem, na 22 grudnia. Było to uroczyste, majowe zobowiązanie.

Tymczasem w maju wybuchł skandal: fabryka oddała niecałe 45% zaplanowanej na ten miesiąc produkcji.

Milczę dyskretnie i czekam. Kierownik planowania, Gerson, zwija swoje wykazy. Z zażenowaniem wsłuchujemy się w szelest papieru.

I nagle odezwali się wszyscy naraz. Jak gdyby równocześnie odpowiadali na wiszące w powietrzu pytanie:

„Były poważne braki materiałowe".

Istotnie, trudności tego rodzaju były i to poważne. Przyczyną majowej klęski stało się jednak co innego: błędnie prowadzona sprawozdawczość.

Do Centralnego Zarządu wysyłano sprawozdanie o wykonanych maszynach, które dopiero wtedy wracały ze stacji prób z wcale długim nieraz i urozmaiconym rejestrem braków do uzupełnienia, poprawek, które jeszcze trzeba było dokonać. Wyniki poprzednich miesięcy były więc zbyt optymistyczne — ich korektura, konieczna. Stąd to nagłe, pozorne „załamanie". Nie było ono skutkiem gorszej pracy załogi w maju ubiegłego roku, lecz wyrównaniem nieściśle zestawionego bilansu oddanych już zamówień.

Na ratunek zagrożonego honoru fabryki i jej rocznego planu pospieszył Centralny Zarząd i Związek Zawodowy, Zakładowa Organizacja Partyjna i dyrekcja. Przede wszystkim jednak sami robotnicy. Już czerwiec przyniósł pierwsze zwycięstwo: mobilizację całej załogi, która dała 105% miesięcznego planu.

W sobotę 22 grudnia fabryka żychlińska obchodziła wielkie święto. W tym dniu plan roczny został wykonany. W nowej hali ustawiono estradę, na którą wgramoliło się kilkudziesięciu radiowców, orkiestra, śpiewacy, konferansjerzy; po wysłuchaniu oficjalnych przemówień „czynili swoją powinność" w audycji tak zwanej „masowej", na cześć ambitnej załogi Żychlina.

Ambitnej i bardzo dzielnej — bo oprócz maszyn objętych rocznym planem załoga zakładów żychlińskich wykonała mnóstwo innych, niespodziewanych krótkoterminowych zamówień. Wygląda to na przykład tak: Huta Częstochowa zamawia trzy silniki. Termin dostarczenia — dziesięć dni. A cykl produkcyjny jednej takiej maszynki trwa normalnie 3 miesiące. Niemożliwe do wykonania? Niemożliwe. Ale nie dla Żychlina. Wykończyli robotę nie w dziesięć tylko w dziewięć dni. Jeszcze wykończone przez siebie maszyny odwieźli na miejsce. Do Częstochowy, własnymi ciężarówkami.

Takie niespodziewane prace wykonywała załoga Żychlina dla Częstochowy, dla „Kościuszki", dla Huty Bobrek. W tym czasie Żychlin zdobył też dwie nagrody. Maszyny żychliniacy odwozili sami, wysyłali wszelkimi możliwymi lokomocjami, odstawiali dla pośpiechu osobowymi wagonami z napisem na skrzyniach, że przesyłce się śpieszy, że jest „pierwszomajowym" zobowiązaniem. A plan? Trzeba było go przegonić, zapomnieć o fatalnym początku. Czas nie czekał — lecz mimo to został zdystansowany przez tutejszych ludzi.

Kilku z nich poznałem osobiście. Między innymi Kazimierza Popławskiego byłego robotnika, obecnie referenta biura produkcji. We dwójkę z kierownikiem produkcji, Józefem Gajewskim, wyjeżdżają sobie w niedzielę na wycieczki. Celem tych wycieczek jest nadprogramowy, całodzienny montaż. Popławski to zapaleniec: w Widzewskiej Manufakturze pracował

„tylko“ 24 godziny na dobę, aż do ukończenia pracy. W Dychowie, dokąd go wydelegowano jako jednego z najlepszych w Polsce specjalistów — „ile weszło“, jak mówi. (Później dowiedziałem się, że „weszło“ ponad 20).

W olbrzymiej, nowej hali, przy karuzelówce rozmawiam z młodym człowiekiem, tokarzem. Nazywa się Zdzisław Bielecki. W przeciwieństwie do referenta biura produkcji wyraża się kwieciście, bardzo płynnie, gotowymi już zdaniami jak w artykule wstępnym dziennika. Tajemnica jego stylu szybko się wyjaśnia: cały czas wolny od zajęć poświęca na czytanie artykułów politycznych w gazetach i na studiowanie literatury marksistowskiej. To jest jego pasja — ale nie jedyna. Mówi trochę jak nauczyciel, którym zresztą jest naprawdę. W ubiegłym roku zdążył wyszkolić już trzech robotników, trzech swoich zastępców przy karuzelówce.

Wszelkie formy kształcenia się zawodowego czy ideologicznego mają tu swoich zwolenników. Już w 1945 roku powstała obok fabryki szkoła. W 1950 przeniosła się do nowego, pięknego gmachu. Jej biały masyw rzuca się w oczy każdemu przyjeżdżającemu. Mieści się tu trzyletnie technicum i dwuletnia szkoła przyzakładowa dla młodzieży po skończonym powszechniaku, i wieczorowa dwuletnia szkoła zawodowa dla dorosłych robotników. Techników wychodzi stąd rocznie około 75-ciu, wykwalifikowanych robotników (dawnych „czeladników“) 100.

Na wspomnienie szkoły rozpogadza się zasępiona twarz Stefana Golisa; w tym roku kończy ją i zdobywa kwalifikacje. Monter transformatorów Golis jest przodownikiem pracy, człowiekiem w średnim wieku. Z rozmowy z nim dowiaduję się, że został niedawno przeniesiony do innej roboty. Jest wściekły. Sprawa wyjaśnia się bardzo szybko. Jest grudzień — Golisa trzeba było przydzielić do innej pracy, gdyż tak się w tym miesiącu ułożyły zamówienia. Już w styczniu wszystko wróci do normalnego stanu. W styczniu Golis tej pracy, o którą się upomina, będzie miał, ile tylko zapragnie, ile tylko „wejdzie“.

Oglądam nową, wspaniałą, paropiętrową halę, całą ze szkła i żelaza. Stojące tu szeregami przedziwne, skomplikowane i imponujące rozmiarami maszyny służą do wyrobu silników i maszyn, jakie do niedawna musieliśmy sprowadzać z zagranicy. Fabryka ta — to cała wioska pod szkłem, jej maszyny są wielkie jak chałupy. Rodzą się w niej dusze fabryk, motory dla hut, kopalń, młynów, zapór wodnych. Silniki tramwajowe, prądnice wagonowe i parowozowe, różne turbogeneratory i inne przedziwne rzeczy. Bez takiej „duszy“ każdy zakład pracy jest tylko kupą gratów, nieprzydatnych i nieruchomych rupieci. Bez niej wagon kolejowy, kiedy wybierasz się na wczasy, jest ciemny i głuchy jak wnętrze wieloryba, który wyrzucił na brzeg Jonasza. Młyn — cichy i nieruchawy jak żółw, albo jak zdechły kociak. Chcesz nocą poczytać jadąc pociągiem? No to poproś tutejszych robotników, żeby robili więcej prądnic. „Oberwało“ ci w tramwaju wszystkie guziki? To dlatego, że Żychlin zawalony jest robotą i nie może dostarczyć Warszawie dostatecznej ilości motorów.

Z szacunkiem oglądam olbrzymy, które wyglądają jak wielkie złożone z cienkich blaszek grube obręcze. Takie wielkie, że można przez nie przejechać na motocyklu albo i na koniu. Na brzegach mają eleganckie, wzorzyste wykończenie z sznurowadłowych precelków. Precelków elektrycznych oczywiście, bo to są maszyny elektryczne.

Stojący obok racjonalizator Stań-

czyk stara się wytłumaczyć mi zasadę wynalazku czy usprawnienia, którego dokonał razem z jednym z inżynierów, Zdrojewskim. Rozumiem tylko, że po zastosowaniu usprawnienia produkcja na maszynie, którą w tej chwili oglądam, wzrosła o 80%. Dopiero, kiedy widzę rozjaśnioną twarz Stańczyka, serdeczny ruch ręki, którą gładzi to coś, co dla mnie jest tylko usmolonym kawałkiem żelaza, nagle odkrywam, jakim źródłem radości i dumy może być maszyna, wytwór i narzędzie ludzkiej myśli.

Część tej nowej hali jest jeszcze nieurządzona. Z olbrzymich suwnic wiszą już wszakże ogromne haki. Suwnice montował inny przodownik pracy — Józef Bonisławski. Nazywają go „dziadziem". „Dziadzio" nie jest na pewno młodzikiem, ale do staruszka jeszcze mu daleko. Jest to więc tradycyjny, w każdej fabryce istniejący dziadek. Temu niejeden zetempowiec mógłby pozazdrościć wesołości i szybkości. Szybko mówi — i jak mnie tu wszyscy zapewniają, pracuje też szybko, każdą pracę kończy przed terminem. Przed terminem — i pod samym sufitem, tam właśnie gdzie są jego suwnice. Żeby swobodnie poruszać się na tej wysokości, po rusztowaniach, trzeba być cyrkowcem lub jednym z gołębi, przelatujących w tej chwili nad fabryką.

Szkoła, samokształcenie, gołębie i praca. To są „rozrywki" żychliniaków. Bo filmy wyświetla się tu tylko trzy razy na tydzień. Artos przysyła swoje ekipy artystyczne z rzadka i to, skromnie się wyraziwszy, nienajlepsze. Domu kultury nie ma. Młoda robotnica, zetempówka, którą wskazano mi jako lubiącą czytać, nie umiała mi wymienić żadnej z przeczytanych książek oprócz, zdaniem jej, przepięknej powieści Spowiedź Chinki. Bez nazwiska autora oczywiście.

Życie kulturalne i artystyczne w Żychlinie rozwija się słabo, prawie nie istnieje. Zetempowcy coś tam robią, sprowadzili nowego nauczyciela muzyki i kapelmistrza, ale sami się skarżą, że to dopiero początki i że zarówno orkiestrze jak i chórowi daleko jeszcze do doskonałości. W tych warunkach fabryka staje się atrakcją. Tu, na hali i w pokoju do kreśleń, w przeciwieństwie do śpiącego miasteczka czuje się życie. Ale życie to byłoby bardziej pełne, gdyby o paręset metrów dalej funkcjonował nowoczesny, dobrze wyposażony i mądrze prowadzony Dom Kultury.

Ludzie Żychlina, to temat godny powieści. Ich entuzjazm i dobra organizacja. Im zawdzięczają swoją szkołę i nowe bloki mieszkalne, powstającą orkiestrę i chór zetempowski.

Kto wie, czy nie żychlińscy robotnicy przyczynili się także do powstania młodej spółdzielni produkcyjnej graniczącej z nowym osiedlem. Mijamy właśnie kilka białych, piętrowych domków. Wokół jednego z nich nieśmiały jeszcze, delikatny rysunek bezlistnych o tej porze roku młodych drzewek. A dalej szeroki, rozległy pas niedawno zoranej roli.

Auto mija szybko zmieniający się krajobraz. Znowu przejeżdżamy koło wyschniętej ścierni pociętej miedzami w karykaturalnie wąskie paski starej, biednej wsi.

Może do Żychlina przyjedzie kiedyś literat, żeby napisać opowieść. Wtedy nie będzie już tych zapuszczonych, zdeptanych przez bydło ściernisk. Praca i myśl żychlińskich robotników powinny promieniować na okolicę. Bo Żychlin, jak to ze zgrozą stwierdził niegdyś sanacyjny minister, Żychlin jest czerwony.

Helena Wielowieyska

WŚRÓD KSIĄŻEK

ANDRZEJ MANDALIAN: *Dzisiaj*, Czytelnik, Warszawa, 1951; str. 35.

Utwór Andrzeja Mandaliana składa się z dziewięciu wierszy powiązanych ze sobą ogólną koncepcją i główną postacią bohatera. Mandalian wybiera temat ważny, istotny i śmiało go atakuje. Bohaterem jest młody wiejski chłopak, który świadomie kształtował swoją drogę życiową. Wacek Kolęda w czasie wojny był w partyzantce GL-u. Wybrał, jak pisze autor w pierwszym wierszu D r o g a, drogę „upartą i stromą". Droga ta była rzeczywiście pełna poświęceń i bohaterstwa. Wiersz następny B a l l a d a o p i ą t y m mówi o walce pięciu żołnierzy z wrogiem, w której ginie czterech, a pozostaje tylko jeden. Śmierć towarzyszy na polu bitwy nie łamie bohatera, ale hartując go pozwala mu dalej walczyć i zwyciężać. Wiersz P o w r ó t, bardzo zresztą skrótowy, mówi o zakończeniu wojny i o demobilizacji Wacka Kolędy już jako porucznika, który pragnie walczyć na froncie odbudowy. Wiersz K a l e n d a r z — to jakby dwa zmontowane razem utwory, które również bardzo skrótowo mówią o dalszej drodze Wacka Kolędy. Poeta celowo opuszcza wiele wydarzeń w życiu swego bohatera, aby skupić się na bardziej istotnych. Kolęda prosi sekretarza o przeniesienie na wieś. Wiersz R e f e r a t ukazuje już Kolędę w terenie, w sali Samopomocy Chłopskiej, wygłaszającego referat o Długim Marszu chińskiej armii rewolucyjnej. Wiersz W i e ś przedstawia reakcję kułaków w związku z przybyciem na wieś Wacka Kolędy i mówi o ich pogróżkach skierowanych przeciwko niemu. Kułaka reprezentuje młynarz. Jest on niejako ucieleśnieniem i organizatorem kułackiego oporu i, jak można się domyśleć, organizatorem, a kto wie, może i wykonawcą późniejszego zamachu na Kolędę. W jego chacie odbywa się pijacka narada kułaków. Równocześnie w chacie ojca Kolędy odbywa się narada aktywu chłopskiego z Górskim, delegatem z miasta. Wiersz operuje kontrastami i skrótami. Wiersz N a s z a m i ł o ś ć mówi o zabiciu Kolędy przez kułaków. Z realiów tego wiersza wywnioskować możemy, że spółdzielnia została już założona, że jest jesień i że rzecz dzieje się gdzieś w Lubelszczyźnie. Wiersz T e g o d n i a jest próbą szerszego rozwinięcia tematu bohaterskiej śmierci, która nie jest wyrazem klęski, ale mobilizuje do dalszej walki. Wiersz ten wprowadza jak gdyby montaż obrazów walki rewolucyjnej.

Tego dnia zginął towarzysz Wang, ale... „krzyczało skrawione zwycięstwo w żółtych dłoniach chińskich dywizji". Tego samego dnia prowadzono w Barcelonie skutych chłopców z partyzantki na rozstrzelanie. Przed śmiercią nie uginając się śpiewają „La Internacional". Tegoż samego ranka strajkowali we Francji górnicy.

Tegoż ranka
w Polsce założyli siedem spółdzielni...
...a w Warszawie
na MDM-ie
murarz murował mury...
i „śmiał się niebieskimi oczyma".

Tak umierał chłopak z Lubelskiego,
obejmując ziemię rękami.

W ostatnim wreszcie wierszu Ś p i e w a m p i e ś ń o w a l c e k l a s o w e j autor pisze:

Śpiewam pieśń o Polsce Ludowej,
o leżącym na jesiennych liściach,

śpiewam pieśń o walce klasowej,
o miłości i nienawiści.

Poemat kończy się silnie podkreślonym wezwaniem do czujności:

Więc czujniej, towarzysze,
i dzielniej,
idziemy w trudnym pochodzie,
po traktory,
po wieś,
po spółdzielnie,
po wspólne szczęście na co dzień!

Taka jest treść utworu.

W tematyce wiejskiej mieliśmy jak dotychczas za wiele wierszy naiwnie optymistycznych. Wszystko działo się zbyt łatwo. Poeci zatrącali o walkę klasową na wsi, aby następnie doprowadzić do łatwego uproszczonego zakończenia. Wiersze te lakierowały rzeczywistość, nie ujawniając istotnych cech walki. Mieliśmy zaledwie kilka utworów lirycznych przedstawiających tę walkę w dramatycznym skrócie. Toteż wiersze Mandaliana pod tym względem zasługują na szczególną uwagę.

Czy jest to wiązka wierszy, czy jakaś próba epicka? Wydaje się, że autor chciał poprzez osobę bohatera ukazać drogę byłego fornala, jego dzieje i jego ideologiczne dojrzewanie. Jest to próba ambitna, ale taka intencja obowiązuje do szerszych, epickich ujęć tematu.

Przypomnijmy w tym miejscu poemat radzieckiego poety Szczipaczowa. Jego bohater, młody pionier Morozow ginie w pierwszych latach kolektywizacji z rąk kułaków, ale jego pomnik postawiony w nowej wsi jest groźnym ostrzeżeniem pod adresem wrogów. Szczipaczow nie ogranicza się do opisania dziejów swego bohatera, ale ukazuje środowisko wiejskie, jego zwyczaje, przyrodę, tłumaczy i wyjaśnia polityczny sens tej zbrodni za pomocą epickiej narracji. Powstaje obraz szeroki, szeroko rozwinięte płótno obyczajowo-historyczne o sugestywnych barwach, nasycone kolorytem danego, konkretnego krajobrazu, grające delikatnymi światłocieniami.

Nie przytaczam poematu Szczipaczowa, aby narzucić gotowe wzory Mandalianowi czy jakiemukolwiek bądź innemu poecie podejmującemu próbę narracji poetyckiej, ale idzie o podstawową metodę pisarską, jeśli mamy na serio mówić o odrodzeniu epiki.

Mandalian zbyt skrótowo mówi o swym bohaterze, nie przybliżając go do czytelnika w ciągu całego utworu. Nie charakteryzuje ponadto ani jednej postaci. Niestety cały monolog pijacki kułaka niezbyt się tłumaczy. Nie nadając kułakowi żadnej cechy indywidualnej, nie konkretyzując go, poeta czyni go niemal postacią demoniczną, robiąc równocześnie z niego prymitywnego w gruncie rzeczy wroga. Nic albo bardzo mało wiemy o sekretarzu, o ojcu Wacka Kolędy, o Górskim, o młynarzu. O nich wszystkich dowiadujemy się nie z ich czynności lub działania, lecz z lirycznej inwokacji autora. Krajobraz, przyroda ze wszystkimi realiami, które by wskazywały na miejsce, gdzie rzecz się dzieje — są właściwie opuszczone.

Utwór Mandaliana ma charakter liryczno - narracyjny z krótkimi opisowymi wstawkami. Mandalian za pomocą zwartych i przeważnie lirycznych ujęć „szkicuje" sytuacje, w których znajduje się jego bohater, a bezpośrednimi dygresjami komentuje jego postępowanie. Podobnie czyni też z innymi postaciami.

Trudno utwór ten nazwać poematem ze względu na szczupły rozmiar całości i dość nikłą akcję. Poza tym powstaje pytanie, czy w tym wypadku środkami lirycznymi można stworzyć nurt epicki. A przecież Mandalian operuje w dużym stopniu inwokacjami lirycznymi. Po-

zbawiony nurtu epickiego, utwór ten nie może być uważany za „szkic do poematu", jak to usiłują przedstawić niektórzy recenzenci. Natomiast analiza tekstu pozwala nam dostrzec pewne nieoczekiwane zjawisko, które wskazuje na niejednolitość stylu, względnie niejednolitość spojrzenia poetyckiego.

Tam gdzie Mandalian agituje, walczy, wiersz jego staje się energiczny, zwarty, a liryzm umotywowany rewolucyjną postawą autora nabiera powagi. W tych wierszach Mandalian świadomie nawiązuje do Majakowskiego i Broniewskiego. Tam, gdzie autor przenosi spojrzenie na realia tła, niekiedy wdzierają się przejaskrawienia rozmaitego typu. Przebrzmiałe „imażinizmy", obrazy symboliczno - naturalistyczne, nielogiczne metafory itd. Podaję kilka przykładów: „Znowu zatańczył jesienny pożar opasłymi ciałami drzew", „śmierć rzęziła na błocie ścieżek, dygotała w zachrypniętej piersi...", „księżyc rewiruje rzędy...", „idzie chłopak z lubelskiej ziemi, na rzemieniu swe serce ciągnie" itd.

Cytaty te wydobyłem po to, aby zwrócić uwagę utalentowanemu poecie, ażeby w dalszej swej twórczej pracy mógł się wyzbyć tego rodzaju „poślizgnięć". Wskazuję na nie dlatego także, że niektóre z nich oceniane były przez pewnych krytyków jako twórcze metafory. Takie lekkomyślne „rodzynkarstwo" krytyków spycha poetę ze słusznej drogi. Krytyk nie może patrzeć przez palce na błędnie rozumianą oryginalność, która ujemnie wpływa na gust czytelnika. Na ostatnim plenum Związku Literatów poświęconym krytyce słusznie wskazywano na to, że słowo poety ma nieco inne funkcje aniżeli prozaika.

Utwór Mandaliana pomimo tych wydobytych usterek wywiera wrażenie czegoś świeżego, miejscami mocnego i przekonywającego. Młody autor popełnia błędy, co jest zresztą prawem debiutu, ale sprawy, które porusza, świeża tematyka i śmiałe jej rozwiązanie oraz namiętny ton, jakim mówi, wskazują na to, że wybrał on dla swej twórczości drogę „twardą, upartą, stromą" i słuszną, taką samą, jaką wybrał jego bohater Wacek Kolęda. Jest to droga agitatora odważnie walczącego o słuszną sprawę.

Jan Śpiewak

Niemiecka satyra antyfaszystowska. Opracowali Antoni Marianowicz i Edmund Osmańczyk. Czytelnik, Warszawa, 1951; str. 144.

W tomie zatytułowanym Niemiecka satyra antyfaszystowska redaktorzy zgromadzili utwory dwudziestu dziewięciu autorów. Przeglądając listę tych autorów, spotykamy wiele nazwisk ludzi prześladowanych przez hitleryzm. Zginął w kaźni gestapowskiej Erich Mühsam, poeta, satyryk i dramaturg, popełnili samobójstwo na emigracji pisarze Ernst Toller i Kurt Tucholsky. Inni zdołali przetrwać nazistowskie obozy koncentracyjne lub dojść do celu szlakami twardego życia uciekinierów z własnej ojczyzny. Było tak, jak mówi w jednym ze swych pięknych wierszy Bertolt Brecht, wieloletni wygnaniec z rodzinnego kraju: „Szliśmy przecież, zmieniając często kraje jak buty, szliśmy przez wojny klas..." Popuszczając jeszcze na chwilę wodze impresji krytycznej, wypada na podstawie odnośnych tekstów powiedzieć, że w czasach, gdy miłość między ludźmi była wyszydzanym towarem, praktykowali ją niemieccy poeci-wygnańcy, że zaszczutych i chwytających się najcięższej pracy zarobkowej utrzymywała przy życiu wiara w nadejście innych czasów, gdy — znowu według słów Brechta —

...będą chwaleni ci,
którzy zasiadali na gołej ziemi, aby
pisać,

którzy zasiadali pośród maluczkich,
którzy zasiadali pośród bojowników.

Redaktorzy w osobach Antoniego Marianowicza i Edmunda Osmańczyka postawili sobie za zadanie przedstawić w możliwie wszechstronnym skrócie niemiecką satyrę antyfaszystowską od powstania Republiki Weimarskiej aż do ostatniej nieomal chwili, gdyż zamykając rokiem 1950 książkę wydaną w roku 1951 musieli tylko ze względów technicznych przyjąć jakąś formalną granicę współczesności. Książka rozpada się na trzy rozdziały, z których pierwszy obejmuje lata 1918—1933, drugi — lata 1933—1945 i wreszcie trzeci — lata 1945—1950. Łatwo zrozumieć, jak trudno było w wielu wypadkach ustalić dokładne daty napisania lub opublikowania poszczególnych utworów, niemniej jednak właśnie owym ściślejszym datom, figurującym tylko pod nielicznymi utworami, należało poświęcić trochę więcej zachodu. Byłyby one niezmiernie pouczające, skoro w wypadku satyry politycznej mamy do czynienia z rodzajem pisarstwa bezpośrednio reagującego na wydarzenia. Daty pozwalają bliżej skorelować utwory pisane z wydarzeniami politycznymi, ułatwiają odcyfrowanie nastroju i aluzji rzeczowych, krótko mówiąc umożliwiają nam szybsze zrozumienie, jak się stawało to, co się stało, bo w ten sposób można określić chwytanie na gorąco procesu narastania historii.

Rozdział pierwszy, obejmujący nieszczęsne lata Republiki Weimarskiej, która wyhodowała hitleryzm, wypełniają swoimi utworami pisarze: Bertolt Brecht, Franz Theodor Csokor, Klabund, Walter Mehring, Erich Mühsam, Joachim Ringelnatz, Aleksander Roda-Roda, Bruno Schönlank, Ernst Toller, Kurt Tucholsky, Erich Weinert i Friedrich Wolf. Wydawcy przyjęli zasadę układu poszczególnych utworów według alfabetycznej kolejności nazwisk autorów, nie kusząc się o specjalną kompozycję tematyczną zebranego materiału i o ustawienie następstwa pisarzy według stopnia ich świadomości politycznej. I tu, i w pozostałych rozdziałach wydawcy postawili sobie jak najskromniejsze zadanie inwentaryzacyjne, oddając głos historii walk z faszyzmem, które mają przemawiać same za siebie.

Większość utworów zawartych w pierwszym rozdziale wyrosła niewątpliwie z atmosfery szerzonej przez *Die Weltbühne*, pismo wydawane od roku 1918 w Berlinie przez Siegfrieda Jacobssohna, a w ostatnich latach przedhitlerowskich prowadzone przez Carla v. Ossietzkiego (zaraz po wojnie *Die Weltbühne* wznowiono pod redakcją Maud v. Ossietzky i Hansa Leonarda). W rozdziale tym mamy do czynienia z utworami o bardzo różnym stopniu dojrzałości politycznej w satyrycznym ujęciu społeczeństwa niemieckiego staczającego się najpierw z roku na rok, a później z dnia na dzień ku faszyzmowi. Od wystylizowanych tyrad przeciwko „lśniącemu pieniądzowi bitemu z krwi", które czytamy w wierszu Austriaka Csokora, przechodzimy do mocnych satyr Mühsama, Tollera i Tucholsky'ego. Ten ostatni, w wierszu S p o k ó j i p o r z ą d e k, daje jeden z najwymowniejszych na swoje czasy obrazów zakłamania burżuazji:

Kiedy miliony tracą sił ostatki,
Gdy mleka dzieciom dać nie mogą
matki,
Wtedy — porządek.
Gdy robotnicy zawołają: „Chleba!
Kto kradnie pracę, tego sądzić trzeba!"
To — nieporządek.
Gdy przy tokarce mdleją suchotnicy,
Gdy dziesięć osób śpi w jednej piwnicy,
Wtedy — porządek.
Lecz kiedy któryś okrzykiem
wybuchnie,

Bo chce starości dożyć, a już puchnie,
To — nieporządek.

(tłum. Leopold Lewin)

Najcelniejszym utworem rozdziału pierwszego jest niewątpliwie słynna Legenda o poległym żołnierzu Brechta, której heinowską ironię, osiąganą środkami na pozór niesamowitej baśni ludowej, i heinowską melodykę umiejętnie podkreślił doskonały przekład Artura Maryi Swinarskiego:

...Już dawno w grobie leżał trup.
Nad grobem noc lipcowa.
A w nocy przyszła odszukać grób
lekarska komisja wojskowa.

Komisja wojskowa udała się
z łopatą poświęcaną
na poświęcaną ziemię, gdzie
żołnierza ekshumowano.

Zbadali żołnierza od stóp do głów,
choć nie miał już stopy i głowy.
„Na front! Ukrywa się, jest zdrów" —
tak orzekł lekarz wojskowy.

I musiał żołnierz z nimi pójść
w tę noc błękitną i czystą.
Gdy zdejmiesz hełm, to zobaczysz — spójrz:
gwiazdy nad wioską ojczystą.

. . . . . .

Krzyczały koty, wyły psy
i szczury gwizdały na gumnach:
„Nie będzie Francuz nas gnębił zły!
To raczej już śmierć i trumna".

. . . . . .

Krzyczą „hura!" i „bywaj zdrów!"
baby i ksiądz przy kropidle.
Żołnierz zatacza się znów i znów
niby pijane bydlę.

. . . . . .

Ale nie zawsze są gwiazdy i mrok.
Czerwienią się wschód rozpali.
Tymczasem żołnierz wypręża krok
i ginie. Bo tak mu kazali.

Dojrzałość polityczna satyry niemieckiej rośnie wraz ze wzmagającym się niebezpieczeństwem faszyzmu. Ogólnikowe narzekania na „mogiły tułacze" (naśladowana z chińskiego Skarga gwardii Klabunda) przybierają z drugim rozdziałem, gdy faszyzm doszedł do władzy i rozpętał pożogę świata, charakter konkretnego i namiętnego oskarżenia przeciwko wojnie imperialistycznej i kierującemu nią międzynarodowemu kapitałowi. Oprócz autorów reprezentowanych już w pierwszym rozdziale (Brecht, Tucholsky, Weinert, Wolf) pojawiają się tu następujące nazwiska: Johannes R. Becher, Albrecht Haushofer, Stefan Heym, Alfred Kerr, Rudolf Leonhard, Alfred Polgar, Karl Schnog i Max Zimmering.

I tym razem najcelniejszą diagnozę satyryczną Trzeciej Rzeszy dał Brecht w szerokiej, nierymowanej frazie powiastki o Trwodze reżimu, gdzie widzimy społeczeństwo spasionych policjantów i sterroryzowanych lub przekupnych sędziów ogarnięte panicznym strachem przed własnym ludem. „Gnani lękiem — mówi Brecht — włamują się do mieszkań i rewidują klozety, i lęk każe im puszczać z dymem całe biblioteki. Tak uciska strach nie tylko uciskanych lecz także uciskających". Z wierszy i obrazków zebranych w tym rozdziale wieje trupi swąd rozkładającego się mitu o „tysiącletniej Rzeszy", która w dniach swych największych sukcesów i najwyższej pychy staje się przedmiotem gwałtownych ataków ze strony satyryków reprezentujących zdrowe instynkty umęczonego ludu niemieckiego. Jest to front trudnego optymizmu w czasach, gdy „kręcił się globus w rękach arcykata" (Zimmering). Wolf daje formułę wytrwałości i optymizmu:

Nikt nie pyta: Czy długo?
ni: Kiedy zaświta dzień?

Przewiercić musimy się dalej
przez kamień twardy i cień.
I chociaż na światło dzienne
tysiące nie wyjdą już stąd,
to oni właśnie kiedyś
zbiorą się w górze na sąd.
(tłum. A. M. Swinarski)

Ale trzeci rozdział, przemawiający powojennymi wierszami i powiastkami satyrycznymi, nie wprowadza nas — rzecz prosta — do uporządkowanego świata, gdzie sądzi się tylko zwyciężonych zbrodniarzy. Rozgrywa się teraz nowy etap walki, którą podjęła satyra niemiecka. „W Bostonie pięciu Negrów pod sąd, w Korei dzieci ginące od bomb..." „W Vietnamie w ogniu wsie i ich lud, na Malajach tysiące powala głód..." „W Hiszpanii kula bojowcom w pierś, we Francji kopalń i fabryk śmierć..." „W Belgradzie nowych więzień sto, w Brazylii zbiory kawy na dno..." — Oto wyjęte z wiersza K. Schnoga (Owoce zachodniej kultury) sprawy, które stanęły na wokandzie walczącej satyry politycznej. Oprócz kilku nazwisk znanych nam już z poprzednich rozdziałów pojawiają się tu następujący autorzy: Richard Drews, Günther Kunert, Kuba (Kurt Bartel), Felix Mantel, Feodor Pappe, Paul Schwartz, Hans Seiffert, Hansgeorg Stengel i Hedda Zinner. Trudno i w tym wypadku nie podkreślić wymowy otwierającej rozdział Pieśni o wrogu klasowym Brechta:

...Gdyż walka klasowa istnieje,
Cokolwiek nam mówi wróg,
A kto przed tą walką stchórzy,
Tego powali głód.
Jesteśmy wrogami, doboszu,
Daremny twych werbli huk!
Generał, fabrykant i junkier:
Oto klasowy nasz wróg!
Tego już nikt nie przekręci,
Historii nie zmieni się bieg.
Deszcz nigdy nie pada do góry
i chyba to nie jest złe.
(tłum. W. Wirpsza)

Przebywszy w trzech rozdziałach trzy etapy walki, z których dwa pierwsze są już okresami historycznie zamkniętymi, a trzeci zaledwie rozpoczętym, dostrzegamy w cennym zbiorze niemieckiej satyry antyfaszystowskiej konsekwentny wzrost poziomu ideologicznego i świadomości politycznej jak również wzbogacanie się środków wyrazu artystycznego. Niektóre z wierszy zawartych w omówionej książce zdecydowanie przekraczają granice doraźnej satyry i zasługują na miano pięknych liryków polemicznych, wyrażających w sposób nieprzemijający żarliwie negatywną postawę uczciwego poety wobec minionych dopiero co i dziejących się znów na naszych oczach zbrodni. Takie są prawie wszystkie wiersze Bertolta Brechta i taki — by wybrać tylko jeden przykład spośród nazwisk niewiele mówiących czytelnikowi polskiemu — jest również Sonet humanistyczny Heddy Zinner. Nie mogę sobie odmówić przyjemności zacytowania na koniec dwu ostatnich jego strof:

...Lecz mnie uczyła miłość nienawiści,
co mi sumienie żre i w skronie wali
i zmusza moją myśl, że przy tych trwa,

których zatłuki, łżyli, katowali.
Bo jest nienawiść, co nam w ogniu czyści
miłość i uczy pojąć ją do dna.

(tłum. A. M. Swinarski)

Niemiecka satyra antyfaszystowska trafiła na dobrych i wypróbowanych tłumaczy, którym niewiele poza szcze-

gółami dałoby się zarzucić. Stosując tę samą zasadę, którą wydawcy zastosowali do autorów, wymieniam tłumaczy w porządku alfabetycznym: W. L. Brudziński, Leonid Fokszański, K. Jeż, Jan Koprowski, Leopold Lewin, Antoni Marianowicz, Jerzy Miller, Edmund Osmańczyk, Tadeusz Polanowski, Jerzy Pomianowski, Jakub Rożenek, Artur Marya Swinarski, Jerzy Kamil Weintraub, Witold Wirpsza i Wiktor Woroszylski.

Koncepcji edytorskiej wypada zarzucić włączenie do tomu dość błahych felietoników i anegdot pisanych prozą, które — rozrywając potok na ogół doskonale pod względem wersyfikacyjnym skonstruowanych satyr wierszowanych — nie wnoszą nic nowego, a niekiedy zieją wręcz nudą.

Pochwalić należy uzupełniające książkę przypisy bio- i bibliograficzne. Popularna przedmowa, która wyszła spod pióra obu wydawców, daje wyczerpujący rzut informacyjny co do politycznej treści tomu.

Trafnie dopełniają tekst całostronicowe rysunki Jana Lenicy, Bronisława Linkego, Eryka Lipińskiego, Mieczysława Piotrowskiego, Jana Marcina Szancera, Ignacego Witza i Jerzego Zaruby.

Adolf Sowiński

KONSTANTY PAUSTOWSKI: *Nasz współczesny (Puszkin).* Przełożył z jęz. rosyjskiego Paweł Hertz. Okładkę projektował Stanisław Łuchiewicz, Książka i Wiedza, Warszawa, 1951; str. 174.

Epoka dekabrystów, czas, w którym zapalił się w Rosji pierwszy płomień buntu przeciw samodzierżawiu — raz po raz przykuwa uwagę Konstantego Paustowskiego. W O p o w i e ś c i p ó ł n o c n e j ukazał pisarz nie tylko społeczne tło dekabrystowskiego dramatu, ale i niewygasły związek owych spraw z naszą epoką, z rewolucją socjalistyczną, z życiem dzisiejszego Leningradu.

Sztuka N a s z w s p ó ł c z e s n y również sięga po sprawy dekabrystów. Ideologią i ruchem dekabrystów tłumaczy wielkość i siłę oddziaływania tej poezji. I sam tytuł utworu — N a s z w s p ó ł c z e s n y — wskazuje znowu, jak aktualne i bliskie, jak związane z nami wydają się Paustowskiemu sprawy owego okresu historii.

Paustowski jest świetnym pisarzem, ma pióro sugestywne i delikatne, jego wizja przykuwa barwnością. Gdy zamykamy ostatnie karty sztuki o Puszkinie, rozwija się przed nami kolorowa tkanina, jakby gobelin, którego młodziutki Puszkin jest postacią centralną. Autor nie stara się idealizować swego bohatera; czyni go chłopcem nieco kapryśnym i dziecinnym, rozkochanym w złośliwych dowcipach, które bez głębszego sensu rozsiewa o swych przełożonych, jakby wyładowując w tym swe oburzenie na okrutny i bezmyślny system rządów, oraz swe tęsknoty za wolnością. Serce Puszkina jest czułe i skłonne do entuzjazmu; uwielbienie dla Byrona (w którego śmierć nie chce wierzyć) sąsiaduje z miłością do uroczej żony gubernatora Odessy, hr. Woroncowa. Sentymentalna scena miłosna między Elżbietą Woroncow a poetą, jak między dwojgiem bezradnych i słabych dzieci, należy do najpiękniejszych miejsc w utworze. Scena ta rozgrywa się przy akompaniamencie fal morskich, w szumie burzy, obryzgującej pianą ubrania zakochanych. Paustowski umie rozkołysać naszą wyobraźnię, nadać jej lot, pozwolić lekkim dotknięciem pióra na odbicie od brzegu. Na tle tych samych fal morskich rozgrywa się epizod w namiocie oficerskim, w stepie na brzegu morza przed Odessą (obraz III). Ta scena może najlepiej uwydatnia związek między sprawą Puszkina a wol-

nościowym porywem dekabrystów. Oficerowie każą oddać artyleryjskimi salwami honor poecie, który się tu zabłąkał. Żołnierze śpiewają pieśń Puszkinowską W i ę d n i e, w i ę d n i e p i ę k n e l a t o, o d l a t u j ą j a s n e d n i. Oburzenie na ustrój wyrażają uczestnicy spisku romantyczną recytacją wierszy takich jak W ś r ó d r u b i k o n u f a l C e z a r s w e l o s y c z y t a.

Poza właściwym spiskiem, poza organizacją dekabrystów, zostaje — mimo wszystko — twórca J e ź d ź c a m i e d z i a n e g o. Sami spiskowcy, jego przyjaciele, a jeszcze bardziej jego wielbiciele, świadomie trzymają poetę z dala od ruchu podziemnego. Dlaczego? Zapewne składają się na to dwie przyczyny. Po pierwsze: Puszkin jest śledzony, włóczą się dokoła niego szpicle, własny ojciec czyta listy poety, sporządza z nich odpisy na użytek władz. Spiskowcy lękają się nie bez racji, iż wciągnięcie poety mogłoby ich samych narazić na niebezpieczeństwo dekonspiracji. Poza tym jednak (i ten motyw zapewne przeważa) sądzą, iż wielkiego poetę należy chronić, gdyż każde jego słowo ma wagę bezcenną dla przyszłości Rosji i jej ruchu wolnościowego. Ale w tej bezczynności szamoce się energia i zapał poety. Sugestywny obraz tej walki wewnętrznej, na tle życia ludu, wypełnia ostatnie sceny sztuki.

Sztuka ta jest wiernym odbiciem autentycznych wydarzeń, operuje cytatami z wierszy Puszkina, opiera się na znanych epizodach jego życia. Lecz nie tylko o wierność szczegółów chodziło tu pisarzowi. Przede wszystkim starał się oddać barwy epoki, odtworzyć myśli, pragnienia, marzenia ludzi tej epoki, od intelektualistów do ludu. Jakże są trafne te np. miejsca utworu, w których przyjaciele Puszkina z ludu, chytrze indagowani na temat poety przez carskich szpiegów, potrafią odpowiedzieć jeszcze subtelniejszą grą przebiegłości i taić w ten sposób właściwe schronienie poety! Jak naturalnie, na tle chwilowego pogromu ruchu wolnościowego rysuje się, mimo wszystko, wiara Puszkina w ostateczne zwycięstwo sprawy ludowej:

„Mikołaj chce zdusić pragnienie wolności i sprawiedliwości. Szubienicami, katorgą, Sybirem, kajdanami... Głupiec! Z tej iskry i tak buchnie płomień" — mówi Puszkin o dekabrystach. I cytuje własny swój wiersz, napisany dawniej

Ufaj, mój druhu, błyśnie ona
Gwiazda swobody, szczęścia muza.
Powstanie Rosja obudzona.
I na tyranii niemych gruzach
Napisze lud nasze imiona.

Przekład — poetycki i piękny.

Wojciech Natanson

STENDHAL: *Różowe i zielone*. Przełożył Juliusz Rogoziński. Książka i Wiedza, Warszawa, 1951; str. 182.

Z trzech opowiadań Stendhala, które pod tytułem R ó ż o w e i z i e l o n e ukazują się po raz pierwszy w polskim przekładzie J. Rogozińskiego, tylko jedno jest ukończone: W s p o m n i e n i a s z l a c h c i c a w ł o s k i e g o. Lecz właśnie ono budzi stosunkowo niewielkie zainteresowanie. W porównaniu z dwoma pozostałymi wydaje się suche, prymitywne, blade — i mimo swego wykończenia — jakby niekompletne.

Dwa inne są fragmentami. Ale jakimi fragmentami! Wenus, której obcięto dłonie — ma jednak cudowne proporcje artystyczne, nie straciła siły oddziaływania. Opowiadania Stendhala również amputowane zostały przez los: pisarz nie zdołał ich wykończyć, śmierć nie tylko wyrwała mu pióro z ręki, ale i kazała zatrzymać się w połowie drogi stworzonym przez niego postaciom. A jednak...

A jednak trzeba podziwiać, ile bogatej i różnorodnej treści zdążyły objąć te fragmenty. Wielki konkurent Stendhala,

a zarazem jedyny doceniający go krytyk współczesny, Balzac, marzył o roli historyka obyczajów, uzupełniającego i pogłębiającego opis dziejów politycznych. Stendhal urzeczywistnia to marzenie; jest w owych właśnie nowelach — może jeszcze w większym stopniu niż w Pustelni parmeńskiej — bystrym obserwatorem przemian obyczajowych. Córka bogatego bankiera z Królewca, Mina Wanghen, bohaterka noweli Różowe i zielone przeżywa dziwne dla otoczenia, dla jej mieszczańskiego środowiska, procesy psychiczne, wstręt graniczący z nienawiścią do przystojnych, miłych, dobrze wychowanych i bogatych młodzieńców, którzy zjechali się z całych Niemiec północnych, aby pozyskać „delikatną atencją" jej serce, dziedziczki 7-milionowego majątku. Stendhal zapuszcza głęboką sondę w serce dziewczyny. Ukazuje, ile w jej buncie jest zranionej miłości własnej córki mieszczańskiej, nie będącej jeszcze — mimo wszystko — pełnoprawną obywatelką na wpół feodalnego i na wpół mieszczańskiego społeczeństwa; ile w tym jest uczuciowości romantycznej, ile ziarn rzuconych ręką nauczyciela, który za wolnomyślne i radykalne poglądy odsiaduje karę więzienia w Świdnicy; ile przekory; ile wreszcie tęsknoty za pełnym człowieczeństwem, nie mieszczącym się w granicach ówczesnego ustroju. Ale to jeszcze nie koniec! Klasowo-psychologiczny dramat Miny Wanghen komplikuje się jej stosunkiem do Francji; gdyż wbrew zdaniu antyfrancusko nastrojonego otoczenia bohaterka Stendhala tworzy sobie wyidealizowany (i fałszywy) obraz francuskiego społeczeństwa, jakby z komedii Marivaux, społeczeństwa ludzi bezinteresownych, poetycznych, szlachetnych. Rozczarowanie Miny, kiedy poznaje naocznie przedstawicieli Francji z arcykupieckiej i arcyhandlowej epoki Ludwika Filipa jest znowu okazją dla wielkiego pisarza — by poprzez przeżycia psychiczne ukazać typowe zjawiska społeczne. To, co bohaterka uważa za objaw psychologii narodowej (w tym wypadku niemieckiej), jest w istocie zjawiskiem klasowym, wynikającym z układu stosunków i sił gospodarczych. Tego wniosku nie wypowiada wprawdzie Stendhal w sposób wyraźny, lecz wynika on z toku akcji i narzuca się naszej myśli.

Równie interesujące i niezwykłe jest drugie z niedokończonych opowiadań Stendhala: Feder, czyli małżonek z głową do interesów. Jest to wystudiowana aż do ostatnich granic, świetnie opowiedziana historia miłości młodego malarza do żony wielkiego (i bardzo gruboskórnego) przemysłowca z prowincji. Dzieje tej miłości są opowiedziane z wirtuozerią, która stanowi jakby przedsmak późniejszej prozy francuskiej. Pozostając ściśle w granicach rzeczywistości obiektywnej i sprawdzalnej, operując zdaniami niemal chłodnymi i bezosobistymi, jakby opisywał dzieje choroby, Stendhal rozpoczyna od pierwszych objawów, ledwo dających się zaobserwować, potęguje potem efekty; ukazuje, jak namiętność opanowuje wszelkie zakątki uczuć i umysłowości bohatera, jak staje się czymś w rodzaju manii, a zarazem motorem energii, jak subtelne i nieprzeczuwalne rodzi przyjemności czy rozkosze, jak mnoży cierpienia i niepokoje. To wszystko mogłoby się stać niebezpiecznym i mamiącym, ślepym zaułkiem twórczości. Lecz instynkt społeczny wielkiego twórcy ratuje go i tutaj; zużytkowuje te wszystkie przeżycia, by im dać sens społeczny.

Bo Stendhal umieszcza i swego Federa i przedmiot jego miłości i całe ich otoczenie (a przede wszystkim owego „małżonka z głową do interesów") nie w pustce psychologizmu „abstrakcyjnego", lecz na mocno zarysowanym tle obyczajowym, społecznym i gospodarczym.

Dzięki temu proces rozwijania się namiętności nabiera ogólnego i bardziej typowego sensu; a nadto uzupełnia go twórca wspaniałymi epizodami, np. sceną, w której Feder, przerażony myślą, że mógłby stracić możność widywania się z ukochaną, stara się zdobyć wpływ na męża, stać się niezbędnym dla niego doradcą i wykazuje mu, iż z punktu widzenia dorabiającego się wpływów politycznych milionera szkodliwe jest — posiadanie wspaniałych księgozbiorów. Tu znów staje Stendhal nad niebezpieczną krawędzią fałszywego paradoksu. Jednak pozostaje w granicach surowej rzeczowej prawdy; sens rozmowy Federa z przemysłowcem, mimo wyjątkowej gruboskórności i prymitywności tego ostatniego, jest uogólniający.

Wojciech Natanson

HANS MARCHWITZA: *Kumiacy*, tytuł oryginału *Die Kumiaks*, przełożył z niemieckiego Jerzy Rawicz, Książka i Wiedza, Warszawa, 1951; str. 248. *Moja młodość*, tytuł oryginału *Meine Jugend*, przełożyli Adolf Sowiński oraz Olga i Andrzej Ziemilscy, Książka i Wiedza, Warszawa, 1950; str. 439. *Pierwsze kroki*, tytuł oryginału *Unter uns*, tłumaczyła Maria Wisłowska, Czytelnik, Warszawa, 1952; str. 154.

Powieść niemiecka, wyrosła na gruncie ideologii rewolucyjnego proletariatu, powstaje dopiero w końcowej fazie istnienia republiki weimarskiej. W latach 1929/1930 zjawiają się na widowni literackiej Niemiec nowi, całkowicie nieznani pisarze. W latach tych ukazują się pierwsze powieści Adama Scharrera (Vaterlandslose Gesellen), Karola Grünberga (Brennende Ruhr), Willi Bredla (Maschinenfabrik N. und K.) i Hansa Marchwitzy (Sturm auf Essen). Na okres ten przypada także początek twórczości Anny Seghers.

Grupa tych pisarzy — poza Anną Seghers, której dzieło zajmuje wyjątkową nieomal pozycję we współczesnej literaturze niemieckiej i musi pozostać poza ramami niniejszych rozważań — różni się zasadniczo od tych twórców proletariackiej literatury niemieckiej, którzy — wywodząc się w większości wypadków, jak Becher, Brecht czy Wolf, ze szkoły ekspresjonizmu — mieli już w pierwszych latach republiki weimarskiej duże znaczenie jako dramaturdzy i lirycy. Bredel i Marchwitza, Grünberg i Scharrer — to nie przedstawiciele burżuazji, którzy musieli zerwać ze swoją klasą, by twórczością swą służyć walce proletariatu, to nie pisarze wywodzący się z takiej czy innej „szkoły" czy grupy literackiej, to przedstawiciele walczącego proletariatu, to robotnicy, których szkołą były cierpienia i rewolucyjne walki niemieckiej klasy robotniczej, których szkołą była partia. Bredel jest tokarzem, Marchwitza — górnikiem, Scharrer — ślusarzem, Grünberg — robotnikiem niewykwalifikowanym. Są oni związani od wczesnej młodości z ruchem robotniczym, są aktywistami Komunistycznej Partii Niemiec od chwili jej powstania.

Droga tych pisarzy do literatury jest we wszystkich czterech wypadkach identycznie ta sama: zaczyna się od luźnej współpracy z pismami robotniczymi, zaczyna się od reportaży i korespondencji. Pisarze ci nie są obciążeni żadnymi konwencjami literackimi, pisarze ci nie tracili energii na formalistyczne eksperymenty, nie musieli — jak Becher czy Wolf — przezwyciężać ekspresjonizmu. W wieku pełnej dojrzałości — w chwili ukazania się ich pierwszych książek—Marchwitza, Scharrer i Grünberg mają około czterdziestu lat, jedynie Bredel jest młodszy — atakują oni śmiało formę dużej powieści i znajdują — opierając się o ideologię marksiz-

mu-leninizmu — prostą drogę do realizmu. W odróżnieniu od utworów mieszczańskiego realizmu krytycznego odtwarzają oni w swoich powieściach środowiska proletariackie, ich tematyką jest rewolucyjna walka niemieckiej klasy robotniczej.

Hans Marchwitza urodził się w 1890 r. na Górnym Śląsku. Ojciec: górnik, poprzednio wyrobnik wiejski; matka: robotnica, pracująca na płuczce. Wrażenia dzieciństwa: krańcowa nędza, chroniczne pijaństwo ojca, powolna śmierć matki-suchotnicy, pruska szkoła, wpajająca dzieciom — w interesie kajzerowskiego imperializmu — ślepe posłuszeństwo wobec władz. Mając lat dwanaście Marchwitza pracuje na budowie, mając lat czternaście zaczyna pracę w kopalni. Widzi nieludzki wyzysk górników, zmuszanych niejednokrotnie do 16 godzin pracy na dobę, pracy w najstraszliwszych warunkach. W 1910 r. młody Marchwitza ulega namowom agenta, werbującego górników do kopalń w Zagłębiu Ruhry.

W Zagłębiu, gdzie stopień zorganizowania górników, świadomych swych celów w walce klasowej, jest wówczas znacznie wyższy niż na Górnym Śląsku, następuje pierwsze zetknięcie Marchwitzy z ruchem robotniczym. Wstępuje on do związku zawodowego i zostaje w 1912 roku po raz pierwszy za udział w strajku usunięty z pracy. W pierwszej wojnie światowej Marchwitza jest żołnierzem na froncie zachodnim. „Rewolucja Październikowa skierowała mnie na moją dzisiejszą drogę" — napisze on później. Wraca do domu jako zdeklarowany socjalista. Znowu praca w kopalni, udział w walkach proletariatu niemieckiego w udaremnieniu puczu Kappa w 1920 r., organizowanie strajków masowych.

W 1924 r. Marchwitza zaczyna pisać. Jest korespondentem robotniczym komunistycznego organu Ruhr-Echo, pisze reportaże o strajkach i demonstracjach, później małe opowiadania, drukowane także w prasie robotniczej. W 1930 r. ukazuje się pierwszy większy utwór Marchwitzy, powieść Sturm auf Essen, która zostaje rok później przez rząd pruski zakazana i skonfiskowana.

W 1933 r. Marchwitza emigruje do Szwajcarii. Tam ukazuje się jego następna powieść Kumiacy. Zostaje on ze Szwajcarii wydalony, żyje półtora roku nielegalnie w Zagłębiu Saary i w Paryżu. W latach 36—38 bierze udział w walkach Międzynarodowej Brygady w Hiszpanii. Potem znowu pobyt we Francji i internowanie w 39 roku.— W 41 r. ucieczka z obozu. Marchwitza przybywa do Nowego Jorku. Tam rewolucyjny pisarz niemiecki zmuszony jest do zarobkowania jako uczeń malarski, robotnik budowlany i brukarz. Warto przypomnieć, że wówczas Marchwitza miał lat 53! Mimo ciężkiej pracy fizycznej znajduje on jednak czas i siły na pisanie. Powstaje duża powieść autobiograficzna Moja młodość i tom opowiadań Pierwsze kroki.

W 1946 r. Marchwitza wraca do Niemiec. Zostaje wybrany do zarządu Kulturbundu, stowarzyszenia mającego na celu demokratyczne odrodzenie Niemiec, zostaje powołany do Niemieckiej Akademii Sztuki. W 1950 roku Marchwitza zostaje odznaczony nagrodą narodową Niemieckiej Republiki Demokratycznej.

Oto droga życiowa Hansa Marchwitzy, pisarza niemieckiej klasy robotniczej.

Już pierwsza książka Marchwitzy, powieść Sturm auf Essen ujawniła charakterystyczne rysy jego sztuki. Sam temat wywołał w ówczesnych Niemczech zdziwienie, a cóż dopiero jego śmiałe naświetlenie. Marchwitza

odtworzył w tej powieści historyczne wydarzenia, które przeżył, w których brał udział: bohaterską walkę niemieckiej klasy robotniczej w Zagłębiu Ruhry w 1920 r. Ukazał klasowy charakter tych walk, mocno nakreślił prawdziwe oblicze reakcji niemieckiej i socjalzdrajców spod znaku Noskego, wykazał zdolność realistycznego odmalowania środowisk proletariackich. Mimo braków wynikających z niedostatecznego opanowania warsztatu powieściopisarskiego, mimo dłużyzn i naiwności, mimo bardzo nierównomiernego rozłożenia elementów fabularnych i reportażowych — utwór odniósł ogromny sukces, został przełożony na kilka języków, między innymi nawet na japoński.

Wyniki uporczywej pracy nad opanowaniem formy powieściowej widoczne są w następnej książce Marchwitzy. Kumiacy, to dzieje rodziny robotniczej w Zagłębiu Ruhry w latach inflacji 1922/23. W powieści tej daje Marchwitza niezwykle sugestywny obraz pracy i walki, nędzy i cierpienia niemieckich górników. Na szeroko odmalowanym tle, bogato podbudowanym realiami, autor ukazuje budzenie się i stopniowy rozwój świadomości klasowej swego bohatera, prostego i wzruszająco naiwnego wyrobnika wiejskiego, Piotra Kumiaka, który przybywa do Zagłębia Ruhry, łudząc się, że zdoła tam polepszyć byt swój i swojej rodziny.

Kumiacy, to bodaj pierwsza powieść górnicza w literaturze niemieckiej, to utwór wzruszający i wstrząsający głębią ukazanej prawdy.

Te same zalety wykazuje duża powieść autobiograficzna Marchwitzy Moja młodość. Wszystkie utwory Marchwitzy noszą właściwie charakter autobiograficzny, we wszystkich odzwierciedlił autor poszczególne etapy swego życia. Moja młodość zawiera szczegółowy opis drogi życiowej pisarza od najwcześniejszego dzieciństwa do końca pierwszej wojny światowej. W postaci bohatera Marchwitza ukazał drogę rozwojową typowego przedstawiciela niemieckiego proletariatu w pierwszych dwóch dziesięcioleciach naszego wieku. Szczególna wartość tej powieści polega na plastycznym i przekonywającym ukazaniu czynników hamujących zjednoczenie niemieckiej klasy robotniczej w tym okresie. Toteż książka ta stanowi — zwłaszcza dzięki swemu wielkiemu autentyzmowi — cenny dokument dla poznania dziejów niemieckiego ruchu robotniczego. Jednocześnie obserwujemy, zwłaszcza w ostatniej części powieści, doskonalenie się środków artystycznych Marchwitzy.

Tom zatytułowany Pierwsze kroki ukazał się — tak samo jak Moja młodość — dopiero po powrocie Marchwitzy do Niemiec i zawiera wybór opowiadań tego pisarza. Opowiadania te łączy więź tematyki: są to mniejsze czy większe szkice i obrazki z życia niemieckich robotników.

Największym i niewątpliwie najciekawszym utworem tego zbioru jest autobiograficzny szkic Moje pierwsze kroki. Bezrobotny, żyjąc wraz z rodziną w krańcowej nędzy, Marchwitza usiłuje jako domokrążca czy śpiewak podwórzowy zarobić parę groszy i — pchany wewnętrzną potrzebą — pisze pierwsze swoje utwory. Niesposób bez wzruszenia czytać to sprawozdanie skromne i proste o „pierwszych krokach" w literaturze jednego z czołowych robotniczych pisarzy dzisiejszych Niemiec.

„Jako głównego bohatera naszych książek musimy obrać pracę, to jest — człowieka, którego kształtuje proces pracy". Te słowa Maksyma Gorkiego Marchwitza obrał jako motto swojej powieści górniczej Kumiacy. Słowa te są mottem całej twórczości tego pisarza. Odzwierciedlił on w swych książkach

troski i cierpienia, walki i zmagania prostych ludzi, realizował od swego pierwszego utworu począwszy postulat Gorkiego: pokazał „człowieka, którego kształtuje proces pracy".

Górnik Hans Marchwitza wyrósł z szeregów rewolucyjnej partii niemieckiego proletariatu, która go wychowała i ukształtowała: jako bojownika, jako pisarza. Wiążąc swoją twórczość nierozerwalnie z niemieckim ruchem robotniczym, bazując ją na ideologii rewolucyjnej walki proletariatu, wzorując się na osiągnięciach literatury radzieckiej, zwłaszcza Gorkiego — Hans Marchwitza należy do tych pisarzy, którzy w ostatniej fazie istnienia republiki weimarskiej postawili pierwsze kroki na nowej drodze niemieckiej powieści.

Marceli Ranicki

T E A T R

NA SCENACH WARSZAWSKICH

Polityczna tendencja przenikająca Intrygę i miłość Schillera jest kręgosłupem kompozycji dramatycznej, wyznacza linię rozwojową postaci, determinuje rysunek ich psychiki. Engels uważał, że właśnie „to jest najlepsze w Intrydze i miłości, że jest ona pierwszym niemieckim politycznym dramatem tendencyjnym". (Naturalnie zaraz po tym stwierdzeniu Engels daje cały wywód, co rozumie przez termin „tendencyjność", o sto mil dla niego odległy od prymitywnych nieartystycznych „wstawek").

Intryga i miłość jest sztuką walczącą, polityczną, godzącą z mieszczańskich pozycji w feudalizm. Wydana i wystawiona po raz pierwszy w 1784 r. (autor ledwie ukończył 25 lat) jest podsumowaniem poważnej drogi rozwojowej, której kolejnymi etapami były dramaty wcześniejsze: Zbójcy i Sprzysiężenie Fieska.

Linia podziału klasowego w Intrydze i miłości nie rysuje się tak ostro, jak u współczesnych Schillerowi ideologów mieszczaństwa francuskiego, stojącego na progu rewolucji. Obiektywna sytuacja mieszczaństwa niemieckiego, ledwie w drugiej połowie wieku XVIII przechodzącego z rzemieślniczych form produkcji do manufaktury, rozdrobnionego w państewkach ówczesnej Rzeszy, nie dawała możliwości natychmiastowych rozwiązań rewolucyjnych. Stąd u poetów okresu „burzy i naporu" akcenty buntu przybierają charakter raczej ogólnikowy, krytyka feudalizmu przeprowadzana jest przede wszystkim na planie moralnym, w utworach znajdujemy bardzo wiele utopijnych, idealistycznych złudzeń. Nie jest od tych słabości wolna i Intryga i miłość, chociaż konflikt społeczny wystąpił w niej ostrzej i konkretniej, niż w jakimkolwiek dziele artystycznym z okresu „burzy i naporu".

Problematyka moralna, przeciwstawienie patriarchalnej niemal godności i czystości rodziny Millera rozwiązłości arystokracji góruje w Intrydze i miłości nad krytyką społecznej nieprzydatności arystokracji. Do roli pozytywnych bohaterów urastają „najlepsi z arystokracji, ci co się od niej oderwali, a więc Ferdynand von Walter, zakochany w mieszczance Luizie, i książęca utrzymanka, Lady Milford, zrywająca ze swym środowiskiem.

Miarą słuszności inscenizacji Intrygi i miłości powinno być rozważenie problemu, o ile zasadniczy konflikt społeczny dramatu został trafnie odczytany, o ile przekonywająco ukaza-

no go środkami artystycznymi. Teatr Polski włożył w inscenizację Schillera wiele twórczego wysiłku. Ostro rysuje się przeciwieństwo między światem muzykanta Millera a światem salonów. Stary Miller i baron von Walter, dwaj główni ideowi „oponenci" znaleźli doskonałych odtwórców w Januszu Warneckim i Gustawie Buszyńskim. Na tle tych znakomitych kreacji aktorskich wyraziście rysuje się postać służalca arystokracji, sekretarza Wurma (A. Łodziński).

Natomiast błędem było danie roli Ferdynanda Mileckiemu. Temperament tego aktora nie nadaje się zupełnie do odtworzenia sentymentalnego idealisty Ferdynanda. Bojowa postawa Mileckiego nadała niepotrzebną wagę tej roli, wysunęła ją niesłusznie na niekorzyść Millera i Luizy. Dobrze odegrana postać Luizy (Ewa Krasnodębska) została zepchnięta w cień. A przecież te ideowe wartości świata reprezentowanego przez rodzinę Millera sprawiły, że Ferdynand nie tylko zakochał się w pięknej mieszczance, ale solidaryzuje się z jej klasą. Błąd inscenizacji polega w znacznym stopniu na tym, że i Ferdynand, i Lady Milford (Nina Andrycz) urastają niepotrzebnie do roli głównych oponentów ideowych arystokracji. A więc chwilami problem zaczyna wyglądać tak: dobrzy arystokraci przeciw złym w obronie uciskanych, zamiast wyraźnie odgraniczonych dwóch obozów, z tym że atrakcyjna siła humanistycznej i rewolucyjnej wówczas ideologii mieszczańskiej pociąga za sobą najlepszych z obozu wrogiego. Reżyseria warszawska niepotrzebnie jeszcze rozbudowała organicznie tkwiącą w dramacie ograniczoność ideową.

Z tym zastrzeżeniem jeszcze raz trzeba podkreślić, że Intryga i miłość w Teatrze Polskim stała się dużym osiągnięciem artystycznym, że zasłużenie cieszy się ogromnym powodzeniem widowni, której żywa i bezpośrednia reakcja na dzieło wielkiego klasyka najlepiej świadczy o jego żywotności.

Przekład Artura Maryi Swinarskiego mogę oceniać niestety tylko z widowiska, nie z lektury. Wydaje mi się znakomity. Nie ma ani rażącej archaizacji, ani nachalnego modernizowania. Pięknie pokazuje Swinarski indywidualne cechy językowe osób z różnych środowisk. Przekład Intrygi i miłości ma nadto wszelkie walory tekstu teatralnego, o czym często dobrzy nawet tłumacze zapominają przy przekładach z dramaturgii.

*

„Profesja pani Warren została napisana w 1894 w tym celu, by zwrócić uwagę na prawdę, że prostytucji nie powoduje ani deprawacja kobiet, ani rozwiązłość mężczyzn, lecz po prostu fakt, że kobiety są nisko opłacane, nisko cenione i obarczone nadmierną pracą tak haniebnie, że najbiedniejsze z nich są zmuszane uciekać się do prostytucji" — tak pisał Shaw o swojej sztuce. Doraźnym celem ideowym autora był protest przeciw nieludzkim formom wyzysku kobiet. Krytyka, jakiej Shaw w Profesji pani Warren poddał sytuację społeczną kobiety, nie ograniczyła się do problemu pracy kobiet, prostytucji, zagadnienia emancypacji itp. Poruszenie jednego zagadnienia wywołało natychmiast drugie: od zagadnień obyczajowych przechodzimy ku społecznym, by wreszcie dojść do demaskacji podstaw ustrojowych Anglii, kapitalistycznego wyzysku człowieka przez człowieka.

Profesja pani Warren jest bardzo wielostronnym, krytycznym, nieubłaganym spojrzeniem na los jednostki w trybach machiny kapitalistycznej. Minęło ponad pół wieku od czasu napisania sztuki. Obraz przeci-

wieństw rozrywających i rozkładających życie społeczne Anglii nie zmienił się — kolory jeszcze się zaostrzyły, przeciwieństwa wystąpiły wyraźniej.

Teatr Współczesny dał nam dobre widowisko. Ludzie byli pokazani we właściwych wymiarach, rozumieliśmy dlaczego „wzór gentlemana" Praed jest tylko pięknoduchem; pełnokrwisty i „solidny" Crofts szują, a Wiwia z całą swoją dzielnością życiową — bardzo ograniczoną gąską. Może wielebny Gardner był trochę przerysowany w stronę karykatury, a jego syn Frank zbyt mało usprawiedliwiał swym wyłącznie wyuzdanym zachowaniem, że mimo jego znanych wad otoczenie nazywa go jednak „uroczym chłopcem".

Profesja pani Warren jest sukcesem i reżysera i teatru — należy jednak wątpić, czy sukces ten byłby pełny, gdyby nie wielka kreacja aktorska Ireny Eichlerówny w roli pani Warren. Eichlerówna dała nam pełny, wielostronny, soczysty obraz. Mama Warren—to kobieta tak głęboko zakłamana, że nawet mówiąc do córki, gdy stara się być szczera, nie potrafi uniknąć frazeologii i konwencjonalnej egzaltacji. Tak samo, gdy opowiada o swym dzieciństwie i młodości. Eichlerówna z dojrzałym mistrzostwem współtworzy postać pani Warren.

*

Na przedstawieniu Uczonych białogłów w Teatrze Nowym zdawało się, że i reżyser i aktorzy zrobili wszystko by sztukę skonwencjonalizować, odrealnić, przenieść z istniejącego w historii i geografii miasta Paryża w konwencjonalne mieszkanie-pałac na prowincji (jak to się mówi: w „stylu epoki") — a jednak sztuka żyje, satyra działa, widzowie cieszą się z pomyślnego rozwiązania perypetii miłosnych młodej pary. Zastanówmy się: młodzi wiedzą o tym, jak dominującą rolę w domu odgrywa „uczona" mama, wiedzą, że chce wszystko zrobić, by nie dopuścić do ich małżeństwa — czy myślicie, że chociażby na chwilę zapominają oni o pomyślnym zakończeniu sztuki? — Nie, błogie uśmiechy igrają na ich wdzięcznych buziach jednakowo przez całe pięć aktów. Boy kiedyś pisał, że Uczone białogłowy są zadziwiająco wolne od konwencji teatralnej epoki, którą znajdziemy w największych nawet arcydziełach Moliera. Po Uczonych białogłowach w Teatrze Nowym musiałby uznać swój poważny błąd i słabą znajomość Moliera.

Uczone białogłowy były ostrą satyrą na salonowe „emancypantki" na pseudo-uczonych i pseudo-literatów, były ostrym atakiem na przydworski arystokratyczny światek, satyrą podaną w przejrzystej bardzo osłonie. Cel satyry dawno nie istnieje, obcy jest naszemu widzowi. Mimo to przetrwało w tej sztuce bardzo wiele, nawet dla człowieka, który nic nie wie o autentycznych pierwowzorach Wadiusza i Trysotyna i którego „autentyzm" tych postaci niewiele obchodzi. Przetrwał protest zdrowego rozsądku przeciw nadętej sztuczności, czujemy dziś taką samą radość, jak w czasach Moliera jego widz, gdy widzimy, że zakochani łączą się wbrew przymusowi rodzicielskiemu. Nie trzeba się obawiać, że atak Moliera na salonową „emancypację" kobiety może być fałszywie zrozumiany dzisiaj, gdy równouprawnienie kobiet stało się u nas faktem społecznym. Tekst molierowski mówi tak wyraźnie, o jaką tam emancypację chodzi, że rozumiemy to nawet w Teatrze Nowym, nawet przy schematycznym traktowaniu wierszowanej strony komedii, co dodatkowo odcina widza od tekstu.

Jeżeli w aktorskim wykonaniu Uczonych białogłów nie wszy-

stko jest godne potępienia, to niestety, zupełna nonszalancja reżysera w stosunku do zagadnienia analizy tekstu sprawia, że te jaśniejsze punkty gasną w mroku ponurej „roboty". Bo i jak ma aktor dobrze grać, jeżeli jest schematycznie ustawiony na scenie (centralnie, z trójki mówi osoba środkowa), jeżeli gruby pokost konwencji pokrywa całość sztuki. Tym cenniejsze jest na tym tle osiągnięcie aktorskie Aleksandra Michałowskiego w roli Chryzala.

*

Obcy cień Simonowa porusza zagadnienie o wybitnej doniosłości, tak samo żywotne dla Związku Radzieckiego, jak i dla nas: walkę z obcą agenturą. Simonow nie pokazuje „normalnej" afery szpiegowskiej, chociaż w Obcym cieniu znajdziemy i człowieka wprost pracującego na rzecz imperialistycznego wywiadu (Okuniew). Autor wybiera sytuację bardzo specjalną. Wybiera postać subiektywnie najzupełniej uczciwego człowieka, wielkiego uczonego. Profesor Trubnikow, od kilku lat członek partii, pracownik ceniony przez władze radzieckie, kierownik dużej instytucji naukowej omal nie popełnił zdrady. Że do rąk wywiadu amerykańskiego nie doszły wyniki jego prac bakteriologicznych, które imperialiści wyzyskaliby dla celów wojennych, to nie jego zasługa. To zasługa ludzi z otoczenia profesora, którzy przeszkodzili wydaniu cennego manuskryptu w ręce wroga. Ludzie ci, świadomi patrioci radzieccy, nie wahali się ani chwili, by przeszkodzić profesorowi w jego niepoczytalnej decyzji. Czy bowiem profesor Trubnikow wiedział, że może popełnić przestępstwo? Właśnie, że nie wiedział — i w tym leży jego ogromna wina. Profesor jest bardzo naiwny; nie może zrozumieć, że są uczeni, którzy sprzedają swą wiedzę imperialistom. Dla niego Anglia jest zawsze Anglią Darwina, a dociekania laboratoryjne służą tylko dobru ludzkości. Profesor Trubnikow wykazał swym postępowaniem, gdy chciał przesłać wyniki swych badań amerykańskim uczonym, że nie zdaje sobie sprawy z sytuacji międzynarodowej, że w ciszy swego laboratorium zapomniał, na jakim żyje świecie. Brak świadomości politycznej doprowadził go do ufnego stosunku do wroga klasowego, do zatraty czujności wobec tego wroga. Autor pokazuje, że taka postawa jest krokiem do zdrady — chociażby nawet nieświadomej.

Simonow wybrał wypadek nie mający cech przeciętności. Zdrada, jaką mógłby popełnić Trubnikow, to wypadek bardzo indywidualny. Czy mieści się w ramach typowości? Autor stara się pokazać wiele czynników oddziałujących na profesora w ten sposób, że mógł on dojść do punktu, w którym można już popełnić zdradę. Będzie to i celowo apolityczne traktowanie swej pracy zawodowej, bezkrytyczny stosunek do nauki w krajach imperialistycznych, brak zaufania do partii — typizację Simonow przeprowadza przez nagromadzenie tego rodzaju czynników. Gdy znajdą one podatny grunt w psychice jednostki, wtedy w indywidualnej sytuacji może się ona zachować tak właśnie, jak profesor Trubnikow.

Inscenizację Obcego cienia w Teatrze Polskim trudno nazwać w pełni udaną. Mimo że gra w sztuce znakomity zespół aktorski (poza przypadkowym obsadzeniem roli córki Trubnikowa, roli najzupełniej przez reżysera nie opracowanej) Wyrzykowski, Buszyński, Pietraszkiewicz, Ejmont, Małynicz, Gorczyńska — za każdym z tych doskonałych aktorów jest w Obcym cieniu wiele mistrzowskich zagrań — rola Trubnikowa tak, jak ją interpretuje Wyrzykowski, wygląda

bardzo interesująco. A w sumie widowisku brak tempa, w wielu scenach najniepotrzebniej aktorzy podkreślają jeszcze tkwiące w tekście dłużyzny. Odnosi się wrażenie, że na spektaklu zaciążyły nienajlepsze tradycje inscenizacji polskich sztuk współczesnych, przeciążenie warsztatu aktorskiego drobnymi „cyzelatorskimi" zagraniami na niekorzyść szeroko rozumianej zespołowości.

*

Sztuka Świrszczyńskiej Odezwa na murze porusza mało w naszej literaturze pięknej opracowany okres z dziejów bohaterskich zmagań polskiej klasy robotniczej, okres Wielkiego Proletariatu. Akcja sztuki rozgrywa się w fabrycznym mieście Kongresówki w roku 1885. Po aresztowaniu Waryńskiego i przywódców partia nie przestaje istnieć. Autorka zgodnie z prawdą historyczną przedstawia narastanie oporu mas robotniczych, budzenie się świadomości klasowej w walce ekonomicznej z fabrykantem. Rolę organizatora robotniczego oporu pełni partia, wychowana na wzorze Waryńskiego, kierująca się po raz pierwszy w dziejach polskiego ruchu wyzwoleńczego rewolucyjną nauką Marksa. Postać przywódcy, Michała Kubali, robotnika i działacza partyjnego maluje Świrszczyńska z wielkim staraniem o wszechstronność obrazu, pokazuje go na tle życia rodzinnego, partyjnego, pokazuje go w gorących godzinach montowania wielkiego strajku protestacyjnego. Chociaż Kubala ginie od żandarmskiej kuli, strajk rozszerza się — widzimy nowych działaczy spośród robotników, którzy wraz z Kubalą pracowali przy agitacji przedstrajkowej, którzy wraz z nim drukowali ulotki w nielegalnej drukarni.

Autorka podkreśla internacjonalizm ludzi Wielkiego Proletariatu, widzimy idącego wraz z nimi przedstawiciela rosyjskiego ruchu rewolucyjnego. Po przeciwnej stronie barykady mamy swoiste „współdziałanie" ludzi różnych narodowości. Między fabrykantem, z pochodzenia Niemcem, jego głównym inżynierem, szczycącym się swym polskim szlacheckim „patriotyzmem" i wiernością dla zasad etyki katolickiej, carskim gubernatorem i rosyjskim żandarmskim oficerem nie ma żadnych przeciwieństw, jeśli chodzi o gnębienie ruchu wyzwoleńczego klasy robotniczej.

Odezwa na murze została z przykładną starannością wystawiona przez Teatr Narodowy. Inscenizacja starała się wydobyć charakter środowiska, podkreślić ideowe walory sztuki. Dekoracje (a tekst nie stawiał przed scenografem lekkiego zadania) odznaczają się przemyśleniem i konsekwentnie przeprowadzonymi założeniami realistycznymi. Widać staranie o dobór obsady aktorskiej.

W przedstawieniu środowiska robotniczego i w ukazaniu dynamiki rozwojowej ruchu rewolucyjnego autorka popełniła duże błędy. Nie przypadkiem najżywsze są sceny w kantorze fabrykanta. Są najlepiej zbudowane dramaturgicznie, najlepiej umotywowane. A zdegenerowany robotnik - pijaczyna, wciągnięty przez fabrykanta do roboty szpiclowskiej, pokazany jest z pasją, jakiej nie widać przy opracowaniu postaci pozytywnych. Świrszczyńska przejmuje wiele elementów z warsztatu Gorkiego, przede wszystkim z Matki. Byłoby świetnie, gdyby wyciągnęła twórcze wnioski z doświadczeń genialnego pisarza. Tak nie jest. Świrszczyńska niemal żywcem przenosi do swego dramatu wybrane sytuacje z Matki — tak będzie wtedy, gdy pokazuje postać matki Kubali, gdy zaczyna się spór o to, kto na demonstracji będzie niósł sztandar, tak będzie, gdy w

postaci rosyjskiego rewolucjonisty Iwanowa dostrzeżemy rysy niefrasobliwego i dobrego „chochoła" Andrzeja z Matki itp. To nie jest właściwe korzystanie z wielkich wzorów. Oczywiście, postacie Gorkiego są bardzo typowe, a różnica stosunków i czasów nie jest tak wielka, by np. matka Kubali nie mogła mieć rysów wspólnych z postacią Własowej u Gorkiego. Ale Gorki pokazuje długą drogę rozwojową swej postaci, pokazuje, jakie ciężkie problemy stają przed nią, gdy ta półanalfabetka, kobieta obciążona przesądami religijnymi, „zabita życiem" w nędzy i poniżeniu, wchodzi do ruchu robotniczego i staje się pod koniec powieści cennym działaczem partyjnym. Świrszczyńska pokazuje „gotowy rezultat". Jeżeli nawet w naszych oczach robotnica Zośka zmienia się z desperatki, samobójczyni o bardzo ograniczonych perspektywach ideowych w działaczkę i kontynuatorkę pracy Kubali, to niestety nie bardzo wiemy, jak to się dzieje. Czy wystarczy polegać na „automatyzmie" instynktu klasowego? Gorki uważał, że nie. Podobnie jak i inscenizatorzy widowiska, tak samo i autorka nie zawsze dokładnie odróżnia prawdziwy patos od melodramatycznych efektów. Przy tych wszystkich wadach sztuka Świrszczyńskiej świadczy, że autorka weszła na drogę realizmu.

*

Sztuka Gruszczyńskiego Pociąg do Marsylii znana jest czytelnikom Twórczości.

Właściwa akcja, prawdziwy dramat nie rozgrywa się w mieszkaniu, które widzimy na scenie — przez otwarte okna stale słyszymy głosy demonstracji, strzały, właśnie tam na stacji przebiega w tej chwili bojowy front walki, jaką toczy naród francuski ze zdrajcami. Tam robotnicy, chłopi, żołnierze, prowadzeni przez komunistów, bohaterów Ruchu Oporu, walczą znowu o Francję. Drużyna stacjonująca w domu Ledoux nie przygląda się tej walce obojętnie — nie może jej utrzymać kapral Bregain, nie pomoże bezsilna wściekłość porucznika Arbois. Drużyna rozbroiła kaprala, nie chce strzelać do swych braci, łączy się z demonstracją. Taki jest ideowy kościec sztuki Gruszczyńskiego Pociąg do Marsylii, sztuki politycznej, słusznie przedstawiającej zasadnicze problemy aktualnego etapu walki o pokój we Francji.

Gruszczyński debiutował w czasie festiwalu polskich sztuk współczesnych. Jego Dobry człowiek nie był pozbawiony poważnych błędów, mimo że zapowiadał w osobie debiutanta talent dramaturgiczny. Czy Pociąg do Marsylii jest krokiem naprzód w rozwoju Gruszczyńskiego? Niewątpliwie tak. Nie ma tu tak rażących w Dobrym człowieku braków motywacji postępowania osób, autor stara się o nieschematyczne, pogłębione sylwety psychiczne swych bohaterów. Błędem podstawowym, jakiego nie uniknął, jest to, co można by nazwać zbytnim „odsłanianiem warsztatu". Autor wie o swojej postaci, a przynajmniej powinien wiedzieć bardzo wiele. Gruszczyński wie, że stary Ledoux waha się, zna przyczyny tych wahań, wie o walce, jaka toczy się w jego świadomości — to bardzo dobrze, ale dlaczego Ledoux sam o tym wszystkim informuje widza? Właśnie autorskimi słowami. Taki „powieściowy" chwyt w pełni stosuje Gruszczyński przy postaci kaprala Bregain. Ten lump, do którego tyle brudu przylgnęło, że się już z nim dobrze czuje, ale który skrycie zazdrości komunistom ich ideowości, sam o tym opowiada porucznikowi Arbois, ba, z biegłością zawodowego psychologa wykrywa przy-

czyny, dla których komunistów nienawidzi. Równie nadmiernym stopniem autoanalizy i świadomości motywów postępowania odznaczają się i porucznik Arbois, i szpicel Crottin, i nawet żona Ledoux.

Gruszczyński bardzo świadomie stara się o wielostronne zarysowanie postaci: faszysta porucznik czuje jakiś podziw dla bohaterstwa komunistów, żałuje, że nie ma takich ludzi w swoim plutonie. Kapral Bregain sypie komunistów z innych drużyn, ale swoich chłopców, z którymi ma przecież z wielu względów na pieńku, broni przed wszelkimi podejrzeniami. Jeżeli Gruszczyński daje żonie Bregaina, Dominique, długą przemowę po śmierci męża, a nie chce wpaść w akcenty melodramatyczne, to każe jej przerwać nagłą refleksją, że teraz to by go ona „trzymała za mordę". Dążność do pogłębiania postaci jest godna najwyższego uznania, Gruszczyński pokazuje w Pociągu do Marsylii, że poważnie pracuje w tym kierunku, ale nie jest dobrze, gdy autorska refleksja i założenia wyłażą ze sztuki wszystkimi szwami. Zupełnie niepotrzebnie autor stara się powiedzieć o każdej ze swych postaci wszystko, co wie, i to przede wszystkim jej własnymi ustami. Narracyjne elementy zaciążyły nad sztuką; mimo że jest krótka, znajdziemy w niej dłużyzny, miejsca dramaturgicznie puste.

Teatr nie pomógł autorowi. A w wypadku Gruszczyńskiego aż prosi się o rękę reżysera, który by drobnymi nawet korektami wydobył ze sztuki jej wartości ideowe i dramaturgiczne. Patrząc na inscenizację Pociągu do Marsylii w Ateneum można ryzykować twierdzenie przeciwne: teatr podkreślił słabości sztuki. Inscenizacja nie pokazała już nie tylko atmosfery południa Francji, ale nawet nie wydobyła głównego akcentu: faktu, że zasadnicza akcja toczy się poza domem Ledoux, że to nie może być sztuka kameralna. Akcja rozpływa się w epizodach, zbytnio się intelektualizuje, poszczególne postacie przeżywają swe skomplikowane konflikty wewnętrzne (często aż patologiczne), podczas gdy za oknami, na polu bitwy, nie dzieje się nic. Tu aparatura dźwiękowa nie wystarczy.

Stefan Treugutt

NA WIDNOKRĘGU

WASZYNGTOŃSKA WIZYTA CHURCHILLA

W pierwszych dniach stycznia br. przybył do USA w celu przeprowadzenia rozmów z Trumanem i przedstawicielami administracji waszyngtońskiej, Winston Churchill.

Przywódca brytyjskich konserwatystów, a zarazem duchowy wódz całego obozu wojennego, z chwilą ponownego dojścia do władzy postawił przed sobą jako jedno z pierwszych zadań naprawienie stosunków w obozie imperialistycznym, którego zwartość uległa poważnemu zagrożeniu w wyniku rozsadzających go sprzeczności. Reklamowany z wielkim hałasem sojusz anglo-amerykański nie stanowi, jak wiadomo, dla Waszyngtonu przeszkód w podkopywaniu, gdzie tylko się da, pozycji brytyjskich i w stopniowym zajmowaniu ich dla siebie. Zupełne niemal wyeliminowanie przez monopole amerykańskie wpływów gospodarczych i politycznych Wielkiej Brytanii w Niemczech zachodnich, wyparcie Brytyjczyków z ich tradycyjnych rynków

zbytu w Ameryce Południowej i Azji, próby zdyskontowania na swój rachunek brytyjskich trudności na Bliskim i Środkowym Wschodzie, wreszcie wydzieranie przemysłowi brytyjskiemu przez amerykańskie monopole podstawowych surowców, oto najbardziej znamienne objawy anglo-amerykańskich sprzeczności. Jedyną wspólną płaszczyzną imperializmu amerykańskiego i brytyjskiego jest pragnienie pokonania państwa radzieckiego, a wraz z nim całego obozu socjalistycznego — pragnienie dorwania się do tych bogactw naturalnych i rezerw ludzkich, które wypadły z orbity kapitalizmu i zmniejszyły jego bazę eksploatacyjną. W imieniu tego wspólnego celu Churchill miał nadzieję dojść do porozumienia z Trumanem w dziedzinach, w których „współpraca" anglo-amerykańska zbyt wyraźnie przypomina przysłowiową współpracę konia z jeźdźcem, a niejednokrotnie zamienia się w zupełnie wyraźny konflikt.

Pierwszym i podstawowym celem wizyty Churchilla było wytargowanie dla Wielkiej Brytanii stanowiska pełnoprawnego partnera Waszyngtonu. Jak pisał *Times*, „...Nie chodzi tutaj o uzyskanie od USA nowych koncesji... ale o odrodzenie w nowej formie stosunków, które pozwalały w czasie ostatniej wojny podejmować wspólne decyzje. Aby do tego doszło, USA muszą uznać Brytyjską Wspólnotę Narodów za niezależny czynnik w polityce światowej i nie powinny uważać jej za twór zależny od siebie".

Realizacja wymienionych postulatów miała według koncepcji Churchilla przyjąć konkretnie formę reorganizacji atlantyckiej wspólnoty w kierunku utworzenia anglo-amerykańskiego dyrektoriatu na zasadzie pełnego równouprawnienia obu państw. Niezależnie od tego Wielka Brytania miałaby mieć zagwarantowane prawo współdecyzji we wszystkich ważniejszych posunięciach polityczno-strategicznych Waszyngtonu. Chodziło tu między innymi o prawo współdecyzji Londynu przy ewentualnym wykorzystaniu do ataków atomowych przez bombowce amerykańskie baz na terenie Wielkiej Brytanii oraz przy ewentualnym rozszerzeniu wojny na Dalekim Wschodzie. Z powyższym wiązał się pośrednio postulat Churchilla udostępnienia Wielkiej Brytanii amerykańskich zdobyczy w dziedzinie atomowej.

Dalszym zadaniem, jakie postawił przed sobą Churchill, wyjeżdżając do USA, było uzyskanie od USA poparcia w ratowaniu zagrożonych pozycji brytyjskich na Bliskim i Środkowym Wschodzie, przede wszystkim w Egipcie i w Persji. Ważnym zadaniem było również uzyskanie dodatkowej gospodarczej pomocy amerykańskiej, która by umożliwiła realizację brytyjskiego programu zbrojeniowego. Pomoc ta miała przyjąć przede wszystkim formę dostaw surowcowych dla brytyjskiego przemysłu zbrojeniowego, co zmniejszyłoby radykalnie nacisk na brytyjskie rezerwy dewizowe topniejące w zastraszającym tempie wskutek wzrostu cen importowych. W ostatnim kwartale ub. r. odpływ rezerw złoto-dolarowych całej strefy szterlingowej wyniósł ponad 168 milionów Ł. i w konsekwencji rezerwy te spadły po raz pierwszy od wiosny 1950 r. poniżej 1 miliarda Ł.

Tematem, który przed wyjazdem Churchilla omawiany był nader szeroko jako mający wejść na porządek dzienny obrad waszyngtońskich, był domniemany projekt brytyjskiego premiera spotkania się ze Stalinem. W miarę zbliżania się rozmów Truman—Churchill i później w czasie ich trwania komentarze prasowe na ten temat stawały się coraz rzadsze i w końcu zupełnie ucichły. Pozwala się to domyślać, że wzmiankowane pogłoski były w znacz-

nym stopniu inspirowane przez brytyjskie koła konserwatywne, które w ten sposób chciały wykazać wobec brytyjskiego społeczeństwa swe rzekomo pokojowe zamiary. Dla partii konserwatywnej było to szczególnie pożądane w okresie powyborczym, gdy w pamięci społeczeństwa żywo tkwiły hasła przeciwników Churchilla piętnujące go jako podżegacza wojennego.

Cele, jakie postawił przed sobą Churchill wybierając się do USA, były — jak widać — niemałe i na pomyślne zrealizowanie wszystkich z nich trudno było liczyć. Z faktu tego Churchill zdawał sobie dobrze sprawę i dlatego też na wszelki wypadek zapowiadał, że nie należy spodziewać się po rozmowach z Trumanem „nadzwyczajnych i efektownych rezultatów". Tego rodzaju ton przyjęła również większość dzienników konserwatywnych.

Wielkich nadziei na spełnienie brytyjskich postulatów nie dawała ze swej strony również prasa amerykańska. Organ finansiery amerykańskiej *Wall Street Journal* pisał w przededniu przybycia Churchilla do USA, że „dyplomacja Churchilla wystawiona będzie w Waszyngtonie na ciężką próbę, gdyż doradcy prezydenta Trumana skłonni są odrzucić większość oczekiwanych propozycji premiera". Niezbyt zachęcająco brzmiały też zapewnienia pisma *Globe Demokrat*, że „londyńskie obawy, iż rząd amerykański chwyci Churchilla za gardło, są równie fałszywe jak amerykańskie podejrzenia, iż reprezentujący Wielką Brytanię mąż stanu skoncentruje się na wymuszaniu nowych, dyplomatycznych i gospodarczych koncesji od USA". Wywody tego rodzaju stanowiły wyraźną zapowiedź, że rozmowy waszyngtońskie odbędą się w atmosferze wzajemnych przetargów i szantaży.

W dniu 9 stycznia ogłoszony został w Waszyngtonie oficjalny komunikat, podsumowujący wyniki pierwszej — zasadniczej — części rozmów Trumana z Churchillem. Druga część rozmów nastąpiła po kilkudniowej przerwie spowodowanej wyjazdem Churchilla do Kanady. Dotyczyła ona w zasadzie szczegółów tych zagadnień, które omówione zostały już poprzednio i nie przyniosła w zasadzie nic nowego. Wzmiankowany wyżej komunikat można więc uznać za obejmujący całość przeprowadzonych w Waszyngtonie rozmów.

Po zapewnieniu, że rozmowy waszyngtońskie odbyły się „w atmosferze wzajemnej przyjaźni, porozumienia i zaufania" komunikat „potwierdza porozumienie", iż wykorzystanie amerykańskich baz w Wielkiej Brytanii przez samoloty amerykańskie „będzie przedmiotem wspólnej decyzji". Z kolei następuje zapewnienie, że „oba rządy będą nadal udzielać pełnego poparcia wysiłkom czynionym aktualnie dla stworzenia europejskiej wspólnoty obronnej", przy czym podkreślony zostaje udział Niemiec w tejże „wspólnocie". Dalej komunikat mówi o „pełnej identyczności celów obu krajów w rejonie Bliskiego Wschodu" i wyraża wiarę w powodzenie „inicjatywy Banku Międzynarodowego w sprawie Persji". Dłuższy ustęp poświęcony został zagadnieniom Dalekiego Wschodu, co do których miano również osiągnąć „daleko idące sharmonizowanie poglądów, aczkolwiek istnieją nadal pewne rozbieżności, np. w polityce wobec Chin". Komunikat przechodzi wreszcie do sprawy pomocy gospodarczej dla Wielkiej Brytanii, stwierdzając, że „rozpatrzono, w jaki sposób oba kraje mogłyby sobie najlepiej pomóc". W kwestii dowództwa na Atlantyku komunikat głosi, że problem ten „jest nadal dyskutowany".

Tyle urzędowy, utrzymany w oficjalnym tonie, komunikat. Bliższa analiza optymistyczno-urzędowych sformułowań wykazuje, że przypuszczenia na

temat wzajemnych targów w trakcie rozmów waszyngtońskich były w pełni usprawiedliwione. Churchill uzyskał w praktyce tylko znikomą część tego, czego żądał, a pewne zbliżenie poglądów co do niektórych punktów było wynikiem wyłącznie ustępstw z jego strony. Agencja *France Presse* w komentarzu do cytowanego komunikatu pisała: „Powstaje bezwzględnie wrażenie, iż żadne z państw nie zmieniło swego stanowiska w jakiejkolwiek kwestii będącej przedmiotem sporów".

Właściwie konkretne porozumienie osiągnięte zostało jedynie w sprawie pomocy dla Wielkiej Brytanii w postaci dostaw surowców, z tym jednak, że komunikat mówi wyraźnie o „wzajemnej pomocy", co sugeruje, iż pomoc ta nie będzie darmowa. Wielka Brytania będzie musiała zapłacić za nią tymi surowcami, którymi dysponuje dotychczas w dostatecznej ilości, a więc przede wszystkim cyną i kauczukiem. Komunikat nie mówi natomiast nic o uzgodnieniu współpracy między Londynem i Waszyngtonem w dziedzinie atomowej i o reorganizacji paktu atlantyckiego w kierunku przyznania w nim większego głosu Londynowi, zaś w tak zasadniczych kwestiach jak polityka na Bliskim i Dalekim Wschodzie ogranicza się do ogólnikowych sformułowań. Wzmianka o „inicjatywie Banku Międzynarodowego w Persji" nie wróży Wielkiej Brytanii nic dobrego, gdyż powszechnie wiadomo, że Bank ten jest agenturą kapitału amerykańskiego. Część komunikatu dotycząca baz amerykańskich w Wielkiej Brytanii potwierdza jedynie ważność istniejącego już poprzednio porozumienia w sprawie „współdecyzji" Londynu co do wykorzystania tych baz, które to porozumienie uznawane jest w Wielkiej Brytanii za nader mgliste. W kwestii dowództwa na Atlantyku, omawianej jeszcze później, już po wydaniu wzmiankowanego komunikatu, Churchill ostatecznie ustąpił i zgodził się na nominację admirała amerykańskiego na głównodowodzącego floty na obszarze Atlantyku.

Jeszcze w trakcie trwania rozmów Churchilla z Trumanem prasa zachodnia poświęcała szczególnie dużo uwagi zagadnieniom Dalekiego Wschodu. Jest to zupełnie zrozumiałe, jeśli wziąć pod uwagę, że właśnie na Dalekim Wschodzie znajdują się główne źródła surowcowe obozu atlantyckiego, że w Indochinach i na Malajach imperializm toczy wojnę przeciwko domagającym się wolności narodom i że w Korei USA zaangażowane są w zbrojnej agresji. Daleki Wschód jest też jednym z tych rejonów, w których sprzeczności anglo-amerykańskie uległy ostatnio znacznemu zaostrzeniu.

Nie ulega wątpliwości, że zagadnienia polityki Waszyngtonu i Londynu na Dalekim Wschodzie stanowiły jeden z zasadniczych punktów rozmów waszyngtońskich i że sformułowania oficjalnego komunikatu na ten temat odkrywają tylko bardzo drobną część istotnego stanu rzeczy. Dużo bardziej mówiące są natomiast takie fakty, jak zorganizowanie w Waszyngtonie pod koniec rozmów Truman—Churchill konferencji sztabowców amerykańskich, brytyjskich i francuskich, poświęconej sprawom Dalekiego Wschodu oraz oświadczenie złożone przez Churchilla w czasie przemówienia w Kongresie Amerykańskim.

Obrady sztabowców otoczone były ścisłą tajemnicą i żaden oficjalny komunikat na temat ich przebiegu nie został wydany. Niemniej jednak cała prasa zachodnia stwierdzała zgodnie, że konferencja poświęcona była zagadnieniom „harmonizacji" akcji wojskowej trzech uczestniczących krajów w rejonie Dalekiego Wschodu.

Przemówienie Churchilla w Kongresie zawierało natomiast znamienny ustęp, w którym brytyjski premier za-

powiedział „szybką, potężną i skuteczną“ akcję anglo-amerykańską w wypadku „zerwania“ przez Chiny Ludowe ewentualnego zawieszenia broni na Korei.

Oświadczenie Churchilla i obrady sztabowców w Waszyngtonie zbiegły się w czasie z doniesieniami o ożywieniu działalności oddziałów kuomintangowskich u południowo-zachodnich granic Chin i z drugiej strony z wielką kampanią prasy zachodniej na temat „zagrożenia Indochin przez chińskich komunistów“.

Wszystko to pozwalało się domyślać, że USA przystępują do montowania planów rozszerzenia agresji na Dalekim Wschodzie i chciałyby pozyskać dla ich realizacji pełne poparcie Francji, a przede wszystkim Wielkiej Brytanii. Kampania na temat rzekomego zagrożenia Indochin przez Chiny Ludowe stanowi dla Waszyngtonu narzędzie całkowitego przecięcia wszelkich anglo-francuskich spekulacji na temat ewentualnego porozumienia z Pekinem i środek wymuszenia na Londynie i Paryżu większego wysiłku wojennego w Azji południowo-wschodniej. Podział ról miałby przy tym wyglądać w ten sposób, że Amerykanie kontynuowaliby akcję na Korei, a Anglicy, Francuzi i kuomintangowcy działaliby w Azji południowo-wschodniej, przy czym ogólne kierownictwo należałoby oczywiście do Waszyngtonu. Rozszerzenie akcji wojennej posłużyć by miało jednocześnie za „usprawiedliwienie“ ataku lotniczego na terytorium Chin.

Dla Francuzów pogłoski o „zagrożeniu“ Indochin mają nieco inne znaczenie. Paryż pragnąłby przy ich pomocy udowodnić Waszyngtonowi konieczność zwiększenia pomocy amerykańskiej dla korpusu francuskiego w Vietnamie i w ten sposób doprowadzić do „honorowego“ pokoju z wojskami Vietminhu, a być może, i do rokowań z Pekinem „ze stanowiska siły“. Francuzi, podobnie zresztą jak i Anglicy, zdają sobie sprawę, że realizacja tego rodzaju zamiarów, tj. wzmocnienia ich pozycji w Indochinach i na Malajach przy jednoczesnym pozostawieniu sobie furtki do rokowań z Pekinem, mogłaby być brana pod uwagę jedynie po zakończeniu wojny na Korei. Na tym tle musiały niewątpliwie zaznaczyć się różnice zdań między uczestnikami konferencji sztabowców w Waszyngtonie, o czym zdaje się świadczyć wcześniejsze niż początkowo zamierzano zakończenie rozmów — prawdopodobnie bez konkretnego wyniku.

O ile jednak prasa zachodnia skłonna była przypuszczać, że rozmowy sztabowców nie dały, przynajmniej na razie, pozytywnych rezultatów co do uzgodnienia wspólnej strategii, o tyle oświadczenie złożone przez Churchilla w Kongresie wywołało falę spekulacji na temat zobowiązań podjętych przez brytyjskiego premiera w Waszyngtonie. Szczególnie głośną wrzawę podniosła prasa labourzystowska oskarżając Churchilla o podejmowanie tajnych zobowiązań i uleganie koncepcjom Mac Arthura zbombardowania Chin. Zaniepokojenie przywódców labourzystowskich nie miało oczywiście wiele wspólnego z prawdziwym pragnieniem pokoju, a podyktowane było po prostu obawą przed beznadziejnym uwikłaniem się w wojnę z Chinami i rozproszeniem przez to sił mobilizowanych do walki z ZSRR.

Natychmiast po powrocie z Waszyngtonu do Londynu, Churchill zmuszony został do złożenia w Izbie Gmin „wyjaśnień“ w sprawie domniemanych zobowiązań podjętych wobec Trumana. Okazało się jednak, że złożone przez premiera „wyjaśnienia“ właściwie nie wiele wyjaśniły. Tak więc np. *Daily Herald* pisał, że „pewne kwestie zostały wyjaśnione dzięki zapewnieniu

ze strony premiera, że nie podjął w Waszyngtonie żadnych nowych zobowiązań w kwestii rozszerzenia wojny na Korei. Jednakże, czy niezdecydowany ton, w jakim zostało to wypowiedziane potrafi naprawić wyrządzone już zło?" Inny dziennik brytyjski — *Scotsman* wskazywał ze swej strony, że Churchill nie poruszył w ogóle kwestii, jaka akcja zostałaby podjęta w wypadku zerwania aktualnie toczących się rozmów w sprawie zawieszenia broni na Korei. Najbardziej trafna wydaje się ocena „wyjaśnień" Churchilla zamieszczona przez amerykański *N. Y. Times*. Dziennik określił mianowicie brytyjskiego premiera jako „dobrego kupca, który w różny sposób zachwala ten sam towar dla różnych klientów", co było aluzją do sprzecznych oświadczeń premiera złożonych w Kongresie USA i w brytyjskiej Izbie Gmin.

Niewątpliwie Churchillowi nie udało się uzyskać wzmocnienia pozycji Wielkiej Brytanii w obozie imperialistycznym, a na wielu odcinkach pozycja ta uległa dalszemu osłabieniu na korzyść USA. Czy można wobec tego mówić, że w Waszyngtonie Churchill dostosował się do polityki USA. Wydaje się, iż teza taka byłaby niesłuszna, ponieważ brytyjski premier będąc sam zwolennikiem imperialistycznej agresji nie potrzebował dostosowywać się w tym względzie do poglądów Waszyngtonu. Z drugiej jednak strony zgodność co do zasady agresji i ustępstwa Churchilla na poszczególnych odcinkach bynajmniej nie oznaczają likwidacji anglo-amerykańskich sprzeczności. Mimo zapewnień komunikatu o „pełnej identyczności celów" obu państw na Bliskim i Środkowym Wschodzie rywalizacja na tym odcinku nie ustała ani na chwilę. Utrzymują się nadal tarcia co do podziału kierowniczych stanowisk w organizacji atlantyckiej i co do formy „europejskiej wspólnoty obronnej". Na Dalekim Wschodzie natomiast sprzeczności anglo-amerykańskie rosną stale, między innymi w wyniku polityki USA wobec Japonii. Dla USA Japonia jest tylko i wyłącznie bazą militarno-gospodarczą dla agresji na kontynent azjatycki, natomiast dla Wielkiej Brytanii jest ona również groźnym konkurentem na rynkach światowych. Powstające na tym tle kontrowersje wzmacniane są dodatkowo zręczną polityką rządu japońskiego dyskontującego je na swoją korzyść.

Biorąc pod uwagę powyższe fakty należy stwierdzić, że podstawowy cel, do jakiego miały doprowadzić styczniowe rozmowy Truman — Churchill: zmniejszenie tarć anglo-amerykańskich — nie został osiągnięty. Przygotowania do imperialistycznej agresji niezależnie od tego, w której części świata miałaby ona nastąpić, odbywać się więc będą nadal wśród ostrych przeciwieństw między członkami agresywnego bloku, a przede wszystkim między USA i Wielką Brytanią. Przeciwieństwa te są konkretnym czynnikiem opóźniającym i utrudniającym realizację planów agresji.

7.II.52 **Janusz Gołębiowski**

KRYTYKA I SAMOKRYTYKA W PRACY LITERACKIEJ

Do nader istotnych zagadnień radzieckiej literatury pięknej i krytyki literackiej, teorii i historii literatury — należy sprawa bolszewickiej krytyki i samokrytyki, jednej z podstawowych zasad metody realizmu socjalistycznego.

Znaczenie krytyki i samokrytyki szczególnie wzrasta w ZSRR w obecnym etapie przejściowym od socjalizmu do komunizmu. Radziecka prasa literacka od kilku miesięcy ze szczególnym ożywieniem omawia zagadnienie krytyki i samokrytyki. Zagadnieniom tym poświęca też dużo uwagi prasa partyjna. W dwutygodniku teoretycznym KC WKP(b) Bolszewik

Nr 21/51) ukazał się artykuł J. Żdanowa O krytyce i samokrytyce w pracy naukowej. Część wstępna artykułu zawiera wiele ogólnych pojęć odnoszących się również do spraw literatury pięknej i nauki o literaturze.

Autor na podstawie prac i wypowiedzi Lenina i Stalina analizuje swoiste właściwości bolszewickiej krytyki i samokrytyki pojętej jako jedna z form zastosowania w życiu metody materializmu dialektycznego. „Naukowa krytyka i samokrytyka — pisze J. Żdanow — opiera się na granitowych podwalinach filozofii marksistowsko-leninowskiej, która daje jedynie trafne rozwiązanie zagadnienia stosunku prawdy absolutnej do względnej. Filozofia marksistowsko-leninowska wskazuje, jak w niekończącym się procesie poznania — z cząstkowych, niepełnych, niecałkowicie ścisłych wiadomości i teorii rodzi się coraz pełniejsza znajomość przedmiotu" (cyt. art. str. 29).

To zdobywanie prawdy odbywa się więc etapami znaczonymi osiągnięciami częściowymi, na których bynajmniej nie kończy się praca naukowa. Krytyczne naświetlenie osiągnięć wskazuje, jaką drogą mają kroczyć dalsze badania. Marksistowska krytyka ma więc charakter twórczy. „Lenin i Stalin — pisze J. Żdanow — dali wspaniałe wzory rozwijania teorii marksistowskiej na podstawie przestudiowania nowych faktów życia społecznego, na podstawie uogólnienia dorobku walki proletariatu o zbudowanie społeczeństwa socjalistycznego" (cyt j. w. str. 30).

W dalszym ciągu swojego artykułu J. Żdanow rozwija myśl, że celem krytyki jest właśnie dążenie do wydobycia i głoszenia tego pierwiastka, dla którego i w imię którego zwalcza się skrytykowane objawy. Dlatego więc nie można pochwalać krytyki jako celu samego w sobie, nie wolno też aprobować krytyki i samokrytyki bez względu na źródła jej pochodzenia i cele, do jakich zmierza. J. Żdanow powołuje się tu na wypowiedź J. Stalina:

„Nie każda samokrytyka jest nam potrzebna. Potrzebna nam jest taka samokrytyka, która podnosi poziom kultury klasy robotniczej, rozwija jej ducha bojowego, umacnia jej wiarę w zwycięstwo, pomnaża jej siły i pomaga jej stać się prawdziwym gospodarzem" (J. Stalin, Dzieła. Przeciw wulgaryzacji hasła samokrytyki. W-wa, 1951, str. 141).

Do wywodów J. Żdanowa nawiązała M. Szaginian w ciekawym artykule O krytyce i samokrytyce w pracy literackiej (Litieraturnaja Gazieta Nr 6 z 12.1. br.). Wybitna pisarka zastanawia się nad tym, dlaczego jeszcze do dziś niektórzy pisarze uważają krytykę i samokrytykę za rzecz nieprzyjemną, a nie za zjawisko naturalne, organicznie związane z literackim procesem twórczym. Szaginian dochodzi do wniosku że źródłem niepzyjaznego stosunku do krytyki są przeżytki kapitalistycznego pojmowania utworu jako nienaruszalnej własności prywatnej.

Zdaniem Szaginian powodem takiej niechęci autora do krytyki np. ze strony redakcji czasopisma lub wydawnictwa — często bywa po prostu obawa przed trudnościami twórczymi, przed nową pracą nad poprawieniem czy przerobieniem skrytykowanego utworu. Krytyka drażni tych pisarzy, którzy błędnie sądzą, że z chwilą zakończenia książki — ich praca nad nią też się skończyła.

W drodze analogii z innymi zawodami w Związku Radzieckim, z innymi dziedzinami życia, które przeszły złożoną drogę rozwojową — Szaginian

rozwija przed pisarzami działające konkretnie na gruncie literackim sprężyny bolszewickiej krytyki i samokrytyki. Tkwią one w socjalistycznym poczuciu rozszerzenia zakresu pracy literackiej podobnie jak każdej pracy socjalistycznej.

Obecnie w okresie budowy komunizmu robotnik-stachanowiec coraz bardziej poczuwa się do odpowiedzialności nie tylko za swoją pracę, za autorstwo dzieła na swoim odcinku produkcji, lecz także za wszystkie operacje poprzedzające i następcze, gdyż pojmuje on wszystkie etapy produkcyjne od początku do końca zespołowo. To samo zjawisko obserwujemy w pracy kołchoźnika wybiegającego wzrokiem daleko w przyszłość.

A jak przedstawia się ta sprawa na odcinku pracy literackiej? — zapytuje Szaginian.

Od pierwszego okresu po Rewolucji, kiedy pisarze młodej Republiki Rad walczyli o nowego czytelnika, kiedy nakłady książek były jeszcze niewielkie, kiedy wymagania wydawnictw i krytyki były skromne i umiarkowane — upłynęły przeszło 34 lata. W tym okresie — wywodzi Szaginian — „...książka radziecka zdobyła miliony, dziesiątki milionów czytelników w kraju, setki milionów, jeśli wziąć pod uwagę Chiny i kraje demokracji ludowej. Z naszych książek uczą się budowania socjalizmu. Stały się one potężnym orężem propagandy nowego świata".

Lecz miliony czytelników — to nie bierni odbiorcy literatury radzieckiej — czytelnicy ci — budowniczowie opisywanego przez pisarzy radzieckich życia — pragną uczestniczyć w literackim procesie twórczym, pragną zbliżyć utwory literackie do życia, do prawdy, do swoich marzeń i uczuć, myśli i doświadczeń. To pragnienie pobudza ich do zabierania głosu w sprawie książek, do wskazywania autorom na braki, błędy i niedociągnięcia — a także do wyrażenia swojego zadowolenia lub zachwytu — do żywego udziału w licznych konferencjach czytelniczych, dyskusjach literackich itp. Stąd, tak olbrzymia ilość uwag, spotrzeżeń, rad i życzeń czytelniczych kierowanych pod adresem pisarzy, redakcji czasopism, wydawnictw.

„Naród — wywodzi Szaginian — pomaga nam pojąć, obrazuje nam to następcze oddziaływanie twórcze książki, które występuje po zakończeniu naszej pracy nad nią".

Ale właśnie to rozwinięcie wszerz i w głąb twórczego oddziaływania pisarskiego przesuwa moment zakończenia utworu, oddala go.

Praca nad książką nabiera cech zespołowych, nie kończy się bowiem bynajmniej z chwilą postawienia przez autora ostatniej kropki w rękopisie. „Jeśli należycie zrozumie się zwiększony zakres pracy — pisze Szaginian — obejmujący swoim kręgiem zarówno pełne cierpliwości, a żywe i twórcze poprawianie tekstu z redaktorem, jak i uważne wsłuchiwanie się w głosy w dyskusji podczas publicznego omawiania utworu, czy rejestrowanie uwag recenzentów — wówczas takie szeroko pojęte, nowe wyczucie zakresu pracy nad tworzoną książką, skojarzone z własnym sądem autora o niej — gwałtownie zmodyfikuje reakcję pisarza na krytykę, a także opór stawiany adiustacji redakcyjnej".

Właśnie w tej dobrej woli i umiejętności wyczucia i ujęcia wszystkich pozytywnych opinii o książce, właśnie w zdolności i umiejętności uchwycenia i twórczego przetworzenia krytycznych uwag zawodowych recenzentów i mas czytelniczych — wyraża się indywidualność twórczego oblicza pisarza. W sztuce poprawiania, a nawet przerobienia swojego

utworu — jeśli zachodzi tego potrzeba — realizuje się w pełni talent pisarski autora, jego doświadczenie i smak artystyczny. Jako przykład przytacza Szaginian postawę Gorkiego wobec własnych utworów, jego surowe wymagania twórcze. Niemal przez całe życie autor dramatu Na dnie nosił się z zamiarem przerobienia postaci tej sztuki, Łuki. Pod koniec życia Gorki jeszcze raz do tego powrócił i pracował nad scenariuszem o ludziach z domu noclegowego.

O znaczeniu bolszewickiej krytyki i samokrytyki w literaturze i krytyce literackiej wiele ciekawych uwag znajdujemy w artykule teoretycznym A. Miasnikowa O zasadniczych właściwościach realizmu socjalistycznego zamieszczonym w Nrze 24/51 Bolszewika. Ważnym zagadnieniem — pod kątem urzeczywistnienia zasad realizmu socjalistycznego — jest właśnie stosowanie krytyki, osiągnięcie przez krytyków literackich sztuki właściwej oceny błędów i braków recenzowanych utworów, zdobycie umiejętności selekcji i rozróżniania błędów i braków istotnych — od drobnych, błahych. Wiele cennych wskazówek znajdują pisarze i krytycy w wypowiedziach Lenina i Stalina. „Nasza partia — pisze Miasnikow — zawsze popierała twórczą krytykę i samokrytykę, ostro potępia tych, którzy nie rozumieją znaczenia krytyki i samokrytyki w naszym społeczeństwie" (cyt. art. Miasnikowa, str. 29). Miasnikow zwrócił szczególną uwagę na doniosłą dla pisarzy i krytyków rolę wychowawczą krytyki i samokrytyki. „Zasadnicza i jednocześnie bardzo oględna, życzliwa krytyka zawsze sprzyjała i sprzyja rozwojowi pisarzy radzieckich" — kończy Miasnikow swoje wywody o krytyce i samokrytyce.

Świadectwem czujności krytyki radzieckiej, czujności wpajanej przez prasę partyjną, która wiele bacznej uwagi poświęca krytyce literackiej — jest sprawa artykułu krytyka A. Gurwicza Siła pozytywnego przykładu (Nowyj Mir Nr 9/51). A. Gurwicz należał do antypatriotycznej grupy krytyków teatralnych zdemaskowanej w r. 1949 po XII Plenum Zarządu Związku Pisarzy Radzieckich, toteż jego nowa praca wywołała duże zainteresowanie. Jest to próba krytyczno-syntetycznego omówienia postaci pozytywnego bohatera w prozie radzieckiej. Wkrótce po ukazaniu się artykułu Gurwicza — w radzieckiej prasie, w organizacjach literackich rozpoczęła się dyskusja nad jego w zupełności błędnymi wywodami. Pierwsza ostro zareagowała Prawda w artykule redakcyjnym Przeciwko nawrotom antypatriotycznych poglądów w krytyce literackiej w numerze z 28.X ub. r.). Na tym miejscu trudno omówić szerzej zarzuty postawione autorowi Siły pozytywnego przykładu. Ujęte w kilka zdań streszczają się one do następującego wywodu: Wychodząc z założeń błędnych, obcych metodzie realizmu socjalistycznego i marksistowsko-leninowskiej krytyce — Gurwicz wysunął błędne, antypatriotyczne tezy historyczno-literackie dewaluujące wartość i znaczenie rosyjskiej klasycznej spuścizny literackiej, postępowych tradycji literackich w dziedzinie stworzenia postaci pozytywnego bohatera. Wadliwa pod każdym względem okazała się również próba znalezienia dróg kształtowania się postaci pozytywnego bohatera w literaturze radzieckiej. Artykuł redakcyjny Prawdy wezwał pisarzy i krytyków do większej czujności i krytycyzmu wobec prób przemycania do krytyki literackiej obcych, antypatriotycznych poglądów.

Omawiając sprawę poruszoną w

wspomnianym artykule Prawdy autor artykułu wstępnego w Nrze 129 (z 30.X. ub. r.) Litieraturnej Gaziety pt. Nasz stale działający oręż pisze, że umiejętne posługiwanie się orężem bolszewickiej krytyki wymaga dużego umiaru. Stępia ten oręż zarówno bezkrytyczne wychwalanie utworu jak i ostre, napastliwe „zjeżdżanie". „W atmosferze wychwalania, bezkrytycznego stosunku do pracy pisarskiej — czytamy w omawianym artykule Litieraturnej Gaziety — nie napotykając należnego sprzeciwu zakorzeniają się błędy ideowo-artystyczne" Z drugiej jednak strony — „...nie pomagają, lecz szkodzą sprawie ujawniające się niekiedy w krytyce tendencje do „zdruzgotania", zamiast tego, by cierpliwie i uważnie wyjaśnić błędy i braki, by pomóc pisarzowi w ich zwalczaniu. Pisarze i krytycy muszą pamiętać, że „...bolszewicka krytyka odznacza się otwartością, uczciwością i ideowością. Nawet najbardziej bezpośrednia i ostra krytyka zawsze ma na celu pomożenie pisarzowi radzieckiemu, pomożenie jego rozwojowi i wzrastaniu.

W omówionym wyżej artykule O krytyce i samokrytyce w pracy literackiej Szaginian pisała o zbytnim przeczuleniu niektórych pisarzy na punkcie krytyki, o ich niechęci do adiustacji redakcyjnej, która jest ważnym etapem pracy nad książką właśnie pod kątem rozwijania krytyki i samokrytyki w pracy literackiej.

Zagadnienie właściwej pracy redakcyjno-wydawniczej podjęła w styczniu br. Prawda w artykule W. Ozierowa i N. Czukanowa pt. O pracę twórczą nad stworzeniem nowej książki (w numerze z 9.I. br.). Autorzy omówili krytycznie pracę redakcyjną w wydawnictwie Sowietskij Pisatiel. Po wyliczeniu dużych osiągnięć wydawniczych tej instytucji w roku ubiegłym — autorzy artykułu wymienili kilka nieudanych pozycji wydawniczych i doszli do wniosku, że ich niski poziom artystyczny jest najczęściej wynikiem zbytniego pośpiechu autorów, którzy niekiedy oddają wydawnictwu utwory nie wykończone. W takich wypadkach wiele zależy od bezkompromisowej krytyki ze strony redaktora wydawnictwa.

„Pracę redakcyjno-wydawniczą — czytamy w artykule Ozierowa i Czukanowa — trzeba tak zorganizować, żeby autorom pomóc w wydobyciu i rozwinięciu walorów artystycznych, tak by książka stała się mocniejsza, wyrazistsza, wymowniejsza". Najskuteczniejszą pomoc okazują autorowi — wymagający recenzent wydawnictwa, wymagający i bezkompromisowy, lecz życzliwy redaktor i adiustator. Autor książki i wszyscy pracujący nad nią — powinni kierować się zasadami bolszewickiej krytyki i samokrytyki.

Przykładem tego, jak należy pojmować bolszewicką krytykę i samokrytykę, służyć mogą wypadki całkowitego przerabiania, uzupełniania skrytykowanych utworów. Wybitny pisarz radziecki starszego pokolenia, Aleksander Fadiejew, po kilkuletniej pracy wydał niedawno nowy, uzupełniony i przerobiony wariant Młodej Gwardii; powieści, która obiegła już cały świat i zdobyła miliony czytelników. W r. 1947 prasa partyjna i literacka wysoko oceniły walory tej pięknej powieści, skrytykowały jednak ostro jej poważne braki. Najważniejszy zarzut krytyków zawodowych i opinii czytelniczej dotyczył niezgodnego z prawdą życiową i historyczną przedstawienia bohaterskiej organizacji komsomolskiej Młoda Gwardia w oderwaniu od jej środowiska kierowniczego, jakim

była zakonspirowana organizacja bolszewicka i kierownictwo partyjne w okupowanym Krasnodonie. Zarzut ten wypływał z ogólniejszego zarzutu niedość pełnego i głębokiego opanowania przez Fadiejewa w pierwszym wydaniu powieści — istotnie życiowego i historycznego już materiału, na którym zbudowany jest ten ściśle dokumentarny utwór.

Fadiejew przyjął krytykę prawdziwie po bolszewicku: odpowiedział na nią twórczym zrewidowaniem własnych błędów. Pisarz na nowo przeprowadził studia w Krasnodonie, przewertował wszystkie archiwa, opracował na nowo cały materiał dokumentarny. Wynikiem tej żmudnej pracy jest nowe wydanie powieści, w którym wiele rozdziałów zostało całkowicie przerobionych względnie uzupełnionych, wiele zaś na nowo napisanych i dodanych. Jak zgodnie stwierdza radziecka prasa partyjna i literacka, nowe wydanie Młodej Gwardii jest właściwie nowym pięknym utworem, który zachował wszystkie ideowo-artystyczne walory pierwszego wydania, został jednak niepomiernie wzbogacony, pogłębiony i poszerzony. Niedawno też wyszło nowe, zupełnie przerobione wydanie powieści W. Katajewa Za władzę Rad, której pierwsze wydanie przed dwoma laty poddano surowej krytyce. Nie będę jednak mnożył tych przykładów.

Pisarze radzieccy pojmują ogromne znaczenie bolszewickiej krytyki i samokrytyki w pracy literackiej: nie szczędząc trudu i sił pracują nadal nad swoimi utworami już po ich ukazaniu się; wygładzają je, uzupełniają, poprawiają, a nawet całkiem przerabiają, jeśli żąda tego współtwórca literatury — naród.

Józef Spinc

TRUCICIELE

Zdarzyło się, że tego samego dnia, kiedy wręczono Stalinowską Nagrodę Pokoju niemieckiej pisarce Annie Seghers, amerykański komisarz Mc Cloy podpisał nową amnestię dla zbrodniarzy wojennych, odsiadujących swe wyroki — dodajmy raz jeszcze: za ludobójstwo i podżeganie do wojny — w twierdzy Landsberg, w tej samej, gdzie w 1924 roku ich patron i nauczyciel, Adolf Hitler, odbywał karę 6-miesięcznego więzienia za sławetny pucz w Monachium. Tutaj napisał też swój program narodowego-socjalizmu — Mein Kampf.

Wśród „amnestiowanych" zbrodniarzy hitlerowskich znalazł się nie przypadkiem wcale, bard Trzeciej Rzeszy, pierwsze pióro brunatnego reżimu, Hanns Johst. W weimarskiej Rzeszy, Johst uchodził niemal za grafomana, wyżywającego się w tanim patosie nacjonalistycznym. Wcześnie przyłączył się do hitlerowskiego ruchu i był autorem rozmaitych okolicznościowych szmir i piosenek dla SA i SS. Po zamordowaniu przez konkurentów jednego z berlińskich oficerów SA, sutenera Horst Wessela, Goebbels, ówczesny gauleiter Berlina, zlecił Johstowi napisanie „narodowego dramatu" o przyszłym „bohaterze" Trzeciej Rzeszy. Z tego samego cyklu powstał dramat Schlageter (rozstrzelany przez Francuzów dywersant nadreński). Taka była twórczość nadwornego poety Adolfa Hitlera. Gdy więc hitlerowcy doszli do władzy, deszcz zaszczytów spadł na głowę Johsta: został prezydentem Akademii Literatury i przewodniczącym Państwowej Izby Literackiej, dwie najwyższe godności pisarza w brunatnych Niemczech. Przepędził oczywiście wszystkich prawdziwych twórców, pozostawiając grafomanów. Później mianowany został pruskim radcą stanu i dyrektorem opery państwowej w Berlinie. Na pamiętnym parteitagu NSDAP w r. 1935

y Norymberdze, kiedy ogłoszono usta-wy rasowe, Hanns Johst otrzymał z rąk Hitlera pierwszą nagrodę państwową a swą twórczość „poetycką". Swe cre-o hitlerowskie ogłosił w książce I c h l a u b e, w której z całą żarliwością olitycznego fanatyka poparł ludobój-ze tezy Hitlera, wypowiadając świętą ojnę postępowi i demokracji.

Klęska narodowego-socjalizmu zasta-a go w jego wspaniałym pałacu nad eziorem Starnberskim, koło Mona-hium. Ponieważ był również wysokim ficerem SS, władze okupacyjne — godnie z wyrokiem norymberskim — sadziły go w obozie dla internowanych S-mannów w Moosburgu (Bawaria). Kiedy w r. 1946 wracaliśmy z procesu orymberskiego do Berlina, któryś kolegów zaproponował, abyśmy od-wiedzili ten obóz, w którym trzymano ówczas pod strażą elitę hitlerowców. uż wtedy wiedzieliśmy, iż bandytom ym powodziło się w owych latach gło-u w Niemczech daleko lepiej, aniżeli ozostałej ludności. Otrzymywali żyw-ość przeciętnie po 2200 kalorii dzien-ie, podczas gdy w strefie francuskiej rzydziały na kartki (w sklepach nic tedy kupić nie było można), wynosiły iewiele ponad 850 kalorii.

Odnosiło się wrażenie, że internowani itlerowcy są raczej zadowoleni ze swe-o losu. Obawiali się jeszcze wtedy olności. Lękali się samosądu ludności, przede wszystkim zemsty ze strony yłych więźniów obozów koncentracyj-ych. Tutaj, w Moosburgu, pod ame-ykańską strażą mogli spokojnie grać karty, palić „Camele" i przyjmować ości. Jednym z najbardziej agresyw-ych więźniów, którego wszyscy tutaj ę bali, był wychudzony jegomość szczeciniastych włosach, w wojsko-ej bluzie. Mieszkał w osobnej celi. ficer amerykański, który nas opro-adzał po obozie, pochwalił się przed ami, że ma na swojej liście również znanego pisarza niemieckiego, który z nikim nie chce rozmawiać i jest bar-dzo „hardy". A może wam, dziennikarzom, uda się z niego coś wycisnąć? — powiedział oficer, prowadząc naszą grupkę w stronę małego baraku.

Oficer nie znał dobrze nazwiska tego pisarza. Skąd zresztą mógł wiedzieć młody chłopiec z Minneapolis o istnie-niu takiego czy innego pisarza Trzeciej Rzeszy, skoro niewiele umiał powiedzieć na temat Dreisera czy Sinclaira, że wy-mienię tylko najbardziej znanych w USA?!

W dobrze oświetlonym pokoju, peł-nym książek i czasopism, siedział zna-ny nam z fotografii — Hanns Johst: człowiek, który systematycznie zatru-wał młode pokolenie niemieckie. Johst nie był bynajmniej skłonny do wynu-rzeń. Przyjął nas chłodno, a dowiedziaw-szy się, że jesteśmy z prasy zagranicz-nej, powiedział tylko:

— Wszyscy turyści, którzy przycho-dzą do nas, jak do ogrodu zoologiczne-go, stale pytają nas, co sądzimy teraz o przyszłości Niemców i czy nie odczu-wamy skruchy względnie wyrzutów su-mienia za przeszłość... Co do mnie, mo-gę was zapewnić, że nie odczuwam żad-nej skruchy ani żalu i że nadal wierzę w Hitlera... Jestem całym sercem, tak jak byłem poprzednio, związany z na-rodowym-socjalizmem. Nie będę prosił o przebaczenie i mogę tutaj, w Moos-burgu, dokonać żywota. Po śmierci „wo-dza" nic nie jest w stanie mnie pocie-szyć...

Po czym zamilkł i nic nie mogło skło-nić go do dalszych wynurzeń.

Było to więc nowe „credo" hitlerow-ca Johsta wobec prasy zagranicznej i to w chwili, kiedy tylu wyznawców NSDAP dobrowolnie odchodziło od ży-cia lub pragnęło je ratować za wszelką cenę. Johst pozostał zagorzałym hitle-rowcem.

Hanns Johst cierpliwie czekał na

„swój czas" i doczekał się go. Po przemysłowcach i bankierach, przyszła kolej na generałów. Po generałach, którzy potrzebni są amerykańskiemu sztabowi, przyszła kolej na „ideologów". I dlatego na Boże Narodzenie 1951 roku opuścił swą więzienną samotnię również i Hanns Johst. W toczącej się obecnie wojnie psychologicznej nie można rezygnować z doświadczeń człowieka, którego poważał i cenił taki as propagandy wojennej jak Goebbels.

Johst nie prosił o amnestię. Wypuszczono go, ponieważ jest potrzebny neofaszystom z Bonn. W tece swej ma zapewne nowe „dramaty narodowe" i ponure pieśni zagrzewające do zemsty i odwetu. I nie będzie osamotniony. Czeka na niego już dawne towarzystwo, starzy przyjaciele. I stary Hans Grimm (V o l k o h n e R a u m) i Will Vesper, twórca hymnów dla SS, i E. E. Dwinger — zaciekły rewizjonista i wróg Związku Radzieckiego, który nie od dziś nawołuje do wyprawy krzyżowej przeciwko „płonącemu wschodowi".

No i oczywiście jego stary druch — Ernst Jünger. Ale o nim osobno.

*

Ernst Jünger, do 1923 roku zawodowy oficer, brał udział w obu wojnach światowych. Napisał dwie książki — ewangelie rewanżu i pruskiego apostolstwa: I n S t a h l g e w i t t e r n — w której idealizował wojnę jako biologiczną konieczność, a która stała się później niemal brewiarzem powojennego pokolenia młodych reakcjonistów; S t r a h l u n g e n — cztery pamiętniki z kampanii we Francji i na Kaukazie oraz dwie rozprawy o kampanii hitlerowskiej, które sam nazwał „swoim duchowym wkładem do drugiej wojny światowej". W r. 1931 wydał książkę, która uczyniła go heroldem hitlerowskiej wojny, T o t a l n a m o b i l i z a c j a, termin po raz pierwszy użyty w militarystycznej literaturze niemieckiej, następnie wykorzystany w propagandzie Goebbelsa.

Młodzi militaryści pruscy wielbili Jüngera. Jego książki i opowiadania, z których znaczna część była w okresie weimarskim na indeksie, z uwagi na zbyt drastyczną apoteozę wojny odwetowej — stały się literaturą zatruwającą bezrobotną i wegetującą w powersalskich Niemczech młodzież, która jeszcze nie znała pola bitwy. Prozę Jüngera reakcyjna krytyka nazywała „heroicznym realizmem".

Ten były żołnierz legii cudzoziemskiej, junkier połabski, a następnie oficer cesarski, stał się w okresie weimarskim, a później hitlerowskim — „poetą żołnierskim rewolucyjnego nacjonalizmu", którego rewizjonistyczna teza „o totalnej mobilizacji" wcielona została w czyn przez tych, którym utorował drogę do młodzieży: przez twórców Trzeciej Rzeszy. Wierny swoim ideałom w chwili wybuchu hitlerowskiej wojny rusza znowu w pole, tym razem jako oficer sztabowy. Należy do dowództwa generała Stülpnagla w Paryżu. Jak przystało na pruskiego oficera, który mimo sojuszu z lumpenproletariatem z SA, wewnętrznie zawsze gardził plebsem, Jünger w obliczu totalnej klęski hitlerowskich Niemiec, jedyny ratunek dla upadającego reżimu widzi w usunięciu Hitlera i nawiązaniu kontaktów z nadciągającymi wojskami amerykańskimi. Przystępuje do planowanego puczu na życie Hitlera w lipcu 1944 roku. Po nieudanym zamachu i samobójstwie generała Stülpnagla, Jünger zostaje usunięty z wojska. Jego sława wśród młodych hitlerowców była zbyt wielka, aby można go było powiesić razem z innymi. Goebbels, który kierując wtedy likwidacją puczu w Berlinie, nie żąda jego głowy. Jünger wraca więc d

Ravensburgu, aby nadal snuć swoje sny o szpadzie.

Po wojnie Jünger nie tylko wznowił swoją publicystyczną działalność w dawnym stylu, ale zgromadził wokół siebie cały poczet młodych entuzjastów krucjaty przeciwko Wschodowi. Amerykanie pozwolili mu nie tylko mówić, ale i wydawać książki: wznawiać stare i pisać nowe.

Owocem powojennych rozmyślań tego wiecznego apostoła wojny była praca pt. P o k ó j. Jest to mistyczny wykład dla młodzieży niemieckiej na temat sytuacji w rozgromionych Niemczech. Początkowo „traktat" ten kolportowany był nielegalnie, wydrukowany w tajnej zecerni Hitlerjugend w Marburgu (Lahn). Później Amerykanie zezwolili na oficjalny druk. Podobnie jak w swoich książkach z pierwszej wojny światowej, kiedy Jünger starał się wmówić czytelnikom, że Niemcy nie ponoszą winy za jej wybuch, tak w traktacie P o k ó j zaprzecza jakiejkolwiek odpowiedzialności niemieckiej za zbrodnie i barbarzyństwa hitlerowskiego systemu. Przeciwnie, Jünger stara się wyjaśnić młodym Niemcom, że to inne narody zawiniły, że prowokowały, słowem, że nie może być mowy nie tylko o winie niemieckiej, ale nawet o jakimkolwiek zadośćuczynieniu krzywdy czy odszkodowaniu za hitlerowski nazd. W książce tej, wydanej w r. 1946, Jünger, jako pierwszy z pisarzy wezwał Niemców do antyradzieckiej kampanii.

Podobnie, jak Johst i Grimm, Ernst Jünger poświęcił się obecnie rehabilitacji hitleryzmu. Atmosfera moralnej demilitaryzacji, jaka panuje obecnie w zachodnich Niemczech, stwarza nie tylko odpowiedni klimat dla pogrobowców światopoglądu Alfreda Rosenberga i Goebbelsa, ale czyni z tych wytrawnych piewców rewanżu, naturalnych sojuszników anglo-amerykańskich podżegaczy do nowej wojny światowej.

*

O nihilizmie kulturalnym Trizonii świadczy następująca wiadomość, jaką znalazłem w jednym z pism zachodnioniemieckich, o chadeckim zresztą zabarwieniu:

Na konferencji okręgowych komitetów Towarzystwa Opieki nad Młodzieżą w Trizonii, która obradowała w mieście Hamm (Westfalia), jeden z referentów podał do wiadomości, że na obszarze zachodnich Niemiec 70 firm zajmuje się wyłącznie wydawaniem książek i czasopism o treści pornograficznej. W ostatnim roku łączny nakład tej „literatury" wynosił ponad milion egzemplarzy.

Wystarczy zresztą obejrzeć witryny księgarń względnie uliczne kioski, aby przekonać się naocznie, jak Niemcy zachodnie zarzucone są pornografią oraz dekadenckim kiczem i wojenną literaturą. Wpadł mi niedawno w ręce pierwszy numer powojenny (a 16-ty rok wydawnictwa) czasopisma ilustrowanego D e r F r o n t s o l d a t e r z ä h l t... (przeżycia i doświadczenia z obu wojen światowych — głosi wymowny podtytuł). Zeszyt zawiera opowiadania, nowele, opisy bitew — ogólnie biorąc apoteozę niemieckiego żołnierza. Cel jasny.

Takich wydawnictw jest wiele. Pomysłowi wydawcy dostają subwencje od rozmaitych organizacji przemysłowych, często nawet od wydziałów prasowych poszczególnych urzędów okupacyjnych, obrotniejsi — żerują po prostu na sentymentach byłych żołnierzy.

Na palcach jednej ręki można policzyć natomiast w Trizonii wydawców, którzy zajmują się publikacją wartościowej literatury. Borykają się oni stale z trudnościami, skutkiem czego starają się raczej nabywać rękopisy znanych już pisarzy albo wznawiają klasyków ze starych matryc.

Dla młodego pokolenia pisarzy i poetów istnieje mała nadzieja druku. Chyba że biorą się do reklam przemysło-

wych. Fabrykant płaci jeszcze za zręczne slogany i dwuwiersze. Ogłoszony w końcu ubiegłego roku list otwarty znanego liryka monachijskiego, K. R. Döderlina, jednego z przywódców grupy poetyckiej „50", rzucił światło na sytuację poetów, którzy piszą wiersze „sobie a muzom", w innych zawodach szukając źródła znośnego utrzymania. W liście tym pt. Czy mamy umierać za Niemcy, czy żyć dla nich? Döderlin woła: „Poezja przestaje mieć u nas rację bytu".

Podobnie dzieje się i na odcinku teatralnym.

Niemcy zachodnie już dawno nie widziały nowej sztuki niemieckiej. Cóż to za wielkie święto było dla Monachium, gdy zjechał tam teatr Brechta i Heleny Weigel z Berlina! Krytyka rozpisywała się całymi stronami. Nareszcie teatr! — wołała rozentuzjazmowana publiczność. Ale szczęście trwało krótko. Zaczęto judzić przeciwko postępowemu teatrowi, następnie odmówiono berlińskiemu zespołowi wiz pobytowych.

I znowu na scenach zachodnich miast niemieckich grywane są aż do znudzenia sztuki francuskich i amerykańskich egzystencjalistów. Ich dekadentyzm i psychiczny rozkład mają również służyć remilitaryzacji zachodnich Niemiec. Młodzież niemiecka dowiaduje się ze sztuk Sartre'a, Camusa, Tennessy Williamsa i Elliota, że nie warto żyć i że nie ma nic strasznego w zabijaniu i mordowaniu. Talent autorów oraz reżyserów czyni z tych schyłkowych obrazów niebezpieczną broń w rękach kierowników toczącej się obecnie psychologicznej wojny, drugiego aktu — „zimnej wojny" w Europie.

Nie lepiej przedstawia się sytuacja na odcinku naukowym. Często w prasie zachodniej — jak niedawno w hamburskim dzienniku Welt — można znaleźć takie tytuły: Filozofowie robią szczotki albo Profesorowie pracują jako kelnerzy lub sprzedawcy. Znany slawista sztuttgarski, prof. Walfram, otrzymał zatrudnienie w charakterze zamiatacza ulic; ceniony artysta malarz, prof. Carlo Mense, żyje z zasiłków opieki społecznej w Bonn; znakomity portrecista, prof. Friedrich z Hanoveru, który w okresie weimarskim był profesorem Akademii Sztuk Pięknych w Berlinie, odpowiedział w ankiecie jednego z dzienników niemieckich, że chętnie odstąpi swój tytuł profesorski — za 150 marek miesięcznej renty (aby przynajmniej zapłacić za komorne swej pracowni). Wielu znanych matematyków i fizyków utrzymuje się z korepetycji na mieście, nie mając czasu na studia naukowe. Na 37 tysięcy lekarzy w Trizonii — 20 tysięcy jest bez pracy. Wielu z nich — podobnie jak profesorów — przeniosło się do NRD, aby ratować swą egzystencję. W samym Lipsku mamy 12 wykładowców z zachodu. Na 472 profesorów wyższych uczelni w Bawarii — 65 procent nie może się utrzymać ze swego zawodu i dorabia przy pomocy stenografii oraz innych zajęć pomocniczych.

Opłakany stan uniwersytetów i wyższych uczelni w Niemczech zachodnich ułatwił Wall Street penetrację laboratoriów i towarzystw naukowych. Ciężką sytuację wielu uczonych wykorzystał sprytnie kapitał amerykański, przysyłając swoich misjonarzy imperializmu — rzekomych filantropów — w roli „zbawców nauki niemieckiej". Kupiono z czasem wielu profesorów a nawet uczelni — dla potrzeb remilitaryzacji. Chodziło o badania naukowe dla nowych zbrojeń. Henry Ford II przybył umyślnie do Berlina, aby ze swej szkatuły ofiarować 5,5 miliona marek na „wolny uniwersytet" zachodniego Berlina, wylęgarnię naukowych agentów amerykańskiej ideologii wojennej po-

kroju Jamesa Burnhama czy Sydney'a Hooka, którego można nazwać amerykańskim Treitschke'm (osławiony filozof wielkopruskich ideałów). Z kolei zaczęto w USA interesować się niemieckimi fizykami i chemikami, kaperując ich do Ameryki, względnie tworząc im zaciszne laboratoria wojenne w Niemczech. Zezwolono na badania atomowe, mimo że ta gałąź nauki zakazana jest wyraźnie w układzie poczdamskim.

Są milionowe środki na badania śmiercionośne, nie ma pieniędzy na badania przeciwgruźlicze, na zwalczanie raka czy produkcję dostatecznej ilości serum przeciwko wściekliźnie, która stała się wielką plagą w powojennych Niemczech zachodnich. Wracają na katedry hitlerowscy profesorowie, postępowi uczeni przymierają głodem. „Duch pruski" i korporacje panoszą się po aulach i mensach. Przy piwie „burschenschafty" grożą postępowym profesorom i studentom kapturowymi mordami. Truciciele w togach i biretach, tym razem za pieniądze amerykańskie, urządzają znowu „sądy czarownic" tam, gdzie „prawo norymberskie" zawiązało Temidzie nie tylko oczy, ale i ręce.

*

Nie przypadkiem stało się, że kiedy Anna Seghers otrzymała Stalinowską Nagrodę Pokoju, a Bertolt Brecht—nagrodę państwową NRD za swą pokojową i głęboko humanistyczną twórczość, pogrobowcy Trzeciej Rzeszy — Johst, Jünger, Veit Harlan i jak się oni tam wszyscy nazywają, wyszli ze swych nor na światło dzienne. Ich trupią bladość ogrzewa nie miłość narodu, którego synów wywlekli na pobojowiska, ale „złote" promienie Wall Street.

Truciciele młodych dusz, podobnie jak kruki, węszą bowiem padlinę na odległość.

Marian Podkowiński

STULECIE URODZIN I. L. CARAGIALE

W tym roku przypada setna rocznica urodzin wielkiego rumuńskiego pisarza I. L. Caragiale. Twórczość Caragiale'ego należy do najtrwalszych pozycji dziedzictwa rumuńskiej kultury narodowej, jest pomnikiem nieprzemijającej wartości literatury i języka.

Zasadniczym rysem tej spuścizny jest realizm, z jakim autor potrafił odtworzyć prawdę życia swej epoki, odzwierciedlić wszystkie jej antagonizmy klasowe.

Ion Luca Caragiale urodził się 30 stycznia 1852 r. cztery lata po rewolucyjnym roku 1848 i umarł dwa lata przed wybuchem pierwszej imperialistycznej wojny światowej. Sześćdziesiąt lat życia pisarza upłynęło więc w okresie tych przeobrażeń gospodarczo-społecznych, których wyznacznikiem był imperializm. Polityczna koalicja burżuazji i obszarnictwa wyciska swe piętno na obliczu społeczno-politycznym tego okresu.

Życie pisarza upływało w bardzo ciężkich warunkach. Od 17-go roku życia był zmuszony imać się najróżnorodniejszych zajęć, był suflerem, korektorem i redaktorem, profesorem i rewizorem szkolnym, dyrektorem teatru i urzędnikiem. Niedostatki i kłopoty materialne były jego udziałem.

W rumuńskiej literaturze klasycznej Caragiale jest bezlitosnym krytykiem ustroju burżuazyjno-obszarniczego. Potrafił uchwycić istotne rysy ustroju wyrażającego się przez sojusz, zawarty między rosnącym w siłę kapitałem a wielką własnością, sojusz, zwany już przez współczesnych „potwornym sojuszem". Ustrój ten był połączeniem tego, co pozostało po mrocznych czasach jarzma feudalnego i najazdu tureckiego z drapieżnością, próżnością i cynizmem burżuazji. Przenikliwość, z

jaką wielki pisarz widział tę rzeczywistość i świadomość moralnej wyższości ciemiężonego ludu — oto źródło głębokiej satyry Caragiale.

Twórczość Caragiale obejmuje wszystkie gatunki: powieść, teatr, nowele, parodie i bajki pisane wierszem i prozą. Do roku 1890 Caragiale uprawiał głównie gatunek dramatyczny. Z tego okresu pochodzą sztuki Burzliwa noc (1878), Pan Leonid twarzą w twarz z reakcją (1879), Zgubiony list (1884). Szarańcza (1890) zamyka jego twórczość na odcinku teatru. Mniej więcej z roku 1890 pochodzą dwie nowele Gromnica i Grzech o tematyce wiejskiej. Ilekroć Caragiale maluje los wyzyskiwanych — zmienia ton; sarkazm zastępuje ciepłem, groteskę — tragizmem. W latach 1890 — 1901 Caragiale pisywał przede wszystkim szkice i opowiadania. W tym okresie publikuje w czasopismach Moftul Roman i Universul cykl słynnych felietonów zatytułowanych Momenty. W ostatnim okresie życia Caragiale pisał opowiadania i bajki, zebrane i wydane w 1910 w tomie Nowe szkice.

Caragiale dotykał wszystkich bolączek ustroju, w sztukach swoich obnażał i wystawiał na pośmiewisko zarówno system politycznego ucisku i odpowiadające mu instytucje jak najbardziej reprezentacyjne postacie klasy panującej. Demaskował burżuazyjną obyczajowość, hipokryzję, bezwstydne pretensje i wrzaskliwą „demokratyczną" demagogię.

Postaci sztuk Caragiale — to charakterystyczne typy tego ustroju: przekupni politycy, prefekci ulegli i zawsze gotowi do wszelkich nadużyć, zaprzedani demagogiczni dziennikarze, nauczyciele propagujący obskurantyzm i szowinizm, kosmopolityczny światek kobiet, bezczynny i zepsuty, snujący poza plecami swoich mężów nici intryg politycznych. Nie oszczędza nikogo. Caragiale ma odwagę pokazać, że kraj znajduje się pod butem króla błazna i uciskiem dwu partii politycznych, „dwóch band", nazywających siebie pretensjonalnie „historycznymi"... „band bardziej dzikich niż barbarzyńcy, bez poszanowania prawa, bez litości dla ludzi"...

W sztuce Zgubiony list, granej niedawno na scenach polskich, maluje zakłamanie demokracji parlamentarnej, pokazuje, że wybory są farsą, obliczoną tylko na otumanienie drobnomieszczaństwa, że przedstawiciele kilku „partii" reprezentują te same interesy klas panujących, a rzekomo polityczne walki między nimi to zwykłe rozgrywki personalne. Występując jako przeciwnik obłudy i demagogii Caragiale uczy naród rozumieć, co kryje się za pompatycznymi słowami polityków.

Jakkolwiek Caragiale nie rozumiał klasowego charakteru partii „historycznych" i nigdy nie był świadomym rzecznikiem proletariatu, miał głębokie poczucie krzywdy i stał po stronie ludu, który uważał za jedynego i prawdziwego gospodarza. „W rękach ludu — pisał Caragiale — znajduje się siła, która pozwoliłaby mu później stać się całkowitym panem swego losu, co jest rzeczą słuszną i co kiedyś nastąpi".

Po krwawym stłumieniu powstania chłopskiego w roku 1907, kiedy rząd burżuazyjno-obszarniczy zniósł z powierzchni całe wsie i wymordował 11 tysięcy chłopów, oskarżenie, jakie rzuca ustrojowi w swoich utworach satyrycznych Caragiale, pogłębia się. Demaskują one „patriotyzm" burżuazji, identyfikujący interesy ojczyzny ze swoimi interesami wyzysku i ucisku, dywersję dzikiego nacjonalizmu, kosmopolityczną służalczość, z jaką burżuazja i sfery ziemiańskie naśladowały zgniliznę i

rozkład klas panujących w krajach zachodnich.

W krystalizowaniu się demokratycznych i realistycznych koncepcji Caragiale można odnaleźć wpływ zorganizowanej walki klasy robotniczej pod koniec XIX wieku. W artykule Pierwszego Maja napisanym w 1893 roku Caragiale charakteryzując formy walki ludu i udział w niej inteligencji postępowej pisze: „I jedni i drudzy walczą o nowe, jaśniejsze i uczciwsze czasy. Oni wybrali drogę organizacji i walk politycznych, my drogę ironii i zjadliwego sarkazmu, skierowanego przeciwko tym, którzy rządzą światem". Caragiale uważał, że swoją satyrą szedł po linii „niszczenia tego, co niszczyła klasa robotnicza".

Realizm Caragiale był rezultatem jego koncepcji sztuki, koncepcji bojowej i głęboko demokratycznej w swojej istocie. Realizm, według Caragiale, jest jedyną możliwą dla każdego prawdziwego pisarza metodą literacką. Uważał, że pisarz powinien poznać życie, że o życiu tym trzeba pisać z pasją, a nie tylko z zimną bezstronnością, był przeciwnikiem sztuki dla sztuki, oderwanej od narodu i wrogiej narodowi. Dlatego prowadził nieubłaganą walkę z wchodzącymi w modę dekadenckimi prądami, importowanymi z Zachodu bulwarowymi sztukami francuskimi, z fałszowaniem historii narodowej w teatrze, z symbolizmem i wszelkimi odmianami formalizmu w literaturze, impresjonizmem w malarstwie. Walczył konsekwentnie o realizm we wszystkich dziedzinach sztuki.

Dzieła Caragiale cechuje głęboka znajomość życia różnych klas i warstw społecznych, ich interesów, i sposobu myślenia, rozmawiania i zachowania się. Z uwagą śledził każdy nowy przejaw w życiu społecznym kraju i starał się zająć stanowisko wobec każdej ważnej dla narodu sprawy.

Caragiale żył i pisał w okresie, kiedy realizm krytyczny znalazł swój najwyższy wyraz w twórczości wielkich klasyków rosyjskich i zarówno społeczne satyry Gogola, którego szczególnie cenił, jak szkice i nowele Czechowa nie pozostały bez wpływu na kształtowanie się jego indywidualności pisarskiej.

Caragiale odegrał wielką rolę w rozwoju języka rumuńskiego. Sam był mistrzem słowa. Pracował nad każdym zdaniem. „Gdy formalne zdanie nie wyraża intencji autora — twierdził Caragiale — rozwiewa się jak wiatr i nic nie daje, gdyż słowa nie są celem same w sobie, lecz tylko środkiem... Artyzm wymaga, aby struktura, wymiar i proporcja zdania odpowiadała zwięzłości i czystości wyrazu". Jego słownik jest bogaty, często czerpie ze skarbnicy języka ludu. Caragiale dał wzór prozy pełnej prostoty, a mimo to zdolnej wyrazić najbogatsze odcienie uczuć i myśli przy największej oszczędności słów. Niezliczone zdania i wyrażenia wielkiego realisty przeniknęły wraz ze swym satyrycznym znaczeniem do codziennego języka. Równocześnie namiętnie bronił języka narodowego przed wszelkimi zniekształceniami kosmopolitycznymi i regionalnymi. Wyśmiewał żargon klasowy warstw uprzywilejowanych, żargon w połowie grecko-turecki, pozostałość służalczości bojarów wobec ciemiężycieli tureckich i fanariotów, i w połowie francuski jako wyraz służalczości burżuazji wobec zachodniego imperializmu; chłostał satyrą żargon w połowie zlatynizowany i w połowie zgermanizowany burżuazji siedmiogrodzkiej, będący odbiciem serwilizmu wobec austro-węgierskiego imperium Habsburgów.

Obóz reakcji i wstecznictwa odpowiedział kampanią oszczerstw i prześlado-

wań, które w końcu tak zatruły życie pisarzowi, że wyjechał do Berlina, gdzie umarł. To jednak nie wystarczyło prześladowcom. Aby zahamować rewolucyjne oddziaływanie utworów pisarza krytyka burżuazyjna starała się pomniejszyć twórczość Caragiale'go i sfałszować jej społeczny sens. Odpowiednie czynniki postarały się o to, aby sztuki Caragiale'go wystawiane były jak najrzadziej i aby naród nie miał dostępu do jego utworów. Mimo to prawdziwi bojownicy o wyzwolenie Rumunii zdawali sobie sprawę z nieprzemijających, postępowych wartości jego spuścizny. W miarę upływu czasu dzieła jego zyskiwały na aktualności i wymowie politycznej. Moralny upadek klas panujących, który doprowadził do faszyzmu i zdrady kraju, potwierdzały w świadomości mas ocenę, jaką klasom tym wystawił Caragiale.

Słuszną i głęboką cenę mogła znaleźć twórczość Caragiale dopiero w ustroju demokracji ludowej. Zgodnie ze znaczeniem, jakie nauka Lenina—Stalina przywiązuje do dziedzictwa narodowego, twórczość Caragiale wydobyta została w całej swej świetności. Caragiale stał się dostępny szerokim masom ludu rumuńskiego; w przeddzień stulecia jego urodzin łączny nakład jego dzieł osiągnął 400 tys. egzemplarzy, w ostatnich zaś latach sztuki Caragiale były wystawiane sto razy częściej niż za czasów ustroju burżuazyjno-obszarniczego. Jest to zaledwie część planu przewidzianego przez specjalnie utworzony komitet dla popularyzowania dzieł pisarza w najszerszych masach.

Dziś odkryty na nowo Caragiale stał się własnością ludu. Dzieła jego przypominają narodowi przezwyciężony już okres niewolniczej eksploatacji i pomagają nowym budowniczym socjalizmu walczyć z pozostałościami ideologii burżuazyjnej w świadomości i obyczajowości ludzi nowej Rumunii.

Dziś pisarze rumuńscy mogą uczyć się od Caragiale'go jego bojowości i umiejętności łączenia literatury z życiem, jego umiłowania twórczości ludowej, pasji i odwagi w piętnowaniu błędów, stawiania swojej twórczości najwyższych wymagań i pełnej odpowiedzialności za każdy wiersz napisany dla narodu.

Obchód stulecia urodzin wielkiego rumuńskiego krytyka realisty, który zbiegł się w tym roku z rocznicami Leonarda da Vinci, Wiktora Hugo i Mikołaja Gogola, przyczyni się do spotęgowania walki o obronę kultury i postęp ludzkości.

ab

ERRATA

W nrze 2 Twórczości w sztuce Adama Tarna „Ortega" uległy zniekształceniu 3 zdania. Podajemy je w prawidłowym brzmieniu:

str. 80, wiersz 28, FRANKLIN: ...Dla naszych trzech tysięcy ludzi Harry Franklin to zwykły urzędnik...

str. 87, wiersz 8, MARIA *(Z uśmiechem):* Wszyscy jesteśmy tacy...

str. 100, wiersz 22, MARIA: Razem pojedziecie...

KSIĄŻKI NADESŁANE

MARKSIZM — LENINIZM

I. Andrejew — Rola praktyki w procesie poznania. Przekł. z ros. Ewy Grochowskiej. Cykl: Zagadnienia teorii marksizmu-leninizmu, zeszyt 6. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 20.

W. I. Lenin — O tymczasowym rządzie rewolucyjnym. Demokratyczne zadania rewolucyjnego proletariatu. Mała biblioteczka marksizmu-leninizmu, zeszyt 9. Materiały do studiowania Historii WKP(b). „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 39 i 1 nlb.

W. I. Lenin — Rewizja programu agrarnego partii robotniczej. Mała biblioteczka marksizmu-leninizmu, zeszyt nr 17. Materiały do studiowania rozdziału trzeciego krótkiego kursu Historii WKP(b). „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 42 i 2 nlb.

List do robotników amerykańskich. Biblioteka klasyków marksizmu-leninizmu, „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 23.

K. Marks i F. Engels — Listy Wybrane. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951, Str. 687 i 2 fotografie.

Ponomariow B. N. — O dziewiątym tomie dzieł J. W. Stalina. Przekł. z ros. Czesława Dyi. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 27 i 1 nlb.

J. W. Stalin — Dzieła, wydane na mocy uchwały Centralnego Komitetu Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii (bolszewików). Wydanie polskie drukuje się na mocy uchwały KC PZPR. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Tom 6 — 1924 — str. 434 i 1 nlb.; tom 11 — 1928 — marzec 1929 — str. 394 i 1 nlb.; tom 12 — Kwiecień 1929 — czerwiec 1930 — str. 400; tom 13 — Lipiec 1930—styczeń 1934 — str. 431 i 1 nlb.

WYDANIA ZBIOROWE

Eliza Orzeszkowa — Pisma Zebrane, pod red. Juliana Krzyżanowskiego, tom XLVIII. Maria. Tekst wg wydania: Tanie zbiorowe wydanie powieści Elizy Orzeszkowej L. Lewentala, Warszawa, 1886, tom XXVII. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 163 i 4 nlb.

Bolesław Prus — Wybór Pism. Opracowanie i wstęp Henryka Markiewicza. Przypisy do „Lalki", „Emancypantek" i Publicystyki — Henryka Markiewicza; do „Faraona" — Janiny Kulczyckiej-Saloni; do „Powracającej fali" — Władysławy Wasilewskiej; do pozostałych nowel — Feliksa Przyłubskiego. Teksty beletrystyki według Pism Bolesława Prusa, Warszawa, „Książka i Wiedza", teksty publicystyki według Wyboru Kronik Bolesława Prusa, BPPiO nr 37, Warszawa, 1948. „Książka", oraz według pierwodruków. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. XXVI, 984, 2 nlb., 1 plan Warszawy z roku 1873, 7 ilustracji i 1 portret.

Stendhal (Henri Beyle) — Dzieła Wybrane, pod red. Jana Kotta, tom III. Pustelnia parmeńska, tom I i II. Przekł. i wstęp Tadeusza Boya-Żeleńskiego. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 427 i 1 nlb.

PROZA

Kato Acs — Dzieci z Kobányi. Przekł. z węg. Camilli Mondral. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 169 i 2 nlb.

Mikołaj Antonow — Pierwszy etap. Opowieść. Przekł. autoryz. z ros. Marii Rojewskiej. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1951. Str. 254 i 1 nlb.

Cezar Munoz Arconada — Nad Tagiem. Przekł. z hiszp. Zofii Szleyen. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 420 i 3 nlb.

Istvan Asztalos — Nie ma dymu bez ognia. Przekł. z węg. Adama Bahdaja. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 115 i 1 nlb.

Marian Brandys — Piotr i Maria. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 115 i 1 nlb.

Willi Bredel — Synowie. Powieść. Przekł. autoryz. z niem. Anny Linke. (II-gi tom trylogii „Krewni i znajomi", której tom I stanowią Ojcowie"; tom III na warsztacie). Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1951. Str. 437 i 1 nlb.

W. Czaczin — O towarzyszach — przyjaciołach. Przekł. z ros. Antoniego Korala. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 57 i 2 nlb.

Aleksander Czakowski — Było to w Leningradzie. Przekł. z ros. Aleksandra Jackowskiego. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 454 i 2 nlb.

Karol Dickens — Klub Pickwicka. Przełożył Włodzimierz Górski, uzupełnili Zofia i Wiktor Popławscy. Ilustr. Seymoura I'Phiza. Wydanie nowe. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1951. Tom I — str. 530 i 4 nlb., tom II — str. 498 i 4 nlb.

Genadij Fisz — Kamienny bór. Tłumaczyli z ros.: Nadzieja Drucka i inż. Maurycy O'Brien. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 379 i 2 nlb.

Sandor Gergely — Wilki i inne opowiadania. Przekł. z węg. Tadeusza Fangrata. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 197 i 3 nlb.

Aleksander Hercen — Sroka — złodziejka. Z nudów. Czyja wina? Przekł z ros. Natalii Gałczyńskiej. Przedmowa do wyd. ros. I. Nowicza. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 345 i 3 nlb.

Wiera Inber — Opowiadania o dzieciach. Przekł. z ros. Marii Kowalewskiej i Marii Serkowskiej. Ilustr. Jana Kobera. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 57 i 2 nlb.

Helena Katerli — Rodzina Stożarowych. Powieść. Przekł. autoryz. z ros. Marii Grzeszczakowej i Natalii Stasińskiej. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1951. Str. 287 i 1 nlb.

Maria Konopnicka — Mendel gdański. Oprac. Tadeusza Czapczyńskiego. Książka zatwierdzona do użytku szkolnego pismem Min. Oświaty z dnia 31. VIII. 1951 r. Nasza Biblioteka. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Wrocław, 1951. Str. 48.

Józef Ignacy Kraszewski — Ulana. Powieść poleska. Oprac. Juliusza Kijasa. Książka zatwierdzona do użytku szkolnego pismem Min. Oświaty z dnia 21. IX. 1951 r. Nasza Biblioteka. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Wrocław, 1951. Str. 119 i 1 nlb.

Jan Kurczab — Brama Brandenburska. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 203 i 1 nlb.

Jean Laffitte — Dziewczyna walczy. Przekł. z franc. Róży Czekańskiej-Heymanowej. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 346 i 2 nlb.

Mikołaj Laszko — Opiekun stada. Przekł. autoryz. z ros. Zygmunta Robakiewicza. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1951. Str. 234 i 1 nlb.

Leonid Leonow — Droga na ocean. Powieść. Przekł. autoryz. z ros. Andrzeja Stawara. Wydanie nowe. Państwowy Instytut Wydawniczy. Warszawa, 1951. Część I — str. 325 i 1 nlb, część II — str. 363 i 3 nlb.
— Szarańcza. Opowiadanie. Przekł. z ros. Andrzeja Stawara. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1951. Str. 104 i 2 nlb.

Boris Lewin — Młodzi. Przekł. z ros. Marii Kuczkowskiej. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 391 i 3 nlb.

Bożena Niemcowa — Babunia. Przekł. z czesk. Pawła Hulki-Laskowskiego. Wstęp dr M. Renaty Mayenowej. Komentarz dr Jana Trzynadlowskiego. Biblioteka Narodowa, Nr 65, seria II. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Wrocław, 1951. Str. XXXV, 321 i 3 nlb.

Aleksy Nowikow-Priboj — Cuszima. Księga I. Przekł. z ros. Władysława Broniewskiego. Wydanie nowe. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1951. Str. 415 i 1 nlb.

André Philippe — Michel Rondet. Powieść historyczna. Przekł. autoryz. z franc. Gabriela Karskiego. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1951. Str. 299 i 3 nlb.

Percz Proszjan — Dla chleba. Oryginał w jęz. ormiańskim. Przekł. z ros. Stanisława Garzteckiego. Cykl: Literatura Narodów Związku Radzieckiego. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 220 i 2 nlb.

Romain Rolland — Dusza zaczarowana, tom III — Matka i syn. Przekł. autoryz. z franc. Franciszka Mirandoli. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1951. Str. 448 i 1 nlb.

Zacharia Stancu — Bosy. Przekł. z rum. Duszy Czara-Stec i Magdaleny Samozwaniec. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 486 i 3 nlb.

Wasyl Stefanyk — Utwory wybrane. Przekł. I. Bajkowskiej, R. Czekańskiej-Heymanowej, K. Marskiej i A. Roteckiej. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 173 i 2 nlb.

Turek Svatopluk — Botostroj. Powieść. Przekł. z języka czeskiego. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 282 i 2 nlb.

Wilhelm Szewczyk — Kleszcze. Powieść. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1951. Str. 236 i 1 nlb.

Paul Tillard — Tajemniczy pan Paul czyli amatorzy czeków. Przekł. z franc. Zofii Jaremko-Pytowskiej. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 147 i 2 nlb.

Aleksy Tołstoj — Przygody. Dwa opowiadania. Przekł. z ros. Mariana Bielickiego. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1951. Str. 253 i 2 nlb.

Robert Tressall — Filantropi w łachmanach. Przekł. z ang. Wacława Serafina. Przedmowa Karola Laptera. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 389 i 3 nlb.

Iwan Turgieniew — W przededniu. Przekł. z ros. Tadeusza Stępniewskiego. Pod red. i z przypisami Pawła Hertza, „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 195, 1 nlb. i 1 fotografia.

Jan Wiktor — Wierzby nad Sekwaną, tom II. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Tom I — str. XIX i 227; tom II — str. 252.

Jules Vallès — Jakub Vingtras, t. II — Pechowa młodość. Przekł. Juliana Rogozińskiego. Przedmowa Franciszka Jourdaina. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. X. 307 i 1 lnb.

Peter Wipp — Rozstajne drogi. Przekł. z niem. Marii Wisłowskiej. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 132 i 3 nlb.

Nairi Zarjan — Acawan. Oryginał w jęz. ormiańskim. Przekł. z ros. Nadziei Druckiej. Cykl: Literatura narodów Związku Radzieckiego. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 339 i 1 nlb.

Arnold Zweig — Topór z Wandsbek. Powieść, część II. Przekł. autoryz. z niem. Edyty Sicińskiej. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1951. Str. 279 i 1 nlb.

Stefan Żeromski — Ludzie bezdomni. Powieść. Posłowie Zofii Stefanowskiej. Ilustr. Krzysztofa Henisza. Krytyczne przygotowanie tekstu przeprowadził zespół członków seminarium historii literatury polskiej U. J. pod kierownictwem prof. dra Stanisława Pigonia. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 376 i 3 nlb. 1951. Str. 115 i 2 nlb.

Krystyna Żywulska — Przeżyłam Oświęcim. Wyd. III. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1951. Str. 324 i 2 nlb.

POEZJA I DRAMAT

Antologia liryki aleksandryjskiej. Przekł., wstęp i objaśnienia dr Wiktora Steffena. Biblioteka Narodowa, Nr 64, Seria II. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Wrocław, 1951. Str. LXII, 84 i 2 nlb.

Antoni Czechow — Wiśniowy sad. Komedia w czterech aktach. Przekł. Artura Sandauera. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa.

Federico Garcia Lorca — Wiersze i dramaty. Przekł. Zofii Szleyen. Drzeworyty Marii Hiszpańskiej. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 146 i 3 nlb.

Homer — Iliada (wybór). Oprac. Jana Trzynadlowskiego. Książka zatwierdzona do użytku szkolnego pismem Min. Oświaty z dnia 27. VIII. 1951 r. Nasza Biblioteka. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Wrocław, 1951. Str. 112.

I. A. Kryłow — Bajki Wybrane. Oprac. i wstęp Seweryna Pollaka. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 224.

Sofokles — Elektra. Przekł. z greckiego Kazimierza Morawskiego. Oprac. Stefana Srebrnego. Wyd. III, zmienione. Biblioteka Narodowa Nr 9, seria II. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Wrocław, 1951 Str. L, 73 i 1 nlb.

Torkwato Tasso — Gofred albo Jeruzalem wyzwolona. Przekł. z włos. Piotra Kochanowskiego. Na podst. pierwodruku wydał, wstępem i objaśnieniami zaopatrzył Roman Pollak. Wyd. III, całkowite. Biblioteka Narodowa, Nr 4, seria II. Wydawnictwo Zakład

Narodowego im. Ossolińskich, Wrocław, 1951. Str. LI, 697 i 3 nlb.

Iwan Turgieniew — Miesiąc na wsi. Komedia w pięciu aktach. Przekł. z ros. Pawła Hertza. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1951. Str. 239 i 2 nlb.

Warszawa twoje miasto. Antologia. Zebrał i opracował Stanisław Ziembicki. Ilustr. Marii Mackiewicz. Cykl: Antologie poetyckie. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 200.

Wolter — Syn marnotrawny. Komedia w 5 aktach. Przekł. z franc. Stanisława Trembeckiego. Oprac. Jerzego Adamskiego. Biblioteka Narodowa, Nr 63, seria II. Wydawnictwo Zakładu Naukowego im. Ossolińskich, Wrocław, 1951. Str. LXVIII, 96 i 4 nlb.

Franciszek Zabłocki — Sarmatyzm. Komedia w 5 aktach. Oprac., wstęp i objaśnienia Ludwika Bernackiego. Wyd. II, przejrzane, przygotowane do druku i uzupełnione przez Tadeusza Mikulskiego. Biblioteka Narodowa, Nr 115, seria I. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Wrocław, 1951. Str. LVIII, 152 i 1 nlb.

ESSAY I KRYTYKA

Ważyk Adam — Mickiewicz i wersyfikacja narodowa. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 143 i 3 nlb.

STUDIA HISTORYCZNO-LITERACKIE

Dr Karol Józef Badecki — Z badań nad literaturą mieszczańsko-ludową XVII wieku. Frąnc, Na złą żonę, Pieśni — Tańce — Padwany. Osobne i siedmioma podobiznami uzupełnione odbicie z „Pamiętnika Literackiego", rocznik XLII, zeszyt 2 (1951). Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Wrocław, 1951. Str. 63.

Henryk Markiewicz — „Lalka" Bolesława Prusa. Biblioteka Komentarzy Literackich, Nr 1. Z prac Instytutu Badań Literackich. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 258, 3 nlb., 1 fotografia i 1 plan Warszawy z roku 1873.

LITERATURA NAUKOWA

Józef Grycz — Z dziejów i techniki książki. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Wrocław, 1951. Str. 271 z rycinami.

M. Fabiusz Kwintylian — Kształcenie mówcy. Księgi I, II i X. Przekł. z łaciny i oprac. dr Mieczysława Brożka. Biblioteka Narodowa, Nr 62, seria II. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Wrocław, 1951. Str. CII, 346 i 2 nlb.

F. Majorow — Odpowiedź amerykańskim krytykom Pawłowa. Przekł. z ros. R. Fenigsena. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 44 i 2 nlb.

Prace Polonistyczne, seria IX (1951). Komitet redakcyjny: Stefania Skwarczyńska, Aniela Kowalska i Jan Trzynadlowski. Towarzystwo Literackie im. Adama Mickiewicza, oddział w Łodzi. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Wrocław, 1951. Str. 400.

Howard Selsam — Problemy filozofii. Przekł. z ang. Jana Strzeleckiego .Przedmowa Leszka Kołakowskiego. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 150 i 3 nlb.

Studia nad książką poświęcone pamięci Kazimierza Piekarskiego. Cykl: Książka w dawnej kulturze polskiej, pod red. Kazimierza Budzyka i Alodii Gryczowej. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Wrocław, 1951. Str. 393 i 2 nlb.

HISTORIA I PUBLICYSTYKA

Tomasz Atkins — Z tajników wywiadu amerykańskiego w Europie i Azji. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 62 i 2 nlb.

Georges Cogniot — Sidła kosmopolityzmu. Przekł. z jęz. franc. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 124 i 4 nlb.

A. Duginow — Dochód narodowy ZSRR i wzrost dobrobytu mas pracujących. Przekł. z ros. P. Barskiej. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 19 i 1 nlb.

Jean Fréville — Dzień zaświtał w Tours. Narodziny Komunistycznej Partii Francji. Przekł. autoryz. z franc. Zofii Jaremko-Pytowskiej. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1951. Str. 164 i 2 nlb.

A. B. Frumkin — „Socjalizm" Labour Party w służbie podżegaczy wojennych. Przekł. z ros. Janusza Nowickiego. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 46 i 2 nlb.

G. Grigoriew — Rozwój pokojowej ekonomiki Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Przekł. z ros. S. Halperin. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 22 i 1 nlb.

Dolores Ibarruri — Walka narodu hiszpańskiego przeciwko reżymowi Franco. Przekł. z ros. Izabelli Ogrodowicz. Cykl: Bieżące zagadnienia polityki międzynarodowej, zeszyt 22. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 22 i 1 nlb.

Stefan Kieniewicz — Ruch chłopski w Galicji w 1846 roku. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Wrocław, 1951. Str. XXII, 369 i 1 mapa.

M. Kołganow — Własność społeczna — podstawą stosunków produkcji socjalizmu. Przekł. z ros. Witolda Baranowskiego. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 23 i 1 nlb.

O. Kuusinen — Międzynarodówka podżegaczy wojennych. Przekł. z ros. Fr. Wistreich. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 15 i 1 nlb.

M. Łukianowa — Japonia — odradzające się ognisko agresji na Dalekim Wschodzie. Przekł. z ros. Fr. Wistreich. Cykl: Bieżące zagadnienia polityki międzynarodowej, zeszyt 23. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 30 i 1 nlb.

H. D. Meyer — Czy nieunikniona jest zagłada Ameryki? Tłumaczyli z ang. J. Dewitz i E. Kusz. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 224 i 4 nlb.

P. Miniejew — Anglo-amerykański imperializm — zacięty wróg młodzieży. Przekł. z ros. Alfreda Szera. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 20.

Murzyni w USA. Pisarze amerykańscy o rasizmie w Stanach Zjednoczonych. Wybór artykułów z miesięcznika amerykańskiego Masses and Mainstream. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 109 i 2 nlb.

Eva Priester — Byłam w Korei. Przekł. z niem. Eryka Skowrona. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 41 i 2 nlb.

Eugeniusz Tarle — Talleyrand. Przekł. z ros. T. Łempickiego. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 331 i 1 nlb.

Jerzy Tepicht — Klasa robotnicza w walce o umocnienie sojuszu robotniczo - chłopskiego. Referat wygłoszony dnia 30 października 1951 r. w Zakładach im. Stalina w Poznaniu. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 37 i 1 nlb.

G. N. Wojtyński — Komunistyczna Partia Chin w walce o niepodległość i demokratyzację kraju. Przekł. z ros. I. Bychowskiej. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 40 i 2 nlb.

B. Wroński — Uciemiężona młodość. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 140 i 2 nlb.

A. J. Wyszyński — Zagadnienia prawa i polityki międzynarodowej. Przekł. z ros. Aleksandra Bramsona. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 699 i 1 nlb.

30 lat Komunistycznej Partii Chin. Cykl: Chiny Ludowe, zeszyt 11. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 58, 2 nlb. i 4 fotografie.

LITERATURA DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

K. Artyniewicz i S. Szuchowa — Przedszkolaczki. Ilustr. H. Przeździeckiej. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1951. Str. 35 i 2 nlb.

Wiera Badelska — Cztery motylki. Rysunki Wandy Zawidzkiej. Cykl: Poczytaj mi, mamo. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1951.

J. Bieniasz — Turul władca puszczy. Ilustr. S. Rozwadowskiego. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1951. Str. 128 i 2 nlb.

Jan Borowski — Węgiel. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1951. Str. 81 i 2 nlb.
— Nafta. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1951. Str. 69 i 2 nlb.

Jan Brzechwa — Uczmy się chodzić. Ilustr. Zbigniewa Rychlickiego. Cykl: Poczytaj mi, mamo. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1951.

Budujemy stację meteorologiczną. Oprac. Zygmunt Dąbrowski. Biblioteka młodego technika. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1951. Str. 20 i 2 nlb.

Jadwiga Chamiec — Bajka o chłopcu, piesku, kotku i lwiątku. Ilustr. Bogdana Zielenieca. „Nasza księgarnia", Warszawa, 1951. Str. 27 i 1 nlb.

Norbert Fryd — Bunt w maszynie do pisania. Przekł. Jadwigi Bułakowskiej. Ilustr. Zbigniewa Rychlickiego. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 59.

Arkady Gajdar — Dzieła, tom I. Przekł. z ros. pod red. Aleksandra Wata. Ilustr. z wyd. ros. A. Jermołajewa. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1951. Str. 457 i 2 nlb.

S. Georgiewska — Południowy kwiat. Przekł. z ros. Zofii Łapickiej. Ilustr. Zbigniewa Piotrowskiego. Biblioteczka dla dzieci. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 15 i 1 nlb.

W. Gubariew — Pawlik Morozow. Przekł. z ros. S. Michałowskiego. Ilustr. z wyd. ros. I. Grunsztejna, Biblioteka Harcerza. „Nasza Księgarnia . Warszawa, 1951. Str. 95 i 2 nlb.

Vlasta Hilska — Diamentowe góry. Bajki koreańskie. Przekł. i oprac. J. Bułakowskiej. Przekł. wierszy H. Januszewskiej. Ilustr. Józefa Lieslera. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1951. Str. 87, 2 nlb. i ilustr.

Irena Jurgielewiczowa — Osiem lalek i jeden miś. Sztuka premiowana na konkursie. Ilustr. M. Stańczaka i K. Mielecka. Teatr Szkolny. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1951. Str. 112.

G. Karasławow — Wieś w słońcu. Przekł. z bułg. H. Bychowskiej. Ilustr. St. Rozwadowskiego. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1951. Str. 185 i 2 nlb.

Abdul Kasi Lahuti — Uzum-Angur-Enab czyli Towarzysze podróży. Przekł. Juliana Tuwima. Ilustr. Jana Marcina Szancera. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1951.

Jadwiga Korczakowska — Wspólnymi siłami. Ilustr. Tadeusza Ulatowskiego. Biblioteczka dla dzieci. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 15 i 1 nlb.

Maria Kownacka — Wawrzyńcowy sad. Sztuka w 2 aktach. Muzyka Jana Wesołowskiego. Ilustr. K. Mielecka i M. Stańczaka. Sztuka uzyskała II nagrodę na konkursie Min. Kultury i Sztuki. Teatr Szkolny. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1951. Str. 71 i 11 str. nut.

Lucyna Krzemieniecka — Jaskółki. Ilustr. Walentyny Symonowicz-Mierzejewskiej. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 23 i 1 nlb.

Ignacy Krasicki — Bajki. Wybór. Ilustr. Jana Marcina Szancera. Tekst przygotował i opatrzył przypisami Feliks Przyłubski. Tekst wg wydania Fr. Dmochowskiego: Ignacy Krasicki: Dzieła, r. 1802—1804. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 55 i 3 nlb.

Anna Lanota — O sześcioletnim Bronku i Sześcioletnim Planie. Ilustr. T. Jodłowskiego. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1951.

W. Lebiediew — Ludmiła Kulikowa. Przekł. z ros. Antoniego Korala. Cykl: Młodzież w służbie socjalizmu. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 52 i 2 nlb.
dza", Warszawa, 1951. Str. 46 i 2 nlb.

S. Marszak — Czym jest rok? Spolszczył Janusz Minkiewicz. Ilustr. z wyd. ros. O. Wieriejskiego. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1951. Str. 15.

Sergiusz Michałkow — Rozmowa z synem. Przekł. z ros. J. Minkiewicza. Ilustr. z wyd. ros. W. Wysockiego. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1951. Str. 15 i 1 nlb.

D. Mironowa — Stary Sundapte. Przekł. z ros. Zofii Łapickiej. Ilustr. Tadeusza Ulatowskiego. Biblioteczka dla dzieci. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 15 i 1 nlb.

A. Musatow — Śniadanie na łące. Przekł. z ros. Zofii Łapickiej. Ilustr. Zbigniewa Piotrowskiego. Biblioteczka dla dzieci. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 14 i 1 nlb.

Z. Nalbach — Maszyna liczy... „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1951. Str. 85.

N. Nosow — O pszczołach. Przekł. z ros. Zofii Łapickiej. Ilustr. Tadeusza Ulatowskiego. Biblioteczka dla dzieci. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 15 i 1 nlb.

Władysław Orkan — Wybór nowel i opowiadań. Do druku przygotował i wstępem opatrzył Zbigniew Mitzner. Ilustr. T. Kulisiewicza.

„Nasza Księgarnia", Warszawa, 1951. Str. XI, 144 i 2 nlb.

Sotnik — Niezwykły ptak. Opowiadania. Przekł. z ros. Konrady i Stanisława Garsteckich. Ilustr. z oryg. ros. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 200 i 2 nlb.

Spangenberg — Polowanie na żółwie. Przekł. z ros. Natalii Olszewskiej. Ilustr. Zbigniewa Piotrowskiego. Biblioteczka dla dzieci. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 15 i 1 nlb.

u Sün — Wieś rodzinna. Przekł. z ros. M. Witwińskiej. Ilustr. z wyd. ros. T. Łukowa. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1951. Str. 62 i 3 nlb.

wa Szelburg-Zarembina — Kije samobije. Wyd. II. Ilustr. Jana Marcina Szancera. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1951. Str. 63.

wierdza suramska (Bajki i legendy). Zebrała i opracowała Maria Górska. Ilustr. Ignacego Witza. Wyd. II, poprawione i uzupełnione. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1951 Str. 101 i 5 nlb.

Vakacje w Polsce. Les vacances en Pologne. The Holidays in Poland. Teksty Macieja Zimińskiego. Opracowanie graficzne Zbigniewa Rychlickiego. Fotografie T. Bukowskiego, St. Kolowca, J. Lewińskiego, H. Poddębskiego, CAF i WAF. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1951.

agadki majstra Śrubki. Zebrał Zygmunt Dąbrowski. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1951. Str. 48.

an Żabiński — Dziewczynka i myszki. Ilustr. Tadeusza Ulatowskiego. Biblioteczka dla dzieci. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 15 i 1 nlb.

IOGRAFIE, WSPOMNIENIA, LISTY

Kuzniecow — O Sergiuszu Wawiłowie uczonym i filozofie. Przekł. z ros. Ireny Wolff. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 35 i 1 nlb.

Franciszek Sokulski — W kraju i nad Bosforem (1830—1881). Fragmenty życia i listy. Przygotowanie do druku, wstęp i przypisy Mariana Tyrowicza. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Wrocław, 1951. Str. XVII, 144 i 2 nlb.

REPORTAŻE

Józef Balcerak — Oczami marynarza. Reportaże, notatki i listy z rejsów. „Wydawnictwa Morskie", Gdańsk, 1951. Str. 223 i 1 nlb.

PRAWO, ADMINISTRACJA

J. W. Stalin — O projekcie Konstytucji Związku SRR (Referat na Nadzwyczajnym VIII Wszechzwiązkowym Zjeździe Rad 25 listopada 1936 roku). *Konstytucja (ustawa zasadnicza) Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich. Wydana w 15 rocznicę uchwalenia Konstytucji Stalinowskiej 5. 12. 1936 — 5. 12. 1951. „Książka i Wiedza", 1951. Str. 119, 1 nlb. i 1 fotografia.

SCENARIUSZE RADIOWE

Komunardzi i inne słuchowiska radiowe. Opracowali: K. Barnaś, A. Baumgardten, M. Kozłowski, Z. Pelc-Ichniowski, O. Terlecki, Z. Zawadzka, St. Ziembicki. Biuro Wydawnictw Polskiego Radia, Warszawa — Kraków, 1951. Str. 155 i 1 nlb.

RÓŻNE

Kalendarz Robotniczy na rok 1952. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 484 i 3 nlb.

Kalendarz Uczniowski na rok szkolny 1951/52. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 537, 3 nlb. i 1 tablica.

N. Puchłow — Rozwój rolnictwa w Rumunii. Przekł. z ros. Ignacego Korala. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 23 i 1 nlb.

SPIS TREŚCI

Str

Konstytucja Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej 3

Artur Międzyrzecki: W Nowej Hucie; Łazienki 16

Tadeusz Kubiak: Coi Syn Chi wracając z Berlina tańczy w Warszawie 18

Jerzy Grygolunas: Wiersz do mistrza Jana 20

Arnold Słucki: Mój dom; Huczwo, Huczwo...; Sen 21

Włodzimierz Słobodnik: Wystawa produktów wiejskich w Płowdiwie; Tyrnowo 23

Igor Newerly: Pamiętnik z Celulozy 24

Jerzy Putrament: Notatnik chiński 63

Michał Isakowski: Poranek; Matce; Wiosna — przeł. Włodzimierz Boruński 114

Henryk Markiewicz: Krytyka literacka w latach 1945—1951 . . 117

Zbigniew Bieńkowski: Po plenum krytyki 141

NA BUDOWIE PLANU 6-LETNIEGO: Helena Wielowieyska: Żychlin jest czerwony 144

WŚRÓD KSIĄŻEK: Jan Śpiewak — Andrzej Mandalian „Dzisiaj"; Adolf Sowiński — „Niemiecka satyra antyfaszystowska"; Wojciech Natanson — Konstanty Paustowski „Nasz współczesny", Stendhal „Różowe i zielone"; Marceli Ranicki — Hans Marchwitza „Kumiacy" 151

TEATR: Stefan Treugutt: Na scenach warszawskich 161

NA WIDNOKRĘGU: Janusz Gołębiowski; Józef Spinc; Marian Podkowiński; ab 166

KSIĄŻKI NADESŁANE 183

Wydaje Instytut Prasy „Czytelnik"
Redaktor Naczelny: Adam Ważyk
Adres redakcji: Warszawa, Wiejska 16, tel. 734-65, centr. 7-52-50/52, wewnętrzny
Administracja: Wiejska 12, tel. 7-52-50
Prenumerata i kolportaż: PPK „Ruch" Oddz. w W-wie, ul. Srebrna 12, tel. 804-20 do 25
Wpłat na prenumeratę można dokonywać Pl. 3 Krzyży 16. Chmielna 25.
Cena zeszytu zł 3.60. Prenumerata kwartalna zł 10.80, półroczna — zł 21.60.
Rękopisów nie zamówionych redakcja nie zwraca.

D.S.P. 16